

Wciągający thriller o pamięci, grzesznej przyjemności, alkoholu
i druzgocących konsekwencjach uzależnienia

Chris Bohjalian



Chris Bohjalian Stewardesa

Z języka angielskiego przełożył
Adam Olesiejuk



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

The Flight Attendant
Copyright © 2018 by Chris Bohjalian

Copyright © 2020 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2020 for the Polish translation by Adam Olesiejuk
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska
Korekta: Edyta Malinowska-Klimiuk, Iwona Wyrwisz, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-66460-83-6

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadrage.pl
www.soniadrage.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2020

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Tego autora:

Pokój gościnny

Ruiny przeszłości

Zamki na piasku

*Dla Anne Messitte,
to nasza dwunasta wspólna książka*

Mężczyźni boją się, że kobiety ich wyśmieją.

Kobiety boją się, że mężczyźni je zabiją.

– Margaret Atwood

Część pierwsza

PRZYGOTOWAĆ SIĘ
NA UDERZENIE

Rozdział 1

Najpierw poczuła zapach hotelowego szamponu, bliskowschodni aromat budzący skojarzenia z anyżem, a później, kiedy otworzyła oczy, zauważyła, że światło wpadające przez okno różni się od światła w pokojach, w których zazwyczaj zatrzymywała się załoga. Między grubymi, ale niezaciągniętymi do końca zasłonami na całej długości została cienka szpara, przez którą sączyło się poranne słońce. W miejscu, gdzie padało na podłogę, dywan wydawał się całkiem wypłowiwały. Zamrugła oczami, nie z powodu światła, lecz kłującego bólu przeszywającego czaszkę. Marzyła o szklance wody, ale wiedziała, że zbliżającego się nieuchronnie kaca powstrzymałoby chyba tylko tsunami. Powinna wziąć coś przeciwbólowego, niestety – czerwone tabletki, które w takich chwilach łykała jak M&M’sy, były daleko stąd – zostały w torbie z lekami w jej pokoju. W jej hotelu.

Bo to zdecydowanie nie był jej hotel, tylko jego. Czyżby jednak postanowiła tu wrócić? Na to wygląda. Wydawało się jej, że stąd wyszła i udała się do znacznie skromniejszego pokoju wynajętego przez linie lotnicze. Taki przynajmniej był plan. W końcu musiała dzisiaj rano zdążyć na samolot.

Przez głowę powoli zaczęły się jej przetaczać pytania, na które będzie musiała odpowiedzieć, kiedy wreszcie przewróci się na plecy. Pierwsze i najważniejsze brzmiało: która jest godzina? Budzik musiał stać po drugiej stronie łóżka, bo po tej go nie było. Na jej stoliku nocnym znajdowały się telefon oraz porcelanowa taca, a na niej ciastka z daktylami i trzy idealnie równe kostki rachatlukum, każda nakłuta na małą srebrną wykałaczkę w kształcie miniaturowej włóczni. Czas naglił, ponieważ wszyscy członkowie załogi mieli się stawić w holu hotelu – jej hotelu – najpóźniej kwadrans po jedenastej. Stamtąd mieli pojechać autobusem na lotnisko, żeby wsiąść na pokład samolotu lecącego do Paryża. Wszystkie inne pytania, w tym to, jakim cudem zdoła znaleźć w sobie dość siły i odwagi, żeby podnieść się z łóżka i postawić nogi na ziemi – a czuła, że w tej chwili podobny wyczyn wymagałby hartu ducha godnego olimpijskiej gimnastyczki – miały w tej

chwili drugorzędne znaczenie. Oddychała wolno i głęboko, lekko świszcząc przez nos, i tym razem wychwyciła w powietrzu nutę wyraźniejszą od anyżu: woń seksu. Tak, pokój przepęłniał charakterystyczny aromat szamponu z luksusowego hotelu, ale dało się wyczuć także zapachy dwóch ciał, jego i jej, a także wsiąknięte w pościel dowody tego, co się tutaj działo w nocy. On też nadal tu był, spał w absolutnej ciszy. Wiedziała, że zobaczy go obok siebie, gdy tylko przewróci się na plecy. Gdy tylko się podniesie.

Boże, gdyby chociaż zabrała go do swojego hotelu. Ale on przy kolacji dyskretnie wsunął jej do ręki klucz, mówiąc, że wróci o dwudziestej pierwszej, i prosząc, by zaczekała w jego pokoju. Tak też zrobiła. Okazało się, że mieszkał w apartamencie, przestronnym, urządzonym z najwyższym smakiem i większym od jej mieszkania na Manhattanie. W salonie stał stolik kawowy inkrustowany masą perłową, drewno było tak wypolerowane, że odbijało światło jak księżyc w pełni. W barze – i to był prawdziwy bar, nie mały barek czy minilodówka z jedną półką i kilkoma puszkami coli zero – znalazła butelkę szkockiej, która pewnie kosztowała więcej niż jej miesięczny czynsz w Nowym Jorku.

Zamknęła oczy, próbując stłumić poczucie wstydu i obrzydzenia. Powtarzała sobie, że taka już po prostu jest – taką już ma naturę – żeby chociaż trochę złagodzić ogarniający ją wstręt do samej siebie. Przecież w nocy dobrze się bawili, prawda? Oczywiście, że tak. W każdym razie tak przypuszczała. Kiedy pierwszy raz otworzyła oczy, przez chwilę miała nadzieję, że tylko upiła się do nieprzytomności, ale szybko stało się jasne, że kompletnie urwał się jej film. Znowu. Różnica nie leżała jedynie w nazewnictwie – dobrze to wiedziała, bo doświadczyła i jednego, i drugiego. Upicie się do nieprzytomności oznaczało żenujące zakończenie imprezy: nieraz zdarzyło się jej zasnąć z głową zagrzebaną w poduszkach na kanapie, podczas gdy wokół niej zabawa trwała w najlepsze. Urwanie filmu było bardziej upokarzające następnego ranka, kiedy budziła się w obcym łóżku z jakimś obcym facetem, nie mając bladego pojęcia, jak tam trafiła. Przynajmniej teraz przypominała sobie ten pokój i tego mężczyznę, a to dobry znak, ale wyraźnie miała spore luki w pamięci. Ostatnie, co pamiętała, to że zbiera się do wyjścia. W swoim wspomnieniu była ubrana i stała w drzwiach apartamentu, a on miał na sobie fantazyjny, hotelowy szlafrok – od zewnątrz wzór w czarno-białą zebkę, od wewnątrz frotté – i śmiał się, że ciągle nie posprząтали

rozbitej butelki. Mamrotał coś, że zarówno rozlaną wódką, jak i ostrymi jak sztylety odłamkami szkła zajmie się rano.

A jednak jakimś sposobem znalazła się ponownie w jego łóżku.

Westchnęła, powoli, ostrożnie, żeby nie podsycić nadchodzącego bólu głowy. W końcu spróbowała się podnieść i natychmiast ogarnęły ją mdłości, a pokój zawirował przed oczami. Szybko opuściła głowę z powrotem na miękką puchową poduszkę.

W samolocie zwróciła uwagę na jego wodę kolońską, spodobał się jej ten drzewny zapach, a on powiedział, że to jakaś rosyjska marka. Jak sam przyznał, uwielbiał wszystko, co rosyjskie. Był Amerykaninem, tłumaczył ze śmiechem, chłopakiem z Południa, ale jego rodzina pochodziła z Rosji i czuł, że on także ma duszę Rosjanina. Puszkina, *Eugeniusz Oniegin*, coś o cierpieniu i pustce w sercu. Rosjanie wpompowali pieniądze w jego fundusz hedgingowy – mówił o tym z istic dziecięcym entuzjazmem, bez śladu chępliwości – i ci stuknięci oligarchowie byli dla niego jak rodzina. Te groźne rosyjskie niedźwiedzie stawały się przy nim pluszowymi misiami.

Teraz nie czuła już jego wody kolońskiej i przypomniała sobie, że przecież wzięli razem prysznic. Pamiętała dużą, elegancką kabinę z czarno-białego marmuru, wyposażoną w marmurową ławeczkę – tam siedziała mu na kolanach, kiedy myła włosy tym anyżowym szamponem.

Nazywał się Alexander Sokolov i był chyba z siedem czy osiem lat młodszy od niej; w każdym razie wyglądał na niewiele ponad trzydzieści lat. Chciał, żeby mówiła na niego Alex; zdrobnienie Al brzmiało jego zdaniem zbyt amerykańsko. Wyznał, że w idealnym świecie używałby swojego pełnego imienia, ponieważ najbardziej kojarzyło się z Rosją, ale kiedy rozpoczął pracę, jego szefowie zasugerowali, żeby przyzwyczał się do Alexa – taka wersja brzmiała najbardziej neutralnie i międzynarodowo, co miało szczególne znaczenie z uwagi na to, ile czasu spędzał, jeżdżąc po całym świecie. Dorastał w Wirginii, choć w jego wymowie nie było ani śladu południowego akcentu, a obecnie mieszkał na Upper West Side na Manhattanie i kierował funduszem działającym w ramach firmy Unisphere Asset Management. Był typem matematycznego kujona, co jak sam przyznawał, stanowiło źródło jego sukcesu – to dzięki temu jego fundusz przynosił ogromne zyski wielu ludziom po obu stronach Atlantyku. Ewidentnie lubił to, czym się zajmował, choć uparcie powtarzał, że w życiu nie ma nic

nudniejszego niż zarządzanie cudzymi pieniędzmi, dlatego chciał głównie rozmawiać o jej pracy. Jej opowieści z frontu niezmiernie go pasjonowały.

Podczas lotu do Dubaju siedział na miejscu 2C i nie spał ani minuty. Pracował na laptopie, oglądał filmy oraz flirtował z nią. Przez ten czas poznał ją o wiele lepiej niż ona jego. Jeszcze w powietrzu ustalili, że po wylądowaniu utną sobie krótką drzemkę, a potem wybiorą się razem na kolację. Mieli się spotkać w holu jego hotelu. Już wtedy wiedzieli, że kolacja będzie zaledwie częścią gry wstępnej.

Jeszcze raz powtórzyła w myślach jego imię i zaczęła zbierać się w sobie, żeby w końcu przewrócić się na plecy i stawić czoła nawałnicy bólu. Oraz jemu. Znow pomyślała o tym, ile araku wypła wczoraj wieczorem. Pamiętała, jak sześćdziesięcioprocentowy trunek po dodaniu lodu zmieniał się z przejrzystego w mleczny. A potem doszła jeszcze wódka, butelka stolicznej, którą doniosła im późnym wieczorem jego znajoma. W przeszłości Cassie nieraz miała do czynienia z arakiem – piła go zawsze, gdy przylatywała do Bejrutu, Stambułu czy Dubaju. Ale czy kiedykolwiek zdarzyło się jej wypić go w takiej ilości? Chciała wierzyć, że nie, ale okłamywała samą siebie. Oczywiście, że tak. To nie pierwszy raz. Pewnego dnia straci pracę w liniach lotniczych; pewnego dnia przesadzi, podleci zbyt blisko do słońca i obleje test na obecność alkoholu we krwi, a to będzie początek końca. Końca wszystkiego. Znajdzie się na szlaku, który swego czasu przetań jej ojciec, a dobrze wiedziała, dokąd ta ścieżka prowadzi.

Nie, dla niej konsekwencje mogą być znacznie gorsze, ponieważ jej ojciec był mężczyzną, a ona jest kobietą. A prawda jest taka, że pijaństwo rzadko kończy się dobrze niezależnie od płci, ale to nad kobietami wisi dodatkowo groźba gwałtu.

Westchnęła. Szkoda, że samoloty jej linii nie latają do Rijadu – w Arabii Saudyjskiej w pokojach hotelowych w ogóle nie ma alkoholu. Musiałyby przez cały czas nosić abaję do kostek i nigdy nie wychodziłyby na ulicę sama, więc nie miałyby okazji rozglądać się za facetami. Ani spotykać się z nimi w holu hotelowym.

Może wszystko skończyłoby się lepiej, gdyby Alex nie odebrał telefonu od swojej znajomej, po którym oboje zaczęli się ubierać. Ta kobieta – na imię miała chyba Miranda, ale po całej nocy picia do nieprzytomności Cassie pamiętała wszystko jak przez mgłę – zadzwoniła zaraz po tym, jak wyszli spod prysznic, umyć, ale wciąż trochę pijani, i powiedziała, że wpadnie do nich na drinka. Cassie odniosła wrażenie, że ta Miranda też ma coś wspólnego z funduszem hedgingowym

i nazajutrz ma uczestniczyć w tych samych spotkaniach co Alex. Możliwe, że zajmowała się też jakimiś nieruchomościami w Dubaju, ale Cassie nie była pewna, od kogo to usłyszała.

Kiedy Miranda zjawiała się w apartamencie, szybko stało się jasne, że ona i Alex znają się bardzo słabo i tak naprawdę widzą się po raz pierwszy. Mimo to łączyły ich relacje wykraczające poza pracę – wyglądało na to, że mają wspólnych znajomych i kontrahentów w branży budowlanej, od których roi się w tym mieście rodem z science fiction. Była w jego wieku, miała ciemne oczy w kształcie migdałów i kasztanowe włosy związane w nienaganny kok francuski. Nosiła luźne czarne spodnie i skromną, ale elegancką czerwono-czarną tunikę. I miała cholernie mocną głowę. Przez dobrą godzinę, a może dłużej, siedzieli w trójkę w wystawnie urządzonym salonie, osuszając butelkę wódki, którą przyniosła ze sobą Miranda. Cassie przeszło nawet przez myśl, że cała sytuacja mogła stanowić wstęp do zaplanowanego trójkąta, i choć sama nie zamierzała niczego inicjować, nie odmówiłaby, gdyby takowa propozycja wyszła od Alexa albo Mirandy. Alkohol, luźna rozmowa, luksusowy apartament – to wszystko sprawiło, że po raz kolejny poczuła, jak ogarnia ją podniecenie. Alex i Miranda zajmowali fotele po przeciwnych stronach tego pięknego stolika kawowego, ona zaś siedziała sama na kanapie i z jakiegoś powodu fakt, że znajdowali się w pewnej odległości od siebie, zdawał się jeszcze bardziej podgrzewać atmosferę. Ostatecznie jednak do niczego nie doszło. Miranda wyszła, na pożegnanie całując jedynie powietrze obok ich policzków. Ale na pewno nie zdążyła jeszcze nawet dojść do windy, do której wchodziło się na końcu jednego z licznych korytarzy, kiedy Alex ponownie zaczął ściągać z Cassie ubranie i chwilę potem znowu się kochali, tym razem w sypialni, na tym królewskim łóżu z masywnym zagłówkiem w kształcie arabskiego łuku.

Ale po wszystkim z powrotem się ubrała. Na pewno. Na sto procent. Zamierzała wrócić do swojego hotelu. Czy nie pożegnała się z nim pod drzwiami apartamentu? Czy nie dotarła aż do windy, gdziekolwiek ona była?

Może tak. Może nie.

Tak naprawdę nie miało to znaczenia, skoro ewidentnie postanowiła się cofnąć i wskoczyła znów do jego łóżka.

Zakładając, rzecz jasna, że faktycznie wyszła z apartamentu. Może po prostu utkwiał jej w pamięci samotny spacer z hotelowej restauracji do apartamentu,

kiedy Alex po kolacji spotkał się na moment z jakimś inwestorem. Powiedział wtedy, żeby poczekała na niego naga w jego pokoju. Spełniła jego prośbę.

A teraz nadal tu była. I znowu naga.

W końcu zrobiła głęboki wdech, krzywiąc się ze ściskającego głowę bólu, i odwróciła się o 180 stopni, żeby spojrzeć na Alexa.

I rzeczywiście tam był. W pierwszej sekundzie jej umysł zarejestrował jedynie fakt, że coś jest nie tak. Może sprawiła to nienaturalna sztywność jego ciała, a może emanujący z niego chłód. Ale zaraz potem zobaczyła krew. Ujrzała wielką karmazynową plamę na poduszce oraz lśniąca, wciąż mokrą kałużę na śliskiej białej pościeli. Leżał na plecach. Widziała jego szyję z ziejącym czerwonym rozcięciem od jednego końca żuchwy do drugiego. Część klatki piersiowej i podbródek pokrywała krew, która trysnęła z rany. Zakrwawiony czarny zarost wyglądał jak sklejonny miodem.

Odruchowo, ignorując ból, zrzuciła z siebie kołdrę i wyskoczyła z łóżka, natychmiast wycofując się w stronę okna i wtulając w zasłony. Dopiero tam, gdy tak stała z rękami przyciśniętymi do piersi, jakby ktoś jej założył kaftan bezpieczeństwa, zorientowała się, że sama również jest cała we krwi. Miała ją na włosach i na ramieniu. Miała ją na rękach. (Później, już w windzie, doszła do wniosku, że jedynym, co powstrzymało ją przed wrzaskiem, był instynkt samozachowawczy – zważywszy na bolesne pulsowanie w głowie, dźwięk własnego panicznego krzyku chyba ją zabił na miejscu).

Czy kiedykolwiek widziała tyle krwi? Na pewno nie należącej do człowieka. Może do jelenia, w czasach gdy dorastała w Kentucky. Ale ludzkiej krwi – nie. Nigdy.

Za ciałem Alexa, po drugiej stronie łóżka, znajdował się zegar z cyfrowym wyświetlaczem. Pokazywał godzinę 9:51. Cassie miała więc niecałe dziewięćdziesiąt minut na to, żeby znaleźć się w holu innego hotelu gotowa do wyjazdu na lotnisko. Czekał ją lot do Paryża, a jutro do domu, do Nowego Jorku.

Dotykając plecami zasłon, bezwiednie przykucnęła do pozycji bejsbolowego łapacza, a w końcu całkiem osunęła się na podłogę. Próbowwała się skoncentrować, podjąć jakąś decyzję. Jej umysł zwolnił dopiero, gdy zauważyła rozbite szkło na podłodze, konstelację przezroczystych odłamków rozciągniętą na dywanie między końcem łóżka a elegancką komodą, wewnątrz której znajdował się telewizor.

Z niegdysiejszej butelki wódki przyniesionej przez Mirandę zostały tylko okruchy i trójkątne odłamki, które niemalże dałoby się uznać za ładne; tylko szyjka była nadal na swoim miejscu, przymocowana do obtłuczonego fragmentu z ostrą, poszarpaną krawędzią. W tym momencie Cassie zdała sobie sprawę, co to może oznaczać, i poczuła, jak wzbierają w niej mdłości. Popędziła do łazienki, zakrywając usta dłońmi, tak jakby jej palce miały jakąkolwiek szansę zatamować ten opierający się grawitacji wodospad. Dopadła do sedesu dosłownie w ostatniej chwili.

Potem usiadła z plecami opartymi o bidet, twarzą do prysznicza, i wpatrywała się w głowice zamontowane na suficie i ścianach. Wszystko zdawało się lekko kołysać. Zaczęła układać w myślach rejestr wszystkiego, co pamiętała z poprzedniej nocy, ale szybko uświadomiła sobie, jak wiele przysłaniała ta nieprzenikniona kurtyna z araku, wódki i innych rzeczy, które być może także pili. Próbowwała sobie wyobrazić, co mogłoby doprowadzić ją do tego, by chwyciła rozbitą butelkę i rozharatała temu człowiekowi szyję, tak jak kiedyś razem z ojcem patroszyła ustrzelonego jelenia. Nie była przecież typem osoby, która włóczy się po barach i wdaje w rozróby. Nigdy nikogo nie skrzywdziła – w każdym razie nie fizycznie. Z drugiej strony niektóre jej zachowania w trakcie libacji, gdy topiła resztki rozsądku w morzu tequili czy ginu, przeszły już do legendy. Teoretycznie wszystko było możliwe, ale jednak nie mieściło się jej w głowie, że to ona mogłaby go zabić. Z opowieści znajomych wiedziała, że kiedy urywał się jej film, robiła różne rzeczy – kompromitujące, nieprzyjemne, czasem niebezpieczne dla niej samej. Ale nigdy nie przejawiała skłonności do przemocy.

Zdała sobie sprawę, że przede wszystkim należy się upewnić, że na drzwiach apartamentu wisi tabliczka „Nie przeszkadzać”. Nie mogła przecież pozwolić, żeby wszedł tu ktoś z obsługi hotelu, przynajmniej dopóki ona czegoś nie wymyśli. Zamrugła oczami, raz i drugi. Zadziwiające, jak szybko widok martwego ciała Alexa Sokolova ją otrzeźwił. Nagle zarówno ból kolejnego monumentalnego kaca, jak i wyrzuty sumienia z powodu kolejnej przygody na jedną noc wydawały się czymś zgoła błahym.

Przez chwilę wpatrywała się w telefon w salonie, patrzyła na przycisk służący do łączenia się z recepcją. Ostatecznie nie zdecydowała się podnieść słuchawki.

Weszła natomiast pod prysznic. Umyła dokładnie włosy, szorowała ramiona i ręce, jakby to nie była krew, tylko smoła. Nie wiedziała, jak dokładnie wygląda kwestia kary śmierci w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, ale przypuszczała, że prawo jest tu bardziej cywilizowane niż w sąsiedniej Arabii Saudyjskiej (a z tego, co widziała w wiadomościach telewizyjnych, można było wywnioskować, że w Arabii Saudyjskiej publiczne egzekucje popularnością ustępują jedynie piłce nożnej). Nie miała jednak najmniejszej ochoty sprawdzać tej teorii.

Tak naprawdę miała tylko dwa wyjścia: albo zadzwoni do kogoś natychmiast po wyjściu spod prysznic, albo nie. Albo zostanie tu na dłużej – na znacznie dłużej – albo za kilka godzin będzie w samolocie do Francji. „Na znacznie dłużej” – ta myśl odbijała się echem w jej głowie. Dobry Boże, przypomniawszy sobie historię pechowej amerykańskiej studentki, która spędziła kilka lat we włoskim więzieniu oskarżona o morderstwo, którego – jak się zarzekała – nie popełniła. Cassie aż wzdrygnęła się na myśl o tym, co grozi jej tu, na Bliskim Wschodzie; nikt by przecież nie uwierzył, że ktoś trzeci wszedł do apartamentu, niemal uciął Alexowi Sokolowowi głowę, a jej darował życie. A gdyby mimo wszystko wybrała pierwsze rozwiązanie i postanowiła zgłosić, że obudziła się w łóżku obok trupa, to do kogo: do recepcji czy do linii lotniczych? Może od razu do amerykańskiej ambasady?

Wybór zależał po części od tego, czy rzeczywiście to ona zabiła tego młodego dyrektora funduszu hedgingowego. Pomimo widocznych gołym okiem dowodów w głębi duszy szczerze wierzyła, że nie mogła tego zrobić. Oczywiście dawniej zdarzało się jej popełniać po pijaku różne szaleństwa, o których dowiadywała się dopiero następnego ranka, z opowieści innych. Znajomi relacjonowali jej, co powiedziała i co zrobiła tym razem. Czasami słyszała o tym, kiedy wracała do konkretnego baru.

„Wskoczyłaś na stołek w rogu i odstawiałaś cholernie wyzywające karaoke – bez muzyki, Cassie! Nawet nie było sprzętu do karaoke!”

„O Boże, zaliczyłaś imponującą glebę tuż pod drzwiami do damskiej toalety. Nie wiem, jakim cudem nie złamałaś nosa!”

„Zaczęłaś ściągać ciuchy i próbowałaś namówić barmana, żeby zrobił z tobą pokaz nagiej jogi”.

Tylko ślepemu trafowi zawdzięczała, że nie ma na koncie zatrzymania za jazdę pod wpływem czy innych wykroczeń, dzięki czemu wciąż wolno jej było latać. Znowu pomyślała o swoim ojcu. Wycierając się ręcznikiem – szybko i mocno –

przypominała sobie różnych mężczyzn, galerię błędów przeszłości. Jeszcze raz policzyła wszystkie kraje, w których budziła się skacowana w nie swoim łóżku, u boku obcego faceta. Nawet teraz nikt z załogi zapewne nie widzi w tym nic dziwnego, że Cassie nie ma z nimi w ich hotelu. Niektórzy ledwo ją znają, ale większość natknęła się już kiedyś na takie osoby jak ona. Jej zachowanie mogło wydawać się dość ekstremalne, ale nie było czymś niespotykanym.

Jeśli to nie ona poderznęła gardło mężczyźnie, który jeszcze wczoraj tak czule pomagał jej umyć włosy pod prysznicem, to chyba powinna być głęboko wdzięczna sprawcy, który nie zadał sobie trudu, żeby ją także zabić. To z kolei sugerowało albo fundamentalny szacunek dla ludzkiego życia, albo niechęć do niepotrzebnych ofiar, co trochę kłóciło się z tym, jak brutalnie morderca rozprawił się z jej przygodnym kochankiem. Mogło to także oznaczać, że ktoś ją wrabiał. Ktoś – może nawet ta kobieta, która wpadła wczoraj wieczorem na drinka – chciał, żeby właśnie na Cassie spadła wina za tę zbrodnię. Przez głowę przemknęły jej dwie myśli i nie była pewna, czy uznać je za dowód paranoi czy też zaskakującej trzeźwości umysłu: po pierwsze, to nie ona zabiła Sokolova, ale na szyjce rozbitej butelki jest mnóstwo jej odcisków palców; po drugie, być może wcale nie znokautował jej arak, tylko została celowo odurzona. Ktoś podrzucił im środki nasenne. Może nawet znajdowały się w wódce, którą przyniosła Miranda. Kobieta twierdziła, że kupiła ją po drodze, ponieważ nie była pewna, czy pokoje w Royal Phoenician są zaopatrzone w barek z alkoholem; w Dubaju nie jest to normą. Może to był tylko prezent, a może coś więcej.

Pocieszające było przynajmniej to, że nikt nie wiedział o obecności Cassie w pokoju 511 w hotelu Royal Phoenician. Oczywiście Megan i Shane z jej załogi widzieli, jak flirtowała z Alexem z miejsca 2C, ale nie mówiła im, że zamierza się z nim później zobaczyć. Ona i Alex bardzo dyskretnie ustalili między sobą czas i miejsce spotkania. Nie podała mu swojego numeru, ponieważ wcale o niego nie prosił – a to oznacza, że nie figurowała na liście kontaktów w jego telefonie.

Pozostawała tylko Miranda.

Za to Miranda wiedziała sporo. Wiedziała, że Cassie jest stewardesą. Znała jej imię, jeśli nie nazwisko. Najprawdopodobniej to Miranda zadzwoni do hotelu, kiedy Alex nie pojawi się na zaplanowanym na dziś spotkaniu, a jego komórka będzie milczeć.

Cassie tłumaczyła sama sobie, że pod wpływem alkoholu miewała kiepskie pomysły, ale nie podcięłaby nikomu gardła. Przynajmniej tak się jej wydawało. Ale nie da się sprowokować i nie zadzwoni do recepcji. Ucieknie jak najdalej od Dubaju i Półwyspu Arabskiego, a oskarżeniami Mirandy – oraz własnym poczuciem winy – zajmie się, kiedy będzie już z powrotem w Stanach Zjednoczonych.

Dlatego schowała do swojej torby mydło i myjkę, których użyła pod prysznicem. Postanowiła zabrać też ręcznik, chociaż podejrzewała, że na pościeli i tak roi się od jej DNA. Mimo to kiedy się już ubrała, wzięła drugą myjkę i żeby pozbyć się swoich odcisków, przejechała nią wszystko, czego prawdopodobnie dotknęła w sypialni, łazience i salonie. Wytarła kieliszki, barek i butelki – te wszystkie puste butelki – i pilota do sprzętu grającego. A potem, ponieważ nadal pamiętała jedynie strzępy tego, co działo się wczoraj, przetarła również wszystko, czego mogła teoretycznie dotknąć: klamki w drzwiach i uchwyty w szafach, wieszaki i ramę łóżka. I ten piękny zagłówek też.

Gdy skończyła, pozbierała wszystkie kawałki rozbitej butelki, które zdołała znaleźć. Przez chwilę wpatrywała się w ostrą, poszarpaną krawędź utraconej szyjki. Czy naprawdę dałoby się tym rozciąć szyję Alexa Sokolova z chirurgiczną precyzją? Ostatecznie zabrała także domniemane narzędzie zbrodni, zawinąwszy je w ręcznik.

Rozsunęła zasłony i ujrzała skąpaną w słońcu taflę błękitnej wody, zaledwie kilka przecznic dalej. Wprawdzie apartament mieścił się zaledwie na piątym piętrze, ale hol hotelu był wysoki i przestronny niczym kasyno, tak więc z okna rozciągał się piękny i niczym nieprzysłonięty widok na lazurowe morze.

Cassie uznała, że gdy tylko znajdzie się w Stanach Zjednoczonych – zakładając, że uda się jej tam wrócić – porozmawia z prawnikiem. Ale wszystko w swoim czasie. Teraz musiała przede wszystkim wrócić do swojego hotelu, wymyślić jakiegoś faceta, z którym spędziła noc (na wypadek gdyby ktoś pytał), i stawić się w holu kwadrans po jedenastej. Przeczynała, że odetchnie z ulgą, dopiero kiedy samolot oderwie się od pasa startowego. Ale nie, w głębi serca wiedziała, że nawet wtedy nie będzie w stanie się odprężyć, w każdym razie nie do końca. Spośród wszystkich okropnych rzeczy, które zrobiła po pijaku, ucieczka z pokoju hotelowego, w którym leży trup w zakrwawionym łóżku, przebijała absolutnie wszystko.

A najgorsze, że przyszło jej to zrobić na trzeźwo.

Kiedy opuściła apartament, tabliczka „Nie przeszkadzać” nadal zwisała z klamki na złotym sznureczku. Miała nadzieję, że dzięki temu ciało Alexa nie zostanie znalezione jeszcze przez długi czas. Przez chwilę stała w miejscu, próbując sobie przypomnieć, gdzie jest ta cholerna winda. Hotel był ogromny, a niekończące się korytarze zdawały się wic we wszystkich kierunkach. W końcu ruszyła szybkim krokiem przed siebie i po jakimś czasie trafiła do celu. Miała wrażenie, że czeka na windę całą wieczność, ale powtarzała sobie, że czas płynie teraz dla niej wolniej, ponieważ jest zdenerwowana. Nie, nie zdenerwowana: przerażona. Aby się uspokoić, myślała o tym, że jeszcze może powiedzieć komuś w recepcji, co się stało, podkreślając – zarzekając się – że ona nie zrobiła nic złego. W końcu ciągle nie było za późno, na razie tylko wsiadała do windy (która na szczęście przyjechała pusta, co Cassie wzięła za dobry znak). Ale już po chwili szła po orientalnych dywanach przez imponujący hol, udekorowany palmami i bogato zdobionymi baldachimami (oraz nafaszerowany kamerami monitoringu), z twarzą ukrytą za ciemnymi okularami i chustą, którą kupiła wczoraj na lotnisku zaraz po wylądowaniu. Mijała rząd sklepów mieszczących się na terenie hotelu: buty Louboutina, szale Hermésa, elegancki butik z efektownymi drobiazgami. Jak przez mgłę zaczęła sobie przypominać, że zeszłego wieczoru wstąpiła do każdego z nich, po kolacji, w drodze do windy. Kiedy czekała na powrót Alexa ze spotkania. W którymś z tych sklepów widziała szal w lamparcie cętki – jaskrawe czarno-żółte plamki, krawędzie wyszyte złotymi paciorkami – który szalenie się jej podobał, ale wiedziała, że nie może sobie na niego pozwolić.

Teraz stopniowo przyspieszała kroku, uważając, by nie nawiązać z nikim kontaktu wzrokowego, ignorując konsjerża, gońców i pracowników, którzy witali gości w drzwiach i oferowali herbatę, aż w końcu wyszła na zewnątrz, prosto na hotelowe fontanny ustawione wokół dwóch lustrzanych sadzawek, i znalazła się na powrót w świetle piekącego pustynnego upału. Prawie wsiadła do taksówki, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Po co zostawiać dodatkowy dowód swojej obecności w tym hotelu, skoro wygląda na to, że podjęła już ostateczną decyzję? Opuściła budynek, wracała do siebie. A z każdym krokiem myśl o tym, by zawrócić, stawała się coraz mniej realna, ponieważ każdy krok oddalał ją od

domniemanej niewinności i zbliżał do domniemanej winy. Sama właśnie dostarczała argumenty na potwierdzenie oskarżeń, które Miranda z pewnością wysunie pod jej adresem.

Spojrzała na zegarek. Od jej hotelu dzieliło ją chyba nie więcej niż dziesięć minut spacerem. To oznaczało, że będzie miała jeszcze z piętnaście minut, żeby przebrać się w uniform i zejść na zbiórkę. Może nawet dwadzieścia, bo przecież i tak nie odjadą bez niej. Zaczęła pisać SMS do Megan, której chciała dać znać, że jest w drodze, ale po chwili przestała. Wiadomości tekstowe też zostawiają ślad. Odruchowo ucieszyła się, że Megan nie pisała do niej od wczoraj, ale niemal natychmiast dotarła do niej brutalna prawda: znowu zniknęła bez słowa w obcym mieście, a powtarzało się to tak niepokojąco często, również tu, na Bliskim Wschodzie, że Megan, osoba, z którą przez te wszystkie lata odbyła najwięcej wspólnych lotów, najwyraźniej nawet się nie zmartwiła jej nieobecnością.

Boże, co za katastrofa.

Mimo wszystko dalej kroczyła przed siebie, ponieważ tylko ten kierunek miała do wyboru. Tak jak rekin albo samolot, będący jej drugim domem, mogła tylko przeć do przodu. Skręciła w prawo, wchodząc na owalny podjazd prowadzący do hotelu. Po raz ostatni obrzuciła spojrzeniem palmy, fontanny i długi sznur samochodów z kuloodpornymi szybami, po czym ruszyła w stronę znacznie mniej okazałego hotelu, gdzie wynajmowała pokoje jej linia lotnicza. Westchnęła. Dokonała wyboru – ot, jeszcze jedna z bogatej kolekcji złych decyzji, jakie podjęła w życiu – i teraz nie było już odwrotu.

Rozdział 2

Można by tu nakręcić film science fiction. I to taki całkiem szalony. Wyobraź sobie, że taką paletę dostaje do ręki reżyser pokroju Tarkowskiego. Wyrzyj przez okno z dziewięćdziesiątego dziewiątego piętra Burj Kalifa, zwłaszcza rano, kiedy jest odpowiednio gęsta mgła. Wieżyczki wznoszą się ponad chmurami. Iglice dosłownie sięgają nieba. Wyrastają wprost z mgły. Mówię ci, niektóre nowe budynki w tym mieście zostały chyba zbudowane dla Marsjan.

Elena pokiwała głową. Przed przyjazdem widziała mnóstwo zdjęć Dubaju i oglądała godziny nagrań wideo. W samolocie siedziała przy oknie i choć podczas schodzenia nie zobaczyła tych olbrzymich przystani w kształcie palm, mogła przynajmniej do woli napatrzeć się na drapacze chmur rodem z *Łowcy androidów*. Nawet ten hotelowy bar był pełen futurystycznych czarnych kolumn, szklanych obelisków i żyrandoli przypominających smukłe sople lodu. Elena nigdy nie widziała też równie wysokich stołków barowych. Dubaj to osobny świat, wznoszący się pionowo w górę pośród płaskiego bezmiaru piasku i morza, przyczółek nowoczesności, oddzielony od Iranu jedynie Zatoką Perską. Miasto diametralnie różniło się od Gaziantep w Turcji, gdzie spędziła większość ostatniego miesiąca, śledząc swoją ofiarę. Niektóre części tamtego miasta wciąż kojarzyły się ze scenografią filmu o Bliskim Wschodzie w czasach pierwszej wojny światowej. Kiedy była na bazarze, miała wrażenie, że lada chwila pomiędzy straganów wyłoni się Peter O'Toole w kostiumie Lawrence'a z Arabii.

– Jak poszło spotkanie? – zapytała Viktora, który właśnie wrócił z NovaSkies.

– Zbudowali drona, który poluje na inne drony – odparł, nie do końca odpowiadając na jej pytanie. Z jego tonu Elena nie umiała wywnioskować, czy uważa to za coś mało istotnego, czy też nadal rozważa możliwości, które podobny wynalazek daje Syrii. – Jakies problemy z komputerem Alexa?

Viktor miał na sobie czarny garnitur i białą koszulę bez krawata. W barze działała klimatyzacja, dzięki czemu temperatura wynosiła tu nie więcej niż

dwadzieścia stopni, choć na zewnątrz było pewnie ze czterdzieści. Ale nawet kiedy tu razem szli, on wydawał się całkowicie odporny na upał, podczas gdy ona niemal zasłabła z gorąca. Zresztą czuła się tak od chwili, gdy opuściła terminal lotniska.

– Żadnych – powiedziała, wręczając mu pendrive udający miniaturową tubkę pasty do zębów, standardową część podróznego wyposażenia. – Policja w Dubaju zna się na rzeczy. Dojdą do wniosku, że to sprawka jakiegoś wściekłego inwestora. Wiedzą, że miewamy skłonność do przesadnych reakcji.

– Przecież jesteś wściekłym inwestorem. A w każdym razie powinnaś być. Ciebie też okradał.

– Wiem.

Zamiast drinka sączyła mrożoną herbatę. To przez to morze wódki, które musiała wypić wczoraj wieczorem, żeby dotrzymać tempa dwójce durnych Amerykanów. Ale i tak rzadko kiedy zamawiała alkohol do lunchu. Tymczasem Viktor raczył się koktajlem z żytnej whisky i gorzkiej nalewki arabskiej. Bar mieścił się na parterze hotelu, a przez okna wpadały do środka promienie południowego słońca.

– Tak, policja w Dubaju jest naprawdę dobra – potwierdził mrocznym tonem Viktor. – Wręcz świetna. Podobnie jak tutejsze służby bezpieczeństwa. Przypomina mi się sytuacja sprzed kilku lat, kiedy ten przywódca Hamasu został zamordowany w pokoju hotelowym.

Elena pokiwała głową. Też знаła tę historię; wszyscy znali. Dubajskim służbom udało się wytropić morderców dzięki rozmieszczonym w całym mieście kamerom. Odtworzono całą ich trasę, od lotniska do klubu tenisowego, gdzie nastąpiło przegrupowanie, a stamtąd do hotelu, w którym dokonano zabójstwa przywódcy Hamasu. Rzecz jasna stał za tym Mosad, a ponieważ nikt nie poinformował miejscowych władz o planowanym zamachu, rozłoszczeni dubajczycy opublikowali nagrania z monitoringu i zdemaskowali wszystkich agentów biorących udział w akcji.

– To było więcej niż kilka lat temu – poprawiła go. – Może z dziesięć. Byłam wtedy jeszcze na studiach.

– No tak, racja. A twój ojciec jeszcze żył – powiedział Viktor, posyłając jej odrobinę uszczypliwy uśmiech. Nie było w tym otwartego okrucieństwa, ale dało się wyczuć delikatną nutę złośliwości. Nie lubił, kiedy go poprawiano. Wiedział,

jak bardzo kochała swojego ojca, dlatego przypomnienie o jego śmierci stanowiło swoistą reprimendę. Ale zaraz potem zmienił mu się wyraz twarzy.

– Alex spał?

– Tak. Właściwie można powiedzieć, że stracił przytomność.

– Nie zastrzeliłaś go?

– Wzięłam ze sobą dwudziestkdwójkę z tłumikiem, ale nie, ostatecznie go nie zastrzeliłam. Nie widziałam powodu, żeby robić hałas. Poza tym przypuszczam, że w niektórych kręgach zostanie to uznane za typowy przykład arabskiej sprawiedliwości. A efekt jest znacznie bardziej dramatyczny.

Viktor przyłożył dłoń do ust, potem zerknął na zegarek.

– Nie lubię dramatycznych gestów.

Na jakimś poziomie zdawała sobie z tego sprawę. Dlatego właśnie nie powiedziała mu jeszcze o stewardesie. Wcześniej zamierzała to zrobić, ale teraz zastanawiała się, czy to na pewno dobry pomysł. W końcu ta kobieta była zalana w trupa, więc i tak pewnie nie będzie nic pamiętała ze swojej jednorazowej przygody z Sokolovem. Zresztą komu miałaby cokolwiek powiedzieć? I dlaczego? Kiedy oświadczyła, że zaraz wychodzi i wraca do swojego hotelu, ponieważ następnego ranka czeka ją lot do Paryża, Elena postanowiła zaczekać. Uznała, że też się pożegna, a później wróci, żeby zająć się Sokolovem. On był co najmniej równie pijany jak jego nowa znajoma, więc nawet nie zauważył, kiedy Elena zsunęła klucz do apartamentu ze stolika i wrzuciła go do swojej torebki.

– Wszystko przeprowadziłam tak jak trzeba – odezwała się. – Nie martw się. – Patrzyła na barmana przyrządzającego likier czekoladowy z syropem malinowym i próbowała odgadnąć, który z gości baru zamówił takiego lekkiego drinka. Wytypowała Amerykankę o blond włosach siedzącą w towarzystwie mężczyzny dwa razy starszego. Chwilę potem przekonała się, że miała rację.

– Martwię się, i ty też powinnaś. Kiedy człowiek przestaje się martwić, staje się nieostrożny i wtedy może się to źle skończyć.

Nie cierpiała, gdy ją pouczał, ale zawsze wiedziała, że spory z kimś takim jak on nie mają sensu – zwłaszcza że ta uwaga była dosyć łagodna jak na jego standardy. Potrafił wypowiadać się w znacznie mocniejszych słowach. Zaczynał karierę w specnazie, sowieckich wojskowych siłach specjalnych. W latach osiemdziesiątych służył w Afganistanie i wsławił się tym, że jak mało kto umiał

zmusić mudżahedinów do mówienia. Ojciec opowiadał Elenie, że w miejscach takich jak Kunduz i Fajzabad przełożeni Viktora często musieli przymykać oko na różne rzeczy. Był skuteczny, ale jego metody przywodziły na myśl podziemia Łubianki w latach pięćdziesiątych. Dziś zaliczał się do tych, którzy mieli gdzieś konwencję o zakazie broni chemicznej, a na widok martwych dzieci z Chan Szajchun reagowali wzruszeniem ramion. Przed powrotem do Dubaju przebywał jakiś czas w Damaszku.

Poza tym niewykluczone, że zachowała się nieostrożnie – chociaż w innym sensie, niż sugerował Viktor. Prawdę mówiąc, kiedy okazało się, że Sokolov miał towarzystwo, zwyczajnie nie umiała zmusić się do tego, by zamordować również tę żalosną, pijaną stewardesę, która po prostu znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze. Elena nie robiła takich rzeczy, nie była taką osobą. Zresztą tego rodzaju krok też pociągałby za sobą negatywne konsekwencje.

– Oczywiście, masz rację – powiedziała pokornym głosem.

– A zatem Alex był już wstawiony, kiedy się z nim spotkałaś. Pewnie nie zrobił na tobie zbyt dobrego wrażenia.

– Nie, raczej nie.

– Nie przepadasz za niechlujnymi pijakami, co? – Viktor pozwolił sobie na lekki uśmiech.

– To prawda – odparła. – W ogóle nie lubię niechlujstwa w żadnej postaci.

Rozdział 3

Po drodze do swojego hotelu Cassie kupiła w aptece fiolkę advilu i od razu łyknęła trzy tabletki bez popijania wodą. Nie chciała z tym czekać, aż znajdzie się w pokoju. Zabrane z apartamentu myjkę i kostkę mydła wrzuciła do śmietnika na rogu. Do innego wcisnęła ręcznik i pozostałości butelki po wódce, łącznie z utraconą szyjką. Potem jednak zdała sobie sprawę, że na dnie jej torby nadal zostało mnóstwo mniejszych odłamków szkła. We wnętrzu z pewnością były też jakieś ślady DNA Sokolova. Torba sama w sobie stanowiła materiał dowodowy. Wyciągnęła więc z niej portfel i paszport, klucze do mieszkania i telefon. Wyjęła też szczotkę do włosów, podkład i tusz do rzęs, ale z przerażeniem stwierdziła, że nigdzie nie może znaleźć szminki. Nie mogła teraz jednak o tym myśleć, było już za późno. Nie miała najmniejszego zamiaru wracać do apartamentu, żeby odzyskać zgubę. W końcu zapakowała to wszystko do reklamówki, którą dostała w aptece, a przecznicę dalej wrzuciła swoją torbę do trzeciego śmietnika.

Idąc ulicą, żałowała, że nie jest jedną z kobiet ukrytych pod ciemnymi abajami, które odsłaniają jedynie oczy. Nieznośny pustynny upał doprowadzał ją do szału. Zastanawiała się, czy człowiek może się roztopić jak lód na patyku.

Ledwo zdążyła wejść do swojego pokoju – miała czas jedynie zdjąć szal i okulary oraz położyć na jednym z łóżek walizkę, żeby zacząć się pakować – gdy rozległo się pukanie do drzwi, a serce na chwilę przestało jej bić. Już tu są. Ochrona hotelowa. Miejscowa policja. Ktoś z amerykańskiej ambasady. Jednak kiedy wyjrzała przez wizjer, okazało się, że to tylko Megan, jej koleżanka z załogi, ubrana już w uniform stewardesy. Cassie poczuła wielką ulgę, ale do głowy przyszła jej nieprzyjemna myśl: czy od teraz już zawsze będzie tak reagowała za każdym razem, gdy zadzwoni telefon albo ktoś zapuka do drzwi? Znów zaczęła się zastanawiać, czy nie powinna jednak wrócić do pokoju 511 w Royal Phoenician i jakoś to wszystko odkręcić.

Ale nie zrobiła tego. Kiedy otworzyła, Megan przez dłuższą chwilę przypatrywała się jej badawczo, po czym wkroczyła rażno do środka. Oparła się o komodę i znów zmierzyła koleżankę wzrokiem. W końcu na jej usta zakradł się lekki uśmiech.

– Wiesz, Cassie, w sumie spodziewałam się, że zastanę cię w gorszym stanie – powiedziała. – Mogę spytać, gdzie byłaś? Nie wiem, czy mam odwagę. Ale zaczynałam się już trochę niepokoić.

Cassie wzruszyła ramionami. Wcisnęła swój szal do bocznej kieszeni walizki i ściągnęła buty. Boże, jak to o niej świadczy, że nadal chodziła wszędzie w szpilkach, nawet gdy planowała zalać się w trupa (albo przynajmniej zakładała taką możliwość)? Ile to już razy zabójcze połączenie sangrii i wysokich obcasów sprawiało, że zwykła klatka schodowa zmieniała się we wspinaczkę na Everest?

– Serio? – odparła, starając się bagatelizować sytuację. Zrzuciła spódnicę na podłogę i zaczęła rozpinąć bluzkę. – Dlaczego się niepokoiłaś?

– Byłaś z tym młodym facetem z naszego samolotu? – Megan odpowiedziała pytaniem na pytanie. Cassie zwróciła szczególną uwagę na słowo „młody”. Rzeczywiście był młody. To znaczy, kiedy jeszcze żył. Megan miała pięćdziesiąt jeden lat, dwanaście więcej od niej, i co najmniej piętnaście, może nawet dwadzieścia więcej od Alexa Sokolova. – Wiesz, o kim mówię. O tym z 2C.

Cassie nie chciała ryzykować kontaktu wzrokowego, który mógłby ją zdradzić. Zajęła się więc zwijaniem bluzki w ciasny rulon, który następnie ścisnęła, żeby wypuścić ze środka powietrze, i schowała do walizki, w miejscu gdzie zazwyczaj trzymała brudne ubrania.

– 2C? Nie, skąd. Czy on czasem nie mówił, że pracuje w jakimś funduszu hedgingowym? Brzmi dość nudno. To nie mój typ.

– Bogaci nie są w twoim typie?

– Nie mam nic przeciwko bogatym. Ale taki facet to zazwyczaj straszny samiec alfa.

– Całkiem zapamiętałe ze sobą rozmawialiście, szczególnie zanim zaczęliśmy podchodzić do lądowania.

Cassie usiadła na łóżku, w którym zdrzemnęła się wczoraj po południu. Zaczęła wkładać regulaminowe czarne rajstopy.

– Bez przesady – rzuciła od niechcenia.

– Więc nie spotkałaś się z nim?

– Powtarzam, że nie.

– Masz kaca?

– Kiwnęłabym głową, ale to by za bardzo bolało. Tak.

– Dasz sobie radę?

– Pewnie. – Wstała, poprawiła rajstopy i ostrożnie się pochyliła, żeby wydobyć z walizki uniform na lot powrotny. Kiedy znów się wyprostowała, zrobiła to powoli, próbując uniknąć nagłego uczucia mdłości, jakie często towarzyszy w takich chwilach nadmiernym ruchom głowy (lub przynajmniej je zminimalizować).

– Chcesz aspirynę?

– Nie trzeba. Miałam przy sobie.

– No jasne. Mogę o coś zapytać?

– Z kim byłam, skoro nie z tym facetem z samolotu?

– Nie. Nie o to.

Cassie czekała w milczeniu.

– Dlaczego? – zaczęła Megan. – Dlaczego zawsze to sobie robisz? Któregoś dnia tragicznie się to dla ciebie skończy. Tak, wiem, że w Dubaju jest bezpiecznie. Ale to jednak Bliski Wschód, a ty jednak jesteś kobietą. To nie Paryż ani Nowy Jork. – Usiadła na łóżku, obserwując Cassie, która wkładała firmową czarną spódnicę z wyszczuplającymi niebiesko-czerwonymi paskami. Przestroga Megan odbijała się echem w jej głowie i Cassie mimowolnie zadrżała. Czy przed dzisiejszym rankiem widziała na własne oczy trupa? Tylko na pogrzebie. Nie ojca, ponieważ jego trumna z uwagi na makabryczny wypadek samochodowy była zamknięta, ale na pogrzebie matki owszem, a także dziadków, którzy nie chcieli zostać skremowani po śmierci. Przed oczami stanęło jej rozcięte gardło Alexa Sokolova. Morderca musiał zamknąć mu oczy, bo z pewnością zapamiętałaby, gdyby miał je otwarte, co jednak w żaden sposób nie łagodziło brutalności całego zdarzenia.

– Wszystko jest dobrze – skłamała. – Naprawdę. – Miała nadzieję, że upierając się przy tym, zdoła zakłąć rzeczywistość. Przekonać samą siebie.

– Nie jest dobrze – odparła Megan, patrząc na nią sceptycznie. – Gdyby wszystko z tobą było w porządku, nie zrobiłabyś...

– Czego? – warknęła Cassie, a ostry ton jej głosu zaskoczył nawet ją samą. – Co niby takiego złego zrobiłam?

Megan oparła dłonie na kolanach, wyraźnie rozważała, co powiedzieć. Cassie próbowała odgadnąć, czy jej przyjaciółka – właściwie koleżanka z pracy, nie były ze sobą na tyle blisko, żeby mówić tu o przyjaźni – w pierwszej kolejności wytknie jej pijaństwo czy przygodny seks. Kiedy jednak starsza kobieta dalej się nie odzywała, Cassie sama przerwała ciszę.

– Nie oceniaj mnie. Mówię poważnie. Ty masz świetnego męża i dwie urocze córki...

– Mają szesnaście i trzynaście lat. Już dawno przestały być urocze – odparła Megan pojednawczym tonem.

– Ale to jest moje życie, a nie twoje. To moje wybory, a nie twoje.

– Wiem o tym. Rozumiem. Tylko powiedz mi szczerze: jesteś całkiem trzeźwa?

– Tak. Oczywiście.

– W porządku, chcę ci wierzyć. No więc kto to był? Z kim spędziłaś noc?

– Z jednym facetem, którego spotkałam w barze.

– Nie widziałam cię na dole.

Chociaż Megan miała pokój tuż obok, Cassie była pewna, że gdy wychodziła z hotelu poprzedniego wieczoru, jej koleżanka wciąż jeszcze drzemała. Wystarczyło więc drobne kłamstwo.

– Poznaliśmy się i zaraz wyszliśmy. Poszliśmy do jego hotelu. A co ty robiłaś? – spytała, sięgając do walizki po apaszkę i pasek z logo linii lotniczych.

– Zjadłam kolację z Shane'em, Victorią i Jadą. Wybraliśmy się do japońskiej restauracji, którą znał Shane. Było miło. Potem wróciliśmy, żeby położyć się spać. Odpocząć.

Cassie miała poczucie, że Megan nie próbuje wcale prawić jej kazań, ale te ostatnie słowa trochę ją zirytowały.

– Fajnie – powiedziała krótko. Zaczęła wiązać sobie chustę wokół szyi i nagle zamarła. Mimowolnie znów przypomniała sobie obraz rozharatanego gardła Alexa Sokolova. Zadrżała lekko na myśl o tym, jak bardzo delikatną częścią ciała jest szyja.

Megan dostrzegła jej drzenie, ale błędnie je zinterpretowała. Wstała i wzięła Cassie za obie ręce.

– Mam prośbę – zaczęła.

Cassie nic nie powiedziała, ale w środku cała się naprężyła, gotowa się odgryźć, gdyby tylko Megan pozwoliła sobie na jakąkolwiek krytyczną uwagę.

– Zaczynij od początku – powiedziała starsza stewardesa życzliwym, matczynym tonem. – Ubierz się jeszcze raz. Tym razem włóż czystą bieliznę. Powiem, żeby na ciebie poczekał. – Następnie puściła palce Cassie i zostawiła ją samą w jej pokoju.

Stewart, ich pierwszy oficer, głośno trajkotał na przednim siedzeniu mikrobusa, którym jechali przez zatłoczone ulice Dubaju na lotnisko. Cassie żałowała, że klimatyzacja nie jest mocniej podkreślona, co pomogłoby jej zwalczyć mdłości, ale nie chciała już więcej niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi. Ich samolot odlatywał dopiero za kilka godzin, ale na wszelki wypadek miała przy sobie tabletki na chorobę lokomocyjną, żeby móc je łyknąć jeszcze przed wejściem na pokład.

– Pamiętajcie, mowa o Hamburgu, a wszyscy wiemy, że w Niemczech kontrola naziemna ma bardzo niemieckie podejście – ciągnął swoją opowieść pierwszy oficer. Odwrócił się do całego grona pasażerów. W busie mieściło się czternaście osób, łącznie z kierowcą, i wszystkie fotele zajmowali członkowie załogi. Cassie siedziała na samym końcu razem z Megan i Shane'em, starając się zająć jak najwygodniejszą pozycję z głową opartą o okno w rogu.

Kapitan, chociaż wraz z rodziną mieszkał od zawsze na Środkowym Zachodzie, miał niemieckie pochodzenie, dlatego Cassie zastanawiała się, czy pierwszy oficer po prostu stroi sobie z niego żarty, czy też niemiecki aspekt okaże się istotny dla opowieści. Pierwszy raz leciała ze Stewartem, więc nie miała pojęcia, czego się po nim spodziewać. Na razie wiedziała tylko, że gęba mu się nie zamyka.

– A co to dokładnie znaczy? – odezwał się dobrodusznym tonem kapitan, mężczyzna po pięćdziesiątce, łysiejący, ale wciąż szczupły i przystojny w klasycznym rozumieniu tego słowa. Cassie latała z nim może z sześć razy w ciągu ostatnich pięciu lat, odkąd zaczęła pracować na połączeniach międzynarodowych, i zawsze lubiła patrzeć, jak pasażerowie kiwają głową

z aprobatą, gdy wchodząc na pokład, zaglądają ukradkiem do kabiny pilota i widzą za sterami kogoś o takiej prezencji.

– Są do bólu poważni – odparł Stewart. – Nie ma z nimi żartów. No więc samolot jest już na ziemi. Należy do British Airways, więc znak wywoławczy to Speedbird. Kontrola naziemna daje polecenie, żeby Speedbird kierował się do stanowiska Alfa 2-7. A co robi samolot? Zatrzymuje się. Staje w miejscu. Więc ci z kontroli mówią: „Speedbird, macie problemy ze znalezieniem bramy?”. A Speedbird odpowiada: „Właśnie sprawdzam, gdzie to jest”.

– O Boże, już wiem, dokąd to zmierza – wtrącił kapitan, śmiejąc się pod nosem.

– O tak. No więc ci z kontroli są już nieźle wkurzeni, coraz bardziej tracą cierpliwość. Pytają: „Speedbird, naprawdę nigdy dotąd nie byliście w Hamburgu?”. A kapitan Speedbirda odpowiada tym suchym brytyjskim akcentem: „Byłem, dwa razy. Ale to był rok 1943, więc nie musiałem lądować”.

Megan i Shane roześmiali się kurtuazyjnie, Megan nawet pokiwała lekko głową ze zrozumieniem. Ale kapitan, który w młodości służył w amerykańskich siłach powietrznych, pokręcił tylko głową.

– Ciekawe, w którym starym sitcomie usłyszałeś ten dowcip z brodą.

– Myślisz, że to zmyślona anegdota?

– Tak. Do tego stara jak świat. Zazwyczaj historyjka dzieje się we Frankfurcie, a nie w Hamburgu.

– Niekoniecznie – odezwała się Megan. Potem zaczęła coś mówić o znajomej Niemce, która latała z Lufthansą, ale Cassie czuła już wyłącznie zniecierpliwienie godne niemieckiego kontrolera lotów, nieważne, czy prawdziwego, czy zmyślonego. Bus poruszał się w ślimaczym tempie, jednak nikt najwyraźniej się tym nie przejmował; w końcu samolot nie mógł odlecieć bez nich, a ostatecznie pewnie i tak uda się dotrzeć na lotnisko grubo przed czasem. Ale im dłużej będzie to trwało, tym większe ryzyko, że nadal będą w Dubaju w chwili, gdy ktoś odnajdzie ciało Sokolova. Wyobrażała sobie, że różni ludzie – w tym Miranda – pewnie już od półtorej godziny piszą do niego ponaglące SMS-y, zachodząc w głowę, dlaczego nie przybył na umówione spotkanie. W każdej chwili ochrona hotelowa może ruszyć na górę, żeby otworzyć drzwi apartamentu.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła radiowóz – jeden z tych nowych lamborghini używanych przez tutejszą policję – stojący w korku tuż obok nich. Policjanci mieli

na sobie oliwkowe koszule z krótkim rękawem i ciemnozielone berety. Kierowca, młody mężczyzna z gęstym wąsem, podniósł wzrok i spojrzał prosto na nią. Uprzejmie przyłożył rękę do beretu i uśmiechnął się, w bardziej rycerski niż flirciarski sposób. Pomachała mu w odpowiedzi, ciesząc się, że założyła okulary słoneczne i szal. Może jeszcze mogłaby wrócić do tego hotelu, choćby teraz. Może nie było za późno. W wyobraźni słyszała już własny głos, słyszała, jak woła do kierowcy, prosi go, żeby się zatrzymał, żeby natychmiast ją wypuścić.

Ale wszystko to oczywiście opierało się na założeniu, że naprawdę go nie zabiła. Wierzyła, że nie – przecież nie była do tego zdolna – ale w takim razie kto to zrobił? To zwątpienie we własną osobę zagnieździło się w niej i pęczniało jak balon już od niemal dwóch godzin.

Dlatego nie powiedziała nic. Bus i radiowóz dalej wolno toczyły się przed siebie, Stewart dalej paplał trzy po trzy, a wśród pozostałych członków załogi zaczęły się wywiązywać osobne rozmowy.

– Czy w bombowcach w ogóle są jeszcze potrzebni piloci? – zagaił Shane. – Ciągłe latają nimi ludzie, ale przecież większości ataków dokonuje się dziś za pomocą dronów, prawda?

– Zapytaj Cassie – powiedziała Megan. – Jej szwagier służy w wojsku.

– Naprawdę? W lotnictwie? Obsługuje drony? Wiecie, co jest super? Jak na ślubie lata dron. Moim zdaniem to świetny bajer.

– Z tego, co wiem, on nie ma nic wspólnego z żadnymi dronami – odparła Cassie. – Jest w siłach lądowych, a nie powietrznych.

– Serio? Gdzie stacjonuje? W Ameryce czy gdzieś za granicą?

– Ostatnio jest dokładnie tam, gdzie dorastałyśmy razem z siostrą: w Kentucky. Tam się zresztą poznali. Jest majorem w bazie wojskowej Blue Grass.

– Brzmi niemal sielankowo – zauważyła Jada.

– Ha! Tak się nazywa stary zakład produkcji broni chemicznej – wyjaśniła Cassie.

– Twój szwagier produkuje broń chemiczną? Brzmi groźnie – mruknął Shane.

– Zdaje się, że nadzoruje likwidację naszego starego zapasu groźnych substancji – odpowiedziała Cassie, ale szczerze mówiąc, nie miała pojęcia. Nigdy o tym nie rozmawiali. Równie dobrze mógł kierować pracą zespołu wytwarzającego sarin.

Nagle, gdy ruch na ulicy zaczął wreszcie trochę przyspieszać, usłyszała syreny. Wszyscy je usłyszeli.

– To nie może znaczyć nic dobrego – stwierdził Stewart.

– Straż pożarna? – zapytał inny członek załogi, mężczyzna w jej wieku, z którym leciała po raz pierwszy. Nie mieli okazji lepiej się poznać podczas rejsu do Dubaju, ponieważ ona obsługiwała pierwszą klasę, a on turystyczną.

– Nie – odezwał się ich kierowca – to policyjne syreny. – Jak na zawołanie radiowóz jadący obok nich włączył koguta i zaczął zawracać, próbując się wyplątać z gąszczu pojazdów. – Są na południe od nas. Na Jumeirah.

Cassie nagle zrobiło się gorąco, ponieważ na ulicy Jumeirah mieścił się hotel Royal Phoenician. Próbowwała się pocieszać, że ich kierowca pewnie tak tylko spekuluje – w końcu Jumeirah to główna arteria komunikacyjna miasta. Tak naprawdę wiedzieli tylko, że syreny kierują się w jakieś miejsce położone gdzieś za nimi.

– Chyba jednak nie powinniśmy byli zostawiać w holu kartonu z tykającym zegarem i małą chorągiewką ISIS – skomentował Stewart.

– Na twoim miejscu darowałabym sobie takie żarty, Stewart – powiedziała Jada z wyrzutem i pewnym obrzydzeniem. Ta kobieta miała wielkie serce, ale teraz wypełniała je jedynie irytacja. – Przynajmniej w takiej chwili i w takim miejscu. O ile chcesz pozostać naszym przyjacielem.

– Za wcześnie? – zapytał Stewart.

– To po prostu niesmaczne. Obrażliwe. I głupie.

Megan odwróciła się do Cassie.

– Zgubiłaś torebkę? – zapytała szeptem.

Cassie roztarła oczy. Nie mogła powiedzieć, że ją zgubiła, bo wciąż miała swój paszport, portfel i telefon.

– To długa historia.

– Opowiedz.

– Wylałam na nią czerwone wino. Więc się jej pozbyłam.

– Wyrzuciłaś ją?

– Tak.

– Gdzie?

– Co za różnica? Zapomnij o tym.

– Wszystko w porządku?

Cassie kiwnęła głową.

– Oczywiście. Czemu pytasz?

– Wydajesz się jakaś oschła.

– Przepraszam.

– I jesteś cała mokra.

– Nic mi nie jest.

Mimo to Cassie była wdzięczna Megan, gdy ta poprosiła kierowcę, żeby wpuścić do środka trochę więcej powietrza.

Na drodze Szejka Zajida ruch był niewiele lżejszy, nawet kiedy głośniki na minaretach zaczęły transmitować nawoływanie muezina do południowej modlitwy. Kiedy wreszcie dotarli na lotnisko, musieli biegiem udać się do prosto do samolotu, który stał w gotowości i jakimś cudem ciągle jeszcze istniała szansa na start o planowanej godzinie. Megan miała podczas tego lotu kierować obsługą pasażerów, a Shane zarządzać pieniędzmi. Zgodnie ze swoim lipcowym zgłoszeniem Cassie została po raz kolejny przydzielona do pierwszej klasy. Funkcję podniebego szeryfa pełnił przysadzisty Amerykanin w niepozornej wiatrówce, który siedział przy przejściu w ostatnim rzędzie kabiny pierwszej klasy. Cassie miała wrażenie, że mężczyzna czujnie ją obserwuje, zajmując swoje miejsce, ale zrobiła głęboki wdech i uznała, że popada w paranoję.

Procedury bezpieczeństwa przedstawiono w formie filmu instruktażowego, ale obsługa nadal musiała stać na posterunku i zachęcać, by pasażerowie raczyli w ogóle spojrzeć na ekran. W pierwszej klasie nikt nigdy nie zawracał sobie tym głowy. Niektórzy nawet na chwilę nie zdejmowali słuchawek albo nie podnosili wzroku znad swoich gazet czy tabletów. Fakt, ci ludzie regularnie latali samolotami i znali to wszystko na pamięć, ale jednocześnie był w tym też element typowo męskiej brawury – jeśli zwracasz uwagę na instruktaż, to znaczy, że albo boisz się latać, albo jesteś w tym towarzystwie outsiderem. Żółtodziobem, który pierwszy raz znalazł się w takim miejscu.

Jeszcze zanim utrzymany w przesadnie rozrywkowym tonie film dobiegł końca, Cassie ruszyła w stronę kuchni. Nagle zahaczyła obcasem o cienką listwę przy podłodze i zachwiała się, ale saudyjski biznesmen w nieskazitelnie białej diszdaszy chwycił ją i uratował przed upadkiem.

– Dziękuję – bąknęła, płonąc ze wstydu. Jeszcze nigdy nie potknęła się na pokładzie samolotu, który stał na płycie lotniska. Stracić równowagę w powietrzu, gdzie zdarzają się turbulencje, to jedno. Ale na ziemi? Tego dotąd nie przerabiała. – Nie wiem, co się stało.

– Cieszę się, że mogłem pomóc – odparł z szerokim, dobrodusznym uśmiechem. Poprawił sobie gutrę okrywającą kark i włosy, przepasaną grubym czarnym agalem, po czym wrócił do lektury magazynu biznesowego, który czytał na tablecie.

Kiedy Cassie stała już o własnych siłach, plecami do kuchni i kabiny pilota, jedyną osobą, która na nią patrzyła, był podniebny szeryf. Zastanawiała się, czy umie wyczuwać u innych strach, niczym lew.

Planowana godzina startu minęła, a oni nadal czekali. Mijały kolejne minuty, choć nie wyglądało na to, że jest kolejka do startu. W końcu kapitan powiadomił załogę, a potem pasażerów, że przyczyną opóźnienia są burze z piorunami nad rejonem Morza Śródziemnego i południową Europą. Być może będą musieli tu spędzić jeszcze pół godziny. Cassie chciała wierzyć, że jedyne, co ich blokuje, to pogoda, ale z każdą chwilą rósł jej niepokój. Mimo to musiała pracować. Razem z Megan roznosiła pasażerom pierwszej klasy drinki, dużo drinków, a do tego orzeszki podgrzane w piecyku. Ci w klasie ekonomicznej mogli tylko cierpieć w milczeniu i zamartwiać się, że spóźnią się na przesiadkę na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Cassie co chwilę zerknęła przez okno, spodziewając się widoku radiowozów wylaniających się z tuneli, które wiły się pod płytą lotniska. Przystawała pod głównym wejściem do kabiny w obawie, że zobaczy po drugiej stronie kogoś, kto żąda natychmiastowego otwarcia drzwi – już wyobrażała sobie, jak kapitan wychodzi ze swojej kabiny i skinieniem głowy daje jej znak, żeby wykonała polecenie – ponieważ ochrona lotniska zamierza wyciągnąć kogoś z samolotu. Od czasu do czasu rzucała okiem na telefon, żeby sprawdzić, czy są jakieś wiadomości

o amerykańskim managerze funduszu hedgingowego, którego znaleziono martwego w hotelu w Dubaju, ale nie znalazła żadnej wzmianki ani na Twitterze, ani na żadnym z serwisów informacyjnych – a w każdym razie nie było na ten temat nic na stronach anglojęzycznych.

Wreszcie rękaw łączący samolot z terminalem został wycofany, a Stewart polecił im przygotować kabinę do startu i zapiąć pasy. Rozpoczęli kołowanie, by po chwili mknąć już po pasie startowym. Cassie poczuła charakterystyczne telepanie i kilka sekund później maszyna oderwała się od ziemi. Wzbijali się w powietrze, opuszczali Dubaj. Po raz kolejny zostawiali za sobą kryty stok narciarski, widoczne z kosmosu olbrzymie sztuczne wyspy w kształcie palm, strzeliste, futurystyczne drapacze chmur i uliczne automaty, w których można kupić złoto. Lecieli nad ciągnącymi się w nieskończoność rzędami szybów naftowych – z lotu ptaka wyglądały jak pracowite czarne mrówki przykute łańcuchami do ziemi – a potem mieli pod sobą tylko pustynię, płaską i bezmierną, od zachodniej zaś strony pofałdowaną i pokrytą niewielkimi wzgórkami.

I wtedy nadeszły łzy, równie niespodziewane, co niepowstrzymane. Cassie dała im płynąć, nie zważając na makijaż. Płakała bezgłośnie, świadoma, że na swoim składanym siedzeniu jest poza zasięgiem wzroku pasażerów. Jeśli Megan spojrzy w jej stronę, może trochę się zdziwi, że tak bardzo się rozkleiła, ale latały razem dostatecznie długo, by koleżanka wiedziała, że prędzej czy później weźmie się w garść. Płakała chyba po części dlatego, że ogarnęła ją ogromna ulga – opuszczała Półwysep Arabski, gdzie i tak trudno być kobietą, a co dopiero kobietą, którą podejrzewa się o to, że niemal ucięła głowę jakiemuś nieszczęsnemu biznesmenowi w niewytłumaczalnym ataku szału po zakrapianej arakiem nocy rozpusty. Ale przede wszystkim, z czego zdała sobie nagle sprawę, płakała z wielkiego poczucia smutku i żalu. Teraz, gdy instynkt samozachowawczy, który doprowadził ją aż do tego miejsca, przygasał, znów wróciła myślami do człowieka, którego zostawiła w tamtym apartamencie, i po raz pierwszy – gdy szok rozpierschł się już jak poranna mgielka nad górami Cumberland o wschodzie słońca – poczuła rozpacz towarzyszącą utracie kogoś bliskiego.

W głowie zaczęła układać katalog tych nielicznych rzeczy, które wiedziała o prywatnym życiu Alexa Sokolova. Był jedynakiem. Jego rodzice mieszkający w Charlottesville powoli przymierzali się do emerytury, chociaż wciąż dzieliło ich od niej ładnych parę lat. (Boże, to tylko ponownie uzmysłowiło jej, jaki Alex był

młody; jego rodzice nie byli nawet jeszcze na emeryturze). Mówił, że pracował w swoim funduszu od prawie czterech lat – w „funduszu”, tak to określał, ilekroć temat wypłynął w rozmowie – a wcześniej był pracownikiem banku Goldman Sachs. W ogóle zarządzaniem pieniędzmi w tej czy innej formie zajmował się, odkąd ukończył jakieś studia matematyczne – kwantytatywne coś tam plus finansowe coś tam – w Durham. (Podobnie jak z nazwą pracodawcy: kiedy dopytywała o szczegóły, rzucił tylko nazwę Duke). Przedkładał Tolstoja i Turgieniewa nad Dostojewskiego, ale namawiał ją, żeby odświeżyła sobie wszystkich trzech „z perspektywy osoby dorosłej, a nie studenta zarywającego nockę przed egzaminem”.

Nie tylko załatwił im stolik dla dwojga we francuskim bistro parę przecznic od jego hotelu – zapłacił kierownikowi sali ekstra za to, żeby dał im stolik w rogu i nikogo obok nie sadzał. W pierwszej chwili gest wydał się jej pretensjonalnym popisem w stylu macho, ale gdy zbliżali się do stolika, szepnął jej do ucha, że w jego odczuciu romans to absolutnie intymna sprawa, a on miał zamiar tego wieczoru z nią romansować. Później bez mrugnięcia okiem zapłacił rachunek, choć kolacja kosztowała o wiele więcej, niż ona zazwyczaj wydawała w ciągu tych trzech nocy w Paryżu i Dubaju; więcej, niż w domu wydawała przez cały miesiąc na jedzenie. Zamówił blanquette de veau, a ona coq au vin, żartując przy tym, że po tym całym araku, który wypili, nie mogła wybrać nic innego, jak tylko kurczaka w winie (choć on oczywiście zauważył, że alkohol i tak odparuje w trakcie gotowania). Zjedli swoje dania bez pośpiechu, delektując się zacisznym odosobnieniem. Kiedy opróżnili butelkę wina, zamówili jeszcze więcej araku. Ale nieważne, jak bardzo zagłębiali się w tę alkoholową dziurę bez dna, ani na chwilę nie zapomnieli, że znajdują się w Dubaju. Oboje bywali tu już wcześniej i wiedzieli, jak surowe są tutejsze kary za publiczne pijaństwo. Dlatego zachowywali się nad wyraz powściągliwie. Flirtowali w swojej małej wnęce, ale się wzajemnie nie dotykali. On ściszym głosem opowiadał jej, co ma ochotę z nią robić w swoim apartamencie, kiedy już tam do niej dołączy. Potem położył na obrusie klucz i przesunął go w jej stronę, a ona lekko zadrżała, gdy zetknęli się koniuszkami palców.

Kiedy policja, podążając tropem jego karty kredytowej, trafi do tego lokalu, ludzie przypomną sobie, że był tam prawdopodobnie z jakąś Amerykanką, ponieważ rozmawiali ze sobą po angielsku jak Amerykanie. Ktoś może zwróci

uwagę, że ona wyglądała na starszą od niego. Ale czy bardzo się wyróżniali? Może odrobinę, skoro zamówili arak, potem wino, a potem znowu arak. Ale Cassie była pewna, że przynajmniej połowę albo i dwie trzecie gości restauracji stanowili ludzie z Zachodu. A ona z Alexem nie zrobili przecież żadnej sceny.

Przypomniała sobie, że lubił piłkę nożną i grał w nią w college'u. Jeszcze bardziej lubił squasha, w którego grał do dziś.

Świadomość, że on także nie wylewał za kołnierz – przynajmniej tamtej nocy – boleśnie ścisnęła ją za serce. Każdy, kto pije równie ostro jak ona, musi mieć jakiś powód, ale nie próbowała się dowiedzieć, co to było w jego wypadku. Czy miał dobry powód? Teraz już nigdy się nie dowie. On zresztą też nie starał się zgłębić źródeł jej osobistej udręki.

Palił. Już od dość dawna nie całowała się z palącym mężczyzną, ale z Alexem nie miała wrażeń, że całuje popielniczkę. Było w tym raczej coś rozkosznie dekadentckiego. Wspomniał, że miał w zwyczaju palić tylko podczas zagranicznych podróży.

W apartamencie od razu rzucili się na łóżko, na karmazynowe posłanie, ale potem zabrał ją pod prysznic. Zaskoczył ją tym i choć nie była pewna, czy powinna czuć się bardziej zdumiona jego zadziwiającą siłą woli czy też urażona, z przyczyn, których w tamtej chwili wolą nie analizować, zgodziła się na propozycję i nie żałowała tej decyzji. Kochali się pod prysznicem, ona klęczała na marmurowej ławeczce, on wędrował palcami po całym jej ciele. A po wszystkim umył jej włosy.

I właśnie to wspomnienie sprawiło, że siedząc na swoim składanym fotelu, wydała z siebie stłumiony, ale słyszalny szloch.

– Boże, ty płaczesz – szepnęła Megan tonem, w którym troska mieszała się z irytacją. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Nie.

– Co się stało?

Cassie pociągnęła nosem i otarła twarz dłonią.

– Nic – skłamała. – Naprawdę nic. Wszystko w porządku. Zaraz mi przejdzie.

Potem zjawiała się Miranda, a kiedy wyszła, Cassie również zamierzała się pożegnać. Ale Alex zaprowadził ją z powrotem do tej oszałamiającej sypialni, gdzie ponownie się kochali. Osuszyli małą butelkę araku, którą znaleźli w barku. (Tak się jej przynajmniej wtedy wydawało; kiedy rankiem wycierała niebieskie szkło

myjką, słyszała delikatne chlupotanie świadczące o tym, że na dnie zostało jeszcze trochę alkoholu). Następnie wrócili do wódki. Z jakiegoś powodu Alex nie mógł sobie poradzić z zakrętką i niechcący rozbił butelkę o krawędź stolika nocnego. (A może rozbił ją specjalnie, ze złości?) Zamiast posprzątać bałagan, zaczęli się śmiać. Wydawało się jej, że w którymś momencie ubrała się i chciała wyjść, ale na tym etapie jej wspomnień nie skrywała już mgła, tylko biała plama. Na pewno kiedy się obudziła, była naga. Co ją powstrzymało przed wbiciem się w spódnicę i bluzkę i powrotem do swojego hotelu?

Boże, zawsze to samo – znowu obudziła się goła i skacowana w łóżku obok jakiegoś faceta, nie do końca pewna, jak się tam znalazła. Tylko że tym razem facet był martwy.

Jeszcze raz zaczęła układać sobie to wszystko w głowie, próbując zrozumieć, co tak naprawdę się stało. Co ewentualnie zrobiła. Czy Alex ją zaatakował, a ona się broniła? Możliwe, ale mało prawdopodobne. Z tego, co pamiętała, wcześniej uprawiali seks dwa razy, ale tak czy inaczej, „nie” znaczy „nie”. Utrata przytomności to nie przyzwolenie. A jeśli scenariusz był taki: on próbuje ją ponownie nakłonić do seksu, ona się opiera. Oboje są pijani. On się na nią kładzie, nie chce przestać, więc ona tłucze go po głowie, po twarzy, po plecach. Próbuje go podrapać, a on robi się coraz bardziej zły, coraz bardziej brutalny. Ona dostrzega w pobliżu resztki rozbitej butelki po wódce. Może nawet leżą na stoliku nocnym. Sięga i chwytą na przykład tę utraconą szyjkę z ostrą krawędzią, ścisną ją jak rękojeść noża i wali na oślep. Szkło wbija mu się w gardło. Łatwo sobie wyobrazić ten desperacki ruch, głęboką ranę, krew.

A potem zasypia.

Cassie żałowała teraz, że rano nie przyjrzała się uważniej ciału Alexa. Spojrzała tylko na jego szyję i to jej wystarczyło. Na pewno miał zamknięte oczy, ale nie sprawdzała jego głowy, pleców czy ramion. Nie wiedziała nawet, czy ma gdzieś jakiegokolwiek inne rany.

Jednak gdy patrzyła wstecz na całą swoją przeszłość, coraz mniej sensowna wydawała się jej myśl, że mogłaby go zaatakować, gdyby próbował znów się z nią kochać. Seks po pijaku – Boże, jak to brzmi – to w końcu stały element jej życia. Zdarza się. Zbyt wiele razy budziła się obok jakichś dziwnych kolesi, nie pamiętając nic z poprzedniej nocy, żeby tego nie wiedzieć. Dlatego bardziej

prawdopodobne wydawało się – i na samą myśl poczuła bolesny ucisk w żołądku – że dałaby się zgwałcić.

Dałaby się zgwałcić. Ta straszna świadomość uderzyła ją z taką mocą, że Cassie mimowolnie wydała z siebie stłumiony jęk.

Mimo to nawet jeśli nie zabiła Alexa Sokolova, to bez namysłu uciekła z miejsca zdarzenia. Takie są fakty. Ten biedak miał rodziców, przyjaciół i wykrwawił się na śmierć w łóżku tuż obok niej. A ona go tam zostawiła.

– Wcale nie jest w porządku – mruknęła Megan. – To nie wygląda jak twoje typowe... no nie wiem, wyskoki. Coś się stało.

– Nic się nie stało.

– Człowiek nie płacze bez przyczyny.

W tym momencie rozległ się znajomy sygnał oznaczający, że samolot osiągnął pułap trzech tysięcy metrów, i Cassie nie mogła dłużej siedzieć i rozpaczać. Czas zabrać się do pracy. Najpierw jednak musiała umyć twarz i poprawić makijaż. Rozpięła pas i wstała, postanawiając, że podczas tego rejsu będzie równie pracowita i czarująca jak zawsze.

Gdy jednak chwilę później wpatrywała się w swoje oblicze w małym lustrze w małej łazience, gdy oglądała zmarszczki wokół oczu, które skrzętnie i umiejętnie maskowała, i stwierdziła, że błękit jej tęczy wyjątkowo wydaje się dziś nieco mniej nasycony niż w czasach młodości – nawet w otoczeniu pajęczyny czerwonych linii będących klasycznym objawem kaca – po raz kolejny poczuła, jak wzbiera w niej płacz. Przypomniała sobie coś, co powiedział jej ojciec, kiedy była małym dzieckiem: trzeba pochować zmarłych i żyć dalej. To było kilka lat przed tym, jak pijany w sztok, wbił się swoim dodge'em coltem w słup telefoniczny z młodszą córką na tylnym siedzeniu; i na długo przed tym, jak przypadkowo (tak w każdym razie zakładano) zabił siebie oraz parę nastolatków, którzy wracali do domu z Lexington i znajdowali się na właściwym pasie akurat wtedy, gdy on – znów kompletnie pijany – jechał pod prąd. Cassie miała osiem lat, kiedy usłyszała od niego tę radę. Przedtem przeżyła spory zawód, ponieważ na zajęciach z baletu nie udało się jej dostać do lepszej grupy razem z dwiema koleżankami. Według instruktorki nie była jeszcze gotowa.

Ojciec próbował ją wtedy pocieszać. Cóż, powiedział, czasem trzeba po prostu pochować zmarłych i żyć dalej.

On sam niestety nie posłuchał własnej rady. Po śmierci żony – matki Cassie – zaczął pić jeszcze więcej. Cassie zaś nigdy nie zapomniała tej nauki, którą usłyszała od niego, gdy była w trzeciej klasie. Myślała o tym, kiedy w wieku piętnastu lat straciła matkę, i kiedy w wieku dziewiętnastu lat straciła ojca, i często kiedy żegnała się z mężczyznami, których uwiodła albo którzy uwiedli ją, zwłaszcza jeśli wcześniej pijana nie doprosiła się założenia prezerwatywy, choć zawsze miała przy sobie zapas. Prawda jest taka, że nie ma czegoś takiego jak całkiem swobodny, przygodny seks. Kiedy się udaje, może okazać się niezwykle intensywny. Kiedy się nie udaje, jest wyjątkowo rozczarowujący. Tak czy inaczej, przypadkowe kontakty seksualne zostawiają na psychice blizny, niektóre podobne do tych wynikających z picia na umór, inne zgoła odmienne: wyrządzone szkody mogą być mniej oczywiste, za to obrzydzenie do samego siebie o wiele silniejsze. (Pewnego razu podzieliła się mądrościami ojca z obcym mężczyzną leżącym z nią w łóżku. To był jeden z tych niezręcznych poranków i oboje dość zgodnie uznali, że poprzednia, suto zakrapiana noc była strasznym błędem. Zamiast iść do łóżka, mogli po prostu zostać przyjaciółmi. Jednorazowy kochanek zauważył wówczas, że choć rady ojca mogą się wydawać mroczne i niestosowne, trudno spodziewać się czegoś innego po kimś, kto nadał swojej pierwszej córce imię Cassandra).

Jej picie również nie miało w sobie nic z nieszkodliwej zabawy, i to już od wielu lat.

Z zamyślenia wyrwały ją pukanie do drzwi łazienki i głos Megan.

– Cassie, nie chcę być namolna, ale albo jesteś w stanie pracować podczas tego lotu, albo nie. Pytam cię po raz ostatni. – Cassie wyobrażała sobie, że pewnie tym właśnie tonem przemawia jej starsza koleżanka, kiedy dyscyplinuje swoje córki. Megan miała cudowne dzieci, męża, który był konsultantem ds. zarządzania w Waszyngtonie, i piękny dom w północnej Wirginii. Ta kobieta miała wszystko, naprawdę wszystko. – Cassie?

– Już wychodzę – odpowiedziała i wyprostowała się przed lustrem. – Zaraz będę gotowa do akcji. – Nałożyła świeży tusz na rzęsy i przejechała usta nową szminką, którą kupiła sobie na lotnisku. Stewardesa żegnająca wysiadających pasażerów musi się dobrze prezentować. Robiła to szybko, ale uważnie. Odcień szminki był podobny do tej, którą zgubiła w Dubaju. A potem wyszła z łazienki, obiecując sobie w duchu, że jeśli jakimś cudem to wszystko dobrze się skończy, nigdy więcej nie

weźmie do ust alkoholu. Nigdy. Oczywiście składała podobne deklaracje średnio raz w miesiącu, ale tym razem – tym razem – miała zamiar dotrzymać słowa.

Rozdział 4

Prawdopodobnie jednym z powodów, dla których Elena, przynajmniej we własnym przekonaniu, tak dobrze sprawdzała się w swoim fachu, był prosty fakt, że nie była ani piękna, ani brzydka. Umiała wyglądać ładnie, kiedy się dobrze ubrała i zrobiła odpowiedni makijaż – starała się więc robić i jedno, i drugie – ale wyróżnianie się z tłumu nie było jej celem. Miała metr sześćdziesiąt wzrostu, ciemne, brązowe oczy i kasztanowe włosy, które nosiła zaczesane w kok francuski, kiedy pracowała, i rozpuszczone z przedziałkiem pośrodku, kiedy była po pracy. W Ameryce i Rosji rzadko zakładała okulary słoneczne, ponieważ uważała, że za bardzo rzucają się w oczy. Ale tu, w Dubaju, było dokładnie odwrotnie: najbardziej zapadali w pamięć ci przybysze z Zachodu, którzy nie mieli na sobie ciemnych okularów. Dlatego jedną parę kupiła zaraz po wylądowaniu, a drugą w sklepie hotelowym tuż po rozmowie przy mrożonej herbacie z Viktorem.

Szła przez bazar z szalem owiniętym wokół głowy i nawet podobało się jej to poczucie anonimowości. Na moment przystanęła w wąskiej alejce straganów z przyprawami, zastanawiając się, co pachnie mocniej: kmin czy jego sprzedawca. Elena sama niewiele gotowała, ale swego czasu używała kminu na tyle często, że bez trudu rozpoznawała tę woń. Straganiarz krzątał się za stosem pojemników wypełnionych jaskrawymi kolorami szafranu i curry. Na półkach za jego plecami stały małe szklane repliki najbardziej charakterystycznych budynków w Dubaju, przypominające trochę figury szachowe. Elena w dzieciństwie uwielbiała szachy. Grała w szkole i w domu z ojcem, dopóki nie została wysłana do szkoły z internatem w Szwajcarii. Była całkiem niezła. Oprócz maleńkich budynków można było tu też kupić ozdobne nargile, niebieskie jak morze. Podobało się jej, że na tym bazarze brano pod uwagę potrzeby zarówno miejscowych, jak i przyjezdnych, chociaż spokojnie wyobrażała sobie turystów, którzy oprócz pamiątkowej miniatutki hotelu Burj Al Arab, wysokiej na pięćdziesiąt sześć pięter ikony dubajskiego krajobrazu, wyglądającej jak gigantyczny żagiel okrętowy,

zabierają ze sobą do domu także zapas lokalnych przypraw. Przypomniała sobie targowisko położone niedaleko jej dawnego mieszkania w Waszyngtonie, gdzie mieszkała kilka lat temu – tam też można było znaleźć świeże regionalne owoce obok przycisków do papieru w kształcie pomnika Waszyngtona i śnieżnych kul z małym Białym Domem w środku.

Podniosła wzrok, ponieważ sprzedawca przypraw właśnie zapytał ją, czy mówi po angielsku. Skinęła głową z uśmiechem.

– Co by pani chciała? – spytał. Był starszym mężczyzną, z krótką siwiejącą brodą. Miał na sobie nieskazitelnie czystą diszdaszę, białą jak kwiat wiśni; pomimo otaczających go ze wszystkich stron przypraw nie było na niej ani jednej plamki.

Elena właściwie niczego stąd nie potrzebowała, przynajmniej dzisiaj. W mieszkaniu, które dostała, miała co prawda kuchnię, ale nie wiedziała, ile czasu jeszcze będzie musiała spędzić w Dubaju. Prawdopodobnie tydzień lub dwa, ale o wszystkim zadecyduje następnych kilka dni. Jej przełożeni chcieli mieć pewność, że po sprawie Alexa Sokolova nie zostanie żaden bałagan, który ona musiałaby posprzątać.

Boże, pomyślała Elena, gdyby tylko dowiedzieli się o tej stewardesie. Tej, której postanowiła jednak nie zabijać. Przeszedł ją zimny dreszcz, gdy wyobraziła sobie potencjalne reperkusje swojej decyzji, i musiała zrobić głęboki wdech, żeby się uspokoić. Zepchnąć tę myśl na dalszy plan. W końcu tak właśnie funkcjonowała. Potrafiła w pełni skoncentrować się na danym problemie i planować wiele kroków naprzód, jak przystało na utalentowaną szachistkę. Jej dalekowzroczność graniczyła niemalże z umiejętnością przewidywania przyszłości. Ale w swym umyśle umiała także dzielić i rządzić, z jednej strony magazynując w pamięci fakty, które pewnego dnia mogły się do czegoś przydać, a z drugiej odgradzając się murem od lęków, które w innym razie mogłyby ją sparaliżować.

– Ależ proszę – namawiał sprzedawca. – Taka piękna kobieta? Na pewno znajdzie pani coś dla siebie.

Popatrzyła na niego, a potem rozejrzała się po jego stoisku. Zawsze uważała, że w takich miejscach jak ten bazar prawdziwą atrakcją są nie tyle świeże towary, co sam rytuał targowania się z handlarzami. Te negocjacje przypominały rozmowy dyplomatyczne na bardzo niskim szczeblu. Elena to uwielbiała. Miała dopiero trzydzieści lat – ledwie skończone trzydzieści – ale spędziła już sporo czasu w różnych miastach na Bliskim Wschodzie i zdążyła przywyknąć do tego, że

nawet zakup kawałka sera halloumi wymaga intensywnych negocjacji. Ostatecznie stwierdziła więc, że chyba jednak na coś się skusi.

W tym momencie jednak poczuła wibracje telefonu. Szybko podziękowała handlarzowi i odwróciła się plecami do straganu, żeby przeczytać SMS. Był od Viktora. Kiedy Alex Sokolov nie pojawił się dzisiaj rano na spotkaniu z inwestorami z Rosji, ci zadzwonili na jego komórkę, a potem do hotelu i zostawili mu wiadomość w recepcji. Większość osób na zebraniu nie miała pojęcia, co się stało, ale te kilka, które znały przyczynę jego nieobecności, wyraziło już swoją wdzięczność.

Z zadowoleniem przyjęła słowa pochwały, ale nie uśmiechnęła się. Zdawała sobie sprawę, że choć faktycznie posiadała niemałe umiejętności, a nawet więcej – była (używając określenia, które wyjątkowo lubiła jej współlokatorka z akademika) – prawdziwą fachurą, w tej branży niezmiernie rzadko otrzymuje się drugą szansę. Zwłaszcza gdy ma się do czynienia z tymi ludźmi. Ludźmi jej ojca. Wiedziała, co oni mu zrobili. Wiedziała, że nie jest niezastąpiona. A ostatnie, czego by chciała, to samej znaleźć się wśród osób wziętych na celownik.

Ale wiadomość od Viktora dodała jej otuchy. Użył nawet słowa „wdzięczność”. Zwróciła się więc znów do handlarza i wskazała palcem piękny szal, tak kolorowy i lśniący, że aż skojarzył się jej z płaszczem biblijnego Józefa.

– Ile dirhamów?

Odpowiedział. Ona prychnęła i przewróciła oczami, na co on podał drugą cenę. I zabawa się zaczęła.

Rozdział 5

Kiedy tylko wylądowali na lotnisku Charles'a de Gaulle'a i zaczęli kołować w kierunku terminala, Cassie chwyciła telefon, żeby sprawdzić, czy są jakieś wieści z Dubaju. Niczego nie znalazła. Możliwe – choć wydawało się to mało prawdopodobne – że ciało Alexa nie zostało jeszcze znalezione. W Emiratach dochodziła teraz dwudziesta trzydzieści. Jeżeli trup (dobry Boże, co za okropne słowo) nadal leżał w łóżku, tak jak go zostawiła, to znaczy, że personel hotelu uszanował tabliczkę „nie przeszkadzać” podczas codziennego sprząwania i ścielenia łóżek. Pracownik, który przyniósł dziś po południu świeże owoce i ciastka mamul, musiał zobaczyć zawieszkę na kłamce i odnieść je z powrotem do kuchni. Oznaczałoby to również, że nikt, ani Miranda, ani żaden inny partner biznesowy Alexa, nie próbował go szukać czy wyjaśnić – przynajmniej nie w zdecydowany sposób – jego tajemniczej nieobecności.

Ostatecznie Cassie doszła do wniosku, że do tej pory na pewno ktoś znalazł zmasakrowane zwłoki Alexa Sokolova. Była o tym przekonana. Żegnając wysiadających z samolotu pasażerów, wyobrażała sobie ekipę techników kryminalistyki przeczesujących apartament; w jej wizji ciało już usunięto z łóżka, na którym została tylko biała pościel pokryta krwawymi plamami, jak w jakimś makabrycznym teście Rorschacha.

W normalnych warunkach dziękowałyby niebiosom za wyjątkowo przychylny harmonogram pracy – mimo że linie lotnicze miały obowiązek zapewnić załodze jedynie dziesięć godzin odpoczynku, w Dubaju mieli dla siebie aż dwadzieścia jeden godzin, a tu, w Paryżu, zaplanowano prawie piętnastogodzinną przerwę. Jednak w obecnej sytuacji tak długi czas oczekiwania na kolejny lot tylko wzmagił jej niepokój. Cassie chciała jak najszybciej znaleźć się w Stanach Zjednoczonych. Chciała już wrócić do swojego mieszkania na 27 Ulicy na Manhattanie. Chciała wiedzieć, że gdyby przyszło co do czego, będzie miała dostęp do amerykańskich prawników.

Ta załoga, składająca się z trzynastorga osób, miała przed sobą jeszcze jeden wspólny rejs – jutrzejszy powrót do Nowego Jorku. Potem rozejdą się każde w swoją stronę. Być może w przyszłości znów się spotkają w nieco innych konfiguracjach, zwłaszcza Cassie, Megan i Shane, którzy lubili swoje towarzystwo i czasem specjalnie układali grafik tak, żeby lecieć razem. Ale ten konkretny zestaw pilotów i personelu pokładowego już nigdy się nie powtórzy. Linia lotnicza miała do dyspozycji niemal 1200 stewardes i stewardów mieszkających na stałe w Nowym Jorku, a wszyscy co miesiąc zgłaszali się do poszczególnych kabin i rejsów. Jakimś cudem Megan, Shane i Cassie dostali ten sam lot do Paryża – choć w tym wypadku ceną za to był Dubaj. Dwie noce temu, w drodze na wschód, wszyscy troje zdrzemnęli się rankiem, a potem spędzili przemiły wieczór w bistro i w klubie nocnym nieopodal Bastylli, gdzie bawili się w towarzystwie o połowę młodszych od siebie hipsterów. Zatrzymali się wtedy w Paryżu na znacznie dłużej niż teraz i Cassie tamtej nocy też trochę wypijała. Zachowała jednak umiar i nie oddzieliła się od swoich przyjaciół.

Uświadomiła sobie, że nie powinna wracać do Dubaju, przynajmniej przez jakiś czas. Może już nigdy. Na szczęście nie miała tego rejsu w grafiku na następny miesiąc i na pewno nie zamierzała się na niego zgłaszać we wrześniu.

– Tym razem raczej nikt nie będzie jechał do miasta – odezwała się Megan, gdy wyszły z rękawa i znalazły się w terminalu. Na tę noc zakwaterowano ich w hotelu przy lotnisku, ponieważ dojazd do Paryża i z powrotem zająłby zbyt dużo czasu, a mieli go znacznie mniej niż ostatnio. – Ale obok hotelu jest całkiem przyjemna restauracja, więc można by się tam przejść. Nazywa się Brasserie-coś-tam. W każdym razie część załogi spotyka się w holu o dziewiętnastej. Chcesz iść z nami?

– Nie. Chyba się położę – odparła Cassie.

– Dobry pomysł – powiedziała Megan. – Raz dla odmiany zostań w pokoju i po prostu się wyśpij.

Mijając butik Hermésa, Cassie przypomniała sobie szal w ćetki, który widziała wczoraj wieczorem w sklepie w Royal Phoenician. Odruchowo pomyślała o swojej szyi. I o szyi Alexa.

– Spraw sobie jakąś frajdę – namawiała Megan. – Zamów jedzenie do pokoju i zacznij od deseru.

– Tak, to dobry plan.

– Boże, nie masz pojęcia, jak to jest być matką dwóch nastolatków przechodzących burzę hormonów. Cudownie móc czasem po prostu spędzić samotny wieczór w pokoju hotelowym. Ja też chyba nigdzie nie pójde. Pogadam z Vaughnem przez Skype'a i położę się spać.

Cassie uprzejmie pokiwała głową. Kilka razy spotkała męża Megan. Wydawał się dosyć sympatyczny. Głównie pamiętała jego żarciki na temat pracy konsultanta.

„Żeby być konsultantem, wystarczy spełnić dwa warunki. Mieć dużo wizytówek i zostać wyrzuconym z pracy”.

„Wiesz, jaka jest definicja konsultanta? To ktoś, kto pożyczka od ciebie zegarek, żeby ci powiedzieć, która jest godzina”.

Ale odkąd ich rodzina przeniosła się do Wirginii, pracował dużo dla firm współpracujących z departamentem obrony, więc Cassie zakładała, że jest znacznie lepszym fachowcem, niż można by wnioskować z jego autoironicznych komentarzy. A jego dowcipy z pewnością nie były gorsze niż te opowiadane przez pierwszego oficera, z którym latali w tym tygodniu. Właśnie w tej chwili Stewart raczył kapitana kolejną anegdotą, równie czerstwą jak wszystkie poprzednie.

– Pozdrów go ode mnie – powiedziała Cassie.

– Dobrze. A ty odpocznij.

Cassie pokiwała głową. Bez wątpienia będzie ją kusilo, żeby zamówić kieliszek wina, ale na pewno zdoła się powstrzymać. Wiedziała, że ma skłonność do wpadania w ciąg alkoholowy (i seksualny też), ale nie była przecież pijaczką, daleko jej było do ojca. Oczywiście każdy alkoholik powtarza ten sam refren: wcale nie jestem pijakiem. Ale w jej wypadku to przecież prawda. Przecież spędziła tyle wieczorów bez kropli trunku. Przecież zaledwie kilka godzin wcześniej poprzysięgła sobie, że nigdy więcej nie weźmie alkoholu do ust.

Niecałe pięć minut później zbliżały się do wyjścia obok stanowisk kontroli bezpieczeństwa i ruchomych schodów prowadzących na zewnętrzny chodnik, gdzie mieli czekać na bus do hotelu, kiedy Jada nagle stanęła jak wryta i pokazała Megan swój telefon. Cała reszta załogi także się zatrzymała, niczym stado zaalarmowanych gazeli.

– Poznajesz? – zapytała Jada.

Megan przesunęła palcami po ekranie, żeby powiększyć zdjęcie.

– O mój Boże – wyszeptała, wyraźnie oszołomiona. – On był w naszym samolocie, leciał z Paryża do Dubaju.

– Mhm.

Megan podała telefon Cassie, nie mówiąc ani słowa.

Przez dłuższą chwilę Cassie wpatrywała się w zdjęcie i był to jeden z tych momentów, kiedy musiała bardzo uważać na swój język ciała, niczym aktor na scenie, ponieważ wiedziała, że Megan cały czas ją obserwuje. Oto on. Człowiek, z którym uprawiała seks zeszłej nocy. Artykuł o nim opublikowano na stronie informującej podróżnych o najświeższych zbrodniach w różnych krajach, będącej trochę jak tabloidowa wersja biuletynów wydawanych przez departament stanu. Tekst był krótki i skupiony na konkretach: w hotelu Royal Phoenician w Dubaju popełniono makabryczne morderstwo. Ofiara to niejaki Alex Sokolov, manager amerykańskiego funduszu hedgingowego, któremu ktoś poderżnął gardło. Znalezione go po południu – kiedy nie pojawił się na umówionym spotkaniu biznesowym, ochrona hotelowa postanowiła w końcu zignorować wiszącą na drzwiach tabliczkę „nie przeszkadzać” i wkroczyła do apartamentu. W artykule nie pojawiały się żadne inne nazwiska, więc nie było też wzmianki o kobiecie imieniem Miranda.

– To straszne – powiedziała Cassie w nadziei, że jej poruszenie zostanie odczytane przez Megan i resztę załogi jako szok w reakcji na wieść o morderstwie ich niedawnego pasażera. Przewinęła nieco tekst i przeczytała, że policja nie ma na razie poważnych podejrzanych. Urzędnik z miejscowego resortu turystyki przekonywał, że to odosobniony incydent i podróżni przybywający do Dubaju nie mają powodów do niepokoju, choć jednocześnie przedstawiciel służb przyznawał, że nie wyklucza się włamania ani rabunkowego motywu zabójstwa.

Megan wzięła od niej telefon i oddała go Jadze, która z kolei przekazała go Stewartowi i kapitanowi. Wszyscy byli ogromnie zaaferowani faktem, że ktoś, kto podróżował ich samolotem, padł ofiarą morderstwa.

W pewnym momencie Megan nachyliła się do Cassie i szepnęła:

– Daj mi słowo, że nic o tym nie wiesz.

– Oczywiście, że nie wiem. Skąd miałabym coś wiedzieć? – Cassie starała się sprawiać wrażenie głęboko urażonej.

– W porządku. Po prostu pamiętam, że dużo z nim rozmawiałam podczas rejsu do Dubaju. A dzisiaj rano w drodze na lotnisko wydawałaś się mocno wytrącona z równowagi. Zachowywałaś się co najmniej dziwnie. A potem jeszcze płakałaś na pokładzie, zaraz po starcie.

Cassie pokręciła głową.

– To naprawdę smutne, że ten młody człowiek nie żyje. Wydawał się miły. Ale ostatni raz widziałam go wczoraj po południu, kiedy wysiadał z samolotu.

Cała grupa ruszyła dalej i Cassie poszła w ich ślady. Obawiała się, że z każdym kolejnym kłamstwem zagrzebuje się coraz głębiej. Ale teraz było już o wiele za późno, żeby zacząć mówić prawdę.

Cassie leżała w ciemnościach na łóżku w swoim pokoju hotelowym, ubrana jedynie w biały szlafrok frotté, który znalazła w szafie. Wsłuchiwała się w odgłos kroków i turkot walizek na kółkach toczących się po korytarzu, wzdragając się przy każdym trzaśnięciu drzwi i szczęknięciu zamka. Starła się jeszcze raz odtworzyć w pamięci brakujące detale z wczorajszego wieczoru, ale nie była w stanie ich odzyskać. Próbowwała przypomnieć sobie każde słowo, które wypowiedziała do Mirandy, ale zbyt duża część ich rozmowy kryła się pod tym samym całunem, który przysłał tak wielu mężczyzn, tak wiele barów i łóżek, tak wiele nocy w ciągu tych wszystkich lat.

Zastanawiała się, czy nie napisać do siostry mieszkającej w Kentucky. Zadać parę nieszkodliwych pytań o jej dzieci czy męża.

Cassie rzadko rozmawiała z siostrą o rodzicach, ponieważ za każdym razem kończyło się to kłótnią. Ich wspomnienia były tak bardzo naznaczone gniewem i bólem, a do tego u obu sióstr ojciec i matka wywoływali diametralnie różne odczucia. Oddaliły się od siebie i zapewne już nigdy nie będą sobie tak bliskie jak dawniej, ale Rosemary nadal potrzebowała Cassie i chciała, by była ona obecna przynajmniej na peryferiach jej życia rodzinnego, co świadczyło o tęsknocie za jakimiś znamionami normalności. Raz na jakiś czas Rosemary razem z mężem Dennisem i dwójką dzieci przylatywali na weekend z Kentucky i zatrzymywali się w niedrogim hotelu w Westchester, skąd w sobotę i niedzielę jeździli pociągiem lub wynajętym samochodem do miasta. Rosemary była księgową w Lexington,

a Dennis pracował w bazie wojskowej w Richmond. Czasami podczas tych rodzinnych wypadów do Nowego Jorku Cassie miała okazję spędzić chwilę sam na sam z siostrzeńcem lub siostrzenicą. Pozwalano jej na przykład zabrać Jessicę do sklepu American Girl albo Tima do Metropolitan Museum. Kilka razy udało się jej nawet pójść z dziećmi na lunch, tylko w trójkę – brała je wtedy do restauracji, którymi były zachwycone, takich, gdzie młodzi kelnerzy i kelnerki śpiewają piosenki z musicali albo wystrój sali ma przypominać nawiedzony dom. Cassie bardzo ceniła te nieliczne godziny – trudno było jej sobie wyobrazić, że kiedyś będzie miała własne dzieci, i czasem w samotne noce tęskniła za synem lub córką, których nigdy nie obejmie. Najczęściej jednak kiedy rodzina siostry przyjeżdżała do Nowego Jorku, spotykała się z dziećmi i rodzicami jednocześnie. Wjeżdżali wówczas całą piątką na szczyt Empire State Building. Zwiedzali Statuę Wolności. Jeśli akurat na mecz z New York Yankees przyjeżdżali Kansas City Royals, szli na stadion, żeby wspólnie kibicować przeciwko Imperium Zła.

Te weekendy zawsze były w pełni bezalkoholowe, ponieważ Rosemary nie piła i nie chciała oglądać pijącej siostry. Do tego stopnia różniły się od siebie.

O tym, jakie zdanie na temat siostry ma Rosemary, najlepiej świadczy fakt, że nigdy nie pozwalała, aby jej dzieci zostały same z ciocią w jej mieszkaniu. Cassie co najmniej kilka razy proponowała, że z nimi posiedzi, żeby Rosemary i Dennis mogli spędzić wieczór we dwoje. Pójść do teatru na coś innego niż musicale Disneya. Zjeść w restauracji, gdzie damska i męska toaleta nie są oznaczone napisami „czarownice” i „czarnoksiężnicy”. Ale jej siostra nigdy nie skorzystała z oferty. Tłumaczyła, że ona i Dennis chcą spędzać czas z dziećmi. Cassie wiedziała jednak, że Rosemary w rzeczywistości jej nie ufa. Ich ojciec właśnie wieczorami najczęściej (choć nie tylko) pakował się w najgorsze kłopoty, podobnie jak jego starsza córka, która wyrządzała wówczas najwięcej krzywdy sobie i innym.

I dlatego nie napisała SMS-a do siostry. Nie widziała w tym sensu. W ogóle ani razu nie sięgnęła po telefon, który ładował się na stoliku nocnym. Bała się, że pokusa wpisania nazwiska Alexa Sokolova w Google okaże się zbyt silna, a teraz, gdy jego ciało zostało już znalezione i śledztwo się rozpoczęło, wołała odciąć się od jakichkolwiek wieści z zewnątrz. Każda dodatkowa informacja na jego temat mogła tylko jeszcze bardziej pogorszyć jej i tak już podły nastrój – albo poczułaby, że pętla zaciska się jej wokół szyi, albo zżerałoby ją poczucie winy, że nikomu nic

nie powiedziała i uciekła, zostawiając jego ciało. Tej nocy wychodziła z łóżka tylko po to, żeby napić się wody albo pójść do łazienki.

Po przebudzeniu miała wrażenie, że powietrze wypełnia echo odległego snu, ale pomijając szum klimatyzacji, w pokoju panowała cisza. Szczegóły snu już niemal całkiem się zatarły. Na pewno był w nim jej ojciec i ich wspólny biwak, ale to wszystko, co pamiętała.

Potarła oczy. Dwa razy wybrała się na polowanie z ojcem i jednym z jego znajomych, chociaż oznaczało to, że ominą ją zajęcia z tańca. Obóz znajdował się w górach Cumberland i należał do tego znajomego, stolarza, który miał córkę mniej więcej w jej wieku. Ona też z nimi przyjechała. Na imię miała Karly i chodziła do innej szkoły. Tak naprawdę za cały obóz robiła przyczepa, w której popsuta się kanalizacja, dlatego stolarz zbudował wychodek. Ekologiczny, kompostujący wychodek. Te dwa listopadowe weekendy, rok po roku, miały w sobie coś czystego i niewinnego, chociaż żyli jak w chlewie. Obaj ojcowie uważali się za postępowych i oświeconych, ponieważ zabierali córki ze sobą na polowanie na jelenie. Wcześniej wysłali je na kurs zasad bezpieczeństwa dla myśliwych, a potem sami uzupełniali to, czego instruktorzy nauczyci je na temat broni. Ale każdego wieczoru obaj upijali się do nieprzytomności, a dzień w dzień całą czwórka maszerowali bez końca przez zimny las. Dzięki Bogu ani pierwszego, ani drugiego roku nie spadł śnieg, ale to oznaczało, że trudno było znaleźć jakiegokolwiek tropy.

Podczas drugiej takiej wyprawy Cassie postrzeliła jelenia – zamiast go zabić, raniła go, i miała przez to ogromne wyrzuty sumienia. Oczywiście jelen w końcu padł, ale umierał wolno i w wielkich męczarniach. Była tak roztrzęsiona, że ojciec nie mógł jej zostawić samej, żeby wytropić i dobić ranne zwierzę.

A Karly? Ona w te weekendy chciała tylko pić z obydwoma ojcami, na co oni jej nie pozwalali, ponieważ dziewczyny były w wieku gimnazjalnym. Cały czas trajkotała o tym, jak bardzo uwielbia piwną piankę i bąbelki, a nawet sam odgłos otwierania puszki. Szeptala Cassie do ucha, że to ją podnieca.

Kiedy Cassie podniosła się w końcu z hotelowego łóżka, odruchowo potarła dobrze znane miejsce na prawym ramieniu, choć odrzut strzelby tamtego dnia

w lesie zostawił o wiele głębszy ślad na jej duszy niż na skórze. Od tamtej pory nigdy nie miała już w ręku broni.

To było gdzieś nad wschodnim Atlantykiem, po tym jak Cassie zaniósła kobiecie siedzącej na 6G kolejny kieliszek rieslinga, a Jada podała mężczyźnie na 3A szklanę szkockiej. Właśnie wtedy druga stewardesa wypowiedziała na głos jedną z obaw, które sprawiły, że Cassie przez większość nocy leżała z otwartymi oczami, wpatrując się w punkciki światła w pokoju hotelowym, takie jak radio, zegar czy wykrywacz dymu. Obie kobiety stały w przedniej kuchni airbusa, gdzie zrobiły sobie chwilę przerwy.

– Skoro on był Amerykaninem i leciał naszym samolotem, to myślisz, że będą chcieli z nami porozmawiać? – odezwała się ni z tego, ni z owego Jada. Cassie nie musiała pytać, kogo koleżanka ma na myśli. – I właściwie kto będzie nas przesłuchiwał?

Cassie energicznie rozcierała na rękach żel do dezynfekcji. Ona też się nad tym zastanawiała, dziś rano, w okolicach świtu. W końcu uznała, że FBI, ale tylko dlatego, że według jej wiedzy CIA nie zajmowało się dochodzeniami kryminalnymi. FBI na pewno ma jakiegoś rodzaju układ z policją w innych krajach – może w tym wypadku, ponieważ Alex był amerykańskim obywatelem, będą zadawać pytania w imieniu policji w Dubaju. A może nie. Zważywszy na rozległość kontaktów biznesowych Dubaju z Zachodem, najprawdopodobniej tamtejsza policja jest cholernie skuteczna. Cassie podejrzewała też, że w większości amerykańskich ambasad na świecie pracuje przynajmniej jeden czy dwóch agentów FBI. Na wszelki wypadek. Boże, gdyby Alex był Rosjaninem, a nie tylko lubił rosyjską literaturę i wodę kolońską. W takiej sytuacji dochodzenie miałoby tylko pobieżny charakter, o ile w ogóle by do niego doszło. Czy Amerykanie zadawaliby sobie trud, żeby badać śmierć Rosjanina zabitego w Dubaju? Pewnie, że nie. To nie byłaby ich sprawa.

Ostatecznie, kiedy już zwlekła się z hotelowego łóżka i wzięła prysznic, uznała, że w śledztwo zaangażuje się nawet departament stanu. Rodzina Alexa za pośrednictwem mediów będzie domagać się sprawiedliwości. Sprawa przyciągnie uwagę wielu wpływowych osób. Na samą myśl robiło się jej niedobrze. Wiedziała,

że w tej samej chwili Miranda zapewne przedstawiała już komuś swoją wersję wydarzeń.

– Myślę, że zajmie się tym FBI – odpowiedziała wreszcie na pytanie Jady. – Zakładając, że w ogóle ktokolwiek...

– Chyba jeszcze nigdy nie byłam tak blisko kogoś, kto został zamordowany.

– Ja też nie – mówiąc to, Cassie pomyślała o swoim ojcu i o subtelnej różnicy pomiędzy nieumyślnym spowodowaniem śmierci a morderstwem.

Jada nagle spojrzała ponad ramieniem Cassie, a jej ciemne oczy niepokojąco się rozszerzyły. Cassie przebiegł po plecach zimny dreszcz i odwróciła się, przekonana, że to już koniec – że oto właśnie podniebny szeryf przyszedł ją aresztować. Ale Jada przecisnęła się obok niej, żeby pomóc młodej matce z niemowlakiem na rękach; chwyciła torbę na pieluchy, która zwisała do góry dnem z ramienia kobiety, grożąc wywaleniem pieluch, chusteczek i kubeczka w kształcie królika na podłogę tuż przed drzwiami do łazienki pierwszej klasy. Mama podziękowała jej serdecznie za powstrzymanie katastrofy, która wisiała na włosku, i obie zaczęły się śmiać. Jada zapytała, jak ma na imię jej synek, a Cassie tymczasem oparła się plecami o ścianę z wózkami i śmietnikiem. Czowała jednocześnie ulgę i przerażenie. Zastanawiała, się czy już do końca życia będzie skazana na takie skoki adrenaliny.

Gdy pod nimi przesunęło się już wybrzeże Long Island, a Cassie zajęła miejsce na rozkładanym siedzeniu na przedzie samolotu i zapinała pasy, przysły jej do głowy słowa, których miała nadzieję nigdy nie wypowiedzieć na głos na pokładzie samolotu: „Przygotować się na uderzenie”. Tak brzmiał sygnał ostrzegający, że zaraz nastąpi lądowanie awaryjne. Te cztery słowa były jak krakanie kruka. Za chwilę zderzymy się z ziemią, w najlepszym wypadku zaryjemy brzuchem, w najgorszym rozbijemy się czołowo, nosem w dół, a wtedy samolot się roztrzaska i eksploduje, rozrzucając wszędzie naokoło zwęglone i ledwo rozpoznawalne fragmenty naszych ciał.

Słowa te przysły jej na myśl, ponieważ gdzieś nad Nowym Brunszwikiem kapitan poinformował załogę, że na lotnisku JFK będą czekać na nich funkcjonariusze. Nie podał przyczyny ani nie sprecyzował, czy chodzi o ochronę

lotniska czy ludzi z Agencji Bezpieczeństwa Transportu lub z jakichś innych służb, a nikt z załogi nie zamierzał o to dopytywać. Ale wszyscy mieli swoje teorie. Jedni podejrzewali, że na pokładzie znajduje się potencjalny terrorysta, ktoś z listy osób uważnie obserwowanych przez służby, kto zostanie aresztowany zaraz po wylądowaniu. Cassie jednak latała dostatecznie długo, by wiedzieć, że to niemożliwe; gdyby kapitan otrzymał informację o obecności ewentualnego terrorysty na pokładzie, powiadomiłby wszystkich członków załogi, żeby przez cały czas mieli na niego oko. Dlatego też przygotowując kabinę do lądowania, Megan, Jada i Shane głośno zastanawiali się, czy może to mieć coś wspólnego z tym zabitym Amerykaninem w Dubaju. O cóż innego mogłoby chodzić, pytała Megan, skoro ten człowiek był ich pasażerem podczas rejsu z Paryża na Bliski Wschód?

Cassie miała ochotę poprosić Megan, żeby ją kryła – niekoniecznie musiałyby kłamać, wystarczyłoby, aby zachowała dla siebie informację, że Cassandra Bowden wróciła do hotelu, w którym załoga spała w Dubaju, zaledwie dwadzieścia minut przed planowym odjazdem na lotnisko. Rzecz jasna dużo łatwiej byłoby po prostu powiedzieć śledczym, że spędziła noc sama w swoim pokoju, niż tłumaczyć swoją nieobecność spotkaniem z jakimś wymaginanym mężczyzną. Ale prosząc o coś takiego, tylko jeszcze bardziej pogrzyźłaby się w oczach przyjaciółki – Megan nie miałaby już wątpliwości, że Cassie rzeczywiście była z Alexem w noc jego śmierci, a być może nawet sama go zabiła. Cassie już i tak czuła na sobie jej wzrok, gdy szły razem pomiędzy fotelami, sprawdzając, czy pasażerowie mają zapięte pasy i oparcia ustawione do pionu.

Postanowiła więc skupić się teraz na spreparowaniu dwóch przekonujących historyjek. Jeśli w trakcie przesłuchania odniesie wrażenie, że Miranda nic jeszcze nie powiedziała, opowie funkcjonariuszom o zupełnie innym hotelu i zupełnie innym mężczyźnie, którego ulepi w wyobraźni niczym golema. Nie będzie za dużo kombinować. Poda jakieś imię, ale zaznaczy, że jej zdaniem facet je zmyślił, ponieważ najprawdopodobniej był żonaty. Powie, że był kimś w rodzaju konsultanta i chyba przyjechał z RPA, a do spotkania doszło w hotelu Armani (który po pierwsze, jest bardzo duży, a po drugie, leży kawał drogi od Royal Phoenician). Nie będzie pamiętać, na którym dokładnie piętrze mieścił się jego pokój: może na szóstym, może na ósmym. Ze wstydem przyzna się, że piła i przez to niewiele pamięta. Na pewno w którymś pokoju na którymś z tych pięter

znajdzie się chociaż jeden mężczyzna mówiący po angielsku z wyraźnym akcentem, który pijana osoba mogłaby omyłkowo wziąć za południowoafrykański – o ile w ogóle okaże się to potrzebne. Poza tym nie powie im nic więcej. To ważne. Znacznie łatwiej będzie jej podtrzymać swoją wersję wydarzeń, jeśli poda jak najmniej szczegółów.

Ale jeśli Miranda zdążyła już powiedzieć dubajskiej policji, że wczorajszej nocy spotkała stewardesę imieniem Cassie, a tamci przekazali już tę informację FBI? Wówczas sytuacja będzie wymagała całkiem innego kłamstwa, zdecydowanie bardziej ryzykownego, ale pod pewnymi względami dużo łatwiejszego do spreparowania. Po prostu: Alex Sokolov żył, kiedy Cassie opuszczała jego apartament.

Właściwie może od razu powinna obrać właśnie taką strategię, niezależnie od wszystkiego. Prędzej czy później bowiem Miranda i tak porozmawia z policją, a Cassie wiedziała, że jej zeznania muszą być spójne i konsekwentne. A więc tak, taka będzie jej oficjalna wersja wydarzeń. Tak będzie brzmiało jej kłamstwo.

Tymczasem powinna przygotować się na uderzenie. Niestety było ono nieuniknione.

FEDERALNE BIURO ŚLEDICZE

Formularz FD-302 (ocenzurowany): CASSANDRA BOWDEN, STEWARDESA

DATA: 28 lipca 2018

CASSANDRA BOWDEN, data ur. --/--/----, nr ubezpieczeniowy społ. -----, nr tel. (--) -----
----, została przesłuchana przez regularnie wylegitymowanych agentów
specjalnych FRANKA HAMMONDA i JAMESA WASHBURNA na LOTNISKU
MIĘDZYNARODOWYM JFK niezwłocznie po wylądowaniu jej samolotu na terenie USA.

HAMMOND prowadził przesłuchanie; WASHBURN sporządził niniejsze notatki.

Otrzymałszy pouczenie dotyczące charakteru przesłuchania, BOWDEN przekazała
następujące informacje.

BOWDEN zeznała, że pracuje dla tej samej linii, odkąd ukończyła college 18 lat temu. To
jedyna praca, jaką kiedykolwiek miała.

BOWDEN potwierdziła, że ALEXANDER SOKOLOV zajmował miejsce 2C podczas lotu nr
4094 z Paryża do Dubaju w czwartek 26 lipca. Przedstawił się jej na pokładzie przed
startem. Zeznała, że poznali się, kiedy samolot stał jeszcze na płycie lotniska, a do środka
wsiadali wciąż pasażerowie klasy ekonomicznej. Podczas lotu pił czerwone wino, kawę
i wodę.

BOWDEN opisała go jako „mało wymagającego” pasażera. Jak stwierdziła, było
oczywiste, że podróżował w pojedynkę. Nie pamięta, żeby rozmawiał z pasażerem po
drugiej stronie przejścia (2D) ani z pasażerem siedzącym obok (2B), ale uznała, że jeśli
miałby z kimś rozmawiać, to raczej z tym z 2B. Oparła to przypuszczenie wyłącznie na
własnych obserwacjach, wedle których pasażerowie są bardziej skłonni odzywać się do
osoby na sąsiednim miejscu niż do tej po drugiej stronie przejścia.

BOWDEN zeznała, że ona i SOKOLOV rozmawiali ze sobą głównie podczas podawania
posiłków i niemal wyłącznie na temat wina oraz oferowanych dań głównych i deserów.

Opisała go jako uprzejmego i „czarującego” młodego człowieka. Stwierdziła, że „był trochę flirtiarzem” i skomplementowała uniform, który miała na sobie. Powiedział jej, że pracuje dla funduszu hedgingowego i do Dubaju leci w celach biznesowych. Wspomniał o znajdujących się tam klientach i nieruchomościach, ale dodał, że jego praca to zbyt nudny temat do rozmowy. Nie mówił, z kim zamierza się spotkać ani gdzie.

SOKOLOV nie spał na pokładzie samolotu, co BOWDEN uznała za normalne, ponieważ był to lot w ciągu dnia. Zeznała, że zjadł posiłek, oglądał film i pracował. Widziała na jego laptopie otwarte dokumenty, ale na nie nie patrzyła. Na rozkładanym stoliku przed nim nie widziała żadnych papierów. Jest pewna, że w którymś momencie coś oglądał, ale nie zwróciła uwagi, jaki to był film.

Na koniec BOWDEN stwierdziła, że SOKOLOV wydawał się spokojny i zadowolony – nie zdradzał żadnych oznak podenerwowania. Według jej słów lot przebiegł bez zakłóceń.

Rozdział 6

Zazwyczaj testy na obecność narkotyków miały charakter losowy – nie każdy członek załogi był poddawany badaniu. Pracownik linii lotniczych wskazywał jedną lub dwie osoby, gdy te wsiadały z samolotu, i polecał im nasikać do kubeczka. Tym razem jednak było inaczej. Cała załoga została przebadana. Przeszukano też wszystkie ich bagaże.

Wszyscy przeszli pomyślnie test na obecność narkotyków. A w żadnej z ich toreb ani walizek nie znaleziono niczego niedozwolonego.

Dziwne, pomyślała Cassie, naprawdę dziwne. Wyglądało na to, że FBI kompletnie nie obchodziło, gdzie była i co robiła podczas nocy spędzonej w Dubaju. Zupełnie jakby agenci Frank Hammond i James Washburn nie widzieli absolutnie żadnych powodów, by podejrzewać, że mogła być z Alexem Sokolovem w chwili jego śmierci. Hammond był przystojnym facetem mniej więcej w jej wieku, o lekko ironicznym obliczu kogoś, kto widział już wszystko. Miał krótkie włosy koloru cynamonu, które zaczynały się powoli przerzedzać. Washburn był młodszy, miał bladą, idealnie czystą cerę i nosił okulary bez oprawki, nadające mu wygląd profesjonalisty. Obaj sprawiali wrażenie, że interesuje ich wyłącznie to, jak Sokolov zachowywał się podczas lotu i czy powiedział coś, co mogłoby ich naprowadzić na jakiś trop. Czy chcieli ją zwabić w pułapkę, przyłapać na kłamstwie? Chyba nie, ponieważ nie pytali o nic, co wymagałoby od niej zatajania prawdy. Cassie miała raczej poczucie, że naprawdę nie wiedzą o tym, że była w jego apartamencie w Dubaju i spotkała tam też znajomą Alexa, która wpadła na drinka.

Po wszystkim zdała sobie sprawę, że jej strach był wręcz śmieszny. Rozmowa nie została nawet zarejestrowana. Widocznie taka była polityka FBI. Hammond zadawał pytania, a Washburn spisywał jej odpowiedzi długopisem w żółtym

notesie, jakby czas się cofnął do 1955 roku. Kiedy spytała, dlaczego nie nagrywają – Boże, nie wyciągnęli nawet telefonów – Washburn wyjaśnił, że później wklepie wszystko do jakiegoś formularza, który nazwał FD-302.

Żałowała, że podczas składania zeznań nie skupiła się bardziej na swoim flirtowaniu z Alexem – zawsze bowiem istniała szansa, że wspomniał o tym ktoś inny z jej załogi. Nawet jej przyjaciółka Megan mogła coś na ten temat napomknąć. Ale Megan twierdziła, że jej przesłuchanie również miało bardzo pobieżny charakter. Agentka, z którą rozmawiała, nazywała się Anne McConnell i podobno bardzo mało pytała Megan o współpracowników.

Prawdopodobnie za prawdziwych podejrzanych uważano pracowników hotelu. Lub też inwestorów, z którymi Alex miał się spotkać w Dubaju. A może zdesperowanych członków miejscowego półświatka, którzy ryzykując konfrontację z arabskim wymiarem sprawiedliwości, napadali na bogatych cudzoziemców napływających każdego dnia do miasta. Tego rodzaju ludzie bez wątpienia budzili największe zainteresowanie dubajskiej policji.

I prawdę mówiąc, pewnie właśnie ktoś taki zabił Alexa. Cassie wiedziała, że mogłaby do końca życia zachodzić w głowę, dlaczego sama uszła z życiem, a i tak nigdy nie rozwiąże tej zagadki. Najlepiej więc w ogóle przestać się tym zadręczać. Do niczego to nie prowadziło.

Nie mogła jednak całkiem odetchnąć z ulgą, ponieważ pozostawała jeszcze kwestia Mirandy – ten niedomknięty wątek, który wciąż mógł narobić jej kłopotów. Wiedziała, że choć od teraz będzie ją prześladował duch Alexa Sokolova, w razie czego zawsze jest w stanie przepędzić go szklaneczką sipsmith albo Jose Cuervo. Ale Miranda? Zjawiała się w apartamencie z butelką stolicznej, której odpryski zapewne nadal tkwią w tym grubym dywanie w pokoju na piątym piętrze Royal Phoenician. Do tej pory niemal na sto procent zdążyła już coś powiedzieć dubajskiej policji i tego problemu nie wymaże żadna ilość ginu czy tequili.

Cassie zostawiła walizkę w korytarzu swojego mieszkania i przyczepiła wizytówkę Franka Hammonda na drzwiach lodówki magnesem ze schroniska dla zwierząt. Nie wiedziała, co innego może z nią zrobić. Potem weszła do łazienki. Mieszkanie

było małe, ale miało jedną wielką zaletę: mieściło się na czternastym piętrze i z okien rozciągał się zjawiskowy widok na słynny złoty stożek na dachu wieżowca New York Life oraz na sam Empire State Building. Pomyśleć tylko, że zaczynała od piętrowego łóżka na mecie w Queens. Zdjęła buty i rzuciła się na łóżko tak jak stała, w roboczym uniformie. Przez chwilę wpatrywała się jeszcze w dwa budynki za oknem. Słońce wolno zaczynało zachodzić, ale ona zasnęła, zanim zrobiło się ciemno.

Terrain, terrain! Pull up!

Mechaniczny kobiecy głos po drugiej stronie drzwi do kabiny pilotów. Urwane resztki innego snu. Znała ten głos z setek, może tysięcy lądowań, podczas których siedziała na składanym krzeselku najbliżej kabiny. W niektórych samolotach to siedzenie jest umieszczone w takim miejscu, że jest się idealnie wystawionym na widok pasażerów. Stewardesy nazywają to „miejscem Sharon Stone”, bo faktycznie można się poczuć jak na planie *Nagiego instynktu*.

Kiedy się obudziła, kiedy dotarło do niej, że wcale nie grozi jej ani lądowanie awaryjne, ani katastrofa, był środek nocy, a iglica Empire State Building jarzyła się czerwonym światłem. Przy okazji jednej z wizyt siostry z rodziną Cassie sprawdziła w Internecie, jaki kolor miał mieć tamtej nocy szczyt budynku, w nadziei że będzie mogła pokazać ten widok siostrzenicy i siostrzeńcowi oraz wytłumaczyć, na jakiej podstawie dokonuje się wyboru oświetlenia, ale Rosemary dała jasno do zrozumienia, że nie przyjadą na Murray Hill i nie zostawi Cassie samej z dziećmi.

Nie była głodna, ale uznała, że powinna chyba coś zjeść, więc ruszyła do kuchni. Znowu przypomniała sobie Alexa i jego blanquette de veau w tamtej restauracji w Dubaju. Zaczęła sobie wyobrazać, jak opowiada agentom FBI, że zmarły nie miał nic przeciwko jedzeniu cielęciny, a także był czułym i całkiem wytrawnym kochankiem, zwłaszcza pod prysznicem. Poza tym czytywał – nierzadko po kilka razy – grube powieści nieżyjących od dawna rosyjskich pisarzy. W swojej głowie słyszała, jak relacjonuje, że przynajmniej tej jednej nocy wypił równie dużo co ona, a było to naprawdę sporo – wystarczyło, żeby urwał się jej film. Co powiedziałby

na to Frank Hammond? Cassie odruchowo rzuciła okiem na róg jego wizytówki wystający spod magnesu.

Lodówka nie była pusta – wręcz przeciwnie – ale większość jej zawartości nie nadawała się do jedzenia. Wypełniały ją głównie zepsute resztki indyjskiego żarcia na wynos, różne sosy i dodatki, dietetyczne napoje gazowane i jogurt, którego termin ważności upłynął kilka miesięcy temu. W szafce znalazła puszkę zupy pomidorowej i krakersy, które z wiekiem trochę zmiękły, ale nadal były jadalne, więc przyrządziła sobie taki sam posiłek, jaki za dawnych czasów serwowała jej matka, kiedy z powodu grypy mała Cassie nie mogła iść do szkoły.

Zjadła w ciszy na kanapie w dużym pokoju, patrząc na księżyc wiszący nad dachami Manhattanu. Jedyne źródłem światła była lampa w kuchni. Przyszło jej do głowy, żeby poszukać w telefonie nowych wiadomości na temat Sokolova. Mogłaby nawet włączyć laptopa, z którego tak rzadko korzystała. Bała się jednak, że nie będzie mogła potem zasnąć, a i tak trudno jej będzie wrócić do łóżka po tym, jak wieczorem przespala już pięć godzin.

„Obudziłam się obok martwego człowieka” – pomyślała.

„Być może uszło mi na sucho morderstwo”.

Ale szybko pokręciła głową. Choć było to teoretycznie możliwe, w głębi serca nadal czuła, że to nie ona zabiła Alexa. Zdarzały się oczywiście chwile, kiedy traciła wiarę i ogarniała ją niepohamowana fala odrazy do samej siebie; wcześniej, gdy weszła do windy w swoim budynku, dopadły ją wręcz lekkie drgawki. Ale przez większość czasu była przekonana, że go nie zabiła. Nie zrobiłaby tego. Nie była do tego zdolna. Nawet w samoobronie. Taką już miała naturę.

Poza tym bardzo mało prawdopodobne, że cokolwiek istotnie uszło jej na sucho. Na razie jedyne, co zrobiła, to wróciła do Ameryki, gdzie mogła przynajmniej liczyć na porządnego prawnika – zakładając, że znajdzie kogoś, kto weźmie jej sprawę za te grosze, które będzie w stanie mu zapłacić.

Jej jedyną faktyczną zbrodnią, dosłowną i metaforyczną, było to, że zostawiła biedaka w pokoju w Dubaju. A jeśli nie ona go zabiła, to całe szczęście, że teraz od tego, kto to zrobił, dzieliło ją aż tyle stref czasowych. Morderca albo zakładał, że Cassie od razu zadzwoni do recepcji lub na policję i w efekcie sama stanie się główną podejrzaną – a może nawet się do tego przyzna – albo nie dbał o to, że po prostu ucieknie z miejsca zdarzenia. W takim scenariuszu ktokolwiek zabił Alexa,

musiał być fachowcem w tej dziedzinie – zawodowym zabójcą – który wiedział, że Cassie zwyczajnie znalazła się w niewłaściwym łóżku w niewłaściwą noc, i darował jej życie. Rozumiał, że nie miała nic wspólnego z przewinami Alexa – jakiegokolwiek one były – które ściągnęły na niego wyrok śmierci.

Wkładając miszkę po zupie do zmywarki, zaczęła rozmyślać o tym, jak wygląda włamywanie się do zamkniętego pokoju hotelowego. Może kiedy odważy się wpisać nazwisko Alexa do Google, przy okazji poszuka też informacji o hotelowych procedurach bezpieczeństwa. Jeśli zabójca pracował w Royal Phoenician, to otwarcie drzwi zapewne nie sprawiło mu wielkich problemów.

Miała w domu nienapoczętą butelkę chianti, którą trzymała na specjalną okazję, ale przypomniała sobie swoje postanowienie, że przestanie pić. Na zegarze dochodziła dopiero jedenasta. Zastanawiała się, czy nie wyskoczyć do całodobowej apteki po buteleczkę środków przeciwbólowych na noc albo może po jakieś lekarstwo na grypę ze zwalającym człowieka z nóg środkiem nasennym.

Pomyślała sobie jednak: pieprzyć to. Pieprzyć to wszystko. I tak nie zdoła już dzisiaj zasnąć. Jeśli zostanie w domu, będzie całą noc przewracać się z boku na bok i czekać, aż światła na Empire State Building w końcu zgasną, a gdzieś tak o czternastej czy czternastej trzydzieści w akcie desperacji ostatecznie odkorkuje to chianti. Zalogowała się na Tindera i przejrzała kilka profili mężczyzn, którzy jej się wyświetlili, ale żaden jej nie zainteresował. Myślała o różnych znajomych, do których mogłaby napisać i spytać, gdzie są i co w tej chwili poczynają, w pierwszej kolejności przypominając sobie przyjaciółki, które tolerowały jej picie (niektóre bardziej niż inne), a dopiero potem te, które chętnie piły razem z nią. Jednych i drugich było równie dużo, bo jedne i drugie były jej w równym stopniu potrzebne: te pierwsze po to, by ją chronić i przeproszać gospodarzy domowych przyjęć, klientów w restauracjach czy gości weselnych, których zbulwersowała swoim zachowaniem i nieparlamentarnym językiem, a drugie po to, by jej kibicować, kiedy postanawiała nagle zdjąć górę od bikini albo cisnąć kijem bilardowym jak oszczepem. Ostatecznie jednak nie napisała do nikogo. Dziś w nocy będzie samotnym wilkiem. Czasami tak jest najlepiej dla wszystkich.

Tak więc wzięła prysznic, włożyła obcisłe, seksowne jeansy i białą bluzkę, idealną na ostatnią sobotę lipca, i ruszyła na miasto. Na pewno nie była z siebie dumna, ale też niespecjalnie zdegustowana swoim zachowaniem. Usta umalowała głębokim odcieniem szkarłatu – był to odcień szminki preferowany przez linie

lotnicze, ponieważ miał pomagać niedosłyszącym pasażerom czytać jej z ust nawet w sytuacji awaryjnej.

Czy była już za stara, żeby zrzucić szpilki i tańczyć boso na lepiącej się od rozlanego piwa podłodze w ciemnym klubie w East Village, ryzykując uszkodzenie słuchu, ponieważ wzmacniacze zespołu dudniły z mocą silnika odrzutowego? Możliwe. Ale nie była jedyną kobietą, która nagle postanowiła pozbyć się butów – tyle że najstarszą. I wcale się tym nie przejmowała, ponieważ robiła to wszystko na trzeźwo, co sprawiło jej niespodziewaną przyjemność. Jej serce pragnęło zabawy i szaleństwa. Znalazła bar z zespołem i dobrą imprezą, ciągle był środek lata, a ludzie wyglądali świetnie. Była bardzo daleko od Dubaju.

Facetowi, z którym tańczyła, aktorowi z bujnymi miodowymi włosami w stylu Gregga Allmana, właśnie skończył się sześciotygodniowy kontrakt w teatrze w Wirginii, gdzie cały czas grał Szekspira. Powiedział, że ma trzydzieści pięć lat, a do tego klubu trafił za sprawą jednego z muzyków na scenie – wiosną występowali razem w musicalu na Brooklynie, gdzie potrzebowali kogoś, kto potrafi równie dobrze śpiewać i grać na gitarze.

– Na pewno nie chcesz piwa? – krzyknął jej do ucha. Pochodził z Westport i na imię miał Buckley. Cassie stwierdziła, że to najlepsze imię dla szekspirowskiego aktora, a on przyznał jej rację, zaznaczając jednak, że wydawało się znacznie mniej szczęśliwe, kiedy w zeszłym roku w Public Theater robił musical o scenie punkowej lat siedemdziesiątych. Natomiast zdrobnienie Buck to już w ogóle tragedia – pod takim imieniem można chyba tylko występować na rodeo albo w pornosach.

– Na pewno! – potwierdziła. Podskakiwała i obracała się w miejscu z rękami nad głową, czując całym ciałem wibracje huczącego na scenie basu. Buckley zawędrował dłońmi w okolice jej talii i przyciągnął ją do siebie, a gdy opuściła ręce, oparła je na jego karku. I nagle zaczęli się całować, a między ich złączonymi ciałami popłynął prąd.

Kiedy kilka minut później stanęli przy barze, żeby chwilę odsapnąć, Cassie zawołała jedną z barmanek, młodą dziewczynę w obcisłej denimowej bluzce

i z prostymi czarnymi włosami sięgającymi aż do pasa, i poprosiła o tequilę dla Buckleya.

– O rany, nie powinienem – powiedział ze śmiechem, rumieniąc się na twarzy, ale wziął szklaneczkę do ręki.

– Oczywiście, że powinieneś – odparła Cassie. – Jest już dawno po północy.

– A co to ma do rzeczy?

– Godzina duchów.

Odgarnął sobie pasmo włosów z czoła i zatknął je za ucho.

– Poważnie? – Zadał to pytanie całkiem szczerym tonem, jakby naprawdę myślał, że dowie się czegoś nowego. Było to niemal urocze.

Jego wahanie nieco ją jednak zdziwiło. To była tylko jedna tequila. Jeden szot. Nie proponowała mu przecież, żeby podgrzali sobie na łyżeczce trochę cracku. Spodziewała się więcej po aktorze, nawet takim, który dorastał w hrabstwie Fairfield w Connecticut. Postawiła swoje buty na pustym stolku barowym, po czym wplątała palce w tę olśniewającą grzywę; cudowna miękkość jego włosów ani trochę jej nie zaskoczyła. Drugą ręką podniosła zamówioną szklaneczkę tequili i sama ją wychyliła. Ognisty płyn rozlał się po jej klatce piersiowej jak plama ropy naftowej po oceanie. Poczula się jak w niebie. To tyle, jeśli chodzi o bezalkoholową noc.

– A piwa jakoś nie chciałaś – skomentował z figlarnym uśmiechem Buckley.

– Lubię tequilę.

– Ale nie piwo.

– Jestem stewardesą, pamiętasz? Ten uniform jest bezlitosny.

– Linie lotnicze ciągle pilnują, ile ważycie? Wolno im to robić?

– Nie jest to sprecyzowane. Waga musi być proporcjonalna do wzrostu. Ale nie da się wykonywać tej pracy, będąc grubym. Jutro znowu lecę na siłownię.

– Bo latasz?

– Bo jestem próżna.

– Co widziałaś najdziwniejszego?

– Jako stewardesa?

– Tak. Słyszałem różne szalone historie.

Pokiwała głową. Naprawdę nie umiała stwierdzić, czy ludzie w powietrzu stają się dziwni, czy też wewnątrz samolotu po prostu ujawnia ich wrodzone dziwactwa.

– Dla ciebie to historyjki – powiedziała. – A dla nas to codzienne życie.

– Wiem! Opowiedz mi coś. Cokolwiek.

Cassie zamknęła oczy i pod powiekami ujrzała Alexa Sokolova leżącego obok niej w łóżku. Raz jeszcze zobaczyła głęboką, lepłą szramę na jego szyi. Widziała siebie, jak przyciska się do zasłon w apartamencie w Dubaju, naga, z jego krwią na ramionach i włosach.

– Najpierw powinieneś się napić – odparła.

– Aż tak źle?

– Wypiję z tobą następną kolejkę. – Założyła z powrotem buty, nie zwracając uwagi na swoje niesamowicie brudne stopy, wzięła go za rękę i zaprowadziła do baru. Nie zamierzała dzielić się z nim historią o młodym managerze funduszu hedgingowego, który zginął u jej boku w łóżku na Półwyspie Arabskim. Żadna ilość tequili nie przekonałaby jej do opowiedzenia tego koszmaru. Opowiadała mu więc – pomiędzy kolejnymi szotami, do których oboje wzajemnie się namawiali – o pasażerach, którzy próbowali otworzyć drzwi samolotu na wysokości dziesięciu kilometrów, i o parach, które szczerze wierzyły, że wystarczy schować ręce pod kocem, żeby móc dyskretnie robić nimi różne rzeczy w czasie, gdy reszta kabiny pogrążona jest we śnie. Opowiedziała o mężczyźnie, który próbował wdrapać się na wózek z napojami – zaszedł na tyle daleko, że udało mu się oprzeć jedno kolano na szczycie i postawić stopę na półce, gdzie leżała torba z lodem – ponieważ musiał się dostać do łazienki i nie mógł (albo nie chciał) dłużej czekać.

Opisała mu też swoje zetknięcie z gwiazdorem rocka, który wykupił całą kabinę pierwszej klasy dla siebie i swojej świty.

– Nie pozwalali nam się do niego odzywać. Ofertę dań i drinków musiałam przekazywać jego ochroniarzowi, szeptem na ucho. Nie wolno mi było nawet nawiązywać z nim kontaktu wzrokowego. To był nocny lot do Berlina, a on ani na chwilę nie zmrużył oka. Mimo że światła były przyciemnione i cały orszak smacznie spał, łącznie z ochroniarzem, on trzy razy poszedł do łazienki, żeby się przebrać, a każdy kolejny strój był bardziej ekstrawagancki niż poprzedni. Przez jakieś półtorej godziny paradował w złotym kombinezonie z cekinami i butach na koturnie, chociaż poza mną nie miał żadnej widowni.

Mówiła mu o różnych miejscach w samolocie, gdzie przechowywano kajdanki, i o różnych okazjach, kiedy musiała z nich skorzystać, żeby poskromić agresywnego pasażera.

A potem opowiedziała o Hugo Fournierze. Nie była pewna, czy słyszał to nazwisko, ale na pewno znał tę historię. Prawdopodobnie zakładał, że to typowa miejska legenda. Ale to się zdarzyło naprawdę. Widziała to na własne oczy. Była w tym samolocie.

– Lecieliśmy wtedy z Paryża na JFK. Często zgłaszam się na tę trasę. To było osiem lat temu, nie miałam jeszcze tyle doświadczenia, więc rzadziej ją dostawałam. A jeżeli już, to najczęściej przydzielali mnie do klasy biznesowej.

– To źle?

– Nie, tylko bywa tam ciężko. W niektórych samolotach każdy w pierwszej klasie może wygodnie się rozłożyć i niedługo po starcie prawie wszyscy śpią jak zabici. W turystycznej w ogóle nie mamy za dużo do roboty. Ale biznesowa ma trzydzieści dwa siedzenia, a serwis jest prawie taki sam jak w pierwszej klasie. I ludzie mniej tam śpią. Dlatego niektórzy z nas nie przepadają za tym sektorem i w efekcie pracują tam często osoby o krótszym stażu.

– Rozumiem.

– No więc akurat podczas tego lotu mamy komplet. Ani jednego wolnego miejsca. Może z godzinę po minięciu Irlandii, kiedy w biznesowej podajemy deser, jeden gość, który latał naszą linią od zawsze, nagle przeciska się obok mnie, żeby dostać się do kierowniczkii obsługi, która pracuje w pierwszej klasie. Widać, że buzuje w nim adrenalina, i od razu przychodzi mi do głowy, że zdarzyła się jakaś poważna awaria. Myślę: na pewno pali się nam silnik. Nie mija trzydzieści sekund i słyszę, jak kierowniczka pyta przez interkom, czy na pokładzie jest lekarz albo pielęgniarka. Głos ma spokojny, ale ja słyszę w nim nutę desperacji. Oczywiście czuję też ulgę, bo chyba jednak nie grozi nam, że zaraz runiemy do oceanu.

– Oczywiście.

– Okazuje się, że jest lekarz, a nawet dwóch, jeden w turystycznej, drugi w biznesowej. Pędzą do miejsca 24E, gdzie Hugo Fournier, otyły starzec z cukrzycą, właśnie doznał rozległego ataku serca. Lekarze wspólnie z personelem kładą go na podłodze przed kuchnią pokładową i wyjściem awaryjnym, bo tam jest

najwięcej przestrzeni. Wyciągają defibrylator i biorą się do pracy, ostro go reanimują. Próbuje wszystkiego i walczą przez co najmniej czterdzieści minut, zanim w końcu stwierdzą zgon. Tymczasem wszyscy w kabinie wiedzą, co się dzieje. Żona faceta odchodzi od zmysłów. Wrzeszczy, płacze, błaga, żeby go uratowali. Czy można się jej dziwić? Trudno w takiej chwili zachowywać się z godnością.

– Boże...

– No właśnie. Ale teraz my, znaczy się załoga, musimy coś zrobić z ciałem. Nie możemy go po prostu odstawić z powrotem na fotel. Siedział w samym środku klasy ekonomicznej i wprawdzie to są nasze najtańsze miejsca, ale nawet tam nikt nie ma ochoty siedzieć obok trupa. Poza tym był cały w swoich wymiocinach i chociaż udało nam się oczyścić jego koszulę i spodnie, to nie jesteśmy w stanie zlikwidować tego smrodu. A do tego organizm wykonał to, co często dzieje się w chwili śmierci. Jednym słowem, biedny Hugo Fourier narobił w spodnie.

Buckley przyłożył ręce do twarzy i pokręcił głową.

– Znam tę historię.

– Oczywiście, że znasz.

– Wsadziliście go do łazienki i był tam do końca lotu.

– Ja osobiście nie, ale tak, kilka osób z załogi tak właśnie postanowiło zrobić. Ja chciałam spróbować przekonać kogoś z pierwszej klasy, żeby odstąpił swój rozkładany fotel, ale kierowniczka się nie zgodziła. Proponowałam go posadzić na 1A albo 1L, gdzie prawie nikt by go nie widział ani nie czuł. Ale ona nawet nikogo nie spytała. Tak więc jeden z lekarzy i dwaj stewardzi wcisnęli trupa do środkowej toalety na prawej burcie. Lekarz, w sumie trochę przemądrzały typ, powiedział, że to było tak, jakby próbować wepchnąć stopę rozmiaru 43 do buta rozmiaru 41.

– I nie zawróciliście.

– Samolotu? Nie. Byliśmy już w połowie drogi nad Atlantykiem. Nie chcieliśmy sprawiać przykrości dwustu pięćdziesięciu ośmiu ludziom. Zamiast tego sprawiliśmy przykrość jednej osobie. Wdowie. Bardzo głośnej wdowie.

– Niesamowite.

– Albo obrzydliwe.

– Niezła z ciebie Szeherazada – powiedział Buckley.

– Większość z nas jest dobrymi gawędziarzami – przyznała Cassie. – Jesteśmy mistrzami upokarzających historii.

– Mówiłaś, że skąd właśnie przyleciałaś? Wyleciało mi z głowy.

– Nie mówiłam.

– Aha. No to skąd przyleciałaś?

Niebywale proste pytanie. Odpowiedzią było jedno słowo. Dwie sylaby. A jednak Cassie nie potrafiła zmusić się do tego, by wypowiedzieć je na głos. Poczula się tak, jakby obudziła się w środku nocy w ciemnym pokoju i ktoś nagle włączył potężny reflektor.

– Z Berlina – skłamała. Miała w gotowości garść szczegółów, żeby w razie czego ubarwić tę historyjkę. Ale nie było takiej potrzeby.

– Ale ciągle lubisz tę pracę? – zapytał.

Odchyliła głowę, która po czwartym drinku zrobiła się dość ciężka. Być może przez to, że dopiero co skłamała, zapragnęła teraz powiedzieć coś prawdziwego, z czegoś się zwierzyć. Poczula nieodpartą potrzebę szczerości.

– Jeśli ktoś zaczyna w tak młodym wieku jak ja, wchodzi do tej branży prosto ze studiów, to z reguły dlatego, że przed czymś ucieka. Za wszelką cenę próbuje się wydostać, uwolnić. Dla mnie to nie była po prostu ścieżka kariery, pod pewnymi względami to nawet nie był wybór, tylko raczej droga prowadząca w nieznane.

– Droga ucieczki?

– Można tak powiedzieć.

– Przed czym?

Powoli zbliżała się pierwsza w nocy. Siedzieli obok siebie na stołkach przy barze, twarzą zwróceni do siebie. Cassie wyciągnęła rękę i uwodzicielsko zahaczyła samymi koniuszkami palców o przednią kieszeń jego spodni. Wypił na tyle dużo, że miał to lekko zamglone spojrzenie, które zawsze lubiła. Spodziewała się, że sama też wygląda na nieco już zamroczoną.

– Na skraju gór Cumberland w Kentucky jest takie małe miasteczko, nazywa się Grover's Mill. Nieźle, co?

– Gdzie dokładnie?

– Óóó. – Cassie pokręciła głową, szumiąc jak nocny wiatr. – To ja jestem Szeherazadą.

Buckley przytaknął bez słowa.

– Małe i ciche miasteczko – kontynuowała. – Niewiele się tam dzieje. Wyobraź sobie dziewczynkę z szóstej klasy. Ma ciemne blond włosy, które nosi spięte w kok, bo uważa się za tancerkę i niczego w życiu nie robi na pół gwizdka. Zawsze tak było i niestety zawsze tak już będzie.

– Przecież to ty.

– Na to wygląda. A dzisiaj są jej urodziny. I chociaż Grover's Mill nie ma za dużo do zaoferowania, mieści się tam mleczarnia, w której produkują lody. Naprawdę dobre lody, tak przynajmniej uważa nasza jedenastolatka. Mama dziewczynki ma pomysł na to, jak uczcić jej urodziny, ponieważ ich rodziny nie bardzo stać na prezenty, a poza tym ten dzień przypadł na sam środek tygodnia, więc nie ma mowy o żadnym przyjęciu. Oczywiście pewnie przyjęcia i tak by nie było, nawet gdyby urodziny wypadły w piątek albo w sobotę, bo nikt nie odważyłby się zaprosić innych dzieci do domu w weekend, kiedy istniała największa szansa, że tata będzie poważnie, imponująco wręcz nawalony. W każdym razie mama udaje się do tej mleczarni i kupuje wielki zapas ulubionego smaku córki.

– Malaga?

– Zabawne, ale nie. Ciasteczkowe z kawałkami czekolady. Kupuje aż dwa galony tych lodów. Wiesz, ile to kubelków? Szesnaście. Wstępuje do mleczarni, wracając do domu z pracy. Jest recepcjonistką w ponurej fabryce przewodów elektrycznych w niemal wymarłym miasteczku tuż obok Grover's Mill. I kupuje to dwugalonowe wiadro lodów, jak do jakiejś restauracji. Nawiasem mówiąc, nasza dziewczynka ma urodziny we wrześniu, a w tamtym roku był wyjątkowo ciepły wrzesień, można to łatwo sprawdzić.

– Wierzę ci.

Wcisnęła palce nieco głębiej w jego kieszeń i zaczęła delikatnie ugniatać jego udo.

– No więc mama wiezie te całe lody, plus trochę normalnych zakupów, w bagażniku. Przyjedzie do domu mniej więcej równocześnie ze swoim mężem. Nasza jedenastolatka już tam jest, klasyczna mała despotka z kluczem na szyi. Jej młodsza siostra, która ma osiem lat, poszła na swoje cotygodniowe spotkanie małych skautów. Ojciec odbierze ją po drodze z liceum, gdzie uczy WF-u i prowadzi kursy prawa jazdy. Gdy mama dojeżdża do ulicy, na której mieszkają,

zauważa radiowóz. Stoi może czterysta metrów od ich domu, zaparkowany, ale z zapalonymi światłami. I wtedy widzi swoją córkę.

– Ciebie. – Nawet wypowiedzenie tego krótkiego słowa kosztowało go nieco wysiłku, a to za sprawą Cassie, która przez cały czas dotykała go przez cienką warstwę materiału kieszeni.

– Nie, głuptasie. Jedenastolatka jest w domu, pamiętasz? Widzi tę drugą, ośmioletnią. Dziewczynka ciągle ma na sobie swoją harcerską szarfę z wszystkimi kolorowymi odznakami. A chwilę potem dostrzega dobitego dodge'a swojego męża, jasnoniebieskiego hatchbacka. Samochód jest owinięty wokół słupa telefonicznego. Mama zatrzymuje się, serce zamiera jej z trwogi. Ale na szczęście nikomu nie stała się krzywda. Jej mała córeczka jest w szoku, wystraszona, ale generalnie cała i zdrowa, ma tylko kilka siniaków na ramieniu. A mąż? Siedzi na tylnym siedzeniu radiowozu. W kajdankach. Pijany w sztok. Więc jedzie w ślad za policją do komisariatu i wykorzystuje ich wszystkie żalosne oszczędności, żeby wpłacić za niego kaucję. Trochę to trwa.

– Oczywiście.

– I zanim wreszcie uda się jej dotrzeć do domu z mężem pijakiem i słodką córeczką harcerczką, zanim zaparkuje na podjeździe i otworzy bagażnik, po całych tych lodach na urodziny drugiej córki nie zostanie ani śladu.

Buckley wysunął jej dłonie ze swoich kieszeni i objął je czule rękami.

– Ktoś ukradł lody? W komisariacie?

– Nie. Roztopiły się. Przeciekły przez kartonowe wiadro i przez papierową torbę. Część wsiąkła w tapicerkę bagażnika, a część po prostu chlupotała sobie w tę i z powrotem jak ten płyn w śnieżnej kuli.

– Boże, jakie to smutne.

Cassie uniosła brew. Jej ta opowieść wcale nie zasmuciła. Przeciwnie, czuła się teraz znacznie lepiej. Dobrze było wyrzucić to z siebie, to wspomnienie z miejsca, do którego już nigdy, przenigdy nie wróci. Zerknęła na stojącego za Buckleyem drugiego barmana, młodego mężczyznę ze srebrnymi kolczykami na całej długości ucha. Popatrzyła na neonowe napisy i białe światła nad pojemnikami z lodem za grubym mahoniowym kontuarem. I nagle zdała sobie sprawę, że się uśmiecha.

– Nie – odparła beztroskim tonem.

Buckley delikatnie głaskał grzbiet jej dłoni.

– Smutno jest, kiedy zając wielkanocny przychodzi w poniedziałek. To było dużo gorsze.

– Jak to możliwe?

Zawahała się. Jak długo może roztkliwiać się nad swoim dzieciństwem, zanim bezpowrotnie popsuje im obojgu humor? Ale zaraz potem stwierdziła, że nie będzie się niczym przejmowała, i brnęła w to dalej.

– Że zajączek wielkanocny przychodzi dzień po Wielkanocy? Jednego roku mój dziadek miał wylew i mama musiała natychmiast jechać do szpitala w Louisville. Nie było jej w piątek i sobotę, potem w samą Wielkanoc i w poniedziałek też. A mój tata... po prostu sobie z tym nie poradził. Ale miało to też swoje dobre strony. Następnego dnia wszystkie czekoladki i żelki trafiły do wyprzedaży, wiesz, ceny obniżone o połowę czy wręcz o dwie trzecie, więc nakupował mnie i mojej siostrze całą górę słodyczy, o wiele więcej, niż dostałybyśmy od zajączka.

Buckley zaczął całować koniuszki jej palców.

– To co? – zapytała. – Idziemy do mnie czy do ciebie?

Kiedy obudziła się rano, zobaczyła kawałek Empire State Building wypełniający pionową szczelinę pomiędzy zasłonami w oknie jej sypialni. Poczula leżącego obok siebie Buckleya i na moment wstrzymała oddech. Pamiętała, jak zaproponowała, żeby wyszli z baru i wrócili do domu – jego lub jej – postrzegając to jako swego rodzaju wyzwanie: przede wszystkim chciała się przekonać, czy rzeczywiście w okolicach czterdziestki stała się jakąś alkoholową zabójczynią uśmiercającą wszystkich mężczyzn, z którymi idzie do łóżka. To był jej prywatny test, rozmyślna prowokacja wymierzona w nią samą.

Buckley wypuścił powietrze i poruszył się, a Cassie poczuła przyływ nieopisanej, odurzającej ulgi. Położył rękę na jej biodrze i przyciągnął ją do siebie.

– Dzień dobry – mruknął. – Nie odwracaj się. Wyczuwam u siebie poważny przypadek nieświeżego oddechu świadczącego o porannym kacu.

– Ze mną pewnie jest nie lepiej – stwierdziła i wstała, żeby przynieść im po advilu. Wiedziała, że na nią patrzy.

– Wyglądasz pięknie nago – powiedział.

– To miło, że tak myślisz.

Przystanąła w łazience, żeby w lustrze popatrzeć na swoje przekrwione oczy i worki pod nimi. Nie czuła się piękna. Ale przynajmniej dzisiejszy kac to była drobnostka w porównaniu z tym, który przywitał ją tamtego ranka w Dubaju. Ciekawe, czy Buckley będzie miał ochotę pójść z nią na brunch. Miała nadzieję, że nie. Podobał się jej, ale naprawdę nie była teraz głodna. Prawdę mówiąc, prawie nigdy nie odczuwała głodu. Zupełnie jakby po wielu latach ostrego picia jej organizm zaczął się raczej domagać kalorii z alkoholu. Dlatego zapewne na obiad znowu zje zupę z puszki i stare krakersy.

Zastanawiała się, ile czerwonych tabletek ma mu zanieść. Nie wiedziała, czy jest podobny do niej i łyka je jak orzeszki, czy też zalicza się do ludzi, którzy robią wszystko zgodnie z instrukcjami na etykiecie, i będzie wołał zacząć od jednej. W końcu przyniosła do pokoju całą fiolkę oraz szklanekę wody. Rozsunęła zasłony, mrużąc oczy na widok skrzącego się w słońcu stożka na szczycie budynku New York Life, i wśliznęła się z powrotem do łóżka. Niebo za oknem przeciął samolot; najpierw leciał na północ, a potem odbił na wschód, w stronę lotniska LaGuardia.

– Jesteś głodna? – zapytał Buckley.

– Nie.

– Wydajesz się jakaś smutna.

– Wywnioskowałeś to po jednej sylabie? Nie, po prostu nie jestem głodna.

Słyszała, jak odstawia szklanekę i fiolkę na stolik nocny po swojej stronie łóżka.

– Kiedy jesteś w Niemczech, zaczynasz czasem dzień od jajek w sosie musztardowym?

– Nie. Nigdy. I dlaczego, na Boga, nagle przyszły ci na myśl Niemcy?

– Wczoraj byłaś w Berlinie.

– Ach. No tak.

– Chyba nie przepadasz za jajkami.

– Na pewno nie z musztardą.

– Są gotowane na twardo. I naprawdę pyszne – obstawał przy swoim Buckley. – Podoba mi się twoje mieszkanie – dodał, zmieniając temat.

Cassie marzyła o tym, żeby znów odnaleźć w sobie kobietę, którą była wczorajszej nocy. Tę, która tańczyła bosą i chciała sprawić przyjemność temu miłemu młodemu aktorowi.

Tę, której nie odrzucała myśl o śniadaniu i jego uwagi na temat jajek na twardo. Ale ta osoba rano nie istniała. W ogóle prawie nie istniała na trzeźwo. Było wręcz coś fascynującego w tym, jak szybko wyparowało jej postanowienie, że od teraz kończy z alkoholem – trochę jak cienka warstwa lodu na stawie w Kentucky pod koniec stycznia, znikająca bez śladu z dnia na dzień. A jednak w głębi serca wiedziała, że dzisiaj nie będzie pić. Tak to nie działa. Pożegna się z Buckleyem, potem wstąpi do schroniska dla zwierząt, żeby pozajmować się biednymi, przygnębionymi kotami – nowo przybyłymi znajdami, które zostały z jakiegoś powodu porzucone przez właścicieli i teraz musiały nauczyć się żyć w klatce, w dziwnym, głośnym świecie – a później zakończy dzień na siłowni. Teraz, gdy jej organizm znowu przestawił się na czas wschodni, postanowiła, że wieczorem zamknie się w swoim bezpiecznym kokonie – będzie czytać i oglądać telewizję, z nikim się nie spotka. I będzie jej z tym dobrze. Tak zleci jej czas do wtorku. A potem, razem z załogą pełną obcych ludzi – na pokładzie nie będzie nawet Megan ani Shane’a – polecą do Włoch. W sierpniu ma w rozkładzie rejsy do Rzymu i Sztambułu. Oba to bezpośrednie loty z JFK. Żadnego Dubaju.

– Mogę ci coś powiedzieć? – zapytała. Musiała go jakoś przepłoszyć, żeby spokojnie zająć się resztą dnia i, co ważniejsze, resztą swojego życia.

– Jasne. Ale zapowiada się groźnie. Czy to będzie równie smutne jak tamte roztopione lody?

– Nie. Może. Nie jestem pewna. Jeszcze nie wiem, co ci chcę powiedzieć.

– Wow. Brzmiało, jakbyś miała coś na myśli. Zwykle kiedy ktoś zaczyna od: „Mogę ci coś powiedzieć?”, chce się do czegoś przyznać albo ma do przekazania jakiejś konkretnej wiadomości.

Cassie wciąż leżała na boku. Podciągnęła kolana do brzucha, a dłonie złożone jak do modlitwy wsunęła pod poduszkę.

– Po prostu myślałam o tym, co będę robić dzisiaj po południu. Przede wszystkim muszę się wybrać do schroniska dla zwierząt. Uwielbiam tam chodzić. Zawsze to robię, kiedy jestem w mieście, bo w dzieciństwie mama nie pozwalała

mi trzymać w domu zwierząt, a teraz mam taką pracę, że prawie cały czas jestem w rozjazdach, dlatego też nie mogę sobie na to pozwolić.

Chwilę temu Buckley podniósł się, żeby połknąć tabletkę i popić wodą. Cassie była do niego odwrócona plecami, ale miała poczucie, że cały czas ją obserwuje. Pewnie siedział oparty na łokciu i patrzył na nią w milczeniu.

– To znaczy, mieliśmy jedno zwierzę, kiedy byłam mała. Bardzo mała. Mieliśmy psa. Rodzice wzięli go, jeszcze zanim się urodziłam. Kilka lat wcześniej. Ale kiedy miałam pięć lat, ojciec przejechał go samochodem. Pies był już stary i spał w trawie przy podjeździe, a tata tego dnia wrócił do domu tak pijany, że nie trafił na chodnik i dosłownie po nim przejechał.

Nie potrafił go, tylko zmiażdżył. No i potem już nie mieliśmy żadnych zwierząt. Mama bała się, że też mogłoby im się coś stać.

Pamiętała, jak rodzice się o to kłócili – o koty i o psy. Ona z siostrą zaczynały płakać, tata coś bełkotał, próbując w ich imieniu negocjować z matką. I zawsze ponosił porażkę. Czy mógł czuć się zdominowany przez żonę? Teraz wydawało się to jej całkiem prawdopodobne. Matka powiedziała kiedyś, że gdyby ojciec przestał pić, mogliby się zastanowić nad kotem albo psem, ale na to nie ma co liczyć, nawet po tym, jak zatrzymano go za prowadzenie samochodu pod wpływem, a szkoła zwolniła go ze stanowiska instruktora jazdy (ku powszechnemu zdumieniu nadal pozwalano mu uczyć WF-u). Cassie jako dziecko widziała jedynie niesprawiedliwość matczynego zarządzenia. Odbierała to tak, jakby to na nią i jej siostrę spadła kara za złe zachowanie ich ojca.

– To naprawdę urocze, że w swój wolny dzień chcesz iść do schroniska – powiedział Buckley.

– Robię to chyba głównie dla siebie.

– No i dla nich.

– Powinam się ubrać – stwierdziła.

– Czy to aluzja?

– Tak.

– Rozumiem. Wiesz, jeśli chcesz, żebym sobie poszedł, są na to prostsze sposoby niż rozgrzebywanie makabrycznego wspomnienia o zabitym psie. Podchodzę do tych spraw na dużym luzie, zapewniam cię.

Nadal nie odwróciła się w jego stronę.

– Och, ja nigdy niczego nie robię w prosty sposób.

– Nie?

– Nie. – Umilkła na moment, po czym dodała: – Ty na pewno też masz różne rzeczy do załatwienia, prawda?

Poczuła, jak stawia nogi na podłodze. Spodziewała się, że wstanie, ale tego nie zrobił. Siedział tak przez dłuższą chwilę, a potem odezwał się łagodnym głosem:

– Chcę tylko, żebyś wiedziała, że zazwyczaj tego nie robię. Nie śpiam z nieznanymi, kiedy jestem w trasie albo gram w teatrze w innym stanie. Ani kiedy jestem tu, w mieście.

Westchnęła.

– Ja owszem.

– Wiesz co, z tych wszystkich rzeczy, które powiedziałaś mi w ciągu ostatnich dwunastu czy ilu tam godzin, to było zdecydowanie najsmutniejsze.

Po tych słowach wreszcie wstał. Pozbierał swoje ubrania z podłogi pod szafą, a ona mogła jeszcze raz rzucić okiem na jego prężne ciało. Potem słyszała, jak idzie do łazienki, żeby przemyć wodą twarz, i w końcu wychodzi z mieszkania. A ona dalej leżała z rękami pod poduszką i z podkurczonymi nogami. Starła się być cicha i nieruchoma jak trup.

W nocy płakała. Próbowała sobie wmawiać, że to przez koty. Zawsze chwyciły ją za serce. Te trzynastoletnie tygryski, które mieszkały razem całe życie, a nagle trafiły do schroniska, bo ich właścicielka znalazła sobie nowego chłopaka, a on upierał się, że jest uczulony. Albo ten rudopomarańczowy, wyrzucony, ponieważ jego rodzina się przeprowadzała. Ważył pewnie z dziesięć kilo – same mięśnie – a teraz nie miał ochoty nawet unieść łba i wychynąć z klatki. Widziała też chude jak szczapy czarne koty zabrane jakiejś starej wariatce – jeden miał odgryzione pół ucha, a wszystkie przyjechały całe pokryte pchłami i kleszczami.

Zbyt przygnębiona, żeby iść na siłownię, wstąpiła tylko do księgarni i zaczęła przeglądać tytuły na półkach, zatrzymując się na dłużej przy regałach z Czechowem, Puszkinem i Tołstojem. Myślała o tym, żeby kupić sobie kolekcję Turgieniewa, ponieważ Alex coś o nim wspominał, a ona nigdy go nie czytała, ale w sklepie mieli jedynie powieść *Ojcowie i dzieci*, której tytuł akurat tego dnia wydał

się jej wyjątkowo mało atrakcyjny. Ostatecznie zdecydowała się na jeden z cieńszych tomów Tołstoja (cieńszych jak na niego, bo i tak liczył prawie czterysta stron), głównie dlatego, że pierwsze opowiadanie w zbiorze nazywało się *Szczęście rodzinne*. Podejrzewała, że tytuł ma pewnie ironiczny wydźwięk, ale zawsze można mieć nadzieję.

Jednak w domu szybko przekonała się, że ten zakup to był najgorszy wybór (co być może nie powinno tak bardzo dziwić, zważywszy na jej naturalną skłonność do dokonywania złych wyborów). A w każdym razie pierwsze opowiadanie zaczynało się dość kiepsko, jeśli spojrzeć na nie w kontekście historii jej własnej rodziny. Już na pierwszej stronie narratorka, siedemnastoletnia kobieta imieniem Masza, oznajmia, że jest w żałobie po swojej matce. Cassie też była nastolatką, kiedy zmarła jej matka. Do tego Masza ma również młodszą siostrę. Na czwartej stronie Cassie poddała się, odłożyła książkę na bok i chwyciła za szczotkę do ubrań, żeby usunąć ślady wizyty w schronisku. Ale nie przebrała się. I przez cały wieczór nie wzięła do ust alkoholu. Ani kropelki.

Była więc nadal ubrana, trzeźwa i smutna, kiedy odebrała telefon od człowieka, który przedstawił się jako Derek Mayes. Nie mogła skojarzyć nazwiska, więc założyła, że to jakiś były kochanek, może ktoś poznany na Tinderze, kto nie zrozumiał, że chodziło jej tylko o jednorazową przygodę i nie zamierzała się z nim więcej spotykać, ale nie powiedziała tego wprost, bo nie chciała zranić jego uczuć.

– Jestem ze związku – wyjaśnił ostrym tonem mężczyzna mówiący z lekkim nowojorskim akcentem. Powiedział, że skontaktowały się z nim dwie inne osoby z załogi lotu do Dubaju i zdążył się już spotkać z jedną z nich: Megan Briscoe. Następnie odezwał się do FBI i stało się oczywiste, że powinien porozmawiać także z Cassie, aby przekazała mu wszystko, co wie na temat pasażera, który zajmował miejsce 2C.

– Chcę się dowiedzieć, co naprawdę zaszło między nim a panią podczas rejsu oraz co naprawdę wydarzyło się w Dubaju – zakończył.

Cassie zaczęło dzwonić w uszach i nogi się pod nią ugięły. Przeszło jej przez myśl, że być może to właśnie ten moment – a nie kiedy obudziła się obok martwego, zimnego ciała Alexa Sokolova – wyznaczy rzeczywistą cezurę, która podzieli całe jej życie na „przed” i „po”. Już zawsze, stwierdziła nagle z przeraźliwą pewnością, będzie rozpamiętywać tę chwilę, dostrzegając w niej wyraźnie punkt, w którym wszystko zaczęło się walić.

Część druga

SPALIĆ MIKROFILMY

FEDERALNE BIURO ŚLEDcze

Formularz FD-302 (ocenzurowany): MEGAN BRISCOE, STEWARDESA

DATA: 28 lipca 2018

MEGAN BRISCOE, data ur. --/--/----, nr ubezpieczeniowy społ. -----, nr tel. (--) -----, została przesłuchana przez regularnie wylegitymowanych agentów specjalnych ANNE McCONNELL i BRUCE'A ZIMMERUSKIEGO na LOTNISKU MIĘDZYNARODOWYM JFK niezwłocznie po wylądowaniu jej samolotu na terenie USA.

McCONNELL prowadziła przesłuchanie; ZIMMERUSKI sporządzał niniejsze notatki.

Otrzymałszy pouczenie dotyczące charakteru przesłuchania, BRISCOE przekazała następujące informacje.

BRISCOE zeznała, że pracuje dla linii lotniczych od 24 lat. Przedtem pracowała przy obsłudze gości w hotelach sieci DOVER STAR w Waszyngtonie, Baltimore i Pittsburghu.

BRISCOE zeznała, że miała bardzo niewielki kontakt z ALEXANDREM SOKOLOVEM podczas lotu nr 4094 – pasażer był obsługiwany przez drugą stewardesę CASSANDRĘ BOWDEN. Wydawało się jej, że BOWDEN i SOKOLOV flirtowali ze sobą, ale jej zdaniem BOWDEN „zawsze flirtuje”. W przeszłości widywała, jak BOWDEN flirtuje z pasażerami podczas innych rejsów. BRISCOE wyjaśniła, że ona i BOWDEN są przyjaciółkami i czasami ustawiają sobie harmonogram tak, aby latać razem. Chociaż obecnie mieszka w Wirginii, jej bazą pozostaje LOTNISKÓ JFK.

Nie wiedziała, o czym mogli rozmawiać BOWDEN i SOKOLOV.

Na pytanie, czy ona i BOWDEN widziały się w Dubaju, odpowiedziała, że nie. Powiedziała, że załoga lotu liczyła trzynaście osób, które podzieliły się na mniejsze grupy, co jest standardową praktyką. Ona sama poszła na kolację do japońskiej restauracji z JADĄ MORRIS, SHANE'EM HEBERTEM i VICTORIĄ MORGAN.

BRISCOE nie wyjaśniła, dlaczego nie zjadła kolacji ze swoją przyjaciółką CASSANDRĄ BOWDEN.

Rozdział 7

Matka Eleny zawsze miała psy rasy corgi. Aktualnie posiadała trzy, a jeden był bezpośrednim potomkiem dwóch psów z czasów, gdy rozwodziła się z ojcem Eleny. Nauczyła je przynosić antyczny srebrny dzwonek stylizowany na cebulowate kopuły zdobiące sobór Wasyla Błogosławionego w Moskwie czy cerkiew Zbawiciela na Krwi w Petersburgu. Pochodził z czasów sprzed pierwszej wojny światowej, a tym samym sprzed rewolucji. Według sprzedawcy antyków mógł nawet kiedyś należeć do samych Romanowów. (Elena podejrzewała, że kłamał, jej matka zresztą chyba też. Ale to nigdy nie powstrzymało jej matki przed opowiadaniem, że dzwonek stanowił niegdyś część wyposażenia Pałacu Zimowego). Gdy psy biegły do niej przez całą długość położonego niedaleko Kremla mieszkania, które samo było rozmiarów pałacu, ich pazury głośno stukwały o drewniane podłogi. Jeśli akurat siedziała, stawały na tylnych łapach, a przednie opierały o jej kolana, dokładnie tak, jak je uczyła; mogła się wtedy poczuć jak dama z pieskiem z opowiadania, tyle że w sztafażu oligarchicznego przepychu.

Zwierzęta podróżowały razem z nią samolotem, który kupiła sobie po rozwodzie. Miała tam zainstalowane na siedzeniach specjalne uprząże zapewniające psom bezpieczeństwo podczas lotu. Zarówno szelki dla psów, jak i pasy dla ludzi, przy fotelach inspirowanych stylem art déco, były obszyte tym samym futrem z norek.

Matka Eleny nie wyszła powtórnie za mąż. Jej ojciec też się nigdy więcej nie ożenił. Czasami Elena widywała swoją matkę w rubrykach towarzyskich i plotkarskich w wieczorowej sukni z kaskadami biżuterii spływającymi z uszu i szyi, i z jakimś moskiewskim rekinem finansowym u boku. Albo w mediach społecznościowych pojawiała się fotka, którą ktoś pstryknął jej w Teatrze Bolszoi czy w ogrodzie botanicznym.

Wiedziała, że po rozwodzie jeden z przyjaciół ojca zaproponował mu otrucie psów. Teraz ten dżentelmen doradzał syryjskiemu rządowi w Damaszku.

Przedtem, w 2013 roku, pomagał Asadowi ukryć zapasy sarinu, podczas gdy międzynarodowi obserwatorzy nadzorowali niszczenie pozostałej części chemicznego arsenału Syrii. Ale ojciec Eleny wcale nie chciał mordować tych zwierząt. W przeciwieństwie do niektórych z jego przyjaciół – a teraz zapewne także jej – nie aprobował przypadkowych ofiar czy też zabijania cywilów.

Elena podejrzewała, że odziedziczyła tę cechę po nim. Z pewnością był to jeden z powodów, dla których ta stewardesa wciąż żyła. Pod pewnymi względami jej matka miała dużo głębiej zakorzeniony instynkt zabójcy niż ojciec. Dowód rzeczowy? Warunki ugody rozwodowej. Ta kobieta była bezlitosna.

Z kolei matka Eleny szybko zdała sobie sprawę, że jej latorośl jest typową córeczką tatusia – choć raczej nie mogło się to skończyć inaczej, zważywszy na jej własny brak zainteresowania kwestiami związanymi z wychowaniem dziecka. A może taki był plan od początku. Jej matka odwiedziła ją zaledwie jeden raz, kiedy jako nastolatka uczyła się w Szwajcarii, i ani razu nie pojawiła się w Bostonie, gdy Elena chodziła tam do college'u. Prawdę mówiąc, Elena nie widziała matki od lat i właściwie wcale za nią nie tęskniła. Nie przypuszczała też, aby jej matka tęskniła za nią.

Jeszcze raz spojrzała na moskiewską gazetę, którą otworzyła kilka minut temu. Kolejne akty przemocy w Doniecku. Ponownie wzrasta wartość rubla. Amerykanie przeprowadzili w Jemenie atak za pomocą dronów. Elena wiedziała, że to ten ostatni temat najprędzej przyciągnie uwagę Viktora – USA i Chiny wciąż były jedynymi krajami na świecie, które skutecznie wprowadziły do użytku drony bojowe, a Chińczycy znajdowali się w tej dziedzinie daleko w tyle za Amerykanami. To między innymi dlatego Rosja tak chorobliwie zazdrościła pozostałym mocarstwom ich bezzałogowych statków, a rosyjski wywiad wojskowy miał obsesję na punkcie amerykańskiego programu badawczego. I to dlatego Viktor tak dużo czasu spędzał z producentem dronów z Emiratów Arabskich. ISIS używało zabawkowych maszyn w charakterze improwizowanych ładunków wybuchowych. A gdyby drony odrzutowe czy niewykrywalne dla radarów przenosiły broń chemiczną?

Kiedy dopijała herbatę, przypomniła sobie samowar ojca, unikatowy, z tombaku i brązu. Należał kiedyś do jego prababki i jakimś cudem pozostał w rodzinie przez te wszystkie lata. Przetrwał rewolucję i wojnę światową, przetrzymał Stalina, Malenkowa i Chruszczowa. Teraz stał w domu u jej matki.

Oczywiście. Ta kobieta zdołała odebrać ojcu wszystko – nawet samowar, którego rodzinie Orłowów nie byli w stanie wydrzeć ani bolszewicy, ani naziści.

Rozdział 8

Cassie umówiła się na śniadanie z przedstawicielem związków w bistro na rogu 26 i 3 Ulicy. Derek Mayes miał nad oczami grube, przyprószone siwizną brwi przypominające gąsienice, pod nimi okulary w szylkretowych oprawkach i twarz z zaczątkami podwójnego podbródka. Był prawie całkiem łysy, a na niebieskiej marynarce z kory, pasującej do koloru oczu, miał plamy z miejskiego pyłu. Na grubym palcu tkwiła równie gruba obrączka ślubna. Na oko dobijał do siedemdziesiątki.

– Przejrzałem pani dokumentację – powiedział znad talerza z jajecznicą, smażonymi ziemniakami i bekonem. Cassie zamówiła miskę płatków owsianych, bo po pierwsze, nie była zbyt głodna, a po drugie, z nerwów zrobiło się jej lekko niedobrze. – Była pani w załodze niesławnego lotu z Hugo Fournierem na pokładzie.

– No tak.

– Naprawdę narobiliście sobie wtedy kłopotów. Wstawić trupa do łazienki? Wdowa była nieźle wkurzona. Boże, co za PR-owy koszmar dla linii lotniczych. I dla związku. Pamięta pani program Conana O'Briena? Artykuł w „New York Post”? Komicy wygrzebali wszystkie obraźliwe, seksistowskie określenia, typu „latawica”, jakby znowu były lata sześćdziesiąte i stewardesy musiały być przede wszystkim seksowne.

– Tak działa seksizm. Zresztą mężczyźni ten problem też dotyczy, wystarczy wspomnieć boyów hotelowych, którzy przecież nie są żadnymi chłopcami.

Pokiwał głową.

– W każdym razie ja właściwie nie uczestniczyłam w dyskusji o tym, co zrobić z ciałem.

– Wiem. W przeciwnym razie spotkalibyśmy się już wtedy. Ale stanęliśmy murem za tą kierowniczką i wszystko dobrze się skończyło. I to nie była sprawa kryminalna.

– W przeciwieństwie do tej.

– Dokładnie. Przynajmniej tak to wygląda. To typowe dla FBI. Nie kontaktują się ze związkiem, nie mówią, żeby załatwić sobie prawnika. Szału można dostać. Skoro planowali czekać na wasze lądowanie, to powinni byli nas najpierw uprzedzić. Moglibyśmy wtedy dopilnować, żeby ktoś był z wami podczas przesłuchania.

– Będzie się pan spotykał z wszystkimi członkami załogi tego lotu?

– O tak – odparł niemal ze śmiechem. – Widzi pani, każda osoba, którą ten człowiek napotkał w ciągu ostatnich kilku dni, znajduje się teraz w kręgu podejrzeń. Nieważne, czy w Dubaju, czy w Ameryce, ktoś będzie chciał porozmawiać z wszystkimi gośćmi hotelowymi, konsjerżami, kelnerami i, rzecz jasna, z wszystkimi członkami obsługi lotu, słowem z każdym, kto mógł mieć z nim styczność. Każdym bez wyjątku. Oczywiście tak naprawdę martwią mnie tylko pani, Megan i Jada. Wasza trójka.

– Dlatego że...

– Dlatego że to wy obsługiwałyście kabinę pierwszej klasy, a zatem miałyście bezpośredni kontakt z Sokolovem.

– I mówi pan, że obie już do pana dzwoniły?

– Otóż to. Pani też powinna była to zrobić.

Cassie poczuła się skrytykowana.

– Mieszka pan w mieście? – zapytała. Nie była pewna, czy powinna przeprosić za to, że nie odezwała się do związku w sobotę. Ale po rozmowie z Frankiem Hammondem z FBI, który w ogóle nie pytał o jej pobyt w Dubaju, poczuła taką ulgę, że nie przyszło jej to nawet do głowy. Była w zbyt wielkim szoku, bo wyglądało na to, że wszystko może jednak ujść jej na sucho.

Mayes pokiwał głową, przeżuując jedzenie.

– Mieszkam jakieś dziesięć przecznic na południe stąd. Zawsze myśleliśmy z żoną, że przeniesiemy się na Long Island, kiedy pojawią się dzieci, ale nigdy się nie pojawiły, więc zostaliśmy. Naprawdę lubimy tę okolicę. Jest tam dużo dzieciaków z Uniwersytetu Nowojorskiego. To nas odmładza.

– Ja też lubię tę część miasta. Zwłaszcza we wrześniu, kiedy przyjeżdżają studenci pierwszego roku. Są tacy młodzi.

– I z każdym rokiem coraz młodszy – odparł z uśmiechem.

– No więc co powiedziała Megan? Albo Jada? – Cassie musiała błędzić po omacku. Na razie omówili z Derekiem to, jak trafiła do linii lotniczych, ale tak naprawdę jedyne, co wyjawiała, to że udało się jej ukończyć Uniwersytet Kentucky dzięki pomocy finansowej oraz dodatkowej pracy w centrali telefonicznej uczelni. Dwie noce w tygodniu, od północy do ósmej rano, obsługiwała konsolę, która u progu XXI wieku wydawała się już prawdziwym antykiem. O tej porze rzadko ktoś dzwonił, więc jej głównym zajęciem było powiadamianie straży uniwersyteckiej, kiedy studenci zgubili klucz i nie mogli się dostać do swojego pokoju albo kiedy studentki chciały, żeby ktoś je odwiózł bezpiecznie do akademika. Przez większość czasu pisała zaległe wypracowania i zamartwiała się o młodszą siostrę, która do ukończenia liceum mieszkała z rodziną zastępczą. Jak na ironię, na studiach Cassie w ogóle nie piła, chociaż tak wielu jej rówieśników żywiło się wówczas głównie beczkowym piwem i winem z kartonu.

Mayes otarł usta i palce papierową serwetką.

– Powiedziały, że ledwo zamieniły z nim słowo. Tylko „dzień dobry” i „do widzenia”. Jada mówiła, że chyba zaniósła mu pieczywo w trakcie lunchu i zaproponowała dodatkową bułkę. Możliwe też, że zapytała, czy woli gazetę angielską czy francuską. Ale zapytane o to, obie twierdziły, że pani sporo z nim rozmawiała.

– Dlaczego pan o to pytał?

– Bo musiałem wiedzieć, kto się nim zajmował i najwięcej z nim rozmawiał. I obie wskazały na panią. Według Jady on wręcz panią podrywał.

Przez chwilę Cassie nic nie mówiła. Na szczęście Jada powiedziała Mayesowi, że to Alex ją zagadywał, z czego wynikało, że on zwracał większą uwagę na nią niż ona na niego. Prawda leżała bardziej pośrodku. Zastanawiała się, czy to jest właśnie chwila, w której powinna się do wszystkiego przyznać? Powiedzieć temu człowiekowi, że potrzebuje prawnika i pomocy ze strony związku? Że gdzieś na świecie jest kobieta imieniem Miranda, która mogła mieć coś wspólnego z funduszem hedgingowym Alexa, a którą widziała tamtej nocy w jego apartamencie w Royal Phoenician? Ale dała tej chwili przeminąć, tak samo jak przepuściła każdą wcześniejszą okazję. Derek Mayes chciał jej pomóc, nie było jednak między nimi mowy o żadnej poufności, tajemnicy zawodowej, którą respektowałby sąd. Cokolwiek by mu powiedziała, mogłoby zostać wykorzystane przeciwko niej.

– Wszystko, co wiedziałam, przekazałam FBI zaraz po wylądowaniu – stwierdziła stanowczo. – Nie było tego wiele, to prawda. Ale on był po prostu jednym z wielu pasażerów podczas zwyczajnego lotu.

– I tak, i nie.

Cassie czekała. Miała ochotę odchylić się na siedzeniu i złożyć ręce na piersi, ale w ostatniej chwili się powstrzymała. Kelnerka dołała im kawy, a Mayes dodał sobie do kubka resztkę mleka z blaszanego dzbanuszka.

– Co to znaczy? – odezwała się w końcu.

– Dla pani to był po prostu kolejny lot i kolejny pasażer – zaczął ostrożnie, a Cassie odrobinę się rozluźniła. Wyglądało na to, że w dalszym ciągu nikt nie wie o jej relacji z Alexem. – Ale nie wydaje mi się, żeby on był zwykłym finansistą. Wczoraj dużo się działo, dużo więcej, niżbym sobie życzył w niedzielę w środku lata. Ci z FBI będą chyba chcieli jeszcze raz z wami porozmawiać.

– Z całą załogą? – upewniła się. W ustach jej zaschło i słyszała drżenie własnego głosu.

– Z całą.

– FBI tak powiedziało?

– Tak.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Nic więcej się od nich nie dowiedziałem. – Mayes nachylił się i dodał konspiracyjnym tonem: – Fakty są takie, że podczas lotu to pani spędziła z tym gościem najwięcej czasu.

– No i?

– Siedział w pierwszej klasie, w pani sektorze. To pani go obsługiwała. Proszę mnie źle nie zrozumieć, pozostałe stewardesy wcale nie próbują pani w nic wkopać. Ale zarówno Megan, jak i Jada stwierdziły, że pani i on ucinaliście sobie pogawędkę za każdym razem, gdy przyniosła mu pani kieliszek wina albo dołała kawy. O wiele więcej uwagi poświęcała pani miejscu 2C niż, dajmy na to, 4C.

– To nieprawda.

– Nie gawędziliście ze sobą?

– Nie.

Mayes wzruszył ramionami.

– A gdyby to nawet była prawda, dlaczego to miałby być jakiś problem?

– Ja tylko okazywałam mu uprzejmość.

– Mówię poważnie, Cassie. Przyjmijmy, że nawet flirtowałaś sobie z tym facetem. Co w tym złego?

– To byłoby nieprofesjonalne.

Roześmiał się w mało życzliwy sposób.

– O tak, stewardesy nigdy nie flirtują z pasażerami ani z pilotami. Nigdy – dodał, przewracając oczami. – Wiesz, jak wysoki jest współczynnik rozwodów w twoim zawodzie. Nic dziwnego, że piloci i stewardesy najczęściej żenią się ze sobą nawzajem. Cały czas jesteś z dala od domu, ze wszystkimi flirtujesz, sypiasz po hotelach. I do tego...

– Co?

– I nikt cię nie rozumie z wyjątkiem kolegów po fachu. Nikt inny nie zdaje sobie sprawy, jaki to dziwaczny tryb życia. Nikt inny nie byłby nawet w stanie zrozumieć.

Cassie westchnęła.

– To nieuniknione, że ludzie z branży często wiążą się ze sobą. W końcu razem pracujemy. Jestem pewna, że w agencjach reklamowych wygląda to tak samo, a prawnicy też się pobierają między sobą. W każdym zawodzie romansuje się z ludźmi z pracy.

– Tak, ale wy wcale nie pracujecie cały czas razem. W tym właśnie rzecz. Prawie nigdy nie zdarza się, żeby w załodze byli ciągle ci sami ludzie. To znaczy, ty i Megan jesteście kumpelami i czasem bierzecie te same rejsy, zdaje się, że ona i Shane robią tak samo. Ale w tym samolocie do Dubaju było dziesięć osób obsługi, a siedem z nich spotkało się po raz pierwszy i być może już nigdy więcej na siebie nie trafią. A jeśli tak, to za kilka lat. A przecież mówimy tylko o obsłudze. Teraz dodajmy do tego ludzi w kabinie. Kiedy następnym razem będziesz lecieć z którymkolwiek z tych pilotów? Może za rok? Za dwa? Za dziesięć? Nie, Cassie, przykro mi, ale nie masz racji. Wy wcale ze sobą nie pracujecie.

– Do czego to zmierza? Myślałam, że chce mi pan pomóc.

– Chcę. I właśnie dlatego muszę być pewny, że ten cały Sokolov nie powiedział ci czegoś ważnego albo że nie dowiedziałaś się o nim czegoś, co powinnaś przekazać prawnikowi albo ludziom z FBI.

– Nie.

– Bo w FBI wiedzą już, że flirtowałaś z nim podczas lotu. I wiedzą, że tamtego wieczoru w Dubaju nie jadłaś kolacji z nikim z załogi, łącznie z twoją przyjaciółką Megan. Skoro ja się tego dowiedziałem z moich krótkich rozmów, to oni tym bardziej, z przesłuchań przeprowadzonych po waszym lądowaniu.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

– Może wcale nie ma. Ale tak na wszelki wypadek: czy chcesz mi jeszcze coś powiedzieć na temat tamtej nocy w Dubaju?

– Położyłam się spać.

– W hotelu zarezerwowanym przez linie?

– Tak!

– Wyszłaś coś zjeść?

– Nie – odparła, ale w tej samej chwili przyszło jej do głowy, że powiedziała to zbyt szybko, bo w restauracji na pewno byli świadkowie. Od razu domyśliła się jednak, że następne pytanie będzie dotyczyło jedzenia w hotelu – i miała rację.

– Czyli zamówiłaś sobie coś do pokoju?

– Nie.

– W ogóle nie jadłaś?

– Nie czułam się za dobrze. Zjadłam trochę orzeszków z barku. I szybko zasnęłam. – Cassie nie wyobrażała sobie, żeby ktokolwiek był w stanie to sprawdzić. Jak szczegółowo hotele mogą kontrolować zawartość barków w swoich pokojach?

– Więc nie wychodziłaś z hotelu?

– A ktoś mówił, że wychodziłam?

– Ja nic takiego nie słyszałem.

– No to w porządku.

– Ale według dwóch pracownic linii lotniczej, które były razem z tobą na pokładzie, podczas lotu flirtowałaś z Alexem Sokolovem. A potem, jak się okazuje, przez cały wieczór nie spotkałaś się z nikim z załogi. Nikt cię nie widział. Po prostu zniknęłaś...

– Byłam w swoim pokoju! – warknęła, nie dając mu dokończyć. Ponad ramieniem Mayesa zobaczyła, że jej wybuch zaalarmował dwóch starszych panów

jedzących śniadanie przy sąsiednim stoliku; obaj unieśli głowy i obrócili je, jak dwa puchacze.

Mayes podniósł pojednawczo ręce i oparł się na krzesło.

– Rozumiem – powiedział. – Ale nie możemy wykluczyć, że FBI będzie chciało rozmawiać z pasażerami, którzy siedzieli w pobliżu Sokolova, i zapewne co najmniej jeden z nich powie, że odnosiliście się do siebie bardzo serdecznie. Jeszcze nie wiem, czy Sokolov pochodził z jakiejś bogatej rodziny z koneksjami, czy też może po prostu nie był tym, za kogo się podawał. Nie wiem, po co naprawdę pojechał do Dubaju. Może rzeczywiście chodziło tylko o spotkanie z inwestorami. Tak czy inaczej, to jeszcze nie koniec tej historii, dlatego chcę, żebyś zrobiła teraz trzy rzeczy, dobrze?

– No dobrze, słucham. – Cassie miała nadzieję, że jej strach da się wziąć za zwykłą irytację.

– Znajdź sobie prawnika.

– Nie stać mnie na prawnika! – odparła, chociaż wyraźnie pamiętała, jak w apartamencie w Dubaju przyrzekała, że natychmiast go sobie załatwi, jeśli tylko uda się jej wrócić do Ameryki. – Ledwo stać mnie na czynsz. Wie pan, ile zarabiam. Jestem spłukana. Wszyscy jesteśmy bez grosza, wszyscy potrzebujemy więcej, niż mamy.

– To tak samo jak każdy. Spokojnie, pomogę ci znaleźć takiego, na którego będzie cię stać. To żaden problem. Od tego tu jestem.

– Niczego nie obiecuję, bo nadal nie rozumiem, po co mi prawnik. Co poza tym?

– Po drugie, chcę, żebyś informowała mnie na bieżąco o dalszym rozwoju wypadków. Podkreślam jeszcze raz: to po to, żebyśmy mogli ci pomóc.

– Niech będzie.

– I po trzecie, kiedy tylko zadzwoni do ciebie jakiś dziennikarz, chcę, żebyś natychmiast dała mi o tym znać.

Cassie nie przyszło wcześniej na myśl, że może się do niej odezwać ktoś z mediów. Ale teraz uświadomiła sobie, że naiwnie byłoby zakładać inaczej. Oczywiście, że ktoś będzie chciał z nią porozmawiać, zwłaszcza jeśli Sokolov pochodził z prominentnej rodziny albo tak naprawdę wcale nie był szefem funduszu hedgingowego.

– Jasne, mogę to zrobić – zgodziła się. I być może powodowana widmem kamery telewizyjnej wycelowanej w jej twarz albo widokiem egzemplarza „New York Post”, który właśnie czytał jakiś mężczyzna przy innym stoliku, dodała: – A jeśli zna pan jakiegoś prawnika, to będę bardzo wdzięczna. Taniego, ale dobrego. Proszę mi powiedzieć jedną rzecz.

– Słucham.

– Jeśli Sokolov tak naprawdę nie był finansistą, to kim? Szpiegiem?

– Miał pracę, która wymagała częstego jeżdżenia po świecie. To świetna przykrywka dla wielu różnych zajęć.

– Czy to znaczy, że zgadłam? Mógł być amerykańskim szpiegiem?

– Albo rosyjskim. Albo niemieckim. Albo izraelskim. Albo południowoafrykańskim. Nie wiem. Może był jakimś pośrednikiem czy kurierem.

Cassie przypomniała sobie kupioną wczoraj książkę.

– Lubił podkreślać swoje rosyjskie DNA, przynajmniej do pewnego stopnia. – Wypowiadając słowo „DNA”, po raz kolejny poczuła nieprzyjemne ukłucie. Szminka. Szminka, którą zgubiła gdzieś w Dubaju, może nawet w pokoju 511. Wyobraziła sobie, jak technik policyjny podnosi ją szczypcami z podłogi i wrzuca do przezroczystej plastikowej torebki. Szminka niczym dymiący pistolet znaleziony na miejscu zbrodni.

I było coś jeszcze: balsam do ust. Z logo linii lotniczej. Niby nic specjalnego, ale lubiła go i często używała. Miał kokosowy zapach. Kiedy w Dubaju opróżniała torbę przed wyrzuceniem do śmietnika, tego balsamu też nigdzie nie widziała. Czasami nawilżała sobie nim usta przed nałożeniem szminki. Czy tak samo zrobiła w pokoju 511? Czy gdzieś w apartamencie został mały balsam do ust z logo jej linii lotniczej i śladami jej DNA?

– Może faktycznie to jest odpowiedź – zastanawiał się głośno Mayes. – Może Sokolov był z FSB.

– Nie wiem, co to takiego.

– Federalna Służba Bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej. Dawne KGB. Kontrwywiad, szpiegostwo i tak dalej. Nieprzyjemne towarzystwo.

– Ale zachowywał się bardzo po amerykańsku – stwierdziła Cassie, licząc na to, że Mayes nie dosłyszy lekkiego drżenia jej głosu.

– To nic nie znaczy. Jeśli działasz pod przykrywką, to udajesz Amerykanina. Ale co ja tam wiem? Równie dobrze mógł być tajniakiem z CIA. Albo bandziorem, który handlował bronią. Czy młodymi dziewczynami. Czy narkotykami. W każdym razie nie musiał wcale mieć nic wspólnego ze szpiegowaniem. Chodzi po prostu o to, że mógł nie być tym, kim się wydawał, zważywszy na sposób, w jaki go zabito.

– Policja w Dubaju mówiła chyba, że to był napad rabunkowy.

– To nie był napad rabunkowy.

– Naprawdę?

– Nic nie zostało skradzione.

– Skąd pan wie?

– Spytałem – odparł Mayes, wzruszając ramionami. – Spytałem tę agentkę FBI, która przesłuchiwała Megan. Nie wyjawiała mi dużo, ale powiedziała, że sprawca niczego nie ukradł. Przynajmniej na to wygląda. Według szefa oddziału FBI w Emiratach jego portfel, zegarek, karty kredytowe, wszystko było na miejscu. Tak samo laptop i teczka.

Cassie była na siebie wściekła. Mogła, wychodząc, zabrać portfel albo zegarek i wywalić je do tego samego śmietnika, razem z myjką, mydłem i resztkami butelki po wódce. Nie przyszło jej wtedy do głowy, by pozorować napad rabunkowy. Potem jednak przypomniała sobie coś, nad czym do znudzenia debatowano podczas zajęć z filozofii w college’u: że nie da się udowodnić nieprawdy. Ostatecznie cała grupa wspólnymi siłami ustaliła, że da się to zrobić. Ale to sformułowanie na zawsze wryło się jej w pamięć.

– Cóż, jeżeli jakieś przedmioty zostały skradzione, to nie ma ich w pokoju, więc nikt nie wie, że zginęły.

– Zgadza się. Na pewno odpowiednie służby w Dubaju, nasze i miejscowe, sporządzą spis wszystkiego, co Sokolov miał ze sobą, przyjeżdżając do hotelu. Już teraz pewnie rozmawiają z każdym w hotelu, a także z każdym, kto miał razem z nim brać udział w spotkaniu biznesowym. Jeśli oczywiście naprawdę miało się odbyć jakieś spotkanie. Tak czy inaczej, sytuacja wydaje mi się dość jasna: to nie był napad rabunkowy, który wymknął się spod kontroli, tylko zaplanowana egzekucja.

Ostatnie słowo zawisło między nimi w powietrzu. Cassie spojrzała na resztkę rozmokłych jajek i okruszki tosta na talerzu Mayesa. Miał prawdopodobnie – niemal na sto procent – rację. Dziesiątki razy uświadamiała sobie, że jej także morderca mógł bez trudu poderżnąć gardło. A jednak tego nie zrobił. Darowano jej życie. Mimo to już nigdy nie będzie w stanie wymazać z pamięci obrazu zimnego, nieruchomego ciała Alexa. Nigdy nie zapomni tej całej krwi.

– Cassie?

Podniosła na niego wzrok.

– Myślałem, że całkiem mi odpłynęłaś – powiedział Mayes. – Już miałem pstryknąć palcami. Wiesz, żeby cię wyrwać z transu.

– Przepraszam.

– Wszystko dobrze?

– Tak, nic mi nie jest.

Opadł z powrotem na krzesło i uśmiechnął się, składając ręce na piersi.

– Nie jestem tego taki pewien. Ale wiesz co?

Czekała bez słowa.

– Mam poczucie, że jakiś obcy zamordowany facet, którego widziałaś raz w życiu w samolocie, to najmniejszy z twoich problemów.

– Chyba powinnam się obrazić.

– Ależ nie. Mówię to jako stary człowiek, któremu nie było dane zostać ojcem, chociaż zawsze tego chciał. – Mayes wziął do ręki rachunek, który kelnerka wcześniej musiała zostawić na stoliku (Cassie zupełnie nie pamiętała, kiedy to się stało), i ruszył do kasy, żeby zapłacić za ich śniadanie.

Wieczorem, siedząc samotnie w swoim mieszkaniu, Cassie otworzyła butelkę chianti i naląła go sobie do ręcznie malowanego kieliszka, jednego z dwóch, które dała jej kiedyś w prezencie Rosemary – na długo przed tym, jak zorientowała się, że raczej nie powinna jeszcze bardziej zachęcać starszej siostry do picia. Białe orchidee wyrastały z podstawy czaszy i pięły się aż do samej krawędzi, kusząc erotyzmem dorodnych płatków. Gdy przelykała pierwszy łyk, jej telefon zadzwieczał i zobaczyła, że dostała SMS od Buckleya. Pytał, jak się miewa. Żałował,

że byli wobec siebie tak chłodni w niedzielę rano, tuż przed jego wyjazdem. Miał nadzieję, że zobaczą się znowu, kiedy następnym razem będzie w Nowym Jorku. Cassie nic nie odpisała, ale nie skasowała wiadomości, chociaż normalnie tak by właśnie zrobiła. Zazwyczaj kiedy podrywała w ten sposób faceta w barze, kończyło się luką w pamięci – trwającą godzinę, dwie albo dziesięć – i nie miała już ochoty na drugą randkę. Może nie usunęła SMS-a, ponieważ wprawdzie upiła się z Buckleyem, ale to nie była jedna z tych nocy, kiedy wrzuca najwyższy bieg i jedzie bez trzymanki tak długo, aż w końcu urywa się jej film. Może jutro coś mu odpisze. Albo nie. Pewnie nie. Mimo to zachowała wiadomość w telefonie, tłumacząc samej sobie, że zawsze to jakiś postęp – co jest ponoć niemożliwe, bo w tym wieku człowiek przecież nie ma prawa się już zmienić. Nawet miło z jego strony, że zasugerował, iż oboje byli dla siebie nieprzyjemni w niedzielny poranek, chociaż w rzeczywistości to tylko ona potraktowała go chłodno.

Zjawisko urwanego filmu zawiera w sobie wewnętrzną ironię – aby doprowadzić się do takiego stanu, trzeba mieć zadziwiającą tolerancję na alkohol. Pijacy amatorzy tracą przytomność na długo, zanim uda im się zablokować pracę hipokampu – elementu istoty szarej mózgu odpowiedzialnego za tworzenie nowych wspomnień. Cassie była jednak zawodowcem. Częściowy zanik pamięci ma miejsce, kiedy stężenie alkoholu we krwi osiąga magiczną granicę dwóch promili; do całkowitej utraty świadomości może dojść, gdy wskaźnik ten przekroczy poziom trzech promili, co jest już wynikiem imponującym. Natomiast jeśli chodzi o zdolność prowadzenia samochodu, to dopuszczalny limit wynosi marne 0,8 promila.

Przyszło jej na myśl, żeby zadzwonić do Pauli, jednej z przyjaciółek, która zawsze była w stanie dotrzymać jej kroku, nieważne, czy piły akurat wino, tequilę czy drambuie. Paula miała dziwną słabość do drambuie – to był jej odpowiednik magdalenki Prousta, budzący wspomnienia z czasów, gdy w dziewiątej i dziesiątej klasie upijała się likierem podkradanym ojcu. W towarzystwie Pauli wyparowywała wszelka nuda i Cassie czuła się, jakby skakała ze spadochronem. Wspólnie siały wokół siebie chaos – przesadną wylewnością, zbyt nachalnym tańcem, agresywnym besztaniem kelnerki albo barmana za to, że w lokalu leci niewłaściwa muzyka albo że na zewnątrz zaczęło padać – ale przecież także podkręcały wszystkim poziom energii. Tak im się przynajmniej wydawało. Tylko

czasem następnego ranka, odzyskawszy już przytomność umysłu, Cassie zastanawiała się, czy raczej swoim zachowaniem nie psuły innym nastroju.

I dlatego właśnie miała też takie przyjaciółki jak Gillian. Gillian owszem, piła, ale zawsze w granicach rozsądku. Nie upijała się, dzięki czemu można było liczyć na to, że to ona na koniec wieczoru chwyci torebkę, którą Cassie zostawiła przewieszoną przez oparcie stołka barowego, albo wyjaśni dziwnemu, natarczywemu gościowi z tatuażami na twarzy, że Cassie niestety nie pójdzie z nim do domu.

Ostatecznie nie zadzwoniła ani nie napisała do nikogo. Nie dzisiaj. Odpaliła natomiast swojego laptopa stojącego na blacie w kuchni i stanęła przed nim z kieliszkiem w ręku. Przyszedł czas dowiedzieć się wszystkiego, co się da, na temat Amerykanina zabitego w Dubaju. Czas poszukać Mirandy. Postanowiła zacząć od portali społecznościowych. Tam mogła poczytać co nieco o Alexie Sokolovie i może odnaleźć Mirandę wśród jego znajomych lub osób śledzących jego aktywność.

Alex wspominał, że miał konta na Facebooku, Twitterze i Instagramie, chociaż rzadko z nich korzystał. Od razu okazało się, że wszystkie zniknęły – o ile w ogóle kiedykolwiek istniały. Nie znalazła też śladu Alexa na LinkedIn ani Tinderze. Jego rodzina zapewne usunęła wszystkie konta, ale jeśli Derek Mayes miał rację i Sokolov rzeczywiście był szpiegiem, to za zniknięcie tych stron mogła równie dobrze odpowiadać jakaś agencja rządowa (nasza albo obca – pomyślała Cassie).

Niestety oznaczało to również, że nie mogła przeszukać listy znajomych Alexa na Facebooku ani osób obserwujących go na Twitterze. Będzie więc trzeba pogrzebać trochę głębiej, żeby znaleźć Mirandę. Dlatego zmieniła taktykę i zaczęła przeglądać różne portale turystyczne i serwisy informacyjne w poszukiwaniu komunikatów na temat jego śmierci. Znalazła całkiem sporo artykułów, ale wszystkie były niezbyt długie i jedynie potwierdzały to, co on sam opowiedział jej o swoim życiu: był jedynakiem, jego rodzice mieszkali w Wirginii. Zdarzały się wzmianki dotyczące jego pracy w funduszu hedgingowym. Najdziwniejsze w tych artykułach było jednak to, że żaden nie wspominał innych pracowników firmy Unisphere ani inwestorki imieniem Miranda, która widziała Alexa z jakąś kobietą na kilka godzin przed jego egzekucją.

Przypomniała sobie, że jego matka ma na imię Harper, i szybko odszukała jej profil na Facebooku. Spodziewała się zobaczyć tam zdjęcie Alexa z jakimś

rozpaczliwie smutnym epitafium od matki dla syna. Ale nic takiego nie znalazła. Harper Sokolov nie opublikowała niczego na swoim profilu od tygodnia, odkąd dodała zdjęcie, na którym razem z mężem i jakąś drugą parą stała na tarasie w luksusowym ośrodku rekreacyjnym, a wszyscy byli ubrani w białe stroje tenisowe. W krótkiej spódniczce wyglądała na zdrową i wysportowaną kobietę. W jej uśmiechu Cassie dostrzegła podobieństwo do Alexa. Poszukała Mirandy wśród jej znajomych, choć wiedziała z góry, że jej nie tam nie znajdzie – skoro Alex poznał ją tamtego dnia w Dubaju, to skąd miałyby ją znać jego matka? Ale nie zaszkośli się upewnić. I oczywiście, na liście znajomych Harper nie było nikogo o imieniu Miranda.

Następnie Cassie weszła na stronę firmy Unisphere i wpisała do okienka słowo „Miranda”. Nic. Firma była zbyt duża, żeby udostępniać na stronie spis pracowników. Była za to lista oddziałów na całym świecie, które nie miały wprawdzie osobnych stron internetowych, ale przynajmniej znalazła telefony kontaktowe. Zerknęła na zegar na kuchence i szybko obliczyła, że w położonym osiem stref czasowych na wschód Dubaju na pewno jeszcze nikogo nie ma w biurze. Ale będzie mogła zadzwonić później i zapytać o Mirandę. Żeby chociaż zobaczyć, co z tego wyniknie.

Napełniła sobie kieliszek po raz trzeci i umieściła wizytówkę Mayesa na drzwiach lodówki, tuż obok wizytówki Franka Hammonda. Miała na niej też zanotowany numer do prawniczki, którą jej polecił, kobiety o melodyjnie brzmiącym nazwisku Ani Mouradian. Jak dotąd nie próbował się z nią kontaktować żaden dziennikarz. Nie odezwał się ponownie nikt z FBI. Chciała sobie wmawiać, że Derek Mayes się myli i że już nigdy nie będzie musiała rozmawiać z FBI ani dzwonić do tej całej Ani Mouradian. Ale musiałaby być o wiele bardziej pijana, żeby w to uwierzyć, więc napuściła sobie wody do wanny i zabrała ze sobą do łazienki butelkę, kieliszek i telefon. Nie widziała żadnego powodu, żeby siedzieć w domu na trzeźwo. Była sama, a od wczesnych godzin porannych w niedzielę nie tknęła alkoholu. To czterdzieści dwie godziny. Prawie dwie doby.

Kiedy ułożyła się wygodnie pod pianą, zamknęła oczy i próbowała zapomnieć o wszystkim – oczyszczenie umysłu było dziś ważniejsze niż oczyszczenie ciała – ale okazało się to niemożliwe. Ciągłe myślała o Alexie, nie mogła przestać. Nieustannie zastanawiała się, co by się stało, gdyby zadzwoniła do recepcji

w hotelu. Ale wiedziała, czuła to podskórnie. Wszyscy byliby przekonani, że to ona zabiła nieszczęśnika – a szalenie trudno byłoby jej odeprzeć te zarzuty – i trafiłaby do więzienia w Dubaju. Miałaby okazję bardzo, bardzo dobrze poznać kogoś z amerykańskiej ambasady, ponieważ spędziliby ze sobą mnóstwo czasu, rozmawiając przez kraty.

Spojrzała na swoje paznokcie i stwierdziła, że lakier, przypominający kolorem chianti w kieliszku, zaczyna już obłazić. Powinna zrobić sobie jutro manicure. Samolot do Rzymu odlatuje dopiero o dziewiętnastej, więc może się porządnie wyspać, a potem zdąży jeszcze bez pośpiechu zaliczyć siłownię i kosmetyczkę.

Postawiła kieliszek na podłodze obok wanny i wzięła do ręki telefon. Postanowiła sprawdzić, czy na Twitterze są jakieś nowe informacje na temat Sokolova, czy znajdzie coś, co wcześniej pominęła. Szybko przewinęła wpisy zamieszczone jeszcze wczoraj, które przejrzała pobieżnie kilka minut temu w kuchni. A potem zobaczyła wpis od agencji informacyjnej w Dubaju, opublikowany dosłownie przed kilkoma sekundami. Weszła w link i żołądek natychmiast podszedł jej do gardła, jakby była na pokładzie samolotu, który właśnie przez różnice ciśnień obniżył pułap o trzysta metrów. Na ekranie ujrzała bowiem siebie. Nawet dwa razy. Tak naprawdę nie dałoby się jej rozpoznać – zdjęcia, pochodzące z wewnętrznego monitoringu hotelu w Dubaju, były bardzo ziarniste, a do tego na obu miała na sobie okulary i szal, który kupiła na lotnisku po wylądowaniu. Na pierwszym witała się z Sokolovem w holu, na chwilę przed wyjściem na kolację; stali niedaleko głównego wejścia, a ona trzymała go za ramię. Uśmiechała się; on zresztą też. Na drugim zdjęciu uchwycono ją, jak następnego dnia wychodzi sama z hotelu. Tym razem miała zaciętą minę. To zapewne ten szal pozwolił śledczym zlokalizować ją na nagraniu po raz drugi.

Okulary, które miała na sobie, to zwykłe ray-bany – klasyczny model w czarnych oprawkach. Ale szal? Szal był charakterystyczny. Środek czerwono-błękitnej arabeski zdobił sporych rozmiarów wzór skomponowany z pnączy i palmet, którego pomniejszone wersje biegingy wzdłuż wszystkich czterech boków. Dodatkowy ornament stanowiły maleńkie czerwone frędzle. Wzór rzucał się w oczy nawet na czarno-białym obrazie z kamery.

Cassie była razem z Megan i Jada, kiedy go kupiła. Miała go na sobie, gdy wróciła do swojego hotelu i później w busie, przez całą drogę na lotnisko z resztą załogi.

Według artykułu kobieta ze zdjęcia nie była uważana za podejrzaną, służby chciały tylko zadać jej kilka pytań. Nie była podejrzana? Bez żartów. Oczywiście, że była. Przecież mieli jej zdjęcie razem z Sokolovem oraz drugie, na którym wychodzi sama z hotelu.

Niemal desperackim gestem sięgnęła po wino i przez pośpiech, gdy przekładała kieliszek z lewej do prawej ręki, niechcący uderzyła nim o porcelanową mydelniczkę wbudowaną w ścianę z kafelków. Szkło się roztrzaskało, a wino wylało do wody w wannie. Piana już dawno zniknęła, więc Cassie patrzyła, siedząc absolutnie nieruchomo, jak czerwony płyn rozchodzi się i rozprasza, nadając wodzie i odłamkom szkła – z których część wylądowała na jej udzie, część na brzuchu, a jeszcze inne opadły na dno wanny, gdzie czuła ich ostre krawędzie, jak ukłucia igieł albo twardych ziarenek piasku – łagodny, wręcz kojący odcień różu.

Dopiero kiedy zaczęła ostrożnie zdejmować szkło ze swojego ciała, zauważyła dwa długie skaleczenia biegnące wzdłuż ręki.

Rozdział 9

Elena obserwowała grupkę roześmianych amerykańskich marynarzy wygłupiających się na chodniku z okna Viktora na czwartym – ostatnim – piętrze niepozornego biurowca i od razu wiedziała, że się zgubili. W tej okolicy znajdowały się sikhijska świątynia, kościół koptyjski, kościół grecko-prawosławny oraz Dubajskie Centrum Ewangelickie. Mieściły się tu też gabinety stomatologiczne i biura księgowych. Nie było sklepów ze złotem, biżuterią czy elektroniką, które zazwyczaj przyciągały marynarzy na północ od portu Jebel Ali. Lotniskowiec wraz z grupą uderzeniową miał przyplłynąć jutro, więc pojutrze w mieście powinno zaroić się od amerykańskich żołnierzy.

Odwróciła się od okna i oparła o komodę Viktora. W wystroju jego biura dziewiętnasty wiek mieszał się z dwudziestym pierwszym. Ściany pokrywały panele z ciemnego drewna, a na stoliku stała srebrna taca z kryształowymi kieliszkami do koniaku ozdobionymi wizerunkiem dwugłowego orła, ale był też zestaw do wideokonferencji i komputer z ekranem dotykowym wbudowany w biurko z orzecha i chromu.

– Nie było jej. Przeszukałam pokój – powiedziała Elena, mając nadzieję, że nie brzmi to tak, jakby się tłumaczyła. Po prostu stwierdzała fakty. Niestety sprawy przybrały zły obrót i groziło im, że cała sytuacja wymknie się spod kontroli. Łatwo było oceniać po wszystkim, a Elena wiedziała już, że popełniła straszny błąd. Choć brzmi to potwornie, powinna była jednak zabić tę kobietę, kiedy sprzyjały temu okoliczności – kiedy przyszła do jego apartamentu i okazało się, że Alex zabrał na górę stewardesę ze swojego samolotu. Gdyby tylko chciała, mogła upozorować to na morderstwo połączone z samobójstwem. Zbrodnia namiętności. Mogła zostawić tam zakrwawiony nóż.

Nie zrobiła tego jednak, ponieważ ta stewardesa nie była jej celem. Nie zabijała osób postronnych. Nie zabijała niewinnych.

A teraz Viktor był wściekły. Znała tę jego minę. Podobnie wyglądał jej ojciec w chwilach, gdy czuł, że ktoś go zawiódł: nie ciskał gromów, nie wpadał w szal, tylko tłumił w sobie gniew, który rozsadzał go od środka, co sprawiało o wiele bardziej niepokojące wrażenie. A konsekwencje dla winowajcy wcale nie były łagodniejsze.

– O tak, wierzę ci – odparł Viktor. – Wierzę, że przeszukałaś pokój. Ale zdjęcia z kamer zamieszczone w Internecie nie kłamią. Sama je widziałaś, Eleno. Ta kobieta bez dwóch zdań była rano w hotelu i miała na sobie dokładnie te same ubrania co poprzedniego wieczoru. Alex nie powiedział ci, że ma gościa, kiedy zadzwoniłaś?

– Nie. W przeciwnym razie nie poszłabym do jego pokoju.

Viktor zastanawiał się przez chwilę.

– Zdarzało mu się robić takie rzeczy w przeszłości?

– Jeśli tak, to ja nic o tym nie wiem. Nigdy nie próbowaliśmy zastawić na niego pułapki z przynętą.

– To prawda.

Marynarze na ulicy zrobili się zbyt hałaśliwi. Gdyby zamek w oknie nie był tak skomplikowany, otworzyłaby je i pokazała, w którą stronę muszą iść, żeby znaleźć swoje upragnione sklepy.

– Posłuchaj, niewiele brakowało, żebym załatwiła sprawę od razu, kiedy jeszcze piliśmy. Ale nie chciałam narobić hałasu i urządzać niepotrzebnych scen. Dwoje ludzi? Diabli wiedzą, co by się mogło wydarzyć. Kobieta mówiła, że musi wracać do swojego hotelu, bo rano ma kolejny lot, więc po prostu się pożegnałam i poczekałam, aż wyjdzie.

– A potem wróciłaś do apartamentu – mruknął Viktor.

– Tak.

Viktor westchnął, a Elena poczuła się nieswojo. To uczucie tylko się pogłębiło, kiedy on ponownie się odezwał:

– Niewątpliwie byłoby lepiej, gdybyś podjęła to ryzyko, Eleno. Skoro był tak pijany, jak twierdzisz, to kto wie, co mógł jej naopowiadać. Kto wie, czego się od niego dowiedziała.

– Moim zdaniem nie musimy się o to martwić – próbowała go udobruchać, ale czuła wyraźnie jego dezaprobatę. Zdawała sobie sprawę, że ma kłopoty.

– Martwię się. I mówiąc szczerze, jestem... – tu złowrogo zawiesił głos, specjalnie przeciągając chwilę, gdy szukał odpowiednich słów – ...niemile zaskoczony faktem, że od razu nie powiedziałaś mi o wszystkim. Nie powiedziałaś, że ktoś tam z nim był.

– Źle zrobiłam – przyznała. – Wiem.

– Tak. Źle zrobiłaś.

– Przepraszam.

– No więc co zastałaś po powrocie do jego pokoju?

– Alex leżał już nieprzytomny na łóżku. Padł jak kłoda. Apartament był w jeszcze gorszym stanie niż podczas mojej pierwszej wizyty. W obu pokojach panował totalny bałagan, naprawdę. Rozbili tę butelkę wódki, którą przyniosłam, a także jeden z hotelowych kieliszków. Pewnie zrobiła to ta jego idiotka.

– To się stało już po twoim wyjściu.

– Tak.

– Ale jej na pewno tam nie było, kiedy zajęłaś się panem Sokolovem.

– Jestem tego pewna.

– A zatem wygląda na to, że faktycznie wróciła do niego później i znalazła go martwego – stwierdził Viktor.

– Ale nie zadzwoniła do recepcji ani do ambasady. Więc co? Po prostu zobaczyła zwłoki i nic nie zrobiła? Spędziła całą noc z trupem?

Viktor posłał jej kwaśny uśmiech, ale nie odpowiedział.

– Cóż, apartament był dość duży – ciągnęła Elena, ale wiedziała, że chwyta się brzytwy. – Może weszła tylko do salonu. Może wróciła tylko po coś, co zostawiła w salonie, i nawet nie zaglądała do sypialni.

Viktor skrzyżował ręce na piersi i lekceważąco odchylił się na krześle.

– Chyba w to nie wierzysz. Z monitoringu wynika wyraźnie, że była w hotelu całą noc. Wiedziała, że nie żyje. Widziała jego ciało.

– W takim razie może wydaje się jej, że sama go zabiła? – zastanawiała się dalej Elena.

– Daj spokój.

– Mówię poważnie. Ta stewardesa robiła wrażenie dziewczyny, która umie imprezować jak mało kto. Skojarzyła mi się z *Chandelier*.

– To jakiś nowy narkotyk?

– Nie, piosenka. Śpiewa ją Sia. Nie zdziwiłabym się, gdyby przez alkohol miała poważne problemy z pamięcią.

Viktor złączył palce.

– To niewykluczone.

– I mogłoby zadziałać na naszą korzyść. Policja powinna szybko ustalić, że ta dziewczyna była w pokoju z Alexem, i podejrzenie padnie na nią. W moim odczuciu ta kobieta to chodząca katastrofa, jest całkiem pozbawiona zdrowego rozsądku.

– Może masz rację. Ale sprawa jest skomplikowana. Rozmawiałem z naszym prawnikiem.

Elena czekała na dalszy ciąg.

– Alex nie był obywatelem Zjednoczonych Emiratów Arabskich – kontynuował Viktor. – Był Amerykaninem. Trzeba by włożyć dużo wysiłku, żeby sprowadzić tę kobietę z powrotem do Dubaju i postawić ją przed sądem, a dla tutejszych władz to nie jest sprawa o priorytetowym znaczeniu.

Za oknem jeden z marynarzy głośno dał wyraz swojej frustracji, ponieważ nie miał pojęcia, gdzie jest, a nawigacja w telefonie ani trochę nie pomagała. Elena domyśliła się, że ci Amerykanie też zdążyli już trochę wypić. Ciekawe, dlaczego to Rosjanie mają reputację pijaków?

– Jakaś szansa, że stanie przed sądem w Stanach?

– Tylko jeżeli ktoś uzna śmierć Alexa za akt terrorystyczny – odparł Viktor drwiącym tonem. – Wyobrażasz to sobie? Stewardeska terrorystka.

– Stewardesa – poprawiła go odruchowo Elena.

Viktor uniósł jedną brew.

– Stewardesa – powtórzył po dłuższej chwili.

– Nikt nie będzie się w tym dopatrywał aktu terroryzmu – powiedziała. – Nikt nie uzna tej kobiety za terrorystkę.

– Zgadza się. I dobrze. Tak naprawdę jej proces nie byłby korzystny dla nikogo. Ani dla nas, ani dla nich. I mówiąc szczerze, Eleno, dla ciebie też nie.

– Rozumiem. – Nie mogła już dłużej znieść rabanu za oknem. Obiecała sobie, że zaraz po zakończeniu tego spotkania zbiegnie na dół i wytłumaczy marynarzom

dokładnie, w którą stronę mają iść.

– Nie jestem taki pewny. Problem polega na tym, że jak sama podkreślałaś, Sokolov był kompletnie pijany. Badanie toksykologiczne na pewno to potwierdzi. Bóg jeden wie, co wypaplał. Dlatego wszyscy musimy teraz założyć, że coś jej powiedział. A sama zauważyłaś, że ona także pije bez opamiętania.

Wiedziała, do czego zmierza, ale i tak poczuła, że coś ją ściska w dołku.

– Czy ona ma jakąś rodzinę? – zapytała.

– Eleno Orłowa, czyżbyś nagle sobie przypomniała, że masz sumienie?

– Po prostu chcę wiedzieć, z czym mamy do czynienia – odparła.

– Nie, nie ma dzieci ani męża, nawet byłego. Dlatego nie będzie ci trudno naprawić tę sytuację. Myślę, że ona powinna mieć wypadek. Straszny, nieprzewidziany wypadek, który nie będzie budził żadnych wątpliwości.

– Tak, tylko...

– Tylko co?

– Nie podoba mi się to. Ona nie zrobiła nic złego. Jest po prostu żalosną kretynką, która się upiła i wybrała niewłaściwą noc, żeby pójść do łóżka z niewłaściwym facetem.

– Jest niebezpieczna – przypomniał Viktor.

– Być może.

– Być może? Trzeba było od razu zająć się obojgiem, kiedy zastałaś ich razem. Dobrze o tym wiesz. Poza tym...

– Tak?

– Ona cię widziała, Eleno. Wie, jak wyglądasz. Bądź realistką: jedna z was musi umrzeć. – Przerwał i wzruszył ramionami. – Wybór należy do ciebie.

Rozdział 10

S kaleczenia wyglądały paskudnie, ale nie były wcale takie poważne. Cassie uznała, że nie będzie potrzebowała szwów. Stała nago nad umywalką, otrzeźwiona zdjęciami swojej osoby, które zobaczyła na telefonie, i przyciskała zimny, wilgotny ręcznik do obu ran, aż krwotok zaczął się zmniejszać. Następnie przyłożyła kilka kulek z waty, które przytwierdziła, owijając lewą rękę taśmą klejącą, jak u mumii. Wyglądało to jak pierwsza pomoc w wykonaniu przedszkolaka. Jutro z samego rana musi kupić sobie plastry.

Włożyła koszulę nocną, cały czas próbując przekonać samą siebie, że reszta załogi wcale nie szuka wiadomości o Alexie Sokolovie tak jak ona, więc może nawet nigdy nie zobaczą jej zdjęć zrobionych w Royal Phoenician w Dubaju. Ale nie udało się. Oczywiście, że szukali go w Internecie – przecież leciał ich samolotem. Siedział w sektorze obsługiwany przez nią, Megan i Jadę. Leżała w łóżku, czekając, aż zgasną światła na Empire State Building – tej nocy białe. Prędzej czy później ktoś z załogi trafi na te ziarniste zdjęcia z hotelowego monitoringu. Jak dotąd fotki zostały już z pewnością przekazane FBI tu, w Stanach, więc wydawało się nieuniknione, że śledczy postanowią w końcu sprawdzić, czy kobieta widoczna u boku Sokolova przyleciała tym samym samolotem. Najpierw oczywiście wykluczą przyjaciółki, znajome, klientki i pracownice hotelu, ale potem zajmą się jeszcze raz ich rejssem. Obok kogo siedział podczas lotu? Z kim rozmawiał? Zapytają członków załogi (ją też!), czy rozpoznają osobę towarzyszącą zmarłemu na zdjęciu. Dzięki czemu ją ostatecznie zidentyfikują? Dzięki szalowi? Okularom? Charakterystycznemu kształtowi orlego nosa?

Cassie podjęła decyzję. Jutro rano zadzwoni do Dereka Mayesa i powie mu, że jednak będzie potrzebowała tej prawniczki o imieniu Ani. Skontaktuje się z nią, ale nie zaszkodziłoby, gdyby Derek też się wcześniej do niej odezwał. I tyle, jeśli

chodzi o manicure. Miała na jutro nowy plan: kupić plastry i zatrudnić adwokata. Już najwyższy czas.

Następnego ranka wykonała telefon do biura Unisphere w Dubaju. W Nowym Jorku była siódma rano, tam piętnasta. Przed oczami stanęły jej te wszystkie recepcje hotelowe i korytarze na lotniskach, gdzie rząd starych zegarów na ścianie pokazywał godzinę w różnych miejscach na świecie, na przykład w Tokio, Moskwie i Los Angeles. Planowała – o ile można to nazwać planem – w pierwszej kolejności dowiedzieć się, czy ta kobieta rzeczywiście była tam zatrudniona. Jeśli okaże się, że tak, to poprosi, żeby ją z nią połączono. Powie, że jest Amerykanką, która myśli o przeniesieniu części swoich aktywów do Unisphere, i chciałaby umówić się na spotkanie. Miranda albo zgodzi się z nią spotkać, jeśli sama zajmuje się zarządzaniem pieniędzmi klientów, albo skieruje ją do właściwej osoby. Zamierzała się przedstawić jako Jane Brown, ponieważ kiedyś w dzieciństwie szukała swojego rodzinnego nazwiska w książce telefonicznej w Kentucky (miała ochotę zobaczyć, jak wygląda w druku) i natrafiła na całą kolumnę różnych Brownów.

Recepcjonistka mówiła po angielsku bez śladu obcego akcentu. Cassie zapytała o Mirandę.

– Miranda – powtórzyła, przeciągając sylaby imienia, ewidentnie spodziewając się dalszego ciągu. Cassie postanowiła ją przeczekać.

– Jak Miranda ma na nazwisko? – zapytała w końcu recepcjonistka.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Poznałyśmy się w ten weekend na przyjęciu.

– To dość małe biuro i chyba nie mamy tu żadnej Mirandy. Może ona pracuje dla jakiejś innej firmy?

– Może tak – zgodziła się Cassie i szybko się rozłączyła.

Gdy Ani Mouradian prowadziła ją z poczekalni do sali konferencyjnej, Cassie zachodziła w głowę, jak Derek Mayes mógł pomyśleć, że będzie ją stać na takiego prawnika. Kancelaria mieściła się w Seagram Building, słynnym wieżowcu na

Park Avenue, stojącym pomiędzy 52 i 53 Ulicą. Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać. Lokalizacja kancelarii Ani wydawała się jeszcze jednym okrutnym figlem, jaki spletał jej los, wysyłając ją, córkę pijaka, która sama zdecydowanie nadużywała alkoholu, do biurowca noszącego nazwisko sławnego założyciela znanej destylarni. W recepcji nie było okien, ale za to stały tu wygodne, miękkie kanapy, a ściany wyłożone ciemnymi mahoniowymi panelami przywodziły na myśl raczej jakąś bibliotekę czy klub akademicki w Wielkiej Brytanii. W połyskującym lakierowanym drewnie można było się niemal przejrzeć. Kancelaria mieściła się na północno-zachodnim rogu budynku i większość biur, które mijają po drodze, była zalana porannym letnim słońcem.

– Ilu ludzi tu pracuje? – zapytała Cassie.

– Nie jesteśmy aż tak dużą firmą. Wliczając asystentów i praktykantów, jest nas może z sześćdziesiąt osób.

– Wiesz, że jestem tylko stewardesą.

– To znaczy?

– Najprawdopodobniej nie stać mnie na wasze usługi. Nie wiem, co ten Derek wymyślił.

– Wszystkim się wydaje, że wasze życie to bajka – powiedziała prawniczka, wprowadzając ją do małej sali konferencyjnej w głębi kancelarii i zamykając za nimi drzwi. Pośrodku znajdował się okrągły, nowoczesny stół, przy którym mogły usiąść najwyżej cztery osoby. Pod ścianami stały białe regały wypełnione prawniczymi książkami. – Ale ja wiem, jak jest naprawdę. Derek Mayes to mój wujek. Proszę, niech pani usiądzie.

Zajął krzesła obok siebie. Cassie zgadywała, że Ani jest od niej jakieś dziesięć lat młodsza. Z jednej strony poczuła ulgę, bo mniej doświadczony prawnik powinien mieć niższą stawkę; z drugiej strony obawiała się, że aby jej pomóc, trzeba jak najlepszego fachowca. Na pewno wołała latać ze starszymi pilotami niż z młodszymi. Nowy pilot niczym nie ustępuje weteranowi, kiedy lot przebiega spokojnie i bez niespodzianek. Ale jeśli stanie się coś strasznego – podczas lotu w burzy śnieżnej samolot nagle zacznie tracić wysokość albo przy starcie do silnika zostaną wciągnięte ptaki – lepiej mieć za sterami kogoś doświadczonego. Każdy z branży znał na pamięć historię lotu 1549 i wiedział, że tamtego dnia w styczniu 2009 roku maszynie US Airways udało się bezpiecznie wylądować na

rzece Hudson wyłącznie dzięki umiejętnościom pilota, Sully'ego Sullenbergera, który dawniej latał na myśliwcach. Zaraz po starcie w wyniku zderzenia z kluczem gęsi awarii uległy oba silniki airbusa i konieczne było lądowanie awaryjne. Kilka dni później Sullenberger obchodził pięćdziesiąte ósme urodziny. Facet miał całkiem siwe włosy, a na koncie wiele, wiele lat spędzonych w powietrzu.

– Na pewno nie chcesz kawy? – upewniła się Ani.

– Na pewno. Recepcjonistka już mi proponowała.

– Co ci się stało w rękę?

– Stłukłam kieliszek. To nic takiego.

Ani uśmiechnęła się tajemniczo, a Cassie stwierdziła, że nie umie nic wyczytać z jej twarzy. Czyżby prawniczka jej nie uwierzyła? Miała czarne włosy do ramion, ciemne oczy i ciemne cieniutkie brwi. Była bardzo szczupła, niemalże filigranowa, i ubrana w idealnie skrojony szary kostium oraz bluzkę w spokojnym odcieniu różu.

– Tak więc – odezwała się po chwili Ani – zajmujemy się tutaj różnymi sprawami. Niektórzy z nas specjalizują się w prawie pracy. Umowy, układy zbiorowe i tak dalej.

– Macie całkiem eleganckie biuro jak na prawników związkowych.

Ani zaśmiała się pod nosem.

– Dlaczego zakładasz, że reprezentujemy związki?

– Cóż, twój wujek...

– Tylko się drocę – Ani weszła jej w słowo. – Ale to prawda, znacznie więcej zarabia się na reprezentowaniu klientów z listy Fortune 500. Większość swoich płatnych godzin poświęcam jednemu z koncernów naftowych. Zajmujemy się też obroną w sprawach karnych, głównie takich dotyczących białych kołnierzyków. Z tego co rozumiem, mój wujek uważa, że być może będziesz potrzebować pomocy.

Cassie zastanawiała się, ile tak naprawdę wie wujek Ani. Pewnie podejrzewa więcej, niż dał po sobie poznać przy śniadaniu.

– Zgadza się.

– Słucham więc.

– Tak z ciekawości: zdaniem twojego wujka w jakim dokładnie zakresie będę potrzebowała pomocy prawnika?

Ani pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia. Wujek rozdaje na prawo i lewo moje wizytówki jak zając wielkanocny żelki. Traktuje mnie jak córkę, której nigdy nie miał. Zadzwoiłaś do mnie dziś rano. Zacznijmy od tego.

Cassie zerknęła na plastry na lewej ręce. Musiała ich nakleić pięć na dwa skaleczenia. Czy przez nie wyglądała na osobę nieporadną i godną politowania?

– Pewnie zakładasz, że mam jakiś zatarg z linią lotniczą.

– Niczego nie zakładam.

– Wujek wspominał o FBI?

– Powiedział, że czekali na wasz samolot na lotnisku. To wszystko.

Cassie spojrzała ponad ramieniem Ani na książki na półkach. Na pięknych skórzanych oprawach lśniły tłoczone litery, złote jak generalskie epolety. Wewnątrz kryły się setki stron, a każda pewnie z powodzeniem zastąpiłaby melatoninę, którą Cassie łykała czasem, żeby zwalczyć skutki jet lagu. Zza drzwi za jej plecami dobiegały echa innych rozmów, słychać było też szmer pracującej kserokopiarki. Przypomniała sobie te dwa zdjęcia, które znalazła w Internecie, a zaraz potem ciało Sokolova w hotelowym łóżku. Znów widziała je od strony okna, pod którym osunęła się na gruby dywan, oszołomiona i skacowana. Wiedziała, że to może być jej ostatnia szansa.

– Zadzwoiłam do ciebie, ponieważ kilka dni temu obudziłam się w pokoju hotelowym, bardzo daleko stąd, obok martwego mężczyzny.

I już. Powiedziała to. Tak po prostu.

Ani uniosła jedną ze swych perfekcyjnych brwi, ale nie skomentowała. Cassie opowiedziała jej więc wszystko po kolei, zaczynając od samego początku, czyli rejsu z Paryża do Dubaju, podczas którego poznała Sokolova, aż do wczorajszego wieczora, wanny i rozbitego kieliszka w jej mieszkaniu na Murray Hill. Powiedziała o Mirandzie. Pokazała dwa zdjęcia z hotelowego monitoringu opublikowane przez dubajskie serwisy informacyjne. Przyznała się, że przed opuszczeniem apartamentu próbowała usunąć swoje odciski palców, ale prawdopodobnie w którymś pomieszczeniu zostawiła szminkę i balsam do ust. Prawniczka sporadycznie wtrącała jakieś dodatkowe pytanie, ale ani trochę nie

brzmiało to, jakby ją oceniała czy krytykowała. Czasem prosiła o chwilę przerwy, żeby mogła sobie coś zapisać w żółtym notatniku.

– Naprawdę nie umiem stwierdzić, jak dużo ci za to grozi. Oczywiście wychodzę z założenia, że nie zabiłaś tego człowieka.

– Zgadza się. To znaczy, tak myślę. Jestem prawie pewna, że go nie zabiłam, ale nie na sto procent.

– Nie na sto procent? – powtórzyła Ani, nie kryjąc zdumienia.

– Tak, nie mogę być całkiem pewna – przyznała Cassie, po czym wyjaśniła, że zdarza się jej za dużo wypić, czasami do tego stopnia, że zapuszcza się na mentalną ziemię niczyją, co kończy się lukami w pamięci. – No i była jeszcze ta butelka – dodała na koniec.

– Jaka butelka?

– Rano znalazłam resztki butelki po wódce stolicznej. Pamiętam jak przez mgłę, że chyba rozbiliśmy ją poprzedniej nocy. Przyniosła ją Miranda. Alex nie mógł sobie poradzić z zakrętką. W każdym razie szyjka butelki, to znaczy cała ta górna część, została w jednym kawałku. Mogła posłużyć jako broń. Butelka leżała obok łóżka. Pozbierałam wszystkie szkła, które znalazłam, i wyrzuciłam je do śmieci po wyjściu z hotelu.

– A zatem mówisz mi, że mogłaś go zabić? Wzięłaś do ręki rozbitą butelkę i poderżnęłaś mu gardło? – upewniła się Ani spokojnym, beznamietnym tonem.

– Bo to jest tak... – szepnęła Cassie. Często kiedy ludzie stawali przed koniecznością wytłumaczenia czegoś absurdalnego, zaczynali od preambuły: „To nie takie proste”. Fakt, że nie rozpoczęła od tej wyświechtanej formułki, wydał się jej dziwnie pocieszający. – Nie mam skłonności do przemocy, kiedy urywa mi się film. Z tego, co wiem, nigdy nikomu nie zrobiłam krzywdy. Robię różne głupie rzeczy, czasami narażam własne życie, ale nie atakuję ludzi. Gdyby tamtej nocy Alex próbował później jeszcze raz się ze mną kochać, myślę, że bym go nie powstrzymała. To mi się już chyba wcześniej przytrafiało. To znaczy, wiem, że tak było.

– Mówimy o sytuacjach, w których mężczyźni uprawiają z tobą seks bez twojej zgody.

Cassie kiwnęła głową.

– Wiem, że to nie jest jakaś tam „szara strefa”. Po prostu zdaję sobie sprawę, że kiedy jestem pijana, raczej nie zdarza mi się powiedzieć nie. Wstyd przyznać, ale często w ogóle jest mi to obojętne.

– Masz rację, to nie jest szara strefa. To jest gwałt.

– Ale nie podejrzewam Alexa o jakiegokolwiek próby gwałtu. Albo byłam tak pijana, że nie wiedziałam, co się dzieje...

– To nie oznacza zgody, Cassie!

– Pozwól mi skończyć, proszę. Albo byłam tak pijana, że nie wiedziałam, co się dzieje, albo podobało mi się to, co robił. Ale gdybym poprosiła Alexa, żeby przestał, posłuchałby mnie. Był naprawdę miłym facetem. Nawet umył mi włosy pod prysznicem. Więc po co miałabym łapać za butelkę i z nim walczyć?

– Czy jest możliwe, że zabiłaś go, kiedy spał? Do tego właśnie zmierzasz?

– Możliwe, ale...

– Ale?

– Ale raczej nie – stwierdziła Cassie. – To do mnie niepodobne. Od tamtego dnia bardzo dużo o tym myślałam i...

– Mów dalej.

– I wydawało mi się, że od niego wyszłam. Pamiętam to dosyć wyraźnie.

– Wyszłaś z jego pokoju.

– Tak. Z apartamentu.

– Ale obudziłaś się w łóżku obok niego.

– Kiedy urywa mi się film, zostają białe plamy. Z początku myślałam, że zamierzałam wyjść razem z Mirandą. Wrócić do swojego hotelu. Chodzi o to, że kiedy przyszła Miranda, byłam już ubrana. To raczej oczywiste.

– Raczej. – W głosie Ani zabrzmiała nuta sarkazmu.

– Ale nie wyszłam. Miranda sobie poszła, a ja zostałam. Wróciliśmy z Alexem do sypialni i uprawialiśmy seks. Potem jednak z powrotem się ubrałam. Tego jestem pewna. To znaczy, prawie pewna. Mam w pamięci ten moment, jak stoję w drzwiach i się z nim żegnam. Naprawdę to pamiętam.

– Chcę się tylko upewnić: byłaś przy tym, kiedy on rozbił butelkę wódki?

– Tak.

– No dobrze. Uważasz, że to ta Miranda mogła go zabić?

– Miranda? Przyszło mi to do głowy – odparła Cassie. – Mówię o tym wszystkim po raz pierwszy, więc cały czas myślę na głos. Gdy się teraz nad tym zastanawiam, to chyba możliwe. Ja wyszłam. Ona wróciła. Potem ja wróciłam.

– I byłaś taka pijana, że nie zauważyłaś, że Alex nie żyje?

– Może tak. W pokoju było ciemno.

– Kiedy Miranda przyszła do apartamentu, to zapukała do drzwi?

– Tak. Czemu pytasz?

– Zastanawiałam się, czy miała swój klucz. Ale nawet jeśli nie, to mogła go ukraść podczas waszej małej trzyosobowej imprezki.

Cassie wcześniej o tym nie pomyślała. To z pewnością tłumaczyłoby, w jaki sposób zabójca, kimkolwiek był, dostał się do apartamentu.

– Ale – ciągnęła Ani – jeśli Alex wiedział, że to Miranda, to nie potrzebowała klucza. Po prostu ją wpuścił. Jak myślisz, jak długo cię tam nie było?

– O ile w ogóle wyszłam? Nie mam pojęcia.

– Po co byś wracała?

– Pewnie zostawiłam coś w pokoju i się po to cofnęłam. To też się już nieraz zdarzało.

Ani poparzyła na swoje notatki.

– Nie można wykluczyć, że zrobił to ktoś, kto pracował w hotelu albo znał któregoś z pracowników.

– Zgadzam się, to możliwe.

– I chociaż sama nie miałabym pojęcia, jak się włamać do zamkniętego na klucz pokoju, nie wątpię, że są na to sposoby.

– Pewnie tak.

– Ten mężczyzna powiedział ci, że dawniej pracował dla Goldman Sachs, a teraz jest właścicielem funduszu hedgingowego. Mówił coś jeszcze o swojej pracy?

– Nic.

– Dlaczego przyjechał do Dubaju?

– Miał tam jakieś spotkania – odparła Cassie.

– W jakiej sprawie?

– Nie powiedział. Wiem tylko tyle, ile przeczytałam w Internecie, czyli w sumie niewiele.

Prawniczka nachyliła się w jej stronę.

– Był facetem. Młodym, w moim wieku. Kiedy faceci w moim wieku próbują mnie podrywać, zawsze gadają o swojej pracy. To typowe zachowanie w stylu macho, chcą pokazać, jacy są ważni. Więc zastanów się dobrze. Musiał powiedzieć coś więcej.

– Naprawdę nic o tym nie mówił.

– A ty nie pytałaś?

– Nie.

– Cóż, fakt, że nie opowiadał o swojej pracy, też daje do myślenia. Może to znaczy, że miał coś do ukrycia.

– Może. Twój wujek uważa, że mógł być czyjś szpiegiem.

Ani skwitowała to uśmiechem.

– Wujek uwielbia szpiegowskie historie. No to powiedz, o czym właściwie ze sobą rozmawialiście?

– Głównie o mojej pracy. Wydawał się szczerze zainteresowany tym, co robię. Lataniem. Dziwnymi rzeczami, które wyczyniają pasażerowie. Naprawdę bawiły go moje opowieści.

– O czym jeszcze?

– O dzieciństwie w Kentucky i w Wirginii. Rozmawialiśmy o jedzeniu. I o alkoholu. Ale...

– Tak?

– Oboje dość szybko się wstawiliśmy. Nie przez słabą głowę, tylko dlatego, że naprawdę dużo wypiliśmy – wyjaśniła Cassie. Brzmiało to, jakby się spowiadała ze swoich grzechów.

– A kiedy była z wami Miranda? O czym wtedy rozmawialiście?

– Słabo to pamiętam. Było późno.

– Co o niej myślałaś, kiedy do was przyszła?

– Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłam? Myślałam, że ona i Alex pracują razem albo że on zarządza jej pieniędzmi. Zakładałam, że się znają.

– Wybacz, ale jak bliskie wydały ci się ich relacje? Byli kochankami? Ekskochankami?

Zanim odpowiedziała, Cassie opuściła wzrok na stół, ponieważ coraz trudniej jej było patrzeć prawniczkę prosto w oczy.

– Na początku tak myślałam. I że przyszła, żeby uprawiać z nami seks.

– W trójkę – dodała rzeczowo Ani.

– No tak.

– Ale do tego nie doszło.

– Nie. Nikt nawet o tym nie wspomniał. Ona przyniosła tę butelkę wódki, wszyscy trochę wypiliśmy i oni głównie rozmawiali ze sobą. Nie słuchałam zbyt uważnie.

– Rozmawiali o jego pracy? A może o jej pracy?

– Pamiętam, że była mowa o spotkaniu, na które oboje szli następnego dnia. To wszystko. Wydaje mi się, że miało się odbyć późnym rankiem. Mieli tam też być inni ludzie.

– Kto?

– Chyba dubajscy biznesmeni inwestujący w fundusz. Spotkanie miało być gdzieś w centrum miasta. Ale gdy o tym rozmawiali, odniosłam wrażenie, że wcale się tak dobrze nie znają. Możliwe, że tego wieczoru widzieli się po raz pierwszy. Ona mogła być czyjąś córką.

– Córką kogoś, kogo on znał.

– Albo kimś ważnym z jakiegoś innego powodu. Ale mogę ci powiedzieć jedno: dziś rano dowiedziałam się, że nawet jeśli ona pracuje w Unisphere, to na pewno nie w ich oddziale w Dubaju.

– Skąd to wiesz?

– Zadzwoiłam do nich.

– Do Dubaju.

– Tak. – Cassie zrelacjonowała swoją krótką rozmowę z recepcjonistką.

Ani westchnęła. Głęboko. Dramatycznie. Wiadomo było, że to westchnięcie oznacza wydanie wyroku.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Najpierw dobre wieści. Zbrodnię popełniono na terenie Zjednoczonych Emiratów Arabskich, a Stany Zjednoczone

nie mają z nimi podpisanej umowy ekstradycyjnej. Władze Emiratów musiałyby cię ściągnąć drogą oficjalnej rekwizycji sądowej czy jakiegoś odpowiednika takiego wniosku. A takie prośby muszą przejść przez cały system, co może potrwać lata.

Cassie przyjęła tę informację z nieskrywaną ulgą, lecz Ani niemal natychmiast uniosła ostrzegawczo palec.

– Ale to nie oznacza wcale, że jesteś już bezpieczna. W amerykańskim prawie jest poprawka pozwalająca nam dokonać ekstradycji osoby, która popełniła zbrodnię przeciwko obywatelowi Stanów Zjednoczonych za granicą. Muszę sprawdzić, czy spod tej klauzuli są wyłączeni amerykańscy obywatele.

– A jeśli tak, to nic mi nie grozi?

– Może. Ale w grę wchodzi też inne kwestie. Nawet jeśli rząd Stanów nie odeśle cię z powrotem do Dubaju, rodzina Sokolova może złożyć przeciwko tobie pozew cywilny o zabójstwo. Wiesz, jak z O.J. Simpsonem. W sprawie karnej sąd go uniewinnił, ale w sprawie cywilnej uznał go za winnego i zarządził trzydzieści pięć milionów dolarów odszkodowania.

– O mój Boże!

– Rodziny ofiar nigdy nie zobaczyły tej kwoty. Słyszałam, że ostatecznie dostały może z pół miliona.

– Takich pieniędzy i tak nie mam. Mam tylko swoje mieszkanie.

– To zawsze coś. Ale być może i tak bez znaczenia. Z drugiej strony, te twoje zdjęcia? W każdej chwili mogą trafić do amerykańskich mediów. A gdy tak się stanie, bardzo szybko zostaniesz, że tak powiem, zdemaskowana.

– Aż tak łatwo mnie na nich rozpoznać?

– Nie wiem, musiałabym zobaczyć powiększenie. Albo oryginały. Ale z tego, co mi mówiłaś, ktoś z załogi waszego samolotu na pewno skojarzy fakty i domyśli się, że to ty. FBI też na to wpadnie. Jakie masz plany na dzisiaj i jutro?

– Dziś wieczorem lecę do Rzymu.

– Nie do Dubaju?

– Nie.

– Dobrze. Nigdy więcej tam nie leć.

– Wcale nie planuję.

– Mówię poważnie.

– Rozumiem.

– A po Rzymie? – spytała Ani.

– Wracam tutaj. Jutro rano lądujemy we Włoszech, jesteśmy tam cały wtorek, noc spędzamy w mieście i wylatujemy z powrotem do Ameryki w środę jeszcze przed lunchem. W Rzymie jesteśmy nieco ponad dwadzieścia cztery godziny.

– Całkiem komfortowo w porównaniu z tym, jak pracują inne stewardesy.

Cassie wzruszyła ramionami.

– Odpracowałam swoje na połączeniach krajowych. Jestem w branży od wielu lat.

– Tak, znam zasady. Wiem, jak to działa.

– Ciągłe jeszcze nie poruszyliśmy kwestii pieniędzy. Nadal nie mam pojęcia, jak zdołam zapłacić za twoje usługi.

Ani odłożyła notatnik na stół i wyprostowała się na krześle. Rzuciła Cassie niemal dobroduszne spojrzenie i powiedziała:

– Posłuchaj, nie czas jeszcze palić mikrofilmy...

– O czym ty mówisz? – przerwała jej Cassie.

– To takie powiedzenie. Wiesz, co to są mikrofilmy?

– Oczywiście.

– Hej, ja nigdy nie widziałam czegoś takiego na oczy. Ale zdaje się, że ludzie pracujący na placówkach zagranicznych, w dyplomacji albo w CIA, mieli kiedyś takie powiedzenie: kiedy świat zacznie się całkiem walić i ambasada zostanie opanowana przez wroga, wtedy należy spalić wszystkie mikrofilmy. Wiesz, dopilnować, żeby nasze tajemnice państwowe nie dostały się w ręce Sowietów, dżihadystów czy kogo tam jeszcze. W każdym razie to jeszcze nie jest ta chwila, dobrze? Oddychaj spokojnie.

– A co z zapłatą?

– Mam przecucie, że gdy w środę wrócisz do kraju, powita cię tu niezła zadyma. Nie taka, żeby od razu palić mikrofilmy, ale może być... nieprzyjemnie. Zapewne czeka cię sporo przykrości. Dlatego teraz leć do tego Rzymu, ponieważ nie chcę, żebyś popadła w niełaskę u swojego pracodawcy. Nie możesz swoim zachowaniem sugerować, że jesteś winna. Oczywiście pomijając to, co robiłaś do

tej pory. Te zdjęcia z kamery w hotelu na pewno dadzą pożywkę wszystkim tabloidom tu, w Stanach. Zobaczysz. Może się zacząć już jutro albo pojutrze. Policja w Dubaju zanieśe twoje zdjęcia, lepszej jakości, do Royal Phoenician i zacznie o ciebie wypytywać. Będą je pokazywać gońcom, hostessom, sprzedawcom ze sklepu z pamiątkami i pytać, czy tak wyglądała kobieta, która przyszła z Alexem Sokolovem. Nie mam pojęcia, czy ten Sokolov był rosyjskim szpiegiem albo agentem CIA, czy Bóg wie kim. Zresztą to nie ma znaczenia. Może jego rodzina ma po prostu dobre koneksje. Tak czy siak, jestem przekonana, że FBI będzie chciało z tobą jeszcze raz porozmawiać i ta historia może się ciągnąć przez jakiś czas.

– Rozumiem.

– Ale są też dobre wieści. Jestem również przekonana, że moja firma zgodzi się reprezentować cię pro bono. Jesteś atrakcyjną kobietą i pracujesz w zawodzie, który – tak, wiem, że to bzdura – wielu ludziom wciąż wydaje się w pewnym sensie sexy. Nie lubię przyznawać głośno, że zawsze polujemy na medialny rozgłos, ale to prawda. Naprawdę to robimy. Wiele lat temu to była firma z klasą, ale te czasy już minęły. Tak więc możemy pomóc ci uniknąć ekstradycji, jeżeli faktycznie wpłynie taki wniosek, w co wątpię. Możemy pomóc, jeżeli zostanie wszczęte postępowanie cywilne, co jest nieco bardziej prawdopodobne, ale na razie jeszcze nie musimy się tym martwić. No i możemy pomóc, jeśli linie lotnicze zaczną ci robić kłopoty.

– Nie pomyślałam o tym.

– O swojej firmie? O tak, mogą się do ciebie przyczepić. Podejrzewam, że jeśli tak się stanie, związek stanie w twojej obronie. Ale my też możemy.

– I zrobicie to dla samego rozgłosu?

– Darmowego rozgłosu. Podkreślam: darmowego. Nie jesteśmy już może tą samą elitarną firmą co kiedyś, ale nadal nie kupujemy reklam na stacjach metra.

Spotkanie dobiegło końca i Ani odprowadziła ją do windy. Cassie chciała uścisnąć prawniczkę rękę na pożegnanie, ale Ani ją objęła. Kiedy drzwi windy się zamknęły, Cassie miała ochotę rozplakać się z wdzięczności.

Z reguły kiedy rejs kończy się na lotnisku na Long Island, linie lotnicze wynajmują dla załogi pokoje w tamtejszych hotelach. Jeśli przerwa ma trwać tylko dwanaście godzin, to nie ma sensu jechać aż na Manhattan, zwłaszcza że w takich sytuacjach rzadko można liczyć na darmowy transport. Poza tym do lotniska jest za daleko, a ruch na ulicach bywa zbyt nieprzewidywalny.

Ale zdarzają się wyjątki. Jeśli pobyt na miejscu ma być dostatecznie długi, to nawet amerykańscy przewoźnicy wysyłają swoją załogę do śródmieścia, zapewniając bus z lotniska do hotelu. Na pewno robi tak większość zagranicznych linii. To bardzo miły gest wobec załogi spoza miasta, która może dzięki temu spędzić noc kilka przecznic od Times Square czy kilka przystanków metrem od Greenwich Village zamiast w hotelu z oknami wychodzącymi bezpośrednio na pas startowy.

Cassie знаła na pamięć godziny odlotów większości zagranicznych rejsów swoich linii lotniczych z lotniska JFK, wiedziała nawet, które z krajowych połączeń mają w rozkładzie na tyle długi postój, że załoga zostanie zakwaterowana w centrum. Wiedziała też, że firma często korzystała z hotelu Dickinson na rogu Lexington i 49 Ulicy. Dlatego kiedy tylko mogła, wsiadała do metra niedaleko swojego mieszkania, jechała trzy przystanki na północ, do hotelu, i zabierała się na lotnisko razem z załogą innego samolotu. Alternatywą było wysiąść na dworcu Grand Central i złapać autobus na lotnisko. Z jej zniżką pracowniczą bilet kosztował tylko dziesięć dolarów, a na tyle akurat jeszcze ją było stać. Ale latem w dusznym autobusie pociła się jak maratończyk – poliestrowy uniform ani trochę tu nie pomagał – a makijaż rozpuszczał się już w drodze do metra. Zimą zimą albo zamarzała na kość, albo docierała na miejsce cała zachlapaną solno-śniegową breją. Niektórzy koledzy z pracy tłumaczyli jej, że to obłąd mieszkać na Manhattanie, kiedy jej bazą wypadową jest lotnisko JFK, ale Manhattan reprezentował dla niej wszystko, czym nigdy nie był jej rodzinny dom w Kentucky. Nie zamierzała zrezygnować z tego mieszkania. Nigdy. Poza tym знаła wiele stewardes, które poświęcały cenny dzień wolny albo wstawały wcześniej rano, żeby dojechać z Buffalo, Bostonu czy Detroit do swojej bazy – podobnie jak Megan, która mieszkała w Waszyngtonie – a potem spędzały pół dnia albo noc na jakiejś nędznej mecie blisko lotniska. Kiedyś sama mieszkała w takim miejscu i spała na najniższej pryczy w suterenie w zapuszczonym budynku w Ozone Park w Queens.

Oprócz niej mieszkało tam ponad dziesięć innych stewardes – a raczej wpadało na kilka nocy, kilka dni czy kilka godzin w miesiącu, żeby się przekimnąć.

Dzisiaj nie marnowała czasu na manicure, ponieważ kawał dnia poświęciła już na spotkanie z prawniczką. Ale metro miało opóźnienie, a tłum na peronie stale się powiększał, gdy tak stała z walizką na kółkach u boku i telefonem w ręku. Do godzin szczytu jeszcze trochę brakowało, więc hordy pracowników New York Life nie zdążyły zalać tunelu, ale i tak było tłoczno, bo to w końcu Manhattan. Kiedy czekała już prawie dziesięć minut, początkowe poczucie klaustrofobii zastąpiło coś sięgającego głębiej: wewnętrzny niepokój. Zaczęła taksować wzrokiem stojących wokół niej ludzi: młode matki z małymi dziećmi, licealistów, studentów, pracowników umysłowych i fizycznych i wszelkiego rodzaju dostawców. Kolejny zwykły dzień pod znakiem tygła, w którym mieszały się młodzi i starzy, ponure twarze ludzi ubranych w koszule polo i letnie sukienki, bluzy od dresu, marynarki i koszulki z logo miejscowych drużyn sportowych

Ale Cassie miała wrażenie, uzasadnione lub wyimaginowane, że w tej ludzkiej magmie jest ktoś, kto trafił tu wyłącznie ze względu na nią. Że ktoś ją obserwuje. Mogła sobie powtarzać w nieskończoność, że to zwykła paranoja, całkowicie zrozumiała po tym, co zobaczyła w Dubaju. Tyleż złośliwy, co nieunikniony figiel, który płata jej własny umysł.

Jednak nie mogła pozbyć się tego nieprzyjemnego wrażenia. Jako kobieta, która spędziła niemałą ilość czasu na peronach metra późną nocą, umiała od razu wyczuć, kiedy coś jest nie tak. Kiedy zbliża się ktoś podejrzany. Kiedy należy się ruszyć z miejsca i oddalić szybkim krokiem.

Tak też zrobiła. Włożyła telefon do torebki, chwyciła walizkę i zaczęła przepychać się przez tłum ludzi, prąc przed siebie z czujnie uniesioną głową, wypatrując człowieka, który ją widział, rozpoznał i...

I co? Czy naprawdę ktoś zamierzał ją zaatakować?

Tego nie wiedziała. Może tylko była obserwowana. Może to wszystko działo się wyłącznie w jej głowie. Ale nie chciała ryzykować.

Próbując precyzyjnie przesuwać walizkę przez obrotowe bramki, rzuciła okiem za siebie, żeby sprawdzić, czy ktoś inny także przeciska się pod prąd między ludźmi wypełniającymi peron. Spojrzała drugi raz, gdy wciągała ciężki bagaż po schodach. Ale pociąg jeszcze nie przyjechał na stację, więc była sama, kiedy wdrapała się na

górze i wyszła na słoneczną ulicę. Po drugiej stronie Park Avenue zobaczyła taksówkę, która jechała na północ i właśnie zwalniała przed czerwonym światłem. W środku nie było pasażera, więc Cassie puściła się biegiem i wskoczyła do środka od strony ulicy.

– Hotel Dickinson, proszę – powiedziała do kierowcy i obejrzała się w stronę wejścia do metra w tej samej chwili, gdy światło zmieniło się na zielone i pojazd ruszył z miejsca. Na chodniku przy schodach pojawiła się samotna postać w ciemnych okularach i czarnej czapce z nisko naciągniętym daszkiem. Taksówka odjechała już za daleko, żeby dało się dostrzec twarz. Ale ten człowiek wyglądał, jakby rozglądał się naokoło, a w końcu jego wzrok padł na jej taksówkę.

Cassie powtarzała sobie, że to nic takiego. Zwykły przypadek – ktoś akurat stracił cierpliwość i postanowił iść pieszo albo złapać taksówkę, zamiast czekać na metro.

Sama jednak w to nie wierzyła.

Zanim dotarła do Dickinsona, bus linii lotniczej zdążył odjechać. Spóźniła się najwyżej o pięć minut.

Na szczęście z tego samego hotelu korzystała też Lufthansa, więc Cassie – tak jak robiła to parę razy w przeszłości – wetknęła kierowcy do ręki dziesięć dolarów i zabrała się razem z niemiecką załogą, która właśnie wyruszała na lotnisko.

Czuła się wśród nich dziwnie. Piloci całkiem ją ignorowali, a ci z obsługi pokładowej szepnęli sobie parę razy coś na ucho, zapewne żartując z niej, ale tak naprawdę nikt się nią specjalnie nie zainteresował. Pewnie rozumieli sytuację, bo sami zarabiali nie lepiej niż ona. To ostatecznie nic wielkiego, po prostu podwieźli koleżankę po fachu na lotnisko, i tyle. Cassie tymczasem przez całą drogę wyglądała przez okno, spodziewając się w każdej chwili ujrzeć gdzieś na chodniku mężczyznę w czarnej czapce, który pstryka jej zdjęcia telefonem. Dopiero kiedy wydostali się wreszcie z zatłoczonych ulic Manhattanu, wyjęła z torby swojego podręcznego Tolstoja i zaczęła czytać, próbując nie myśleć o tym, że jest w tym towarzystwie intruzem. Starła się nie popadać w paranoję, ale była pewna, że jakaś kobieta powiedziała do drugiej coś o Dubaju. Chyba słyszała też kilka razy powtórzone słowo *Mord*, a kiedy sprawdziła w telefonie tłumaczenie, okazało się –

tak jak podejrzewała – że to znaczy po niemiecku „morderstwo”. Na pewno jednak się przesłyszała. Skąd ci ludzie w ogóle mieliby wiedzieć o śmierci Sokolova? Musiałoby to znaczyć, że ktoś z obecnych w busie ostatnio też odbył lot do Dubaju albo wybierał się tam niedługo.

Co było niestety możliwe. Bardzo możliwe.

Przed wyjściem z domu ostatni raz sprawdziła, czy jej zdjęcia z Royal Phoenician rozprzestrzeniły się już po całym Internecie. Wcześniej robiła to chyba co dwadzieścia minut. Nie, sprawa nie nabrała większego rozgłosu, przynajmniej na razie. Wiedziała jednak, że Ani miała rację i że to tylko kwestia czasu. W każdej chwili mogła dostać SMS od Megan albo Jady, bo one na pewno także śledziły ten temat – choć oczywiście nie z takim zainteresowaniem jak ona.

Zrobiła powolny, głęboki wdech i prawie zdołała przekonać samą siebie, że na stacji metra nikt jej jednak nie obserwował. Prawie. Pocieszała się faktem, że przynajmniej ma już prawnika. To zdecydowanie poprawiło jej samopoczucie. Ale teraz, gdy bus sunął wolno po Long Island Expressway, znowu ogarnął ją podły nastrój.

Cassie przystanęła na chwilę przed oknem, wpatrując się w migające światło na końcu skrzydła airbusa. Musiała potrząsnąć głową, żeby się ocknąć i nie zatracić w tym wolnym, rytmicznym pulsie. Tym razem dostała klasę turystyczną, ponieważ lecieli do Rzymu, a nie miała jeszcze aż tak silnej pozycji, żeby zawsze móc zaklepać sobie pierwszą albo biznesową do Wiecznego Miasta. Oczywiście wielu członków personelu tak naprawdę wolało klasę turystyczną. W dzisiejszych czasach pasażerowie w tym sektorze nie czuli się już w żaden sposób uprzywilejowani, więc zachowywali się – szczególnie podczas całonocnego lotu do Europy – raczej potulnie; linie lotnicze skutecznie wybiły im z głowy pomysł, że cokolwiek może im się należeć. Poza tym na rejsach międzykontynentalnych dużo więcej ludzi nadawało bagaż niż podczas lotów krajowych, dzięki czemu było znacznie mniej stresu i walki o miejsce w schowkach na bagaż podręczny. Jedyna wada klasy turystycznej w odczuciu Cassie to fakt, że właściwie nie dało się tam z nikim poflirtować. W przedziale siedziało za dużo ludzi, którzy często latali całymi rodzinami, a przejścia były za wąskie. Oczywiście dzisiaj i tak nie była

w nastroju do flirtowania. Dzisiaj miała ochotę się napić – musiała się napić – dlatego gdy większość pasażerów spała, czytała albo oglądała filmy na swoich laptopach i tabletach, a ona miała chwilę spokoju w kuchni na tyłach samolotu, zrobiła coś, co prawie nigdy się jej nie zdarzało – wzięła małą buteleczkę whisky Cutty Sark i wychyliła ją jednym haustem. Potem wpakowała sobie do ust garść miętówek, rozgryzła je i językiem rozprowadziła miazgę po całych zębach.

Kiedy wylądowali w Rzymie, w Ameryce był jeszcze środek nocy. Na razie nie było żadnych niepokojących listów ani SMS-ów. W skrzynce czekało jedynie kilka e-maili reklamujących odzież czy bieliznę. Świat na moment stanął w miejscu.

W busie z lotniska Fiumicino do centrum Rzymu część załogi umawiała się, żeby wspólnie przejść się na Schody Hiszpańskie, które najwyraźniej mieściły się niedaleko ich hotelu. A stamtąd było już równie niedaleko do paru szykownych sklepów. Towarzyszący im po raz pierwszy młody steward, który został wezwany na ten rejs z listy rezerwowej, nigdy dotąd nie gościł w Rzymie i cały podekscytowany od razu zaczął organizować grupową wycieczkę do Watykanu. Jego entuzjizm okazał tak zaraźliwy, że nawet jeden z pilotów dał się przekonać.

– Boże, od lat nie widziałem Watykanu – stwierdził kapitan, starszy mężczyzna, który dojeżdżał do pracy z West Palm Beach. Miał siwe włosy (co Cassie zawsze ceniła u pilotów) i smagłą skórę, opaloną i wysuszoną słońcem Florydy. – Idę z wami.

– Powinniśmy też wybrać się do muzeum – dodał chłopak planujący całą wyprawę. Miał na imię Jackson i razem z Cassie obsługiwał klasę turystyczną. Pochodził z małego miasteczka w Oklahomie, niedaleko granicy z Teksasem („Same elewatory zbożowe, stuknięci kaznodzieje i ludzie szukający Trasy 66”), i wyglądał na najwyżej dwadzieścia cztery czy dwadzieścia pięć lat. Był praktycznie dzieckiem. Z krótkich rozmów w kuchni pokładowej i tych paru chwil, gdy na swoich składanych siedzeniach grali razem w Words with Friends, wywnioskowała, że miał tysiąc razy szczęśliwsze dzieciństwo niż ona, ale pod

pewnymi względami równie prowincjonalne. Wybór takiego zawodu był dla niego jednocześnie aktem buntu i drogą ucieczki.

– Wiecie, że w muzeum jest sekretne pomieszczenie, gdzie trzymają tylko penisy z różnych rzeźb? – dorzucił kapitan. – Moja córka studiowała przez jeden semestr w Rzymie i mówiła, że to wcale nie jest mit.

– Tak, tak. Zdaje się, że jakiś papież kazał odłamać figurom kuśki i zasłonić liśćmi figowymi – odezwała się inna stewardesa, która pracowała w klasie biznesowej. Nazywała się Erica i była już babcią, ale to wszystko, co Cassie o niej wiedziała. – Ale że je zachowali? No proszę! O tym nie słyszałam.

– Dobra – powiedział Jackson – właśnie znalazłem cel w życiu. Pewnie nigdy nie będę w stanie oddać marmurowym koleśiom ich utraconych części intymnych, ale pewnego dnia przynajmniej zobaczę to tajne pomieszczenie.

– Kto by się spodziewał: Watykan ma swoje sekrety – skomentowała Cassie, która nie odzywała się od jakiegoś czasu. Wesoły nastrój panujący w busie udzielił się też jej, ale dobry humor szybko przysł.

– Nic w tym dziwnego – powiedziała Erica. – Boże, cały świat ma sekrety. Wszyscy je mamy. Dlaczego Watykan miałby być inny? Moja znajoma w zeszłym tygodniu leciała z Paryża do Dubaju. Kiedy na koniec wylądowali na JFK, całą załogę przywitało FBI. Dlaczego? Jakiś gość, który poleciał z nimi do Dubaju, został zamordowany we własnym pokoju hotelowym!

– Nie rozumiem – odparł Jackson. – Ktoś zabił ich pasażera w Dubaju. To po co FBI chciało rozmawiać z załogą?

– Cóż, mówią, że to był zwykły napad, który się źle skończył, ale moja znajoma w to nie wierzy. Ani trochę. FBI pytało wszystkich z obsługi, czy widzieli coś dziwnego na jego laptopie, czy miał jakieś papiery na blacie albo czy w trakcie lotu powiedział coś, co mogłoby pomóc w śledztwie. Ona uważa, że ten gość był szpiegiem albo że ktoś z ich personelu pokładowego był szpiegiem. Wiecie, CIA, KGB, te sprawy. Chodzi mi o to, że ludzie mają swoje sekrety, czasami cholernie poważne.

– Praca w linii lotniczej to ciągle świetna przykrywka dla szpiega – stwierdził pilot. – Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Człowiek cały czas podróżuje. Na pewno takiemu komuś jest łatwiej przesznuć coś ukradzionego z Pentagonu czy Kremla na drugi koniec świata.

Cassie patrzyła w milczeniu, jak kilku członków załogi szuka w telefonach informacji o człowieku zabitym w Dubaju. Sięgnęła do torebki po okulary przeciwsłoneczne. Przez resztę drogi wyglądała przez okno, żalując, że we Włoszech nie ma wymówki, żeby skryć głowę pod szalem.

Cassie postanowiła nie towarzyszyć nikomu z załogi podczas ich różnych wycieczek. Wymamrotała, że nie czuje się dziś na siłach, by gdziekolwiek chodzić, ale poprosiła grupkę, która wybierała się na zakupy, żeby dali jej znać, gdzie będą jeść kolację. Może wtedy do nich dołączy.

W hotelu od razu się położyła, nie nastawiwszy budzika w telefonie i nie zamówiwszy budzenia w recepcji, a o jedenastej już spała. Kiedy sama z siebie otworzyła oczy, było kilka minut przed czternastą. Przeciągnęła się z zadowoleniem jak kot. Zawsze najlepiej się jej spało podczas tych południowych drzemek po wylądowaniu w Europie. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w wielką grafikę przedstawiającą Koloseum na ścianie przy łóżku, a potem w cienki jak promień lasera pasek światła między zasłonami. W pewnym momencie przypomniała sobie ostatni raz, kiedy obudziła się w hotelowym łóżku, i natychmiast zrobiło się jej trochę niedobrze. Wiedziała, że powinna sięgnąć po telefon leżący na nocnym stoliku.

Mimo to pozwoliła sobie jeszcze przez chwilę poleżeć bez ruchu. Rozmyślała o kotach w schronisku oraz o dzieciach swojej siostry. Chciała skoncentrować się na rzeczach, które kochała, i pamięci o chwilach, kiedy nie była w takiej rozsypce.

W końcu sięgnęła po komórkę. Z powrotem zakryła głowę kołdrą i spojrzała na ekran. Czy będzie gorzej, niż się spodziewała? Może tak, może nie. Zobaczyła, że przespała telefon od Franka Hammonda z FBI i trzy SMS-y od Megan. Po ich przeczytaniu wiedziała już w zasadzie wszystko, co powinna wiedzieć:

Nie wiem, gdzie jesteś, ale znalazłam w Internecie dwa zdjęcia. Widziałas je?

Zadzwoń, jak będziesz mogła. Jeszcze jestem w kraju. Lecę dopiero wieczorem. Jestem z Tobą.

Pewnie jesteś w Europie. Zadzwoń. Jada i Shane też widzieli zdjęcia.

Cassie położyła telefon na poduszce obok siebie i zamknęła oczy. Ciekawe, że Megan nie napisała niczego, co mogłoby świadczyć o jej winie i co można by później wykorzystać przeciwko niej. Jedynym potencjalnie problematycznym sformułowaniem było to zdawkowe „Jestem z Tobą”, ale Cassie oglądała dostatecznie dużo prawniczych seriali, żeby wiedzieć (a przynajmniej móc sobie wmawiać), że podobna uwaga może być interpretowana na tysiąc różnych sposobów.

Jednak ukryty między wierszami przekaz był jasny i oczywisty: Megan nie miała wątpliwości, że to Cassie jest kobietą na zdjęciach z hotelowego monitoringu, a tym samym, że najprawdopodobniej spędziła tamtą noc z Sokolovem. Teraz zaś była gotowa kryć swoją przyjaciółkę. Zamierzała zachować dla siebie fakt, że Cassie wróciła do hotelu w Dubaju dopiero na kilka minut przed poranną zbiórką całej załogi. Może była nawet skłonna zrobić jeszcze więcej – na przykład zapewnić jej alibi.

W każdym razie Cassie musiała zadzwonić do Megan. Nie była natomiast pewna, co zrobić z telefonem od Hammoda. Pewnie zamiast do niego powinna od razu odezwać się do Ani. W końcu chyba właśnie po to są prawnicy?

Tak czy inaczej, najpierw potrzebowała drinka. No i wypadałoby też coś zjeść.

Wyszła z łóżka, zaskoczona tym, jak chłodno jest w pokoju. Mała hotelowa lodówka okazała się pusta. Nie było też barku, co oznaczało, że trzeba będzie zejść na dół. Co prawda nie mogła wykluczyć, że wpadnie tam na kogoś z załogi, ale wydawało się to mało prawdopodobne. Zanim zdąży wziąć prysznic, ubrać się i zjechać windą do holu, ich już nie będzie, zresztą kto wie, może już dawno wyszli na miasto.

Kiedy była ubrana, umalowana i miała wysuszone włosy, usiadła na brzegu łóżka i jeszcze raz rozejrzała się po pokoju. Nigdy nie ukradła niczego z hotelu dla siebie, ale przez te wszystkie lata zdarzyło się jej zabrać coś dla siostry, siostrzeńca

i siostrzenicy. Czasami próbowała usprawiedliwiać te drobne kradzieże: hotel miał wygórowane ceny, te rzeczy to i tak bezwartościowe graty, a poza tym, wiadomo, każdy przecież zabiera z hotelu mydło. Pamiętała, jak z różnych rejsów przywoziła siostrze piękny czarny szlafrok z Francji (który ukradła z kosza na brudną bieliznę zostawionego przez pokojówkę na korytarzu), egzotyczne poduszki z Wietnamu, eleganckie drewniane wieszaki z San Francisco, niebieski serwis do kawy firmy Wedgwood z Włoch (stał na podłodze pod drzwiami do innego pokoju), bardzo puchate ręczniki z Miami oraz mosiężny stojak na gazety z Niemiec. Dla dzieci najczęściej podkradała małe ozdobne figurki albo co ciekawsze obrazki, grafiki czy zdjęcia, które nie były przykręcone do ściany. (Kiedy zabierała jakiś obrazek, zawsze robiła to od razu po przyjeździe do hotelu i dzwoniła do recepcji, żeby zgłosić puste miejsce na ścianie nad łóżkiem albo przy szafie). Przywoziła im zdjęcia latarni morskich, drapaczy chmur i naj słynniejszych budowli Paryża, Sydney albo Rzymu. Znajdowała dla nich różne bibeloty i przyciski do papieru w kształcie smoków (Hanoi), wikingów (Sztokholm) czy baletnic (Moskwa).

Czy jej siostra podejrzewała, że podarunki były kradzione? Być może. Ale Cassie zawsze upierała się, że za nie zapłaciła, w niektórych przypadkach nawet zapewniając, że sprzedawali je w hotelowym sklepie z pamiątkami. Zawsze po powrocie do Nowego Jorku wszystko czyściła, pakowała do pudełek i owijała w ozdobny papier.

W tej chwili nie szukała prezentu dla nikogo konkretnego, ale jej wzrok padł na małą replikę słynnej rzeźby przedstawiającej mitycznych braci Romulusa i Remusa karmionych przez wilczycę, która ich uratowała. Figurka stała na małym stoliku, na oprawionym w skórę folderze z informacjami dla gości i magazynie dla turystów odwiedzających Rzym. Cassie domyśliła się, że była kiedyś połówką zestawu podpórek do książek. Wstała i wzięła ją do ręki. Figurka miała może piętnaście centymetrów długości i tyle samo szerokości, była wykonana z miedzi i wypełniona piaskiem. Siostrzeniec Cassie miał niedługo zacząć szóstą klasę, a ona pamiętała jak przez mgłę, że w tym wieku chyba uczyła się o greckiej i rzymskiej mitologii. Diana, rzymska bogini łowów, kojarzyła się jej wtedy z piękną młodą nauczycielką, Dianą Dezzarides. Tim na pewno będzie zachwycony tą figurką, kiedy zacznie już porządnie poznawać wielkie mity starożytności. Mógłby to być prezent pod choinkę. Powiedziałyby Rosemary, że

wypatrzyła tę podpórkę w sklepie z antykami, a ponieważ to tylko jedna część rozbitego zestawu, dostała ją za bezcen. Teraz tylko musiała jeszcze znaleźć coś równie oryginalnego dla siostrzenicy.

Na samą myśl o tym, że mogłaby schować miedzianą figurkę do swojej walizki, poczuła dreszczyk emocji. Cassie nie kradła po to, by w jakiś sposób ukarać hotel, ani dlatego, że nie było jej stać na kupienie upominków dla rodziny. Wiedziała, że to nie to samo, co zabrać ze sobą mydło z łazienki, i nawet nie próbowała sobie wmawiać nic innego. Tak jak w wypadku wielu jej zachowań, chodziło przede wszystkim o przekroczenie jakiejś granicy, której większość ludzi nie odważyłaby się przekroczyć. Kradła w hotelach, ponieważ to było ekscytujące. Po prostu. Robiła to, ponieważ – tak jak większość rzeczy, które sprawiały jej przyjemność – było w tym coś niebezpiecznego, autodestrukcyjnego i odrobinę niemoralnego.

Hotelowy bar o tej porze świecił pustkami (w końcu był środek tygodnia), ale było tam przytulnie, ciemno i ciepło, choć nie gorąco. Większość ludzi wolała pić na zewnątrz, na słonecznym placu, więc Cassie miała cały lokal dla siebie. Wzięła ze sobą książkę, chociaż nigdy nie należała do tych kobiet, które źle się czuły, jedząc i pijąc – zwłaszcza pijąc – w samotności. Nie zabrała książki jako rekwizytu czy po to, by odgrodzić się nią od otoczenia. Postanowiła sprawdzić, czy *Śmierć Iwana Iljicza* pomoże jej na jakimś duchowym poziomie lepiej zrozumieć śmierć Alexa Sokolova. Raczej w to wątpiła, ale wcześniej w swoim pokoju przeczytała jeszcze kawałek *Szczęścia rodzinnego* i stwierdziła, że to opowiadanie stanowi miłą odskocznnię od zamętu w jej własnym życiu. Zaczynała lubić Maszę, i to nawet bardzo.

Barmanem był szczupły młody mężczyzna z rudobrazowymi włosami zaczesanymi do tyłu i krótko przystrzyżonym wąsikiem. Jego roboczy strój składał się z białej koszuli i niebieskiej kamizelki, która doskonale podkreślała błękit oczu. Cassie poprosiła go o negroni, po czym udała się ze szklanką do obitego skórą boksu na tyłach sali, wybierając miejsce obok kopii klasycznej rzeźby Merkurego i pod lampą od Tiffany'ego z witrażowym kloszem. Zanim się rozsiadła, upewniła się, że jej komórka ma tu dobry zasięg. Potem wzięła słuszny łyk, delektując się ostrym smakiem ginu, i przez dłuższą chwilę ssła plasterek pomarańczy.

Dopiero kiedy szklanka była w połowie opróżniona, oparła się wygodnie i wybrała numer Megan. Przyjaciółka szybko odebrała.

– Mam dobry roaming, jeśli chodzi o SMS-y, ale nie o połączenia, więc przejdźmy od razu do rzeczy.

– Widzisz, gdybyś miała w domu małe dzieci, to byłoby dokładnie odwrotnie. Co innego, gdy jest się matką nastolatek, tak jak ja. Ostatnie, na co mam ochotę, będąc za granicą, to wysłuchiwać o życiowych dramatach swoich córek. Więc mam taką samą sytuację jak ty.

– Twoje dzieci są świetne.

– Chodzące burze hormonów, co jednego dnia mnie kochają, a drugiego najchętniej by mnie zamknęły na strychu.

– Dostałam twoje SMS-y. Jesteś sama? Możesz rozmawiać?

– Tak, jestem sama w domu – powiedziała Megan. – Słuchaj, widziałam te zdjęcia. Wszyscy widzieliśmy. To ty na nich jesteś, prawda?

I w tej sekundzie Cassie zrozumiała swój błąd: nie powinna była dzwonić do Megan. Powinna była skontaktować się z Ani, i tylko z nią. Tak, ona i Megan znały się od lat, ale teraz będzie musiała prosić przyjaciółkę, by ta świadomie kłamała w jej obronie, a na to nie była jeszcze gotowa – najpierw musiała zdecydowanie więcej wypić. Sedno problemu polegało jednak na tym, że co innego powiedziała Megan w Dubaju, a co innego Derekowi Mayesowi w Nowym Jorku. Natomiast agentom FBI na razie do niczego się nie przyznała. Aby cokolwiek ugrać, musiałaby teraz w jakiś sposób pogodzić ze sobą obie te wersje, dzięki czemu Megan i Derek mogliby trzymać wspólny front. Przełknęła resztę koktajlu, a w tej samej chwili barman – zupełnie jakby czytał jej w myślach – wyłonił się zza tego wielkiego pięknego baru i zaraz był przy niej, pytając, czy chce następnego drinka. Cassie pokiwała energicznie głową.

– Jakie zdjęcia? – spytała. Postanowiła grać na zwłokę, udając głupią.

– Nie widziałas ich? Naprawdę ich nie widziałas?

– Nie wiem, o czym mówisz.

Cassie usłyszała po drugiej stronie głośnie westchnięcie.

– W sieci są dwa zdjęcia kobiety, która wygląda jak ty i ma na sobie szal podobny do tego, który kupiłaś, kiedy wylądowałyśmy w Dubaju. Pamiętasz, na lotnisku? Zdjęcia są z hotelu w Dubaju, gdzie został zabity ten facet z 2C. Ten od funduszu

hedgingowego. Na jednym zdjęciu kobieta jest razem nim, na drugim jest sama. Jada twierdzi, że to ty. Shane jest absolutnie pewny.

– A ty? – spytała Cassie. Żałowała, że Alex Sokolov został zapamiętany jedynie jako pasażer z 2C i facet od funduszu hedgingowego. Zasługiwał na więcej. – Jak ty uważasz?

– Powiedz mi, byłaś z nim? Wiem, że go nie zabiłaś, ale byłaś z nim? Powiedz mi tylko tyle. Dzwonili do mnie z FBI. Mam się z nimi dzisiaj spotkać, więc muszę wiedzieć, co mam im powiedzieć.

„Co mam im powiedzieć”. Te słowa odbiły się echem w głowie Cassie.

– Do mnie pewnie też się odezwą, kiedy wrócę – odparła, zachowując dla siebie fakt, że sama dostała już wiadomość od agenta. Patrzyła, jak barman przygotowuje jej drinka, i próbowała siłą woli sprawić, żeby się pospieszył. Potrzebowała jak najszybciej znieczulenia.

– Tak, pewnie tak. – W tonie głosu Megan frustracja mieszała się z drwiną.

– Całe szczęście, że jestem we Włoszech. Gdzie lecisz w tym miesiącu?

– Do Berlina. Wylatuję wieczorem, o dziewiętnastej trzydzieści.

– Lubię ten rejs.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie. Powinnaś zacząć czytać między wierszami?

– Nie, oczywiście, że nie.

– No to co się dzieje? Tak naprawdę?

Barman wrócił z jej drinkiem, a kiedy postawił go na stole, miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jego pięknych, długich palców. Wymamrotała jednak tylko podziękowanie i zdjęła plasterek pomarańczy z brzegu szklanki, by bezceremonialnie rzucić go na blat, obok książki. Następnie uniosła szkło do ust i jednym łykiem upiła co najmniej trzy centymetry zawartości.

– Powiem ci, co powinnaś zrobić – zaczęła.

– Słucham.

– Chcę, żebyś zapomniała, jak mówiłam, że poderwałam kogoś w barze w Dubaju. Chcę, żebyś zapomniała, że rozmawialiśmy ze sobą tamtego ranka w moim pokoju, przed wyjazdem z miasta. O ile ci wiadomo, tamtej nocy w ogóle nie opuściłam swojego pokoju. Nie zamówiłam nawet jedzenia. To wszystko.

Nastąpiła długa pauza, którą Cassie wykorzystała, żeby wypić jeszcze trochę. Miała pusty żołądek. Wiedziała, że już niedługo poczuje się lepiej.

– Więc mam kłamać – odezwała się w końcu Megan.

– Pewnie w ogóle do tego nie dojdzie.

– Dojdzie.

– W takim razie tak. Proszę.

– Możesz mi powiedzieć coś więcej?

– Och, Megan, ja po prostu nie chcę, żeby ludzie źle to wszystko zrozumieli. I nie chcę, żebyś ty została w to wciągnięta. Załóżmy, że naprawdę poznałam jakiegoś faceta w naszym hotelu. Uznajmy, że tak właśnie było, dobrze?

– Ponieważ jesteś szpiegiem.

– Żartujesz, prawda?

– Nie wiem.

– A, jeszcze jedno – dodała Cassie. – Nie mówiłaś Jadze, Shane’owi czy komukolwiek innemu o naszej rozmowie tamtego ranka w moim pokoju w Dubaju? I o tym, co ci wtedy powiedziałam?

– Nikomu nie mówiłam.

– No to w porządku.

– Prześlij mi swój grafik na sierpień, żebym wiedziała, kiedy będziemy w tej samej strefie czasowej – poprosiła Megan. – Mamy dużo do omówienia. Najlepiej byłoby spotkać się w cztery oczy.

– Masz rację – przyznała Cassie. – Podeślę ci swój grafik. Może będziemy tego samego dnia na JFK. – Następnie podziękowała, głęboko i szczerze, i przeniosła się z resztką drinka do baru. Wiedziała, że powinna zadzwonić teraz do Ani, ale nie mogła się do tego zmusić. Po prostu nie mogła. Barman stał oparty o ścianę i oglądał coś na telefonie. Miał złotą plakietkę z wypisanym imieniem: Enrico.

– Jeszcze jedno? – zapytał, kiedy ją zauważył. Mówił po angielsku z ledwo zauważalnym włoskim akcentem.

– Poproszę. Robisz świetne negroni. – Cassie nie pamiętała, kiedy ostatni raz uprawiała seks na trzeźwo, i zaczęła się zastanawiać, czy istnieje synaptyczne połączenie pomiędzy jej ciałem – czy też psychologicznym obrazem własnego ciała – a alkoholem. Pomiędzy intymnością a stanem upojenia. Przeczesała palcami

włosy. Potrzebowała jeszcze jednego drinka, żeby ukrócić tę mentalną gimnastykę. Życia niektórych ludzi, w tym i jej, nie należy zanadto analizować. Była już dostatecznie wstawiona, by nabrać ochoty na odrobinę wstydu. Miała ochotę na tego młodego barmana.

– Do smaku campari trzeba się przyzwycząić – powiedział.

– Och, ja przyzwycząiałam się już dawno.

– To chyba nie mogło być aż tak dawno.

Wzruszyła ramionami.

– Zdziwiłbyś się. Bardzo dobrze mówisz po angielsku.

– Moja babcia jest Amerykanką. Poza tym przyjeżdża tu do nas mnóstwo turystów z Ameryki.

– Powiedz mi coś, Enrico.

– Dobrze.

– Czy te kamizelki zostały wybrane specjalnie pod kolor twoich oczu?

Uśmiechnął się, jeden kącik ust unosząc nieco wyżej niż drugi. Gdyby nie był taki młody, zapewne wyglądałby bardziej szelmowsko. Miała nadzieję, że pracuje tylko do kolacji, dzięki czemu zdąży go zabrać do swojego pokoju, a potem jeszcze będzie mogła się porządnie wyspać.

FEDERALNE BIURO ŚLEDTCZE

Formularz FD-302: MEGAN BRISCOE, STEWARDESA

DATA: 1 sierpnia 2018

MEGAN BRISCOE została przesłuchana przez regularnie wylegitymowanych agentów specjalnych NANCY SAUNDERS i EMORY'EGO LEARY'EGO w biurze FBI w Waszyngtonie.

SAUNDERS prowadziła przesłuchanie, LEARY sporządzał niniejsze notatki.

Podczas pierwszego przesłuchania (patrz FD-302 z 28 lipca 2018 spisany na lotnisku JFK w Nowym Jorku) BRISCOE zeznała, że nie widziała się z CASSANDRĄ BOWDEN w Dubaju z wyjątkiem wspólnej podróży busem linii lotniczej pomiędzy lotniskiem a wynajętym przez firmę hotelem. Jak stwierdziła, zakładała, że BOWDEN spędziła noc sama w swoim pokoju.

Po okazaniu jej dwóch fotografii z kamer monitoringu hotelu ROYAL PHOENICIAN przedstawiających kobietę w ciemnych okularach i szalu BRISCOE przyznała, że tą kobietą może być BOWDEN. Potwierdziła wcześniejsze zeznania stewardesy JADY MORRIS: szal, który ma na sobie kobieta ze zdjęcia, wygląda podobnie do tego, który BOWDEN kupiła po wylądowaniu w Dubaju w czwartek 26 lipca.

Następnie stwierdziła, że spotkała się z BOWDEN w hotelu zarezerwowanym przez linie lotnicze rano w piątek 27 lipca. Widziała, jak BOWDEN wraca do swojego pokoju, gdzie odbyły krótką rozmowę. Z tego co pamięta, wypowiedzi BOWDEN sugerowały, że spędziła noc z jakimś mężczyzną w innym hotelu w Dubaju.

BRISCOE zeznała, że to nie był pierwszy raz, kiedy BOWDEN zniknęła podczas służbowych podróży. Jej zdaniem BOWDEN zachowuje się tak często, kiedy jest za granicą.

BRISCOE przyznała, że mogą to być schadzki o charakterze erotycznym, ale może w nich chodzić o coś więcej, sama bowiem nigdy nie poznała żadnego z mężczyzn, z którymi

BOWDEN rzekomo się spotyka.

Przesłuchiwana dodała, że BOWDEN wydawała się rozkojarzona i nerwowa podczas jazdy busem na lotnisko w Dubaju w piątek rano, a później płakała na pokładzie samolotu niedługo po starcie. Powiedziała też, że BOWDEN zgubiła swoją torebkę w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, ale nie straciła paszportu ani portfela.

Rozdział 11

W głębi duszy Elena wcale nie uważała, że to ona zabiła swojego ojca, ale raz na jakiś czas, zwłaszcza późną nocą, przychodziło jej do głowy, że mogła być ostatnią kroplą, która przepelniła czarę. Wiele lat wcześniej, kiedy kończyła drugi rok studiów, ojciec doznał udaru mózgu (a przynajmniej wszyscy zakładali, że to był udar). Przeżył, ale stał się cieniem samego siebie. Poruszał się wolno, utykał na jedną nogę, lewa strona twarzy obwisała mu jak źle udrapowane zasłony, a gdy mówił (o ile w ogóle znajdował słowa), ledwo dało się go zrozumieć. Elena pamiętała, jak poleciała go odwiedzić w Soczi – trwały już wtedy przygotowania do igrzysk olimpijskich, ale letni dom jej ojca mieścił się nad małym jeziorem, z dala od olimpijskiego szaleństwa. Pewnego dnia pomagała mu wysiąść z przedniego siedzenia bmw, którym nie mógł już jeździć, a on albo stracił równowagę, albo potknął się o krawężnik i nagle runął na podjazd. Elena zdążyła osłonić mu głowę, dzięki czemu jej sobie nie rozbił, i przez sekundę myślała, że jej szybka reakcja go uratowała. Ale jego delikatny mózg paskudnie zatrzęsł się wewnątrz delikatnej czaszki. Wiedziała to od razu i z upływem kolejnych godzin coraz bardziej się w tym utwierdzała.

Przy kolacji wydawał się być jeszcze w dobrej formie – w każdym razie na tyle dobrej, na ile to było możliwe na tym etapie jego życia, czyli mówił bardzo cicho, mocno się przy tym śliniąc, i jadł bardzo niewiele – ale w nocy znaleźli go bez świadomości na podłodze salonu. Upadek usłyszał mieszkający z nim na stałe pielęgniarz, Gruzin, który czystym przypadkiem nazywał się tak samo jak ulubiona rosyjska drużyna piłkarska ojca Eleny: Spartak. To właśnie Spartak go znalazł i krzykiem obudził śpiącą na górze Elenę. Pielęgniarz był typem łagodnego olbrzyma z cienkim paskiem brody okalającym żuchwę. Elena przysnęła w tej samej sypialni, w której mieszkała jako nastolatka w te wszystkie weekendy, gdy odwiedzała ojca po rozwodzie rodziców. (I wreszcie miała okazję się z nim zobaczyć, bo po ich rozstaniu strasznie za nim tęskniła). Kilka godzin później

zmarł w szpitalu. Przyczyna śmierci? Krwotok śródmózgowy. Pęknięte naczynie krwionośne. Już kolejne. Ale tym razem jego mózg utonął we własnej krwi.

Mogło się to stać na chwilę przed jego upadkiem w salonie. Najprawdopodobniej tak właśnie było. A może nie. Może powolny krwotok rozpoczął się już w momencie, gdy niemalże uderzył głową o krawężnik na podjeździe przed domem.

Zawsze był wyjątkowo starym ojcem – kiedy się urodziła, miał pięćdziesiąt sześć lat, a jej matka trzydzieści pięć. Elena nie miała rodzeństwa. Rodzice wzięli rozwód, gdy miała osiem lat, i bardzo źle to wspominała. Ich małżeństwo załamało się pod naporem szalonej ilości pieniędzy, które zarobił, gdy jako byłemu oficerowi KGB z dostępem do kartonów wypełnionych tajnymi aktami operacyjnymi pozwolono mu wykupić tysiące akcji koncernu naftowego Jukos za ułamek ich rzeczywistej wartości. Następnie zaczął inwestować na rynku nieruchomości w Petersburgu, Nowym Jorku, Ad-Dausze i Dubaju. Założył fundusz, zasilany w części przez dochody z tych wszystkich nieruchomości, a w części – chociaż Elena w to nie wierzyła – ze środków skradzionych rosyjskiemu skarbowi państwa w ramach skomplikowanych oszustw podatkowych. Nie wierzyła w to, ponieważ widziała, jak bliskie relacje łączyły jej ojca z prezydentem Federacji Rosyjskiej, który był jego protegowanym w czasach, gdy obaj służyli w KGB. Ale, rzecz jasna, niektórzy przebąkiwali, że sam prezydent również był zamieszany w te przekręty.

Nawet wiele lat po ich rozwodzie, kiedy ze szwajcarskiej szkoły z internatem przeniosła się do college'u w Ameryce, jej rodzice nadal kontaktowali się ze sobą głównie za pośrednictwem wspólnych znajomych. Żadne z nich nie zawarło nowego małżeństwa. I dlatego to Elena musiała się nim zająć po udarze, którego doznał, gdy miała dwadzieścia lat, kiedy stało się jasne, że nie może dłużej mieszkać sam w swoim mieszkaniu w Moskwie ani w daczynie w Soczi. Wróciła ze szkoły i została z nim prawie pół roku. Sprowadziła do pomocy Spartaka, a on okazał się aniołem. Był jakieś dziesięć lat starszy od niej, ale na kameralnej uroczystości żałobnej – zorganizowanej w lesie za domem dla znajomych jej ojca znad Morza Czarnego – szlochał jak dziecko. (Właściwy pogrzeb odbył się w Moskwie, ze znacznie bogatszą oprawą. Wprawdzie prezydent Rosji nie uczestniczył w nim osobiście, ale przysłał swoich przedstawicieli). Spartak płakał również w jej imieniu – Elena płakała wyłącznie w samotności, ponieważ

publicznie czuła się w obowiązku reprezentować słynną siłę rodu Orłowów. Gdy tylko jednak znalazła się na osobności, zalewała się łzami. Kochała go tak, jak tylko dziewczyna może kochać ojca. Kochała go, bo z jednej strony rozpieszczał ją jako jedynaczkę, a z drugiej szanował jej intelekt i zaradność. Widział w niej wiele swoich własnych cech i zawsze, choćby nie wiadomo co, był z niej dumny.

Elena wiedziała, dlaczego dziś wieczorem, leżąc samotnie w łóżku w Dubaju, znowu zaczęła myśleć o ojcu. Po części chodziło o tę pułapkę, w którą wpadła, gdy po raz pierwszy przysłała do apartamentu Sokolova. Tak, mogła zabić i jego, i tę stewardesę od razu, kiedy miała okazję. Wyciągnąć dwudziestkędwójkę i mieć to z głowy. Problem w tym, że choć Sokolov musiał umrzeć, ta kobieta nie zrobiła nic złego. Oczywiście stawka była wysoka i Elena zapewne zdołałaby jakoś uzasadnić to podwójne zabójstwo. Ale zlikwidowanie tej Bowden z pewnością także pociągnęłoby za sobą pewne konsekwencje. Patrząc wstecz, wiedziała, że był to problem nie do rozwiązania.

Jednak gdyby Bowden nie wróciła do apartamentu, tej całej katastrofy dałoby się uniknąć. To niezaprzeczalny fakt. Elena naprawdę nie umiała przewidzieć, jak długo jeszcze zdoła odwlekać to, co nieuniknione.

Ponadto wiedziała, że jej także grożą poważne konsekwencje – w jej profesji rzadko wybacza się błędy – a w ostatecznym rozrachunku stewardesa i tak pewnie zostanie zabita.

„Bądź realistką: jedna z was musi umrzeć. Wybór należy do ciebie”.

Czy jej ojciec był równie bezwzględny jak Viktor? Bez wątplenia. Ale Elena nigdy nie poznała go od tej strony. Widziała w nim jedynie kochającego ojca, który nie umiał jej niczego odmówić.

Kilka godzin wcześniej przeglądała na telefonie najnowsze wiadomości i natrafiła na informację o zamachu na znanego rosyjskiego lidera opozycji, który został zamordowany w Kijowie. Wiedziała, że to tylko kwestia czasu. Zabity człowiek zasiadał w rosyjskim parlamencie, zanim zdecydował się przejść na drugą stronę barykady i wyjechać z kraju. Zamachowiec był niewiele młodszy od niej; miał dwadzieścia siedem lat. Zastrzelił opozycjonistę oraz jego ochroniarza na ulicy i zniknął, został jednak rozpoznany przez znajdującego się w pobliżu polityka, a rzecznik ministerstwa spraw wewnętrznych Ukrainy wyraził podejrzenie, że zabójca był rosyjskim agentem. Prezydent Rosji uznał te oskarżenia za absurdalne.

Elena wiedziała, że to prawda. Znała tego zamachowca.

Przełożyła poduszkę na chłodną stronę i przewróciła się na drugi bok. Chciała wreszcie zasnąć i przestać o tym myśleć. Ale kiedy tylko zapominała na chwilę o stewardesie, przypominała sobie po raz kolejny ojca. Tęskniła za nim. Bardziej niż za kimkolwiek innym. I zawsze wracała do niego myślami, kiedy otrzymywała podobne zadanie. Ponieważ to on był pierwszą osobą, którą uśmierciła.

Nie, ona tylko go dobiła. Zresztą może nawet to nie była wcale jej wina.

Znała prawdę na temat tamtego pierwszego udaru. To dlatego zrobiła to, co zrobiła. To dlatego była teraz tym, kim była.

Mimo to wspomnienia o ojcu i różnych rzeczach, których dopuściła się dlatego, że była jego córką, nie pozwoliły jej zmrużyć oka aż do rana.

Rozdział 12

Cassie obudziła się tuż przed czwartą nad ranem, przypomniała sobie, gdzie jest, i sięgnęła ręką na drugą stronę łóżka, gdzie wcześniej leżał Enrico. Wiedziała, że znajdzie tam tylko pustkę – barman opuścił jej pokój siedem godzin temu. Była mniej więcej dwudziesta pierwsza, kiedy leżąc przy nim, z głową na jego piersi, wymamrotała, że jest wykończona i powinna się przespać. Młody, niedoświadczony Enrico w pierwszej chwili nie zrozumiał, że w ten sposób subtelnie prosi go, żeby zostawił ją samą. Przyciągnął ją bliżej do siebie. Musiała wytłumaczyć, że woli spać sama (co nie zawsze było prawdą, ale tym razem tak właśnie się czuła). Zapewniła go, że zobaczą się za tydzień, kiedy znowu będzie w Rzymie, ale szczerze w to wątpiła. Linie lotnicze prawdopodobnie wyślą ich do tego samego hotelu, ale ona zamierzała unikać jego baru. Teraz, gdy już wytrzeźwiała, nie mogła pojąć, co sobie, na Boga, myślała, podrywając barmana w hotelu. Ale знаła odpowiedź: nie myślała. Piła już trzecie negroni, a zanim Enrico skończył swoją zmianę i poszli na górę do jej pokoju, zdążyła wychylić jeszcze dwa.

Negroni w Rzymie. Akvavit w Sztokholmie. Arak w Dubaju. Jej życie to niekończący się przegląd alkoholi z różnych stron świata.

Gdyby tylko zabrała Sokolova do swojego pokoju w Emiratach, a potem tak samo się go pozbyła. Gdyby tylko opuściła jego apartament na dobre, tak jak zamierzała. Tymczasem jej urwał się film. Aż tyle wypiła tamtej nocy w zeszłym tygodniu.

To było zaledwie w zeszłym tygodniu. Boże. Czuła, że zaczynają wokół niej krążyć hieny...

Znała swój organizm na tyle dobrze, by wiedzieć, że pewnie nie uda się jej już znowu zasnąć, ale na dole miała się stawić dopiero za kilka godzin. Wstała więc z łóżka, zapaliła światło i wyciągnęła z szafy szlafrok. Nie przeszkadzał jej widok własnego nagiego ciała w lustrach – a w tym pokoju było ich całkiem sporo – ale

zrobiło się dość chłodno. Cyfrowy termostat pokazywał temperaturę w skali Celsjusza, więc podkręciła ją o kilka stopni i miała nadzieję, że się nie ugotuje żywcem.

Na poczcie głosowej miała nagrane wiadomości: od prawniczki, po raz kolejny od FBI i od siostry. Odsłuchiwała tylko tę od Rosemary, żeby się upewnić, że z siostrzeńcami wszystko dobrze. Na szczęście nic się nie stało. Rosemary przesyłała jedynie pozdrowienia i przypominała, że razem z rodziną przyjeżdża do Nowego Jorku w najbliższy weekend. Pytała, czy Cassie wybierze się z nimi w sobotę do zoo na Bronksie, a potem na kolację do Chinatown.

Nie mogła się zmusić do przesłuchania wiadomości od Ani i Franka Hammonda. Ale też ich nie skasowała. Może powinna zaszaleć i zamówić do pokoju owsiankę i kawę po irlandzku? Kuchnia była otwarta dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nawet jeśli nie mieli o tej porze w kuchni kogoś, kto umie porządnie przyrządzić taką kawę – tak naprawdę jej ulubiony element to ta gęsta pianka – to mogą przynajmniej dolać do filiżanki trochę Jamesona. Dopiero wtedy będzie odpowiednio przygotowana, żeby usłyszeć, co mieli jej do powiedzenia Ani i Frank, i na spokojnie przeanalizować swoją sytuację.

Jedząc powoli owsiankę i popijając wzmocnioną kawę, wzięła do ręki tablet i wpisała w Google hasło „trauma”. Ciekawiło ją, czy ludziom, którzy obudzili się obok trupa, zostaje uraz na całe życie, choć przypuszczała, że liczba przebadanych pod tym kątem jest stosunkowo niewielka. Przez kilka minut przeglądała artykuły naukowe mówiące o rodzinach zamordowanych osób, które często potrzebowały intensywnej terapii oraz dużej ilości leków, by pogodzić się ze stratą. Sama utożsamiała się z tymi udręczonymi duszami, dopóki nie przyszli jej na myśl rodzice Alexa Sokolova. Mogła sobie tylko wyobrażać, co teraz przeżywają.

W końcu wzięła się w garść i przesłuchiwała wiadomości od Ani i Franka Hammonda. Prawniczka mówiła, że ma jej do przekazania informacje na temat prawa ekstradycyjnego. Po jej głosie Cassie nie umiała stwierdzić, czy oznacza to dobre czy złe wieści. Z kolei agent FBI powiedział, że chciałby jej tylko zadać kilka szybkich pytań, bo musi domknąć parę wątków, i proponował, żeby przyszła do biura agencji w centrum. Jego ton brzmiał całkiem swobodnie, ale miała

przeczcucie – zasilane strachem – że tylko zgrywa głupiego. Że próbuje nią manipulować. Z pewnością podejrzewał, że to ona jest tą kobietą na zdjęciach z hotelu. A skoro chodziło jedynie o kilka uzupełniających pytań, to po co prosił ją o stawienie się w siedzibie FBI na Manhattanie?

Przypomniała sobie ten moment wczoraj w metrze, ten strach, że ktoś ją śledzi, a potem tajemniczą postać przy wejściu na stację, gdy odjeżdżała taksówką. Może wcale sobie tego nie wmówiła. Może tak właśnie wygląda obserwacja FBI – ktoś zawsze czai się tuż poza zasięgiem twojego wzroku. Z drugiej jednak strony agenci znają się na swoim fachu. Czy domyśliłaby się, że ktoś ją obserwuje? Prawdopodobnie nie. Więc może jednak tak właśnie wygląda paranoja.

Co prawda w Rzymie wstawało już słońce, ale w Nowym Jorku była późna noc, więc nie mogła jeszcze oddzwonić ani do prawniczki, ani do Hammonda. A ponieważ samolot miał planowo wystartować z Fiumicino o 11.05, najwcześniej będzie mogła się z nimi skontaktować dopiero po wylądowaniu na JFK. Kiedy pasażerowie opuszczą pokład i Cassie skończy pracę, na wschodnim wybrzeżu Stanów będzie dochodziła już 15.30. Trudno.

Napisała do Ani SMS, mówiąc, że odsłuchiwała jej wiadomość i odezwie się do niej zaraz po powrocie do Nowego Jorku. Dodała też, że agent Hammond dzwonił do niej dwukrotnie, ale zanim do niego oddzwoni, najpierw chce porozmawiać z nią. Następnie rozsunęła zasłony i wyjrzała przez okno. W oddali widziała bliźniacze dzwonnice kościoła Trinità dei Monti, który stał u szczytu Schodów Hiszpańskich. Nagle uświadomiła sobie, że Alex Sokolov niedługo zostanie pochowany, bo jego ciało na pewno wróciło już do Stanów Zjednoczonych. Zastanawiała się, kim on był – kim był naprawdę. Przypomniała sobie, z jaką czułością mył jej włosy, umiejętnie masując jej głowę, kiedy siedzieli razem na marmurowej ławeczce w tej eleganckiej łazience. Pamiętała, jak przez całą noc dotrzymywał jej kroku, pijąc drinka za drinkiem. Niewielu mężczyzn to potrafi.

Rozmyślała także nad Mirandą, z jej łagodnym uśmiechem, francuskim kokiem na głowie i przyniesioną w prezencie butelką wódki. Kim była ta kobieta?

Cassie dopiła resztę kawy i zaczęła sobie wyobrażać, że jedzie do Wirginii, żeby spotkać się z rodzicami Alexa. Powiedziałyby im, jak bardzo jej przykro, że ich syn zginął, a ona zostawiła go martwego w łóżku. Zapytałyby, czy wiedzą coś o kobiecie imieniem Miranda. Doskonale zdawała sobie jednak sprawę, że nie

może tego zrobić – a dokładniej nie powinna – przez co czuła się jeszcze gorzej. Powtarzała sobie, że ten smutek stanowi nieodłączną część jej traumy.

A także poczucie winy. Tak, winy.

Ciekawe, czy ludzie – zwyczajni ludzie, nie seryjni mordercy czy gangsterzy w stylu Tony'ego Soprano – którym uchodzi na sucho morderstwo, ślubują, że staną się lepsi. Czy przyrzekają sobie, że od teraz będą czynić dobro? Spróbują odnaleźć Boga? Czy starają się jakoś za to odpokutować? Nie była pewna, czy sama jest zdolna do podobnych deklaracji. Szkoda. Ale to chyba nie miało znaczenia, skoro nie popełniła żadnego morderstwa – w dalszym ciągu wierzyła, nawet jeśli było to żalosne oszukiwanie samej siebie, że nie skrzywdziła Alexa Sokolova. Wierzyła w to, nawet jeśli nikt inny nie podzielał tego przekonania. Poza tym nic jej jeszcze nie uszło na sucho. FBI ciągle chciało ją przepytować. Jej zdjęcia z Royal Phoenician krążyły po Internecie. Już niedługo wszystko, co zrobiła, wyjdzie na jaw, całkowicie i nieodwołalnie.

Ulicą przejechała niebieska vespa, którą prowadziła młoda blondynka w niebieskich jeansach. Po chodniku szła starsza kobieta z płócienną torbą wypełnioną zakupami, w tym dużym bochenkiem chleba. Pod sklepem z lampami stał zaparkowany wóz dostawczy, z którego dwaj mężczyźni wyładowywali duże kartony. A w budynku po drugiej stronie ulicy w oknach widać było niektórych mieszkańców: facet w jej wieku wsunął krawat pod koszulę, po czym napił się espresso z małej filiżanki, spoglądając na coś leżącego na kuchennym blacie; kobieta w czarnym zakiecie i spódnicy suszyła włosy suszarką w niewielkim salonie; inna kobieta odkurzała mieszkanie.

Cassie zsunęła z siebie szlafrok i przez długą chwilę stała w oknie całkiem naga. Właściwie nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Nie nawiązała kontaktu wzrokowego z żadną z osób w oknach budynku naprzeciwko i nie miała pojęcia, czy w ogóle ktoś zwrócił na nią uwagę. W końcu to hotel. Zapewne regularnie widywali w tych oknach różne schadzki oraz ekshibicjonistów. Wreszcie udała się pod prysznic, gdzie otarła łzy z policzków i zmyła ze swojego ciała wspomnienie o barmanie imieniem Enrico.

Kilka godzin później stała już razem z Jacksonem, młodym stewardem z Oklahomy, w wejściu do samolotu, witając pasażerów wchodzących na pokład. W którymś momencie Jackson odwrócił się do niej i powiedział cicho:

– Mam świetny pomysł.

– Zamieniam się w słuch.

– Powinniśmy podać wszystkim w klasie turystycznej xanax. To powinna być polityka firmy. Wyobrażasz sobie, jaką mielibyśmy łatwą pracę, gdybyśmy przed wciśnięciem ludzi w fotele porządnie ich znieczulili?

Cassie usłyszała wrzaski grupy pasażerów siedzących w rzędach 33 i 34, w sekcji zawierającej cztery siedzenia ustawione pomiędzy dwoma przejściami, i przez sekundę przeraziła się, że ktoś przemycił na pokład nóż albo pistolet. Hałasy miały w sobie coś z panicznych krzyków w stylu „rozbijemy się”. Ale już po chwili, niemal jednocześnie, rozdzwoniły się przyciski przywoływania obsługi, a na suficie rozbłysły czerwone światełka, jakby ktoś zapalił lampki na choince. Sam fakt, że niezależnie od tego, co się stało, pasażerowie zachowali dość rozsądku, żeby wcisnąć swoje guziki, nieco ją uspokoił. Odstawiła dużą plastikową torbę z produktami poserwisowymi – co w żargonie oznaczało po prostu śmieci – i pobiegła z tylnej kuchni w stronę zamieszania, które wybuchło siedem rzędów dalej. Samolot zszedł już poniżej trzech tysięcy metrów i wszyscy mieli siedzieć z zapiętymi pasami w oczekiwaniu na lądowanie na JFK; ona sama też powinna za chwilę przypiąć się na swoim składanym siedzeniu. Jackson biegł równoległym przejściem i oboje dotarli do rzędu 34 niemal w tym samym momencie. Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale cieszyła się, że jest ich dwoje, a do tego on jest mężczyzną.

– Nie, przestań! Przestań! – To jedno zdanie wybiło się ponad wrzaskami i najbardziej przemawiało do wyobraźni. Cassie zastanawiała się, o co może chodzić, a potem wystarczyło jedno spojrzenie i już wiedziała. Na miejscu D, jednym z dwóch środkowych foteli w środkowej sekcji, siedziała starsza kobieta i trzymała swojego wnuka za penisa, ściskając go czubkami palców, tak jak trzyma się jointa (Cassie skojarzyło się to nawet bardziej z uchwytem na jointa);

niebieskie jeansy i majtki chłopca były opuszczone do kostek, a on stał pomiędzy rzędami i siusiał do torebki na wymioty, którą jego babcia trzymała drugą ręką.

Nie, on tylko próbował siusiać do torebki, ale kiepsko mu to wychodziło. Przede wszystkim trafiał w tył siedzenia 33D i przestrzeń między siedzeniami, opryskując także ręce i uda pasażerów siedzących przed nim. A do tego najwyraźniej opił się jak wielbłąd. Cassie i Jackson kazali kobiecie jakoś powstrzymać dziecko, a potem krzyknęli na chłopca, żeby natychmiast przestał, ale to było jak fala tsunami. Babcia natomiast albo nie mówiła po angielsku, albo udawała, że nie mówi, i nie podciągnęła spodni chłopca, dopóki definitywnie nie skończył. Pozostali pasażerowie chóralnie wyrazili swoje obrzydzenie, posypał się grad przekleństw i groźnych pomruków. Nastoletnia dziewczyna na miejscu 33E ze łzami w oczach próbowała się wyplątać z przemoczonej pomarańczowej bluzy. „Blee” – jęczała i zawodziła żałośnie z każdym kolejnym wydechem.

Cassie surowo zwymyślała babcie, mówiąc, że to, co zrobiła, jest absolutnie niedopuszczalne. Ale starsza kobieta puściła to wszystko mimo uszu. Zawinęła ciasno brzegi torebki i podała ją Cassie z takim uśmiechem, jakby wręczała jej świeżo upieczone ciasteczka.

Cassie wiedziała, że gazety publikują artykuły w Internecie znacznie wcześniej, niż papierowe wydanie trafi do druku, a zatem nie powinna się zbyt dziwić, widząc swoje zdjęcie na witrynie „New York Post”. Ale mimo to była zaskoczona. Znalazła je w telefonie podczas jazdy autobusem z lotniska na dworzec Grand Central i natychmiast zrobiło się jej niedobrze; przez chwilę naprawdę obawiała się, że zaraz zwymiotuje. Stała się tajemniczą kobietą ze zdjęcia, bezimienną „czarną wdową”, która być może zamordowała młodego, przystojnego amerykańskiego finansistę w Dubaju. Co więcej, ktoś rozmawiał z pracownikami hotelu i restauracji, którzy zgodnie przyznali, że kobieta, którą widzieli z Sokolovem, była prawdopodobnie Amerykanką. Na razie wszyscy zakładali chyba, że jest Amerykanką mieszkającą w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Tak w każdym razie stwierdziła kelnerka z hotelowej restauracji. Jak wynikało z jej zeznań złożonych na dubajskiej policji, Alex podczas kolacji powiedział coś, co świadczyło o tym, że był w Emiratach tylko gościem, w przeciwieństwie do towarzyszącej mu kobiety. Cassie domyślała się, że mogło chodzić o jakąś uwagę na temat jej dobrej

znajomości miasta. Rozmawiali o tym, ponieważ w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy często zgłaszała się do latania na tej trasie. Tak czy inaczej, dubajskie służby sprawdziły członków tamtejszej społeczności amerykańskiej, próbując ustalić, kto się spotkał z Alexem w tym hotelu.

Z utęsknieniem czekała na telefon od Ani. Zadzwoiła do prawniczki, gdy tylko znalazła się w terminalu, i zostawiła jej wiadomość.

To powolne, nieustępliwe tempo pojawiania się nowych informacji zaczynało przypominać chińską torturę. Służby musiały badać sprawę od końca, żeby do niej dotrzeć – najpierw trzeba było wykluczyć zamieszkałe w Dubaju kobiety, które mógł znać już wcześniej, jak również te, które mógł poznać tamtego wieczoru. Musieli pokazać te dwa zdjęcia wszystkim jego znajomym i współpracownikom, zapewne także ludziom zatrudnionym w siedzibie Unisphere w Ameryce. Dlatego właśnie wydawało się, że minie cała wieczność, zanim śledztwo ostatecznie skupi się na niej i tylko na niej.

Ale nie miała wątpliwości: ten dzień cały czas się zbliżał.

Po powrocie do domu udało się jej wreszcie skontaktować z Ani. Wstawiła walizkę do sypialni i opadła na kanapę, żeby móc popatrzeć na Empire State Building przez dawno niemyte, pokryte letnim miejskim brudem okna. Niebo było jednak nadal błękitne i chociaż zaczął się już sierpień i dni zrobiły się zauważalnie krótsze niż chociażby miesiąc temu, słońce wciąż stało wysoko na niebie.

– Jak było w Rzymie? – spytała Ani.

– Raczej nieciekawie. Cały czas siedziałam w hotelu. Nie miałam ochoty wychodzić na miasto. – Przerwała, zrobiła głęboki wdech i dodała: – Widziałam zdjęcia na stronie „New York Post”.

– Kiedy do ciebie dzwoniłam, jeszcze ich nie było. Ale ja też je widziałam. Wątpię, żeby był z tego materiał na pierwszą stronę w jutrzejszej gazecie. W końcu chodzi o Dubaj.

– Zawsze to jakieś pocieszenie.

– Tak. Ale mam też dobre wieści.

Cassie od razu wiedziała, co Ani jej powie. Zamknęła oczy i zdała sobie sprawę, że zaczęła płakać. Znowu. I nie przejmowała się tym. Czuła się, jakby właśnie

odebrała telefon od lekarza, który tłumaczył jej, że wynik biopsji okazał się negatywny, więc jednak nie ma raka.

– Słucham.

– Ekstradycja jest wysoce nieprawdopodobna. Pamiętasz tę poprawkę, o której ci mówiłam? Amerykańscy obywatele są wyłączeni spod tej klauzuli.

– To znaczy, że mogłabym zostać odesłana do Dubaju, tylko gdybym nie była Amerykanką?

– Zgadza się.

– No więc co dalej?

– Zadzwoń do FBI, ale nic im nie mów. Nic. Na wszystko odpowiadaj, że nie pamiętasz. Daj mi się nad tym jeszcze zastanowić. Jeśli będą nalegać, żeby się z tobą spotkać osobiście, a to niewykluczone, pójdę tam razem z tobą.

– Dlaczego mieliby się upierać?

– Przy spotkaniu? Dużo zależy od tego, kim naprawdę był Alex Sokolov i jakie koneksje ma jego rodzina. Szczerze mówiąc, jestem dość mocno zdziwiona tym, jak bardzo FBI jest zaangażowane w tę sprawę. Odrobiłam już zadanie domowe i wiem, że Dubaj nie potrzebuje pomocy FBI. Tamtejsza policja to nie są amatorzy. Znają się na rzeczy.

– Rozumiem.

– Przyjrzałam się też nieco bliżej samemu Sokolowowi.

Cassie przytrzymała telefon ramieniem i niemal bezgłośnie wydmuchała nos.

– No i?

– I wszystko wskazuje na to, że naprawdę był szefem funduszu hedgingowego. Tak, mieszkał w Nowym Jorku, ale wszystkie jego pieniądze przechodziły przez Karaiby.

– Co to znaczy?

– Może zupełnie nic, a może całkiem sporo. Zawsze kiedy ktoś przesyła pieniądze przez takie miejsca jak Wielki Kajman, daje to do myślenia. Amerykańskie instytucje nie są w stanie ich wtedy tak łatwo śledzić, jeśli w ogóle. Departament Skarbu ma tak zwaną listę OFAC. Znajdują się na niej różne zagraniczne podmioty, osoby i całe grupy, które budzą poważne podejrzenia i dlatego amerykańskie banki czy fundusze nie mogą przyjmować od nich żadnych

pieniędzy. A zatem jeśli chce się pracować z takimi partnerami, trzeba korzystać z pośrednictwa takich miejsc jak Karaiby.

– Więc on prowadził jakieś szemrane interesy? – zapytała Cassie. – FBI uważa, że miał coś wspólnego z ludźmi z tej listy?

– Niewykluczone.

– Dlatego został zabity?

– Cóż, my byśmy go za to nie zabili. Jeśli robił coś nielegalnego, zostałby po prostu aresztowany.

– No więc dlaczego... oni... go zabili?

– Może kogoś okradł – odparła Ani, a Cassie z ulgą przyjęła fakt, że prawniczka nie zaczęła swojej odpowiedzi, nawet żartem, od czegoś w stylu: „Zakładając, że ty go nie zabiłaś?”. – Wiesz, podbierał tu i tam. Albo zorganizował jakąś piramidę finansową i przeholował. Za bardzo się zagalopował.

– Dobry Boże, skoro nikt nie poderzwał gardła Berniemu Madoffowi, to dlaczego akurat biedny Alex padł ofiarą wkurzonych inwestorów? Przecież cokolwiek zrobił, to musiało być małe piwo w porównaniu z tamtym.

– Nie wiemy, czy to było małe piwo. Zwyczajnie tego nie wiemy. W tym funduszu mogło być dużo pieniędzy z Rosji. A Rosjan się nie okrada. Jestem z pochodzenia Ormianką, więc możesz wierzyć mi na słowo. Oni się nie patyczkują.

– Po prostu nie wydawał się zdolny do takich rzeczy.

– Kiedy ludzie potrzebują pieniędzy, czasami podejmują fatalne decyzje – zauważyła Ani. – Rodzina opublikowała pierwszy duży nekrolog. Można go znaleźć w sieci. Ukazał się w gazecie „Charlottesville Progress”. Ale dotarłam też do kilku faktów, które nie znalazły się w nekrologu: jego dziadek przyjechał do Stanów z ZSRR jeszcze za rządów Stalina, w pięćdziesiątym pierwszym roku. Do końca nie wiadomo, jak to zrobił. Walczył w drugiej wojnie światowej. Po przyjeździe tutaj do wszystkiego doszedł sam. Osiadł w Wirginii. Został prawnikiem i ożenił się z porządną dziewczyną z Południa, z bogatej rodziny. Wiem to od prywatnego detektywa, którego specjalnie w tym celu wynajęłam. Poproszę go, żeby jeszcze trochę pogrzebał.

– A czy mnie na to stać?

– Nie, ale on nie będzie zanadto szalał. Chcę się po prostu dowiedzieć czegoś więcej o Alexie i jego rodzinie. Zobaczyć, jakie mógł mieć zainteresowania.

– Biznesowe?

– Tak, przydałoby się ustalić dokładnie, jakie środki były na tym jego funduszu. Ale miałam też na myśli prywatne zainteresowania.

– Powiesz mi coś więcej? – spytała Cassie.

– Nie, ale tylko dlatego, że na tym etapie nie mam jeszcze nic więcej do powiedzenia.

– A co z Mirandą?

– O co pytasz?

– Dowiedziałaś się o niej czegokolwiek?

– Na przykład czy naprawdę pracowała z Alexem i czy ona albo jej rodzina naprawdę zainwestowała w ten magiczny fundusz?

– Tak.

– Firma Unisphere Asset Management zatrudnia w sumie sześćset, siedemset osób, pracujących w biurach w Nowym Jorku, Waszyngtonie, Moskwie i Dubaju. Nie ma wśród nich ani jednej Mirandy.

– Sprawdziłaś?

– Mój detektyw to sprawdził.

– Mógłby się dowiedzieć, czy Miranda jest inwestorem?

– Może. Ale nie jestem tego pewna.

– Czy to możliwe, że podała fałszywe imię?

– Oczywiście, zwłaszcza jeśli go zabiła – odparła Ani zdecydowanym tonem. – Powinnaś oddzwonić do Franka Hammonda. A potem znowu do mnie. Zresztą umówmy się jutro na spotkanie, niezależnie od tego, czy Hammond będzie chciał się z tobą zobaczyć.

Następnego dnia wypadał piątek. Cassie miała plany na piątek. Tak się jej wydawało. W pamięci zaczęła odtwarzać swój kalendarz, próbując sobie przypomnieć, o co chodziło. Nagle ją oświeciło: Rosemary i dzieci. Miała zadzwonić do Rosemary, która przyjeżdża z rodziną do Nowego Jorku. Jej siostra wspominała coś o zoo w sobotę, więc jutro chyba się z nimi nie spotyka.

– Jasne – odpowiedziała. – O której?

– Wpadnij do biura jakoś kwadrans po dwunastej. Za rogiem na 53 Ulicy stoi naprawdę dobry wózek z falafelem. A podobno jutro ma być ładnie. Lubisz falafel? Możemy zjeść na świeżym powietrzu.

– Może być – odparła, właściwie nie odpowiadając na pytanie.

– W porządku. Ale zadzwoń do mnie po rozmowie z FBI.

– Według podniebnego szeryfa dużo rozmawiała pani z Sokolovem podczas lotu – powiedział Frank Hammond przez telefon. – Zwrócił na to uwagę.

– Nie pamiętam – odparła Cassie, otwierając walizkę. Wiedziała, że zamiast robić kilka rzeczy jednocześnie, powinna teraz w pełni skoncentrować się na rozmowie z agentem FBI. Ale rozpakowywanie bagażu pomagało jej opanować nerwy.

– A inni członkowie załogi zeznali, że on był pani pasażerem.

– Moim?

– Siedział w pani sekcji.

– Tak, to prawda.

– I nawiązaliście ze sobą dobry kontakt.

– Nie wiem, czy miałam z nim lepszy kontakt niż z którymkolwiek innym pasażerem w mojej sekcji – powiedziała. Było to kłamstwo, ale określenie „dobry kontakt” wydawało się absurdalnie mętne, niemożliwe do doprecyzowania. Zastanawiało ją, czy reszta załogi też tak ochoczo wymieniała jej imię, czy tylko zrobił to szeryf. Możliwe też, że Hammond formułował w ten sposób swoje wypowiedzi, ponieważ blefował – próbował ją zastraszyć, dając do zrozumienia, że wie więcej niż w rzeczywistości.

– Wie pani, co mam na myśli. Rozmawialiście. Dużo. Gawędziliście nie tylko o karcie win.

– Byłam uprzejma. On też był uprzejmy.

– Flirtowała pani z nim. A on z panią.

– Może trochę ze mną flirtował – przyznała. – Ale niektórzy pasażerowie tak robią. Nudzą się. Podczas długich lotów flirtują z nami wszystkimi.

– Rozumiem. W każdym razie dlatego właśnie chciałbym, żeby przyszła pani z nami porozmawiać. Chcę sprawdzić, czy Sokolov mógł powiedzieć coś, co pozwoliłoby nam pomóc służbom w Dubaju. To wszystko.

– Mogę przyjść z prawnikiem? – zapytała i od razu tego pożałowała. A jeśli on się nie zgodzi? Ale na szczęście nie wyraził sprzeciwu.

– Ma pani do tego prawo – odrzekł.

Cassie rzuciła brudną bluzkę do kosza z praniem.

– Dobrze, sprawdzę, kiedy mój prawnik jest dostępny.

– Ale chcemy się z panią spotkać jutro.

Jego głos nie zabrzmiał może jakoś bardzo surowo, za to po raz pierwszy nie wydawał się już taki swobodny i zrelaksowany. Nagle przestał sprawiać wrażenie, jakby całe to śledztwo uważał za niepotrzebne zawracanie głowy. Dlatego Cassie szybko zadzwoniła do Ani, a potem ponownie do agenta i umówili się na spotkanie w siedzibie FBI na rogu Broadwayu i Worth. Powiedziała, że będzie punktualnie o czternastej.

Cassie postanowiła przeczytać nekrolog, próbując zestawić opisywanego w nim człowieka z mężczyzną, który kochał się z nią w Dubaju.

CHARLOTTESVILLE. Alexander Peter Sokolov, lat 32, zmarł 27 lipca 2018 roku, podczas podróży służbowej do Dubaju w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Urodził się 15 marca 1986 roku w Alexandrii w stanie Wirginia. Alex, jak lubił być nazywany, ukończył Uniwersytet Wirginii, uzyskując dyplom z matematyki oraz stosunków międzynarodowych. Był członkiem bractwa Phi Beta Kappa. Następnie zdobył stopień magistra zarządzania kwantytatywnego w Szkole Biznesu im. J.B. Fuqua na uniwersytecie Duke. Po podjęciu pracy w Unisphere Asset Management na Manhattanie pomagał kierować funduszem Stalwarts z siedziby firmy na Manhattanie. Uwielbiał swoją pracę, ponieważ lubił analizę danych, ale cenił także fakt, że może często podróżować w interesach do Rosji oraz na Bliski i Daleki Wschód. Był człowiekiem nieustraszoną, niezależnie od tego, czy grał w swojego ukochanego squasha, czy eksplorował nieznaną rejony świata. Był także serdecznym i wielkodusznym synem oraz przyjacielem. Kochał kino i książki,

zwłaszcza literaturę rosyjską, ale przede wszystkim kochał wszystko, co nowe i zaskakujące. Zostawił pogrążonych w żałobie rodziców, Gregory'ego i Harper, a także licznych krewnych – ciotki, wujów i kuzynów – którym będzie Go ogromnie brakowało.

Pogrzeb miał się odbyć pojutrze, w sobotę, w kościele prezbiteriańskim w Charlottesville. Cassie wyobrażała sobie, że na uroczystości stawi się mnóstwo kolegów Alexa ze studiów, jego przyjaciele z dzieciństwa i przynajmniej część współpracowników z Unisphere. Kusilo ją, żeby też tam pojechać, ale wiedziała, że nie powinna. Nie mogła.

Nekrolog był krótki i w sumie niewiele się z niego dowiedziała. W ostatecznym rozrachunku to również jej nie zdziwiło.

Cassie wpatrywała się w SMS od Buckleya, aktora z knajpy. Pisał, że w piątek ma casting do pilotowego odcinka serialu, który będzie kręcony jesienią w Nowym Jorku, i z samego rana musi się wybrać do fryzjera. Pytał, w jakiej części świata przebywa teraz Cassie, i wyraził nadzieję, że gdziekolwiek jest, nie omieszka pójść potańczyć boso. Wspominał też, jak bardzo rozśmieszyła go jej opowieść o martwym pasażerze w łazience klasy turystycznej. Cassie nie odpisała na jego poprzednią wiadomość, ale teraz postanowiła odpowiedzieć. Napisała mu, że właśnie przyleciała z Rzymu, stopy ma całe obolałe, a ostatnią rzeczą, jaką zrobiła tuż przed lądowaniem, było wylanie moczu jakiegoś małego chłopca z torebki do toalety. Dodała, że torebka nie była pełna, bo spora część moczu wylądowała na pasażerach w rzędzie przed nim, i że jeśli Buckley ma wolną chwilę, powinien poczytać trochę kapiących jadem komentarzy na temat tego rejsu i całej linii lotniczej na Twitterze. Hashtag #NajgorszyLotKtórySięNieRozbił żył już własnym życiem i zdobywał coraz większą popularność (Cassie, widząc go, pomyślała, że poprzeczka została zawieszona dość wysoko).

Buckley zaproponował późny lunch nazajutrz, po castingu, a Cassie zastanawiała się, jak by zareagował, gdyby odpisała, że akurat o tej porze spotyka się z prawnikiem i z FBI. Przypomniała sobie, w jakiej atmosferze rozstali się poprzedniej niedzieli, i głęboko westchnęła. Zdawała sobie sprawę, że mężczyźni najczęściej pożąдали jej, ponieważ była atrakcyjna i inteligentna, ale także dlatego,

że dużo piła i łatwo dało się ją zaciągnąć do łóżka. A on? Miała nadzieję – dla jego dobra – że wbrew pozorom nie różni się tak bardzo od innych, bo takich mężczyzn z reguły albo szybko rozczarowywała, albo prędzej czy później łamała im serca.

W końcu odpisała, że jutro jest cały dzień zajęta, a w sobotę idzie do zoo z dziećmi siostry. Chciała odmalować swoje życie w takich barwach, aby wydawało się zdrowsze i normalniejsze niż w rzeczywistości. Zaproponowała kolację jutro wieczorem, a on się zgodził.

Nie umiała przewidzieć, w jakim będzie stanie po drugiej rozmowie z FBI i po ukazaniu się w kioskach nowego wydania „New York Post”. Zastanawiała się, czy on też zobaczy te zdjęcia i rozpozna ją na nich.

W którymś momencie musiała zrzucić buty i ściągnąć rajstopy, ale kompletnie nie pamiętała, kiedy to się stało. Najwyraźniej wyjęła też z walizki podpórkę z Remusem i Romulusem i postawiła ją na szklanym stoliku, chociaż tej chwili też nie mogła sobie przypomnieć. Pewnie zrobiła to wszystko bezwiednie podczas rozmowy z agentem Hammondem. Zaczęła wolno napinać i rozluźniać palce u nóg – stopy naprawdę strasznie ją bolały. W końcu nie dotarła na ten manicure, a teraz pedicure też by się jej przydał. I właśnie tym postanowiła się zająć w ten piękny sierpniowy wieczór. To będzie jej ekscytujące czwartkowe wyjście z domu. Nie zadzwoni do Pauli, która uwielbia drambuie, ani do Gillian, wiecznie gotowej sprzątać zostawiony przez nią bałagan. (W tym momencie uświadomiła sobie, że jej wszystkie przyjaciółki zawsze spodziewały się po niej najgorszego. Była to cokolwiek trzeźwiąca introspekcja, ale szybko przeminęła pod naporem licznych, znacznie bardziej naglących zmartwień). Postanowiła, że nie zadzwoni do nikogo. Będzie się trzymać z daleka od barów, a rano z czystą głową i jasnym spojrzeniem kupi nowy „New York Post”, spotka się z Ani i Frankiem i po raz kolejny stanie twarzą w twarz z duchem biednego Alexa Sokolova.

Było już po siedemnastej, ale Cassie przypomniawszy sobie nagle, że w to letnie czwartkowe popołudnie ludzie nadal siedzą w pracy. A tym samym ktoś może wciąż być w biurze Unisphere.

Pozwoliła zatem, aby ta część jej osobowości, która nawet na trzeźwo lekceważąco przeskakiwała przez granice budzące respekt u większości zdrowo

myślących dorosłych, poprowadziła ją prosto do wysokiego atrium biurowca przy Avenue of the Americas. To tutaj mieściła się nowojorska siedziba firmy Unisphere i właśnie tutaj swego czasu pracował Alex Sokolov. Pomysł przyszedł jej do głowy, kiedy zdejmowała uniform, żeby przebrać się w lekką, letnią sukienkę, idealną na mani-pedi w salonie, a potem spokojny wieczór w domu. Tymczasem włożyła bluzkę, spódnicę i nowe rajstopy, złapała taksówkę i kazała się zawieźć na 49 Ulicę. Po prostu musiała dowiedzieć się czegoś więcej niż to, co wyczytała w sieci, zwłaszcza w perspektywie kolejnego spotkania twarzą w twarz z FBI jutro po południu.

Powiedziała jednemu z dwóch umundurowanych mężczyzn za marmurowym kontuarem, że jest umówiona na spotkanie o piętnastej trzydzieści z Alexem Sokolovem, pokazała im swoje prawo jazdy i wpisała się do rejestru – w rubryce nabazgrała jednak coś, co wyglądało bardziej jak Alessandra niż Cassandra, plus całkowicie nieczytelne nazwisko.

Tak jak przewidywała, po kilku minutach zjawiała się szczupła, posągowa kobieta w czarnej marynarce, która przyszła od strony wind. Miała szare oczy i przyprószone siwizną włosy, a przedstawiła się jako Jean Miller z działu kadr.

– A pani nazywa się Cassandra?

– Alessandra – poprawiła Cassie, wzruszając ramionami. – Brzmi podobnie.

– Alessandra... i co dalej?

– Ricci. Alessandra Ricci.

Kobieta wskazała na marmurową ławkę i zaprowadziła na nią Cassie.

– Usiądźmy.

– Czy wszystko w porządku? – zapytała Cassie. – W pierwszej chwili pomyślałam, że jest pani asystentką Alexa i zabierze mnie pani na górę. Ale mówi pani, że jest z kadr. Czy coś się stało?

– Tak. – Kobieta pokiwała głową. – Coś się stało. Tak mi przykro, że pani nic nie słyszała i że to ja muszę pani powiedzieć. – Zrobiła głęboki wdech. – Alex został zabity w zeszłym tygodniu w Dubaju.

Cassie złapała się za ramiona i wytrzeszczyła oczy, mając nadzieję, że nie przesadza z reakcją.

– O mój Boże! Zabity? Jak to?

– Ktoś pchnął go nożem. Właściwie podciął mu gardło. To się stało w jego pokoju w hotelu.

– To straszne, coś okropnego – mamrotała Cassie, opuszczając wzrok i kręcąc głową. – Dlaczego? Złapali zabójcę?

– Nie, jeszcze nie. I nie wiemy dlaczego. Prawdopodobnie padł ofiarą napadu rabunkowego.

– W Dubaju? To podobno takie bezpieczne miasto.

– Widocznie coś takiego może się zdarzyć wszędzie – odparła Jean.

– Był takim uroczym człowiekiem. Dobrze go pani знаła?

– Lepiej niż innych naszych managerów.

– Naprawdę?

– On był z Wirginii, ja jestem z Karoliny Północnej. W biurze nie ma zbyt wielu osób z Południa. Dlatego chociaż w pracy nasze drogi rzadko się przecinały, czasami chodziliśmy razem na kawę. Niekiedy spotykaliśmy się, żeby pogadać. „Wizytowaliśmy się”, jak to się mawia u nas na Południu.

Cassie o mały włos nie wypaplała, że sama jest z Kentucky. Powstrzymała się w ostatniej chwili. Zamiast tego powiedziała:

– Mnie zapoznał z rosyjską literaturą. Nie czytałam nic Tolstoja, nawet na studiach, zanim go poznałam.

– Był zaskakująco odczytany – stwierdziła Jean z uśmiechem.

– Zaskakująco?

– Funduszami hedgingowymi rzadko kierują mężczyźni, których wyobrażamy sobie na fotelu z książką.

– O jakich książkach z nim pani rozmawiała?

– Och, no wie pani...

Cassie czekała na dalszy ciąg, ale Jean umilkła, więc sama podjęła temat:

– Uwielbiał Tolstoja i Puszkina. Turgieniewa. Zawsze rozmawialiśmy o tym, co akurat zabrał ze sobą, żeby mieć co czytać w samolocie.

– To miło, że łączyła was wspólna pasja.

– Miał, zdaje się, przyjaciółkę w Dubaju. Nazywała się Miranda. Wie pani może coś o niej? Czy kiedykolwiek o niej wspominał podczas waszych... spotkań?

– Czemu pani pyta?

– Mówił, że planuje iść z nią na kolację, kiedy będzie w Dubaju. Nie mógł się doczekać. Byli tylko przyjaciółmi, ale on miał nadzieję, że może z tego wyniknąć coś więcej. Podkochiwał się w niej. Pani trochę go znała. Czy coś o niej odpowiadał? O tej Mirandzie?

Jean spojrzała na nią nieco bardziej przenikliwie.

– Jak brzmiało jej nazwisko?

– Nie wiem.

– Nigdy o niej nie słyszałam. Ale na pewno przekażę tę informację policji. Właściwie nie policji, tylko FBI. Myślę, że pani też powinna z nimi porozmawiać.

– Tak, oczywiście. Ma pani rację.

– Proszę mi powiedzieć, w jakim celu miała się pani dzisiaj zobaczyć z Alexem? Jego kalendarz spotkań na dziś był pusty. Właściwie nawet nie miało go jeszcze być w Ameryce. Przed chwilą spytałam o to jego asystentkę, w drodze na dół.

– Miał nadal być w Dubaju?

– W Moskwie.

– Naprawdę dużo podróżował.

– Owszem. Czy wasze dzisiejsze spotkanie miało charakter osobisty? Dlatego nie powiedział o tym swojej asystentce?

Cassie wzruszyła ramionami.

– Tak, jesteśmy przyjaciółmi. To znaczy, byliśmy. Przepraszam. Ale byłam także jego klientką. To znaczy waszą. – Przypomniała sobie nekrolog. – Zainwestowałam w fundusz Stalwarts.

Jean wolno przetrawiała tę informację. Cassie przyszło do głowy, że zwyczajnie nie wygląda na dość bogatą, żeby móc uchodzić za inwestora.

– Ten fundusz to taki męski klub – odezwała się wreszcie Jean, kręcąc lekko głową. – Dlaczego pani w niego inwestowała?

– Alex mi to rekomendował.

Jean westchnęła.

– Myślałam, że zadzwoniliśmy już do wszystkich jego klientów, żeby przekazać, co się stało.

– Może mam jakąś wiadomość na poczcie głosowej, którą przeoczyłam.

– Może. Ale byliśmy dość skrupulatni – stwierdziła Jean i po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiała nuta podejrzliwości. – Naprawdę wydawało mi się, że rozmawialiśmy ze wszystkimi. Ze wszystkimi.

– Rozumiem.

– Mam panią umówić z kimś na spotkanie w przyszłym tygodniu w sprawie pani rachunku? Albo na rozmowę telefoniczną jutro? – Wyciągnęła telefon z kieszeni marynarki i otworzyła kalendarz. – Możemy to zrobić od razu.

– Tak, oczywiście. Z kim będę teraz współpracować?

– Mamy kilku managerów, którzy przyjmują w tej chwili nowych klientów. Proszę powiedzieć, jaki termin byłby dla pani dogodny.

– Oczywiście – odparła Cassie i zasugerowała wtorkowe lub środowe popołudnie, a następnie podała fałszywy numer telefonu i fałszywy adres e-mail. Kiedy Jean się podniosła, Cassie również wstała, pożegnała się i wyszła z budynku. Doskonale wiedziała, że jej rozmówczyni stara się w tej chwili zapamiętać jak najwięcej szczegółów na temat jej osoby i zapewne połączy się z FBI, jeszcze zanim Cassie zdąży przejść przez ulicę.

Idąc ulicą, starała się uporządkować w głowie te nieliczne informacje, które udało się jej zdobyć: Alex prosto z Dubaju miał lecieć do Moskwy i nigdy nie wspominał swojej koleżance z Unisphere o kobiecie imieniem Miranda. Kierował funduszem, który – przynajmniej w opinii jednej kobiety z działu kadr – opierał się na wąskiej grupie inwestorów: samych mężczyzn. Cassie nie umiała sobie tego do końca wytłumaczyć, ale przecucie mówiło jej, że to oznacza Rosjan. Starych bogatych Rosjan. Wyobrażenia podsuwała jej obrazy komunistycznego politbiura w okolicach lat sześćdziesiątych: bandy łysiejących białych facetów z fatalnymi fryzurami.

Nie dowiedziała się zbyt wiele, ale to zawsze coś. Nie żałowała, że postanowiła pójść do tej firmy.

Poczuła to, kiedy przechodziła przez Piątą Aleję nieopodal biblioteki – niepokojące mrowienie na skórze. Dreszcz przebiegający po plecach. Z zajęć psychologii na studiach pamiętała słowo „skopoestezja”, oznaczające, że człowiek potrafi wyczuć, kiedy ktoś go obserwuje. To pojęcie spokrewnione ze

„skopofobią”, czyli strachem przed byciem obserwowanym. Dokładnie to samo uczucie ogarnęło ją tamtego dnia, kiedy uciekała ze stacji metra. Spojrzała w prawo i ujrzała na równoległym przejściu dla pieszych mężczyznę w ciemnych okularach i czarnej czapce z daszkiem. Wprawdzie podobny ubiór nie rzucał się zbyt w oczy, właściwie ani trochę, ale czy przypadkiem facet, który śledził ją w metrze – być może śledził ją w metrze – nie miał na sobie podobnej czapki i podobnych okularów? Jasne, że miał. Cassie próbowała dostrzec kolor jego włosów, ale nie udało się. Próbowała oszacować jego wiek, ale to także okazało się trudne. Może miał dwadzieścia lat, a może pięćdziesiąt.

Krocząc przed siebie, zastanawiała się, czy po prostu do niego nie podejść, tu i teraz. Trudno sobie wyobrazić bezpieczniejsze warunki do takiej konfrontacji niż letnie popołudnie w samym środku Manhattanu. Próbowała sobie wyobrazić jego reakcję. Przypuszczała, że agent FBI tłumaczyłby się całkiem inaczej niż...

Niż kto? Płatny zabójca? Człowiek, który zamordował Alexa Sokolova?

Zatrzymała się na rogu Madison, ponieważ zamierzała przejść na jego stronę ulicy. Przynajmniej zbliżyłaby się na tyle, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Na myśl, że ten człowiek może wcale nie być agentem FBI, zaczęła się trochę wahać; nie była już taka przekonana, czy powinna po prostu podejść i zapytać, dlaczego ją śledzi. Mimo to wizyta w Unisphere dodała jej pewności siebie. Dzięki temu, że się tam wybrała, była teraz odrobinę mądrzejsza. Nie wydarzył się z tego powodu żaden kataklizm.

Ale gdy znalazła się po drugiej stronie ulicy, już go nigdzie nie widziała. Zniknął – o ile w ogóle wcześniej tam był.

FEDERALNE BIURO ŚLEDCTWA

Formularz FD-302: JADA MORRIS, STEWARDESA

DATA: 2 sierpnia 2018

JADA MORRIS, data ur. --/--/----, nr ubezpieczeniowy. -----, nr tel. (--) -----, została przesłuchana po raz drugi przez regularnie wylegitymowanych agentów specjalnych AMARĘ LINDOR i JONA NEWHOUSE'A w biurze FBI w Melville w stanie Nowy Jork.

LINDOR prowadziła przesłuchanie, NEWHOUSE sporządzał niniejsze notatki.

MORRIS wyraziła przekonanie, że kobieta na dwóch zdjęciach z monitoringu hotelu ROYAL PHOENICIAN to CASSANDRA BOWDEN. Jak twierdzi, dowiedziała się, że szwagier BOWDEN „miał coś wspólnego z bronią chemiczną” dopiero rankiem 27 lipca, kiedy temat ten został poruszony podczas rozmowy pomiędzy członkami załogi w busie linii lotniczych w Dubaju.

Powtórzyła, że po raz pierwszy spotkała ALEXA SOKOLOVA 26 lipca w samolocie lecącym z Paryża do Dubaju.

MORRIS zeznała, że zgłosiła się na rejs do Moskwy cztery razy w ciągu ostatniego roku (i została na niego przydzielona dwukrotnie), ponieważ nigdy wcześniej nie była w Rosji. Jak twierdzi, nikogo tam nie zna.

Pobyt w Dubaju w dniach 26–27 lipca był jej czwartą podróżą do tego miasta w ciągu miesiąca (przy czym w lipcu tego roku po raz pierwszy otrzymała ten przydział). Była w stanie w pełni opisać cały czas spędzony w Dubaju, włączając w to kolację w czwartek 26 lipca w japońskiej restauracji KAGAYA w towarzystwie trojga innych członków załogi.

MORRIS zeznała, że straciła kontakt z ELIZĄ REDMOND HOUGH, z którą studiowała na Uniwersytecie Stanowym Michigan i która wyszła za mąż za pilota dronów KAPITANA DEVINA HOUGHA. Stwierdziła, że nie wie praktycznie nic o pracy jej kuzyna, inżyniera ISAIHA BELL, nad technologią maskującą w WELKIN AEROSPACE SYSTEMS w Nashua w stanie New Hampshire.

MORRIS utrzymuje, że nigdy nie słyszała o firmie NOVASKIES ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, która projektuje drony.

Rozdział 13

Sięgające od podłogi po sufit okna dubajskiej restauracji wychodziły na marinę. Teraz je otwarto, żeby wpuścić do środka poranną bryzę znad zatoki. Stoły przykryto nieskazitelnie białymi obrusami, pasującymi do obitych białą skórą ław, na których wzdłuż ścian siedzieli goście. Lokal stanowił część hotelu połączonego z przystanią jachtową. Zimny bufet składał się z ciastek, serów i egzotycznych owoców i warzyw; wszystko było wyłożone na białych półmiskach, które stały na blatach z białego marmuru oznaczonego czarnymi żyłkami i plamkami – Elenie kojarzyły się nieodparcie z wielkimi blokami lodów straciatella. Wcześniej razem z Viktorem zjedli sałatkę z portulaki z greckim jogurtem, ale on czekał jeszcze na sudżuk i smażone jajka, które zamówił dodatkowo. Nalegał, żeby zjedli śniadanie, zanim ruszą do Ameryki w ślad za stewardesą.

– Mówią, że pendrive okazał się bezużyteczny – odezwał się Viktor. – Nie ma na nim nic wartościowego. Nic, czego w NovaSkies już teraz nie potrafia zrobić, i nic, co mogłoby pomóc z nowego rodzaju... ładunkiem.

Nie udzielał jej może nagany jako takiej, ale w jego tonie pobrzmiwało coś więcej niż zwykle rozczarowanie. Elenie przyszła do głowy nieprzyjemna myśl, choć wiedziała, że nie powinna dopuszczać do siebie takich paranoicznych idei: czy Viktor podejrzewa, że majstrowała przy pendrivie, który zabrała Sokolowowi? Czy jego zdaniem wykasowała stamtąd informacje, na które liczył?

– Naprawdę nic?

– Nic.

– Przykro mi – powiedziała cicho.

– Spodziewaliśmy się więcej. – Umilkł i rozejrzył się na boki, a ona wiedziała dlaczego. Hostessa właśnie przyprowadziła do stolika obok dwóch zachodnich biznesmenów. Viktor natychmiast się podniósł i zapytał kobietę po arabsku, czy mogłaby ich posadzić gdzieś dalej: omawiał właśnie ze swoją córką bardzo

dyskretne sprawy rodzinne i byłby wdzięczny, gdyby zapewniła im więcej prywatności. Młoda kobieta, wyglądająca na Hinduskę albo Pakistankę, uśmiechnęła się i spełniła jego prośbę. Biznesmenom było wszystko jedno.

– Teraz jestem twoją córką? – zapytała, gdy Viktor znowu usiadł.

Wzruszył ramionami.

– Byłbym dumny, mając taką córkę jak ty.

Nie wierzyła mu i dała temu wyraz, przewracając oczami. Viktor i jej ojciec tolerowali się wzajemnie i nic ponadto. A ona dobrze pamiętała, co Viktor mu potem zrobił.

– Nawet po tym fiasku?

– Tak, mimo wszystko. Nawet ludzie odnoszący największe sukcesy popełniają czasem błędy. Często są po prostu lepsi w ich naprawianiu od innych.

Kelnerka przyniosła jego zamówienie, a on zareagował radosnym uśmiechem. Kiedy postawiła przed nim talerz i oddaliła się od ich stolika, kontynuował swój wywód:

– Naszym zadaniem jest przewidywać, co się stanie, a tym razem twoje przewidywania okazały się chybione. Teraz więc musisz na to odpowiednio zareagować.

– Tak, oczywiście.

– Boże, ale to dobre – powiedział, wskazując na swój talerz. – Naprawdę powinnaś spróbować. – Nie kryjąc entuzjazmu, delikatnie odkroił cienki kawałek kiełbasy, włożył sobie do ust i pogryzł, a na jego twarzy wykwitł błogi uśmiech, nieco zbyt ekstatyczny jak na jej gust.

Elena wzdrygnęła się lekko. Skoro śniadanie mogło mu przynieść taką rozkosz, to strach pomyśleć, jak się zachowywał w łóżku.

– Rozmawiałem z policją – powiedział, przełknąwszy kęs. – Przesłuchali już większość z nas.

– I co?

– W porządku. Nikt z nas nie jest kobietą pochodzącą z Ameryki. Ale mogło się zrobić niezręcznie. Kolejny powód, dla którego powinnaś była mi od razu powiedzieć o tej stewardesie.

– Rozumiem.

– Nie wątpię.

– Ile mam czasu? – zapytała.

– Ile my mamy czasu – poprawił. – Nie musisz się w tym czuć osamotniona.

– Jestem osamotniona.

– Ta kobieta jest albo nieobliczalna, albo, co gorsza, autentycznie groźna.

– Nieobliczalna – powtórzyła, zastanawiając się nad jego słowami. W pierwszej chwili chciała zapytać, co miał na myśli, mówiąc, że stewardesa jest groźna, ale zaraz przypomniała sobie jego uwagę na temat bezwartościowego pendrive'a. Jeżeli naprawdę jej nie ufał – naprawdę miał wobec niej wątpliwości – to z całą pewnością nie chciała nieumyślnie zmuszać go, by powiedział to na głos. Ubranie tego w słowa sprawiłoby, że jego oskarżenia stałyby się realne i nieodwołalne.

– Tak, nieobliczalna. Pije bez opamiętania i zdaje się, że ma skłonności autodestrukcyjne.

– Chodzi ci o to, że nie tylko pije, ale robi też inne ryzykowne rzeczy? – upewniła się Elena.

Viktor odłożył widelec i wbił w nią wzrok.

– Sam już nie wiem. Wiem, że chcę, żeby zniknęła. Co nie powinno być trudne.

– Raczej nie – przyznała Elena, chociaż nie do końca się z tym zgadzała. Zapewne nie będzie to trudne z praktycznego punktu widzenia, ale kilku ludzi cholernie się wkurzy, a jej samej przyjdzie za to zapłacić własną duszą. Zabić tę Bowden to nie to samo, co zabić Sokolova, tego wyrachowanego fiuta, który zgodził się przesmugłować dla nich amerykańskie dane, bo wiedział, że napytał sobie biedy, defraudując pieniądze swoich klientów. Pozbyli się go bez skrępowań, ponieważ zrobił to, do czego był im potrzebny, a ewidentnie nie można było mu ufać. Zupełnie inaczej wyglądało to też z tym odrażającym pułkownikiem w Turcji, który nabijał sobie kabzę, grając na dwa fronty. Kiedy Elena przyszła go zastrzelić, drań dopiero co przeleciał jakąś biedną kurdyjską dziewczynę, która miała czternaście czy piętnaście lat. Był parszywą świnią. Ale ta stewardesa? To dla niej zupełnie nowy rodzaj ofiary, trochę jak topienie szczeniąt. Zdawała sobie jednak sprawę, że w tej chwili sama walczy o przetrwanie, więc dodała jedynie: – Drażni mnie tylko, że muszę za nią jechać taki kawał drogi.

– Naprawdę tak nie lubisz podróżować?

– Zamierzałam zostać tutaj na dłużej. Albo pojechać na jakiś czas do domu, do Soczi.

Viktor jakby nieco się odprężył. Podniósł znów widelec i opuścił wzrok na talerz.

– Pojedziesz. Wszystko w swoim czasie. To tylko drobna przeszkoda na naszej drodze. Nie, to objazd. Objazd przez Amerykę. Przecież lubisz Amerykę – dodał, wbijając jej jeszcze jedną, małą szpilkę. – A potem wrócisz tutaj. Albo pojedziesz do domu. Zrobisz, co zechcesz.

– Dobrze.

Zobaczył coś ponad jej ramieniem i dał znak, żeby się odwróciła. Elena ujrzała dwie majny brunatne siedzące tuż za nią na balustradzie za oknem. Ich żółte dzioby lśniły w słońcu.

– Nawet ptaki próbują nas podsłuchiwać – powiedział Viktor z uśmiechem. Ale zaraz na powrót przybrał poważny ton. – Pytałaś, ile masz czasu. Fakt, że pendrive okazał się dla nas bezwartościowy, nie poprawia twojej sytuacji. Musisz wiedzieć, że nikt nie jest zadowolony z efektów. Mówię ci szczerze, jak to wygląda. Dlatego uważam, że nie powinnaś zwlekać. Dla własnego dobra, Eleno. Dla własnego dobra. Im szybciej to załatwisz, tym lepiej. Dla nas wszystkich.

Rozdział 14

Cassie zobaczyła, że jest na stronie dziewiątej w „New York Post” i na stronie jedenastej w „Daily News”. Kiedy kupowała obie gazety w drogerii Rite-Aid oddalonej o jedną przecznicę od jej mieszkania, przy okazji sprawiła sobie nowe okulary przeciwsłoneczne: wielkie i w kompletnie innym stylu niż poprzednia para. Ta uwieczniona na zdjęciu. W drodze powrotnej wyrzuciła okulary, które nosiła w Dubaju, do śmieci, razem z szalem w arabską. Nadal bardzo się jej podobał i trudno jej było się z nim rozstać. Wcisnęła obie rzeczy do przepelnionego pojemnika na rogu, bo wiedziała, że śmieciarka zjawi się jeszcze dziś późnym rankiem.

Drukowana wersja artykułu nie różniła się niczym od tej, którą widziała w sieci. Po tym, jak przeczytała nekrolog Sokolova, stwierdziła ze zdumieniem, że właściwie brzmiało to wszystko zaskakująco łagodnie. „Post” zazwyczaj publikował najgorsze, najbardziej sensacyjne rzeczy, które każdy podejrzewał lub o nich myślał, ale nigdy nie powiedziałby tego na głos. Ale w artykule nie było spekulacji na temat związków Alexa z CIA albo KGB, ani w ogóle żadnych aluzji, że mógł być szpiegiem. Został przedstawiony jako typowy finansista, który jeździł w interesach do takich miejsc jak Moskwa czy Dubaj.

Na chodniku nieopodal swojego mieszkania Cassie zobaczyła trzy uczennice idące w jej kierunku. Miały na sobie identyczne szkolne mundurki: spódniczki w kratę i białe bluzki. Wyglądały na jakieś jedenaście lat, czyli były mniej więcej w wieku jej siostrzeńca. Wszystkie trzymały w rękach telefony i wymachiwały nimi, jakby robiły sobie selfie, ale po ich nerwowych spojrzeniach poznała, że nie tylko sprawdzają makijaż – na pewno cała trójka miała szminkę na ustach – ale dokładnie lustrują swoje twarze w poszukiwaniu wszelkich niedoskonałości. Jedna z dziewcząt miała bliźniacze konstelacje piegów na obu policzkach, a druga – która wydawała się wręcz bliska łez – lekkie zgrubienie na nosie. Uczennice były ładne, ich lęki i kompleksy wydawały się całkiem bezzasadne. Ale Cassie dobrze je

rozumiała. Nie miała pojęcia, dokąd idą, bo nawet prywatne szkoły nie zaczynają zajęć na początku sierpnia. Może chodziło o jakiś letni program albo całodzienną wycieczkę. To bez znaczenia. Przypomniała sobie, że kiedyś czuła się tak samo jak one. Wiedziała, że jej siostrzenica, Jessica, już niedługo też pozna to uczucie i cała pewność siebie uleci z niej niczym napełniony helem balon wypuszczony z ręki w wietrzny jesienny dzień. Może z czasem uda się jej odzyskać choć część tej śmiałości, ale nigdy nie będzie już tak nieskażona i pełna śmiałości jak dawniej.

Kiedy dziewczynki ją minęły, Cassie jeszcze raz zerknęła na swoje zdjęcie w gazecie i pokręciła głową z obrzydzeniem, dokładnie tak samo jak ta dziewczyna z piegami.

Niemal w tej samej chwili, gdy weszła do mieszkania, zadzwonił jej telefon i na ekranie wyświetliło się imię Megan. Cassie zawahała się na moment, ale odebrała.

– Hej – przywitała się. – Nie jesteś w Berlinie?

– Jestem. Mamy opóźnienie, więc pomyślałam, że sprawdzę, jak się miewasz. Wszystko w porządku?

– Zobaczmy: po południu znowu spotykam się z FBI i jestem trochę wytrącona z równowagi przez dzisiejsze gazety. Poza tym świetnie. Co by mi się miało nie podobać?

– Rozumiem. Do mnie też jeszcze raz dzwoniли z FBI.

Cassie spojrzała na wizytówkę agenta Hammonda na drzwiach lodówki. Nagle poczuła, że dobrze zrobiła, nie mówiąc Megan nic więcej. Tłumaczyła sobie, że chyba już zaczyna wariować, ale nagle przysłała jej do głowy straszna myśl: rozmowa jest nagrywana. FBI wykorzystuje Megan, żeby wyciągnąć z niej jakieś obciążające wyznania. Dlatego na wszelki wypadek szybko dodała:

– Mam nadzieję, że już niedługo uda im się rozwiązać tę sprawę. Tak współczuję rodzinie tego biedaka. – W duchu zaś modliła się, żeby Megan nie wspomniała o ich poprzedniej rozmowie, kiedy prosiła ją o to, by dla niej kłamała.

– Vaughn ma podobne podejście – odparła Megan, odnosząc się do swojego męża. – Kiedy przeczytał te artykuły, zadzwonił do mnie i stwierdził, że nie rozumie, dlaczego wszyscy skupiają się na tej tajemniczej kobiecie, zamiast na ofierze zabójstwa.

– Co u Vaughna?

– W porządku. Wszystko po staremu.

– Nad czym teraz pracuje? – zapytała Cassie. Nic a nic nie obchodziło jej, czym się zajmuje na co dzień konsultant Vaughn Briscoe, ale to pytanie wydawało się nieszkodliwe i bezpieczne. Miała do siebie pretensje o to, że nie ufa przyjaciółce, ale wolała dmuchać na zimne i skierować rozmowę na inne tory, jak najdalej od tematu Dubaju.

– Znowu użera się z jakimiś rządowymi bzdurami. Jest teraz w Edgewater w Marylandzie. Woli pracować z klientami z sektora prywatnego, ale nasze życie jest o wiele łatwiejsze, jeśli siedzi w Marylandzie albo w Waszyngtonie. Kiedy dziewczynki były młodsze, a on zajmował się tą farmaceutyczną firmą z Kolorado, wykańczało nas samo organizowanie opieki do dzieci. Jego wiecznie nie było w domu, zawsze jeździł z miejsca na miejsce. Trochę jak ja w tej chwili. Teraz codziennie wraca na noc do domu, a jesienią będzie mógł je odbierać z tych tysięcy miejsc, do których chodzą po szkole, kiedy ja nie będę w stanie.

– Jak było w Berlinie?

– W porządku. Denerwujesz się tym dzisiejszym spotkaniem?

– Nie – skłamała Cassie. – Ile razy i na ile różnych sposobów mogą mnie pytać, jak Sokolov zachowywał się podczas lotu i czy powiedział coś interesującego.

– Tylko o to cię pytają?

– Na razie tak. Może dzisiaj przygotowali dla mnie jakieś ciekawsze pytania.

– Słuchaj, Cassie...

– Tak?

– Potrzeba ci czegoś? Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Na przykład co?

– Nie wiem. Po prostu bardzo mi ciebie żal i...

– Nic mi nie jest – odparła Cassie. Wolała wejść przyjaciółce w słowo, zanim ta powie coś, czego obie mogą potem żałować. – Muszę lecieć. Moja rodzina z Kentucky przyjeżdża w ten weekend do miasta i muszę jeszcze zrobić mnóstwo rzeczy. Dziękuję za propozycję i za słowa otuchy. Dobrze było usłyszeć twój głos, naprawdę. Ale ze wszystkim sobie radzę, niczego mi nie potrzeba.

– Jeśli zmienisz zdanie, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

– Tak, w Berlinie – odparła i roześmiała się cicho. Co z tego, że faktycznie mogłaby potrzebować pomocy, skoro jej przyjaciółka będzie wtedy na innym kontynencie i w zupełnie innej strefie czasowej.

Starając się nie myśleć o gazetach ani o tym, co ją czeka po południu, położyła się na kanapie i dokończyła *Śmierć Iwana Iljicza*. Raz na jakiś czas, ilekroć jej umysł przestawał się koncentrować na dziewiętnastowiecznej Rosji, zerkała odruchowo na Empire State Building. Nie czuła się ani trochę lepszym człowiekiem z racji tego, że czytała Tolstoja, nie przyniosła jej też ulgi wielka przemiana Iljicza, który wyzbył się strachu przed śmiercią i na koniec powitał ją ze spokojem i akceptacją. Przede wszystkim jednak cały czas zastanawiała się, czy Alex Sokolov obudził się, kiedy zabójca podrzynał mu gardło.

Znowu zrobiło się ciepło i słonecznie, dlatego Ani skierowała Cassie do szklanego stolika w zacienionej części dziedzińca i obie usiadły przy nim ze swoimi falafelami od ulicznego sprzedawcy. Miasto wydawało się wyjątkowo ciche, nawet jak na początek weekendu w środku lata.

– Budynek nie pustoszeje może całkiem w sierpniowe popołudnia – odezwała się prawniczka – ale wielu ludzi stąd znika, zwłaszcza z firm na pozostałych piętrach. Nawet nie próbuj się z nikim umówić na spotkanie po porze lunchu w piątek w sierpniu.

– Nowy Jork zaczyna coraz bardziej przypominać Paryż – mruknęła Cassie. Była rozkojarzona. Wczoraj nie mogła zasnąć, dopóki przed północą w akcie desperacji nie wychyliła kilku kieliszków wódki, popijając nimi dwa advile i kilka tabletek melatoniny. Zazwyczaj nie musiała się wspomagać melatoniną po tej stronie Atlantyku, ale też zazwyczaj nie spotykała się z prawnikami i agentami FBI. A rano czuła się w miarę dobrze – może jedynie wszystko było odrobinę przytłumione – kiedy zwlekła się z łóżka, żeby pójść do sklepu po gazety.

Ani skwitowała jej komentarz uśmiechem, ale Cassie widziała troskę w jej oczach.

– Wyglądasz na zmęczoną – powiedziała prawniczka.

– Jestem zmęczona – odparła Cassie, wpatrując się w swoją pitę z falafelem i sosem zawiniętą w woskowany papier. Zupełnie nie miała dzisiaj apetytu i próbowała stwierdzić, czy jest jeszcze mniej głodna niż zwykle.

– Dasz sobie radę?

– Chyba tak.

Ani wytarła palce w serwetkę i wzięła ją za obie ręce.

– Spróbuj się nie martwić. Nie jesteś w Dubaju. Nikt cię nie postawi przed sądem za popełnienie czynu, który przywodzi inną osobę do grzechu.

– W Emiratach mogą cię o coś takiego oskarżyć?

– Tak. Jak również o pozamałżeński stosunek seksualny.

Opuściła wzrok na swoje dłonie w rękach Ani. W porównaniu z prawniczką miała strasznie bladą skórę. Przecież jest sierpień, dlaczego nie była jeszcze na plaży? Albo nad jeziorem? Albo, na Boga, nie poszła przynajmniej do solarium? Cofnęła ręce, mając nadzieję, że Ani nie weźmie tego za nieprzyjazny gest.

– Jedźmy już – powiedziała szybko, próbując jakoś zamaskować dyskomfort, jaki sprawiała jej życzliwość prawniczki. I jej dotyk.

– Słusznie – zgodziła się Ani.

– Wybrałam się wczoraj do Unisphere. Po naszej rozmowie.

– Że co?!

– Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o Alexie – dodała, w pełni świadoma, że mówi jak zawstydzone dziecko.

– Upiłaś się?

– Nie! I chyba powinnam się obrazić, że w ogóle mnie o coś takiego pytasz.

– Boże. Opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło – zażądała Ani, więc Cassie zrelacjonowała jej całą wizytę i bezowocną rozmowę z kobietą z działu kadr.

– Domyślą się, że to ty, o ile już tego nie wiedzą – stwierdziła na koniec prawniczka.

– Też tak podejrzewam. Ale musiałam spróbować.

– Proszę cię, obiecaj mi, że więcej czegoś takiego nie zrobisz.

– Obiecuję. A tobie udało się o nim czegoś więcej dowiedzieć?

– Jeszcze nie. Ale wczoraj znowu zadzwoniłam do mojego znajomego detektywa. Czytałaś nekrolog?

– Tak.

– I co o tym myślisz?

– Sama nie wiem. Czy to ci nie pachnie na kilometr szpiegiem?

Ani odgryzła kawałek swojego wrapa i przez chwilę poważnie się zastanawiała nad odpowiedzią.

– Może nie na kilometr. Ale daje do myślenia. Zwróciłam uwagę na to, jak krótki jest ten nekrolog.

– I jakie miasta są w nim wymienione.

– W Moskwie i Dubaju pracuje wielu ludzi, którzy nie mają nic wspólnego ze szpiegostwem.

– Kiedy twój detektyw będzie coś wiedział?

– W przyszłym tygodniu – odparła Ani. – Może nawet na początku tygodnia.

– OK.

– A co do dzisiejszego spotkania, ten agent, Frank Hammond, będzie chciał cię przechytrzyć. Możliwe, że wyda ci się skończonym durniem. Ale nim nie jest, zapewniam cię. Ludzie z FBI zawsze wbijają nóż bardzo powoli. Agenci uczą się tak prowadzić rozmowę, żeby druga osoba niechcący sama wyznała prawdę. Poza tym jestem pewna, że on wie znacznie więcej niż gazety. Wie dokładnie tyle samo, ile przedstawiciel FBI w Emiratach, a oni są osiem godzin przed nami. Na pewno zostały dzisiaj ujawnione jakieś nowe fakty, o których my tutaj na razie nie mamy zielonego pojęcia.

– Boże...

– Ale nie ma co się załamywać. Dużo zależy od tego, czy Emiraty mają ochotę dogadywać się ze Stanami. A to wcale nie takie pewne. To w końcu obcy kraj. I pewnie zamartwiają się, żeby ten incydent nie odbił się negatywnie na branży turystycznej. Ale tak naprawdę reszta muzułmańskiego Bliskiego Wschodu napawa większość Amerykanów dużo większym strachem niż Dubaj. Zresztą to nie jest jakaś seria brutalnych zbrodni wymierzonych w turystów. Prawda jest taka, że w Dubaju nie mają powodu, żeby zanadto się przejmować zabójstwem jakiegoś biznesmena w ich pięknym mieście.

– Chyba że będą chcieli dać wszystkim jasno do zrozumienia, że zabiła go Amerykanka: pijana stewardesa z Nowego Jorku.

– Niewykluczone. Ale jeśli założymy, że był zwykłym finansistą pracującym w Unisphere Asset Management, to naprawdę nie pojmuję, dlatego FBI tak się w to zaangażowało. A wyraźnie są wielce zainteresowani tą sprawą.

– Myślisz, że dalej szukają Amerykanki mieszkającej w Dubaju?

– Raczej nie.

– Nie? – Cassie słyszała we własnym głosie strach.

– To znaczy, nie wiem tego na pewno. Ale do dziś zdążyli już przesłuchać wszystkie osoby, które znał albo mógł znać Alex. Każdego, kto miał być na tym spotkaniu następnego dnia, każdego w Unisphere, każdego pracownika hotelu. Badają tę sprawę od końca. W tej chwili podejrzana jest każda Amerykanka, z którą zamienił choć słowo podczas tego lotu z Paryża do Dubaju, a już szczególnie stewardesa.

– Rozumiem.

Ani odłożyła swoje jedzenie na stół i zrobiła głęboki wdech.

– Teraz mnie posłuchaj: nasze spotkanie z FBI to nie jest sytuacja, w której można skłamać. Nie będziesz zeznawać pod przysięgą, ale będą się starali przyłapać cię na kłamstwie, a okłamywanie agenta FBI to przestępstwo federalne. Możesz nawet nie poczuć, jak wbijają ci nóż, dopóki nie zaczną go obracać.

– Kiedy wylądowaliśmy, zamierzałam kłamać ile wlezie. Ale w ogóle nie spytali o nic, co by tego wymagało.

– To dobrze.

– Więc co mam robić?

– Cóż, przede wszystkim nie kłam. Po prostu. Pamiętaj, że zawsze możesz powołać się na piątą poprawkę. Wiesz, co to takiego?

– Wiem. Ale oczywiście zabrzmi to, jakbym była żoną mafiosa.

– W tym cały problem z piątą poprawką. FBI może strzelać na ślepo, nawet gdy tak naprawdę nie mają w ręku nic konkretnego, a ty, jeśli odmówisz odpowiedzi, to i tak pokazujesz, że strzał był trafiony. Dlatego chcę, żebyś przed odpowiedzią na każde pytanie najpierw spojrzała na mnie. Jeśli kiwnę głową, mówisz prawdę. Jeśli pokręcę głową, powołujesz się na piątą poprawkę.

Cassie powiodła wzrokiem za samolotem, który przeleciał wysoko nad ich głowami. Nawet dziś, po tylu latach spędzonych na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, cud, jakim są latające maszyny, w dalszym ciągu robił na niej wrażenie.

– Nie będziesz siedzieć obok mnie?

– Pewnie tak. Ale nie obchodzi mnie, że będą widzieli, jak daję ci wskazówki. To nie ma znaczenia. Boże, jeśli będzie trzeba, to ci zwyczajnie przerwę i powiem, że odmawiasz odpowiedzi na podstawie piątej poprawki. Problem w tym... – Ani zawiesiła głos.

– Mów dalej.

– Chciałam ci to powiedzieć osobiście. Wprawdzie nie grozi ci ekstradycja z powodu oskarżenia o morderstwo, ale to nie znaczy, że jesteś już bezpieczna. Są inne sposoby, żeby postawić cię przed sądem w Stanach za śmierć Sokolova. Na przykład oskarżenie o terroryzm.

– Co?!

– To mało prawdopodobne, ale schemat jest taki: w ramach Departamentu Sprawiedliwości działa OVT, czyli Wydział Sprawiedliwości dla Ofiar Zagranicznego Terroryzmu, który odpowiada przed Agencją Bezpieczeństwa Narodowego. Dyrektor OVT co tydzień spotyka się z ludźmi od kontrwywiadu i kontrterroryzmu. Alex Sokolov to amerykański obywatel, którego zamordowano za granicą, więc dochodzenie w sprawie jego śmierci może zostać przekazane w ich ręce, zwłaszcza jeśli był kimś ważnym z punktu widzenia organów państwa.

– To jakiś absurd. Czasami zdarza mi się za dużo wypić, to jeszcze nie znaczy, że jestem terrorystką.

– Wiem. Chodzi tylko o to, żebyś zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji, zanim pojedziemy do centrum. Teraz powinnaś wreszcie coś zjeść. Naprawdę. Jeśli nie lubisz falafela, to po prostu powiedz, nie musisz udawać przez grzeczność. Znajdziemy ci coś innego. Chcę cię jeszcze trochę przygotować i muszę mieć pewność, że nie pójdziesz rozmawiać z FBI z pustym żołądkiem.

Cassie pokiwała głową i zaczęła jeść. Próbowwała też słuchać z uwagą tego, co mówi Ani. Nagle sama poczuła się jak ofiara, a to tylko jeszcze bardziej pogorszyło jej nastrój. Było jej wstyd, że się tak czuje. W końcu to nie ona została zamordowana w hotelowym łóżku.

Cassie rzadko zapuszczała się na Wall Street, ale za każdym razem dziwiło ją, jak wąskie są tu ulice w porównaniu z Murray Hill czy środkowym Manhattanem. Siedziba FBI mieściła się w drapaczu chmur na Broadwayu, ale Broadway na tym odcinku, tak blisko mostu Brooklińskiego, przypominał cienki wylot lejka. Federal Plaza był nieco bardziej przysadzisty niż Seagram Building, ale tym, co decydowało o tak odmiennym charakterze tej części miasta, było przede wszystkim klaustrofobiczne połączenie wysokiej zabudowy i wąskich ulic. Przed budynkiem mieścił się niewielki park z trzema strzelistymi ciemnymi słupami tworzącymi rzeźbę o nazwie Wartownik, wokół których rosły drzewa, najprawdopodobniej jakaś odmiana wierzby. Na bocznych uliczkach odchodzących od skweru znajdowały się budki wartownicze i stalowe bariery w żółto-czarne pasy, podnoszone lub opuszczane, żeby przepuścić wybrane pojazdy wjeżdżające i wyjeżdżające z garażu. Krocząc przed siebie, Cassie pomyślała nagle o rzeźbie Nieustraszonej Dziewczynki stojącej dzielnie naprzeciwko szarżującego byka kilka przecznic na południe stąd. Wiedziała, że w tym, kim jest i co w tej chwili robi, nie ma nic z heroizmu i odwagi – znalazła się tu dzisiaj, ponieważ za dużo wypija i w jednej chwili zwałił się na nią ciężar kilkunastu lat złych decyzji, na czele z tymi, które podjęła w ciągu jednej feralnej nocy w Dubaju. Mimo to przypomniła się jej ta dziewczynka z brązu, uczesana w koński ogon, z wypiętą dumnie piersią i trzymająca się zawadiacko pod boki, patrząca wprost na gigantycznego byka. Cassie marzyła o tym, by być teraz równie waleczna jak to dziecko, by umieć zrobić to, co słuszne.

Cokolwiek to oznaczało.

– Gotowa? – spytała Ani.

Obie milczały, odkąd minutę temu wysiadły z taksówki i zatrzymały się przed Wartownikiem.

Cassie pokręciła głową.

– Nie. Ale teraz nie ma już innego wyjścia, prawda?

Ani spojrzała jej w oczy.

– Wszystko będzie dobrze. Tylko pamiętaj: przede wszystkim nie możesz kłamać.

Zaprowadzono je do pomieszczenia bez okien, ale Cassie było to absolutnie obojętne. Musiała natomiast zwrócić uwagę na nienaturalnie błyszczący blat prostokątnego stołu oraz krzesła obite sztuczną skórą w intensywnym odcieniu pomarańcza, który kojarzył się nieodparcie z kolorem dojrzałej dyni. Tak jak poprzednio, przesłuchanie prowadził Frank Hammond, a notatki robił James Washburn.

– Cieszę się, że mogła pani dzisiaj do nas przyjść – powiedział Hammond, kiedy Cassie przedstawiła już swoją prawniczkę agentom i wszyscy usiedli. – Naprawdę jestem wdzięczny. Wiem, że to dla pani niedogodność, ale chcemy pomóc Emiratom i doprowadzić naszą część dochodzenia do końca. Mieć to za sobą.

– Oczywiście – odparła.

– Nie znoszę, jak przez cały weekend wisi mi nad głową robota, zwłaszcza latem.

– Rozumiem.

Hammond się uśmiechnął. Ponownie uderzyło ją, że jak na faceta, który ma najwyżej czterdzieści, czterdzieści jeden lat, wydaje się bardzo zmęczony życiem. Po raz kolejny zwróciła też uwagę na nieskazitelną skórę Washburna i jego okulary bez oprawek, i zastanawiała się, czy w ogóle kiedykolwiek wypuszczają go na dwór.

– Kiedy pani znowu wylatuje? – zapytał Hammond.

– W niedzielę.

– Z powrotem do Dubaju?

– Do Rzymu. W tym miesiącu mam Rzym.

– Uwielbiam Włochy.

– Ja też.

Pokręcił tęsknie głową, a ona uznała, że pewnie przypomina sobie miłe chwile na pięknym placyku w jakiejś tokańskiej wiosce albo doskonały, niespieszny posiłek we Florencji.

– Oczywiście nigdy tam nie byłem. Ale mam nadzieję, że kiedyś dotrę. Można powiedzieć, że uwielbiam Włochy na poziomie teoretycznym.

Przez moment była zaskoczona, ale szybko odzyskała rezon.

– Też mam nadzieję, że kiedyś pan tam trafi. To wspaniały kraj. Cieszy się zasłużoną renomą. Uważam, że to jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie.

– A pani zwiedziła przecież kawał świata.

– No tak.

– To dlatego została pani stewardesą? Bo kocha pani podróże?

Wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, czy te pogaduszki mają uśpić jej czujność, czy z jakiegoś powodu naprawdę on chce to wiedzieć. Tymczasem Washburn spoglądał to na nią, to na leżący przed nim notes, ale na razie niczego nie zapisywał.

– Chyba tak – odparła. Przypomniała sobie swoją przygotowaną z góry odpowiedź podczas rozmowy o pracę w liniach lotniczych osiemnaście lat temu: „Lubię kontakt z ludźmi. Moim zdaniem obsługa klienta to prawdziwa sztuka”.

– Chciała pani kiedyś zostać pilotem?

– Nie.

– Naprawdę?

– Nie nadawałabym się do tego. Ktoś taki jak ja nie powinien nigdy prowadzić taksówki czy szkolnego autobusu. – To miał być żart, ale widząc, jak Ani nieco szerzej otwiera oczy, zrozumiała, że humor, a przynajmniej taki, który podkreśla jej skłonność do nieodpowiedzialnego zachowania, jest teraz wysoce niewskazany.

– Ależ dlaczego?

– Chodziło mi tylko o to, że mieszkam w mieście i nawet nie mam samochodu.

Hammond pokiwał głową, a Washburn zaczął pisać.

– Dobrze, tak więc chcemy wyjaśnić tylko kilka drobiazgów w ramach pomocy prawnej dla naszych przyjaciół z Dubaju – zaczął agent. – Nie powinno to potrwać długo. Powiedziała pani, że rozmawiała z Alexem Sokolovem w samolocie podczas podawania posiłków. Mówimy oczywiście o locie z Paryża do Dubaju, który odbył się dwudziestego szóstego lipca.

– Zgadza się.

– Powiedziała pani, że z panią flirtował.

– Trochę.

– Jak to wyglądało? Co do pani mówił?

– Stwierdził, że podobają mu się nasze uniformy. Mamy trzy warianty: kostium ze spodniami, spódnicę i bluzkę oraz sukienkę. Ja najczęściej noszę sukienkę.

– Dlaczego?

– Najlepiej w niej wyglądam.

– Interesujące.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Ja chyba nosiłbym po prostu to, co najwygodniejsze.

– To dlatego, że jest pan mężczyzną.

Hammond zaśmiał się cicho i pokiwał głową.

– Pewnie ma pani rację.

– Ale prawdę mówiąc, wszystkie warianty są dość wygodne.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę, po czym spytał:

– Co jeszcze mówił?

– Alex Sokolov? Nie pamiętam. Od tamtej pory odbyłam – Cassie przerwała, żeby policzyć w myślach – cztery inne loty.

– Według podniebnego szeryfa dużo ze sobą rozmawialiście.

– Nie wiem, czy dużo. Staram się dobrze wykonywać swoją pracę, a jej elementem jest dbanie o to, by pasażerowie czuli się zrelaksowani i zadowoleni.

– Opowiadał pani o sobie?

– Raczej nie. Nie mówił mi zbyt dużo.

– Podobno powiedział pani, czym się zajmuje. Co jeszcze?

– Nic mi nie przychodzi do głowy.

– Rozmawialiście o tym, jak się mieszka na Manhattanie, prawda?

– Tak.

– Według zeznań innego z pasażerów Sokolov mówił pani, że jest jedynakiem, a pani powiedziała mu, że ma siostrę. Pamięta to pani?

– Nie bardzo.

– A może jakieś inne rozmowy o rodzinie? – zapytał. – Ktoś inny twierdził, że rozmawialiście o Kentucky. O tym, że pani siostra nadal tam mieszka ze swoją rodziną.

Cassie zerknęła na Ani, a potem na Washburna, który nie wiedzieć kiedy wypełnił niemal całą stronę w swoim żółtym notatniku.

– Nie wiem. Możliwe.

– Mówił pani, po co jedzie do Dubaju? Mówił o swojej pracy?

– Nie pamiętam, żeby dużo o tym opowiadał.

– Dobrze. Powiedział, że zajmuje się pieniędzmi. Coś jeszcze?

– Mówił, że kieruje funduszem hedgingowym.

– W porządku. Proszę kontynuować.

– To wszystko. Ja nawet do końca nie wiem, co to właściwie jest fundusz hedgingowy – przyznała.

– Wspominał o jakichś spotkaniach?

– Wiem, że miał zaplanowane spotkanie, ale nie rozmawialiśmy o tym.

– Miało się odbyć następnego dnia?

– Tak.

– Kto miał na nim być?

– Chyba jacyś inwestorzy.

– Inwestorzy z Dubaju? – dopytywał.

– Ja tylko zgaduję.

– Jakieś imiona, nazwiska?

Cassie natychmiast pomyślała o Mirandzie i w pierwszej chwili chciała podać jej imię. Ale wcześniej zeznała, że ostatni raz widziała Alexa, kiedy wysiadał z samolotu na lotnisku w Dubaju. Mogłaby powiedzieć Hammondowi, że wspominał o Mirandzie podczas lotu, ale nie była pewna, czy poradziłaby sobie z kolejnymi pytaniami, które bez wątplenia zaraz by się na nią posypały. Dlatego powiedziała tylko:

– W samolocie o nikim nie wspominał.

– Dobrze. A co ze znajomymi? Mówił coś o przyjaciółach albo o kobietach, z którymi zamierzał się zobaczyć podczas pobytu w Emiratach?

– Nie. Nic takiego nie mówił.

– Wydaje mi się, że nie spytaliśmy o to wtedy po lądowaniu. Bardzo przepraszam. Czy widziała się pani z Sokolovem w Dubaju?

Cassie przypomniała sobie, jak Ani ostrzegła, że nawet nie poczuje, kiedy zaczną wbijać nóż. A to właśnie był ten moment. To pytanie, zadane na koniec sekwencji krótkich zdań, było jak koniusek noża przytknięty do jej skóry. „Czy widziała się pani z Sokolovem w Dubaju?” Pamiętała też drugą przestrożę Ani: pod żadnym pozorem nie powinna kłamać. Lepiej powołać się na piątą poprawkę. Zrobiła więc głęboki wdech i powiedziała:

– Idąc za radą mojego prawnika, chcę skorzystać z prawa do odmowy odpowiedzi, które zapewnia piąta poprawka do konstytucji. – Wyartykułowanie tych słów wymagało odwagi, może nie na miarę Nieustraszonej Dziewczynki, która dzielnie stawia czoła nieprawościom, ale i tak był to pokaz zimnej krwi, o którą sama siebie nie podejrzewała. Chciała skłamać. To byłoby łatwiejsze. Jej życie tak często opierało się na kłamstwie. Oczywiście zdarzały się jej chwile szczerości, szczególnie kiedy musiała spojrzeć sobie w oczy po wyjątkowo tęgiej libacji albo gdy po nocy z jakimś nieznanym facetem brało ją obrzydzenie do samej siebie. Ale przeważnie kłamała.

Hammond rzucił okiem na Ani, która siedziała z kamienną twarzą, a potem spojrzał z powrotem na nią. I uśmiechnął się.

– Naprawdę? – spytał niemal beztroskim tonem. – W jaki sposób odpowiedź na takie pytanie mogłaby być dla pani obciążająca?

Cassie milczała.

– A zatem ostatni raz widziała pani Alexa Sokolova, kiedy on wysiadał z samolotu po wylądowaniu w Emiratach? – nie odpuszczał Hammond.

– Zgodnie z radą mojego prawnika powołuję się na piątą poprawkę.

Hammond zwrócił się do Ani:

– Zastanawiam się, co pani zdaniem próbujemy tu osiągnąć, pani Mouradian. Nie rozumiem, dlaczego udzieliła pani swojej klientce takiej rady.

Ani zerknęła na swoje paznokcie, a potem popatrzyła na Hammonda. Siedziała z nogą założoną na nogę, a spódnica podjechała jej kilka centymetrów na udach. Miała czarne, przezroczyście rajstopy; Cassie rozpoznała kolor jako jeden z odcieni zatwierdzonych przez jej linie lotnicze.

– A co pan próbuje osiągnąć, agencie Hammond? – odezwała się.

– Próbujemy się dowiedzieć jak najwięcej o śmierci amerykańskiego obywatela w Dubaju. Chcemy ustalić, co robił wieczorem i w nocy, zanim został zabity.

W ramach pomocy dla służb innego kraju. I z szacunku dla pogrążonej w żałobie amerykańskiej rodziny. Może Alex Sokolov powiedział pani klientce coś, co pomogłoby nam wytropić jego zabójcę.

– Niech pan ją zapyta.

– W porządku. – Kiwnął głową, po czym zwrócił się ponownie do Cassie: – Czy Alex Sokolov powiedział pani coś, co mogłoby nam pomóc w znalezieniu jego zabójcy?

– Nie – odparła Cassie.

– To nie było takie trudne, prawda? – skomentowała Ani, ale Hammond ją zignorował.

– Czy Sokolov mówił pani, gdzie zamierza się udać po wylądowaniu?

– Agencie Hammond – wtrąciła się Ani – na pewno pytał pan już o to firmę Unisphere Asset Management i uzyskał wszystkie odpowiedzi. Doprawdy nie pojmuję, dlaczego pan cały czas wypytuje o te rzeczy moją klientkę. Jestem pewna, że wie pan doskonale, z kim Alex Sokolov miał spotkać się w Dubaju i po co dokładnie tam pojechał.

– A pani to wie, pani Mouradian?

– Nie. Zechce nam pan powiedzieć?

Wyglądał na rozdrażnionego, ale do prawniczki nie powiedział nic więcej. Spojrzał natomiast znów na Cassie.

– Możemy to trochę ułatwić: czy podał pani nazwę hotelu, w którym miał się zatrzymać?

– Wszyscy wiemy, jaki to był hotel, agencie Hammond – wtrąciła się znowu Ani.

– Pisali o tym w gazetach, na miłość boską.

– Ale czy on podał nazwę pani klientce? Tego chcę się dowiedzieć.

– Powołuję się na piątą poprawkę, która daje mi prawo nie odpowiadać.

Cassie zauważyła, że Washburn wszystko skrętnie notuje.

– Naprawdę pani myśli, że albo my, albo policja w Dubaju uważamy, że zrobiła pani coś złego, pani Bowden? – Starał się sprawiać wrażenie zdumionego i urażonego jednocześnie. Cassie być może dałaby się na to nabrać, gdyby Ani wcześniej jej nie ostrzegła.

– Zakładam, że to pytanie retoryczne – odezwała się Ani.

– Wcale nie. Próbuję pomóc w rozwikłaniu zagadki morderstwa. Próbuję walczyć o sprawiedliwość dla rodziny ofiary. A poprzez schwytanie zabójcy być może także uchronić innych ludzi przed śmiercią.

– To wszystko szczytne cele. Mam nadzieję, że się panu uda – odparła prawniczka.

– A osoby obecne na pokładzie podczas ostatniego lotu Alexa Sokolova, w tym członkowie personelu, pasażerowie i podniebny szeryf, stwierdziły jasno: pani klientka rozmawiała z nim w trakcie podróży. Dużo rozmawiała. I wydaje się co najmniej możliwe, że podczas długich rozmów Sokolov powiedział pani Bowden coś, co przydałoby się w dalszym śledztwie.

– Więc nie uważacie, że zrobiła cokolwiek złego?

Cassie uderzyło to, że wszyscy nagle zaczęli mówić o niej w trzeciej osobie, jakby w ogóle jej tam nie było. Miała ochotę podnieść rękę i przypomnieć, że siedzi tuż obok i nie jest niewidzialna. Przypomniała się jej jedna linijka ze starej piosenki Beatlesów: „Wiem, jak to jest być martwym”.

Hammond zmarszczył czoło.

– Dlaczego mielibyśmy tak uważać? Bo wczoraj po południu przyszła do siedziby Unisphere w Nowym Jorku?

Przez chwilę wszyscy siedzieli w ciszy, jakby to była gra w pokera o wysoką stawkę. Cassie widziała, że Ani i Hammond próbują się wzajemnie rozgryźć, dostrzec w swoim zachowaniu jakiś ledwo zauważalny znak, który pozwoliłby im ocenić rękę przeciwnika i zyskać przewagę. O dziwo ciszę przerwał dopiero Washburn, który przez cały czas tylko notował.

– Chcę tylko coś potwierdzić – zaczął cicho, patrząc na Cassie. – Powiedziała pani, że Sokolov nie mówił pani, w którym hotelu się zatrzyma, zgadza się? Dowiedziała się pani tego dużo później, z gazet. – Następnie opuścił głowę i wyglądał, jakby wpatrywał się w koniuszek swojego długopisu, który trzymał dwa centymetry nad żółtym papierem w cienkie niebieskie linie.

– Skorzystałam z piątej poprawki – odparła niepewnie Cassie, a słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. Musiała złożyć ręce i położyć je na kolanach, żeby nie było widać, jak bardzo trzęsą się jej dłonie.

– Gdzie pani była w nocy, kiedy zamordowano Alexa Sokolova? – zapytał Hammond.

– Powołuję się na piątą poprawkę.

– Czy była pani w swoim pokoju, który wynajęły dla pani linie lotnicze w hotelu Fairmont? Innymi słowy, czy była pani w tym samym miejscu co reszta załogi, czy spędziła pani noc gdzieś indziej?

– Ponownie, piąta poprawka.

– Wie pani, że ta poprawka to nie jest jakaś magiczna tajna broń, prawda?

Cassie nie odpowiedziała. Starła się oddychać jak najwolniej. Starła się nie myśleć o drinku, którego wypije, kiedy tylko stąd wyjdzie, tylko skupić się na tej pokerowej rozgrywce, tym szachowym meczu. Czy oni skądś wiedzieli – nie podejrzewali, tylko wiedzieli – że nie była w swoim pokoju, czy tylko tak przypuszczali z powodu zdjęć z kamer w Royal Phoenician?

– Oczywiście – odpowiedziała za nią Ani. – Ale to jej konstytucyjne prawo.

– I na pewno zdaje sobie pani sprawę – kontynuował Hammond – że powołując się na piątą poprawkę, pozwala mi pani jedynie odnieść wrażenie, że naprawdę zrobiła pani coś złego. Że naprawdę ma pani coś do ukrycia.

– Ja... – Cassie urwała. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– Pani Bowden – podjął Hammond, a jego głos nieco złagodniał. – Może wyjaśnijmy najpierw parę drobiazgów. To będzie łatwiejsze.

– Dobrze – zgodziła się.

– Kiedy pani poznała Alexa Sokolova?

Absurdalność tego pytania tak bardzo zbiła ją z tropu, że musiała się przez chwilę zastanowić.

– W samolocie – odpowiedziała. – Kiedy wszedł na pokład.

– Nigdy się z nim pani nie widziała w Nowym Jorku?

– Nie.

– To zaskakująco małe miasto. No i, rzecz jasna, wczoraj była pani w jego firmie.

Cassie milczała.

– Ktoś pani powiedział, że on będzie w waszym samolocie? – zapytał.

– Nie. Dlaczego ktoś miałby mi to mówić? To przecież...

– To przecież co?

– To tak nie działa. Nikt nam nie mówi wcześniej, kto będzie z nami leciał. Dostajemy listę pasażerów dopiero przed startem.

Agent spojrzał na nią poważnie.

– Próbuję pani pomóc, pani Bowden. Ale najpierw pani też musi mi pomóc.

– Myślę, że moja klientka jest naprawdę pomocna – powiedziała Ani.

Hammond puścił jej uwagę mimo uszu.

– Gazety. Na pewno pani je widziała. Czy to pani jest na tych zdjęciach, pani Bowden?

– Jakie gazety? Jakie zdjęcia? – zapytała Cassie. Grała na zwłokę i dwaj agenci bez wątpienia to wiedzieli – jakim cudem miałyby jeszcze nie widzieć tych gazet? – ale nie mogąc bronić się dużym kłamstwem, odruchowo odpowiedziała znacznie mniejszym.

Hammond najwyraźniej postanowił podjąć grę.

– Spieszę wyjaśnić. Niektóre gazety opublikowały zdjęcia z monitoringu w hotelu, w którym znaleziono ciało Alexa Sokolova. Większość opublikowała dwa. Na jednym widać Sokolova z kobietą u boku, zrobiono je wieczorem tuż przed jego śmiercią. Na drugim jest ta sama kobieta opuszczająca hotel następnego ranka. Sama. Ma na sobie to samo ubranie co poprzedniego dnia.

Washburn otworzył szarą kopertę leżącą dotąd na stole i położył przed nią dwie fotografie.

– Oto one – powiedział.

Ani uśmiechnęła się, ale nie spojrzała na zdjęcia.

– Spacer wstydu? Poważnie będziemy o tym rozmawiać?

Hammond ją zignorował.

– Nasz przedstawiciel w Emiratach twierdzi, że kobieta na tych zdjęciach pasuje do opisu kobiety, Amerykanki, którą troje różnych pracowników hotelu widziało z Sokolovem w ostatni wieczór jego życia. Najwyraźniej wygląda tak samo jak kobieta, z którą jadł kolację we francuskiej restauracji.

Zdjęcia miały dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Wydawały się ostrzejsze niż ich wersje, które widziała w gazetach, a wcześniej w sieci, ale na pewno nie były to obrazy wysokiej jakości. Czy ta kobieta to bezdyskusyjnie ona? Nie bezdyskusyjnie. Na pierwszym, mocno ziarnistym ujęciu, została

sfotografowana z daleka i z profilu, a na drugim twarz zasłaniały ciemne okulary; na obu miała na sobie ten sam szal. Ale każdy rozsądnie myślący człowiek mógł podejrzewać, że to faktycznie ona.

– Rozpoznaje pani ten szal? – zapytał Hammond.

Cassie wzruszyła ramionami. Wpatrywała się przez chwilę w niemal hipnotyczny wzór pełen pętli i zawijasów.

– Jedna z osób, które leciały razem z panią z Paryża do Dubaju, pamięta, jak kupiła pani sobie taki sam szal zaraz po wylądowaniu. W butik nieopodal sklepu wolnoślowego na lotnisku, może nawet tuż obok.

Ciekawe, kto im to powiedział. Megan? Jada? Shane? Mogło to zrobić którekolwiek z nich albo jeszcze ktoś inny. Obsługa pasażerów podczas tamtego lotu liczyła dziesięć osób.

– Możliwe – odpowiedziała krótko.

– A zatem czy to pani jest na zdjęciach?

Cassie spojrzała na niego, a potem na Ani. Rzuciła też okiem na Washburna. Ręce miała mocno ściśnięte, ale nie mogła powstrzymać drżenia nóg pod stołem. Wiedziała, że powinna zasłonić się piątą poprawką. Ale nagle dotarło do niej, że tego nie zrobi. Wiedziała to. Raz jeszcze pomyślała o tej starej piosence, o wersji „Wiem, jak to jest być martwym”, i uświadomiła sobie z całą mocą, że za chwilę skłamię, ponieważ takim właśnie była człowiekiem, a nie da się uciec przed własną naturą, tak jak nie da się uciec z airbusa, który spada prosto do oceanu z powodu (wybierz jedno, pomyślała) katastrofalnej awarii mechanicznej, samobójstwa pilota albo eksplozji bomby w luku bagażowym. Ona sama była jak błyskawica, która strąca samolot z nieba; to ona była pilotem, który wpada w panikę podczas podejścia do lądowania w straszliwej śnieżycy.

Zapewne znaleźli już jej szminkę w apartamencie Alexa. Albo ten balsam do ust. Znaleźli je tam, gdzie sama je zostawiła, albo w miejscu, gdzie wypadły jej z torebki. Leżały obok lustra w sypialni, albo w łazience, albo na dywanie w pobliżu fotela, na który rzuciła swoje rzeczy. Mieli już niepodważalny dowód, że była z Alexem w noc jego śmierci.

– No więc? – naciskał Hammond.

Ani intensywnie się w nią wpatrywała, dając jasno do zrozumienia, że czas ponownie skorzystać z poprawki.

Cassie jednak jeszcze raz uważnie przyjrzała się zdjęciom leżącym na stole, delektując się tymi ostatnimi sekundami, zanim samolot uderzy o ziemię, nie wiedząc, czy efektem jej następnych słów będzie udane lądowanie awaryjne czy też maszyna rozpadnie się na kawałki i eksploduje. Zaczerpnęła powietrza, wolno je wypuściła i powiedziała:

– Tak, oczywiście, to ja. Alex i ja poznaliśmy się w samolocie, zjedliśmy razem kolację w Dubaju, a potem poszliśmy do jego hotelu. Kochaliśmy się w sypialni i w łazience, pod prysznicem. A rano, kiedy wychodziłam, on jak najbardziej żył i miał się dobrze. Możecie mi wierzyć. Kiedy się żegnaliśmy, pocałował mnie w czoło, a potem powiedział, że sam też zaraz wstanie. Ale przysięgam na własne życie: kiedy opuszczałam hotel, Alex był absolutnie cały i zdrowy.

FEDERALNE BIURO ŚLEDcze

Formularz FD-302 – Skrót: CASSANDRA BOWDEN, STEWARDESA

DATA: 3 sierpnia 2018

Choć BOWDEN w czasie przesłuchania wielokrotnie powołała się na piątą poprawkę, m.in. kiedy została zapytana, czy SOKOLOV podał jej nazwę swojego hotelu w Dubaju, po pokazaniu jej obu zdjęć z hotelowych kamer przyznała, że to ona jest widoczną na nich kobietą.

Zeznała, że ona i SOKOLOV zjedli razem kolację w restauracji LA PETITE FERME, skąd udali się do jego pokoju w hotelu ROYAL PHOENICIAN. Tam za obopólną zgodą odbyli

dwukrotnie stosunek seksualny, a następnie poszli spać. BOWDEN powiedziała, że kiedy wychodziła z jego pokoju rankiem 27 lipca, SOKOLOV żył. Obudził się i pocałował ją na pożegnanie.

Potwierdziła, że opuściła hotel około 10.45 rano. Według niej SOKOLOV miał tego dnia zaplanowane spotkanie dopiero w porze lunchu, dlatego zaproponował jej, żeby wzięła prysznic i się ubrała, podczas gdy on będzie się jeszcze kilka minut „wylegiwał” w łóżku. Nawet zażartował, mówiąc: „W końcu to ty się spieszysz na samolot, a nie ja”.

BOWDEN zeznała też, że poprzedniego wieczoru do apartamentu SOKOLOVA przysłała kobieta, mniej więcej trzydziestoletnia. SOKOLOV powiedział, że nazywa się MIRANDA (NAZWISKO NIEZNANE). Wyglądała na Amerykankę. Miała brązowe oczy, kasztanowe włosy i była średniego wzrostu jak na kobietę. Nie nosiła okularów. Ubrana była w szerokie czarne spodnie i czerwono-czarną tunikę. Kobieta przyniosła ze sobą butelkę wódki i cała trójka zaczęła ją pić.

BOWDEN miała poczucie, że MIRANDA jest w jakiś sposób związana z firmą UNISPHERE ASSET MANAGEMENT. Założyła, że jest albo pracownikiem, albo inwestorem. (BOWDEN utrzymuje, że poszła do siedziby UNISPHERE drugiego sierpnia w nadziei, że uda się jej dowiedzieć czegoś więcej na temat tej kobiety albo samego SOKOLOVA). Jej zdaniem MIRANDA mogła mieć także coś wspólnego z rynkiem nieruchomości w Dubaju. Odniosła wrażenie, że MIRANDA zamierza następnego dnia uczestniczyć w tym samym spotkaniu (lub spotkaniach) co SOKOLOV.

Nie wydaje się jej, żeby SOKOLOV i MIRANDA byli przyjaciółmi lub znali się od dawna. Możliwe nawet, że tego wieczoru widzieli się po raz pierwszy.

BOWDEN twierdzi, że MIRANDA była w apartamencie mniej niż godzinę, ale przyznaje, że nie może być tego pewna, ponieważ była już wtedy nietrzeźwa. Pamięta, że rozmawiali trochę o pracy stewardesy (SOKOLOV i MIRANDA byli tym tematem

zainteresowani), ale nie o ich własnej pracy. BOWDEN miała trudności z przypomnieniem sobie szczegółów rozmowy, ponieważ tamtego wieczoru przez cały czas piła.

=====

KONTYNUACJA: Biuro Dyrektora Wywiadu Narodowego (ODNI) poinformowało nas, że na komputerze Alexa Sokolova znaleziono dokumenty dotyczące siedmiu rosyjskich inwestorów funduszu Unisphere Stalwarts, którzy figurują na liście OFAC, w tym Viktora Olenina. Z rejestru wypłat i przelewów wynika, że Sokolov mógł wykraść z funduszu środki przekraczające dwa miliony dolarów.

ODNI znalazło także dwa e-maile do rosyjskich funkcjonariuszy, których podejrzewamy o związki z syryjskim programem broni chemicznej (jeden z nich należy prawdopodobnie do KOZAKÓW), ale ich treść stanowiły rutynowe komunikaty biznesowe na temat dochodów funduszu. W listach nie było wzmianek o sarinie, VX czy związkach przechowywanych w bazie wojskowej Blue Grass w Kentucky ani żadnych odniesień do broni chemicznej.

Nie było odniesień do projektów drona odrzutowego ani drona z urządzeniami maskującymi.

Znaleziono natomiast pendrive'a z informacjami, które mogły pochodzić z Ośrodka Chemicznego i Biologicznego w Edgewood (choć nie można na razie wykluczyć, że ich źródłem był ktoś w bazie Blue Grass).

Wreszcie na komputerze nie było żadnych e-maili, dokumentów ani jakichkolwiek innych odniesień do stewardesy.

Rozdział 15

Elena naprawdę nie bała się, że pasażer w toalecie może być terrorystą. Był sikhem w pomarańczowym turbanie, dobijał już chyba siedemdziesiątki. Ale znajdowali się w samolocie amerykańskiego przewoźnika lecącym z Dubaju do Amsterdamu, a brodaty jegomość z turbanem na głowie siedział w łazience już prawie dziesięć minut, więc Amerykanie na pokładzie zaczęli się niepokoić. „Uspokoję się dopiero, kiedy ten facet stamtąd wyjdzie” – usłyszała głos jednej z kobiet. Jakiś mężczyzna powiedział żartem do swojego sąsiada: „Wiem, że to kawał drogi, ale teraz, kiedy jesteśmy na wysokości dziesięciu tysięcy metrów, chyba żałuję, że nie wynająłem samochodu”. Nawet stewardzi obsługujący kabinę, dwaj całkiem postawni faceci w średnim wieku, którzy wyraźnie znali się na swoim fachu, zaczęli się dyskretnie naradzać między sobą. Elena siedziała na samym przedzie, zaraz za przepierzeniem, czyli na najlepszym możliwym miejscu w klasie turystycznej, więc widziała i słyszała, jak pasażerowie klasy biznesowej proszą członków obsługi, żeby ci coś zrobili, ale starając się ostrożnie dobierać słowa, tak by zakamuflować swój rasizm i paranoję.

– Na pewno by wyszedł, gdyby wiedział, że naraża innych na niedogodności – powiedziała jakaś matka, z dziesięć lat starsza od Eleny, siedząca obok swojego siedmio- czy ośmioletniego syna.

– To na pewno ta bliskowschodnia kuchnia – zasugerował dżentelmen po drugiej stronie przejścia. Z tego, jak wyciągnął rękę i poklepał kobietę po ramieniu, Elena wywnioskowała, że musi być jej mężem.

Nawet mężczyzna, w którym mimo swobodnego stroju Elena bez trudu rozpoznała podniebego szeryfa, był już na tyle zaaferowany, że rozpiął pas i wychylał się z siedzenia, bacznie obserwując sytuację, gotowy wesprzeć personel, gdyby tylko okazało się to konieczne.

Ale Elena wiedziała, że wszyscy niepotrzebnie się denerwują. Siedemdziesięcioletni sikhowie nie są terrorystami.

W końcu, kiedy pod drzwiami do łazienki ustawiła się już pięcioosobowa kolejka, jeden ze stewardów zapukał do drzwi i zapytał mężczyznę w środku, czy nic mu nie jest. Ponieważ nie otrzymał od razu odpowiedzi, znad foteli klasy biznesowej, szerszych i wygodniejszych niż tutaj, zaczęło się unosić coraz więcej głów zaniepokojonych pasażerów. Niektórzy zapewne wyobrażali sobie już eksplozję, która rozerwie kadłub, skazując ich na tragiczną śmierć gdzieś nad Węgrami czy Rumunią. Steward zaczął pukać z nieco większą determinacją, ale jego głos nadal brzmiał spokojnie. Przede wszystkim nie chciał niepotrzebnie podsycać atmosfery.

Elena zastanawiała się, jak by na to zareagowała Cassandra Bowden. Czy ona kiedyś znalazła się w podobnej sytuacji? Na pewno. Instynkt walki i ucieczki u tej kobiety był albo niezwykle wyostrzony, albo mocno wypaczony. Gdyby Elena miała zgadywać, obstawiałaby to drugie. Jak zepsuta busola. Uszkodzony żyroskop.

W tym momencie sikh wyszedł z toalety. Wydawał się nieco zirytowany tym poważnym naruszeniem jego przestrzeni osobistej. Podniebny szeryf odprężył się i usiadł normalnie, natomiast jeden ze stewardów oznajmił obserwującym wszystko pasażerom pierwszej klasy: „Pan miał problemy żołądkowe”. Sikh obrzucił go gniewnym spojrzeniem i wrócił na swoje miejsce.

Elena przypomniała sobie, co Viktor powiedział o Cassandrze Bowden: „Pije bez opamiętania i ma skłonności autodestrukcyjne”. Kiedy jej ojciec ćwierć wieku temu utworzył oddział Kozaków, wybierając najbardziej patriotycznych (czytaj: na wskroś rosyjskich) oficerów, których znał z KGB, Viktor miał mniej więcej tyle samo lat, co ona teraz. Ikoniczną moc kozackiej kultury dostrzegł Jelcyn i to on jako pierwszy zezwolił na rehabilitację tych zaciekłych wrogów partii bolszewickiej z początków rewolucji. Dziś Kozacy stanowili jedno z najgroźniejszych ramion FSB, służby będącej spadkobiercą KGB. Często współpracowali z rosyjskim wywiadem wojskowym, GRU, tak jak w przypadku tego projektu. I tak, należeli też do najbardziej skorumpowanych funkcjonariuszy w kraju. Elena to wiedziała, jej ojciec to wiedział, i najwyraźniej Amerykanie też to wiedzieli. Kozacy byli bezwzględni i bardzo bogaci.

Viktor był cwany, więc najprawdopodobniej wycofał już wszystkie swoje pieniądze z funduszu Sokolova. Wszyscy to zrobili. Środki zniknęły, pewnie jeszcze zanim Elena została wysłana do pokoju 511 w hotelu Royal Phoenician. Śledczy będą próbowali podążać tropem finansowym, ale prędzej czy później

dojdą do ściany, którą okaże się nieprzenikniona rafa koralowa gdzieś na Karaibach. Może uda im się znaleźć pieniądze Sokolova – Elena zostawiła im wystarczająco dużo wskazówek na jego komputerze. Ale nie pieniądze Viktora.

Elena dobrze się orientowała, co się z nią stanie, jeśli nie zabije stewardesy. Viktor nie owijał w bawełnę. Ale wiedziała, że nawet gdy rozwiąże ten problem, i tak może nie uniknąć przykrych konsekwencji. Wszystko zależało od tego, co Sokolov powiedział Bowden (o ile w ogóle jej coś mówił) i jak dużo ona z tego zapamiętała. I czy teraz rozpowiada to innym.

Ale Elena nigdy nie zapomniała, w jaki wpadła szal, kiedy w końcu zrozumiała, co Kozacy zrobili jej ojcu. Jodek metylu. A przez tak wiele lat myślała, że to był udar.

Próbowała dokładnie przeanalizować, jak dużo sama jeszcze nie wie. Było tego sporo. Przypomniała się jej drewniana matrioszka, którą miała w dzieciństwie. Lalka stała na jej komodzie, najpierw w Moskwie, potem w Soczi, i przedstawiała uśmiechniętą wieśniaczkę w kolorowym sarafanie. Gdy zdjęło się górną połowę, ze środka wyłaniała się mniejsza lalka, a z niej trzecia, jeszcze mniejsza. Jej matrioszka składała się w sumie z czterech figurek i tylko najmniejsza nie była pusta w środku.

Elena westchnęła. Viktor na pewno ma kogoś w Ameryce, kto będzie patrzył jej na ręce. Była o tym przekonana.

Spojrzała na dołączany do każdego siedzenia magazyn, który położyła sobie na kolanach. Jej wzrok padł na fotografię Sylvii Plath i nagle przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Śmierć Bowden nie powinna wyglądać na wypadek, tylko na samobójstwo. W ten sposób wszyscy zainteresowani, po obu stronach Atlantyku, będą mogli z łatwością wyprzeć się wszelkiego związku z tą sprawą. Wystarczy zaczekać, aż prasa i kanały informacyjne rzucą się na stewardesę, przedstawiając ją jako pijaczkę i morderczynię, która nie zostanie jednak (przynajmniej nie od razu) poddana ekstradycji, aby stanąć przed sądem za swoje zbrodnie.

I wtedy, zniesławiona i zhańbiona, Cassandra Bowden postanowi ze sobą skończyć.

Część trzecia

ZACHOWUJ SIĘ
JAK OSOBA DOROSŁA

Rozdział 16

Ani powstrzymała się z reprimendą aż do chwili, gdy wyszły z budynku Federal Plaza i ruszyły na zachód, w stronę Chuch Street, żeby złapać tam taksówkę.

– Jaki ty masz plan, Cassie? Zależy ci, żeby pójść do więzienia, tutaj albo w Dubaju? Co ty sobie, na Boga, myślałaś? – Prawniczka szła tak szybko, że Cassie musiała niemal biec, żeby nie zostać z tyłu, a była na wysokich obcasach.

– Wydawało mi się, że tak będzie... łatwiej – wydusiła. – Możemy gdzieś się napić i o tym porozmawiać?

– Porozmawiamy w moim biurze. Nie w taksówce.

– Naprawdę muszę się napić.

– Przede wszystkim musisz zacząć myśleć. Teraz już prawie nie ma znaczenia, czy jesteś niewinna. Wszystko, co zrobiłaś, sugeruje twoją winę. Uciekłaś z miejsca zdarzenia. Nikomu nie powiedziałaś, że byłaś w tym pokoju. Przemilczałaś fakty zaraz po powrocie...

– Nie do końca. Nikt mnie o nic nie pytał.

– W porządku. Ale przed chwilą naprawdę skłamałaś.

– Wiem. Rozumiem. Po prostu...

Ani zatrzymała się i odwróciła do niej. Oczy miała szeroko otwarte ze wściekłości.

– Po prostu co? – zapytała oskarżycielskim tonem.

– Na tych zdjęciach przecież wyraźnie widać, że to ja. Poza tym oni pewnie już dawno znaleźli moją szminkę. Ale teraz to i tak nieważne, bo przyznałam się, że tam byłam.

– I co z tego? Od tego właśnie jest piąta poprawka. Wcale nie widać, że to na pewno ty. To możesz być ty. Różnica jest ogromna. A twoja cholerna szminka może być wszędzie. Czy ty wiesz, co się teraz stanie?

Cassie bez słowa pokręciła głową.

– Potwierdzą szacowany czas zgonu u koronera w Dubaju. Nie będą wiedzieli dokładnie, kiedy nastąpił zgon, ale jeśli tylko wykażą, że on umarł wcześniej niż o dziesiątej czterdzieści pięć rano, to masz przesrane. Przepraszam za łacinę, ale masz przesrane.

Przez chwilę stały w milczeniu, a Cassie bała się, że zaraz zwymiotuje tu, na środku ulicy. Wbiła wzrok w chodnik i zrobiła kilka wolnych, głębokich wdechów, żeby się uspokoić. Może dokonała tego aktu sabotażu, ponieważ gdzieś w głębi duszy czuła, że jednak to ona go zabiła, i powinna ją spotkać za to kara. Podświadomie domagała się sprawiedliwości. Po drugiej stronie ulicy zobaczyła bar z wiszącym nad drzwiami neonem przedstawiającym czterolistną koniczynę.

– Proszę – powiedziała drżącym głosem, wskazując na knajpę. – Muszę się napić. Naprawdę muszę.

Chwilę później cichym, ale pełnym napięcia głosem, w którym przebijały gniew i frustracja, jedynie w minimalnym stopniu stonowane przez wypijany dużymi łykami gin z tonikiem, Ani zaczęła tłumaczyć Cassie, co jej zdaniem będzie się działo dalej. Na Półwyspie Arabskim dochodziła teraz północ, a wszystko opierało się na dokładnie trzech osobach i na tym, ile czasu musi minąć, zanim uda im się ze sobą skontaktować. Byli to: przedstawiciel FBI w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, jego kontakt z policji dubajskiej oraz koroner tego potężnego nadmorskiego miasta. W zeszłym tygodniu, mówiła Ani, po znalezieniu ciała Alexa Sokolova, odbyła się sekcja zwłok. Koroner – mowa o Dubaju, więc najprawdopodobniej był to mężczyzna – zmierzył temperaturę ciała, sprawdził stopień stężenia pośmiertnego oraz zajrzał do żołądka, żeby zobaczyć, jak dużo zostało w nim cieleciny zjedzonej przez Alexa na kolację.

– Nie znam się za dobrze na entomologii sądowej, ale wyobrażam sobie, że mogli zbadać także robaki, które zaczęły zjadać zwłoki. Pewnie nie znaleźli na nim jeszcze żuków i na sto procent było za wcześnie na czerwie, ale mogły już go obsiąść muchy domowe – kontynuowała Ani. – W każdym razie koroner na podstawie tych wszystkich czynników ustalił przybliżony czas zgonu.

Cassie zaraz na wejściu wychyliła kieliszek tequili i z ulgą powitała ciepło rozchodzące się po ciele. To była całkiem dobra tequila. Gładka w smaku. Dzięki niej odrobinę się uspokoiła. Przypomniała sobie Buckleya i tańczenie boso w barze East Village. W ogóle cały tamten wieczór z upływem czasu wspominała coraz cieplej. Teraz finiszowała już margaritę, którą zamówiła od razu po szocie tequili.

– Mówisz, że przybliżony czas zgonu, to znaczy, że jest jakieś okno. Ile ono trwa? Godzinę, trzy, może pięć? – Cassie obróciła się na stołku barowym, żeby siedzieć twarzą do Ani. Czasami naprawdę lubiła takie knajpy, mające więcej wspólnego z tanimi spelunami – ciemne panele na ścianach i mało światła – niż z takimi miejscami jak Bemelmans w hotelu Carlyle.

Na końcu baru siedziało dwóch starszych mężczyzn w ponurych brązowych garniturach i to byli oprócz nich jedyni klienci, którzy postanowili o tej porze wstąpić do środka.

– Pewnie coś koło dwóch czy trzech godzin – odparła Ani. – Ale ja naprawdę się na tym nie znam. Może więcej, może mniej.

– Ciało zostało znalezione późnym popołudniem, prawda?

– Tak.

Cassie zaświtała w głowie myśl, która jednak nie była w stanie w pełni się skryształizować. Stwierdziła, że może zdoła ją ubrać w słowa, jeśli zacznie po prostu myśleć na głos.

– Powiedzmy więc, że znaleźli go o siedemnastej. Ty i ja wiemy, że zabito go, zanim się obudziłam, a to było około dziewiątej czterdzieści pięć. Jeśli mamy trzygodzinne okno, to musimy mieć nadzieję, że Alex został zabity jakąś godzinę przed tym, jak otworzyłam oczy.

– Nie obiecuj sobie za dużo. O ósmej czterdzieści pięć na korytarzach kręcili się już ludzie. Obsługa. Goście schodzący na śniadanie. Ludzie, którzy się właśnie zameldowali. Kto przyszedłby popełnić morderstwo w hotelu o takiej porze, że musiałby się przeciskać pomiędzy gośćmi i pokojówkami?

– Kiedy około dziesiątej czterdzieści pięć wyszłam z pokoju, nie widziałam nikogo. A nawet jeśli wcześniej po korytarzu ktoś chodził, czy to nie działa właśnie na moją korzyść? Skoro ludzie kręcili się w tę i z powrotem, to może ten, kto to zrobił, liczył na to, że łatwo ukryje się w tłumie?

Ani skrzyżowała ręce na piersi.

– Powiedziałam, że na korytarzu byli ludzie, ale nie mówiłam nic o tłumach. Szczerzę wątpię, żeby na piątym piętrze Royal Phoenician kiedykolwiek był ruch jak na Penn Station.

– Mimo to potrzebujemy jedynie, żeby okno czasowe pasowało do naszej wersji wydarzeń.

– To musiałyby być naprawdę wielkie okno, Cassie. Takie na całą ścianę.

Cassie pokiwała głową z nadzieją.

– I teraz zaczną szukać Mirandy, prawda?

– Tak. Będą jej szukać.

Cassie nie podobał się sposób, w jaki Ani wypowiedziała te słowa.

– Czyżbyś chciała dodać „ale”?

– Tak. Wiemy już, że nie ma żadnej Mirandy, która pracowała z Sokolovem. Nie ma żadnej Mirandy w Unisphere Asset Management.

– No i?

– Co, jeśli w ogóle nie istnieje żadna Miranda?

– Słuchaj, nie wymyśliłam jej sobie. Przyznaję, Alex ledwo ją znał, jeśli w ogóle. Już ci mówiłam, może to tylko znajoma albo krewna jakiegoś inwestora.

Barman rzucił na nie okiem, a Ani lekko się usztywniła. Cassie zrozumiała, że powinna trochę zniżyć głos.

– Jeszcze jedna kolejka? – zapytał.

– Nie, dziękujemy – odparła Ani, ku wielkiemu rozczarowaniu Cassie. Prawniczka następnie zrobiła głęboki wdech i powiedziała do niej: – Za dużo pijesz. Tracisz przytomność. Potem nic nie pamiętasz. I, jak sama przyznałaś, kłamiesz. Kłamiesz cały czas.

Te bolesne, ale szczerze słowa zawisły między nimi.

– Myślałam, że mi wierzysz – wymamrotała Cassie. Brzmieniem głosu przypominała skrzywdzone dziecko, sama to słyszała. Czuła się zdradzona.

– Ty przecież sama sobie nie wierzysz – odparła cicho Ani.

– Czasami! – odcięła się Cassie. – Najczęściej jestem absolutnie pewna tego, co mówię. Nie zabiłam go.

– Dobrze. Dobrze, jeśli dzięki temu poczujesz się lepiej, ja też nie uważam, że go zabiłaś. Czy to nam w jakiś sposób pomaga, cokolwiek zmienia? Ani trochę.

Musimy mieć nadzieję, że w apartamencie znajdą się dowody na istnienie tej Mirandy.

– Na pewno. Przecież musi tam być jej DNA.

– To pokój w hotelu. Są tam ślady DNA setek, może tysięcy gości.

– Oczywiście – przyznała, ale zaraz przyszło jej do głowy coś innego. – Jej DNA może być na kieliszku, z którego piła. I odciski palców też. Wszystkie kieliszki wytarłam przed wyjściem, ale kto wie, czy zrobiłam to jak trzeba. Byłam na granicy paniki.

– Pomijając fakt, że wycieranie po sobie kieliszków cholernie sugeruje czyjaś winę, jak mają porównać próbki DNA z kimś, kogo nie da się znaleźć? Jak mają porównać odciski palców? Nie ma czegoś takiego jak baza danych DNA i linii papilarnych wszystkich osób, które przedstawiają się imieniem Miranda.

– Rozumiem...

– Naprawdę nie wiem, co sobie myślałaś, kiedy postanowiłaś ot tak wyznać FBI, że spałaś z tym facetem i spędziłaś noc w jego pokoju. Po prostu... nie mogę w to uwierzyć.

– Albo w ogóle nie myślałam, albo myślałam, że już i tak wiedzą z tych zdjęć, że spędziłam noc z Alexem i gdzieś w tym pokoju znajdą moje DNA albo odciski palców, albo moją głupią szminkę. Coś na pewno.

– Cały czas wychodzisz z założenia, że pozwolimy im pobrać ci wymaz z policzka, żeby mogli zdobyć próbkę twojego DNA. Albo zdjęć ci odciski palców. Nadal będę się starała jak najdłużej do tego nie dopuścić, ale bardzo utrudniłaś mi pracę.

– Przepraszam. Naprawdę.

Ani zamyśliła się na moment.

– W dzień, kiedy się poznałyśmy, miałaś rany na rękach. Powiedziałaś, że zacięłaś się rozbitym szkłem. Czy to prawda?

– Tak. Co ty sugerujesz? Myślisz, że próbowałam się zabić?

– Nie, oczywiście, że nie. Miałaś rany na dłoniach, nie na nadgarstkach. Myślałam bardziej o ranach wskazujących na obronę przed napastnikiem. Może z kimś walczyłaś, próbowałaś się zasłaniać przed nożem albo tą rozbitą butelką. Powiedz mi szczerze: czy Sokolov cię zaatakował tamtej nocy? Może, wybacz, ale

muszę zapytać, to był element jakiejś perwersyjnej seksualnej gierki, która wymknęła się spod kontroli?

– Nie zaatakował mnie, Ani, przynajmniej z tego, co pamiętam. Zresztą to do niego niepodobne. On był...

– Tak?

– Był bardzo dobry w łóżku. Kochaliśmy się pierwszy raz, a on był naprawdę delikatny. A te skaleczenia? Zobaczyłam w Internecie artykuł z tymi dwoma zdjęciami z hotelu i wypuściłam z ręki kieliszek z winem. To się stało u mnie w łazience, wieczorem w przeddzień naszego spotkania.

– Pijesz nawet w łazience?

– Wzięłam ze sobą do wanny kieliszek wina – wyjaśniła Cassie. – Zdarza mi się robić gorsze rzeczy.

– No dobrze, więc te rany nie miały nic wspólnego z żadnym atakiem – powiedziała Ani. – Zrozumiałam. Opowiadałaś mi o szyi Sokolova. A czy miał jakieś rany na rękach albo ramionach? Mogące świadczyć o tym, że próbował bronić się przed rozbitą butelką?

– Którą ja go zaatakowałam?

– Albo ktoś inny.

– Wszędzie była krew, ale nie wydaje mi się.

– Na pewno nie widziałaś żadnych śladów walki?

– Gdyby jakieś były, to chyba bym zapamiętała.

Prawniczka w odpowiedzi tylko uniosła brew.

– Nie – powiedziała Cassie. – Masz rację. I tak bym nie pamiętała. Ale wydaje mi się, że nie było śladów walki. Nie widziałam żadnych ran na jego rękach. To dobrze czy źle?

– Niezbyt dobrze. Szkoda, że nie pomyślałam w poniedziałek rano, żeby sfotografować ci ręce. To moja wina. Jeśli uznają, że go zabiłaś, lepiej byłoby móc twierdzić, że wywiązała się szamotanina, a ty desperacko się broniłaś.

Cassie spojrzała na swoje ręce. Dziś nawet nie przykleiła nowych plastrów. Skaleczenia wyglądały już bardzo niepozornie.

– Na to chyba za późno.

Ani mimo wszystko wyjęła telefon i zrobiła kilka zdjęć, układając dłonie Cassie na tle białej papierowej podkładki na barze.

– Pewnie te fotki do niczego się nie przydadzą, bo rany mają już pięć dni i używam aparatu w telefonie, ale czemu nie? – stwierdziła prawniczka. – Zanim w piątkowe popołudnie w sierpniu znajdziemy fotografa, już całkiem ci się to zagoi.

– Pod jakimś względem to dobrze, że Alex nie miał żadnych ran wskazujących na walkę – powiedziała Cassie.

– Jak to?

– Może to znaczy, że nie czuł bólu. Cały czas mam nadzieję, że w ogóle się nie obudził.

– To urocze. Ale w niczym nam nie pomaga.

– Wiem.

– Przypomnij mi, o której straciłaś przytomność?

– To był urwany film. Wydaje mi się, że potem ciągle jeszcze byłam na chodzie. W jakimś sensie dalej funkcjonowałam. Szkoda, że po prostu nie padłam.

– Dobrze. Jaka jest ostatnia rzecz, którą pamiętasz?

Cassie zakryła twarz rękami i intensywnie myślała. Palce miała wilgotne od spotniałego kieliszka. W końcu podniosła wzrok i powiedziała:

– Kolejność była taka: przyszła Miranda, ja jestem ubrana i pijemy. Jesteśmy w salonie. Ona mówi, że zaraz idzie, a ja zamierzam wyjść razem z nią.

– Ale nie wyszłaś z nią, prawda? – przerwała jej Ani. – Nadal tam byłeś, kiedy Alex rozbił butelkę wódki.

– Zgadza się. Przekonał mnie, żebym została, co nie było takie trudne. Jeszcze trochę wypiliśmy i znowu się kochaliśmy, tym razem w sypialni. Ale potem się ubrałam.

– Jesteś pewna?

– Nie na sto procent, ale prawie pewna. Naprawdę zamierzałam wrócić do swojego hotelu. Miranda wyszła i ja też miałam wyjść.

– Pamiętasz, o której Miranda się pożegnała? Może dałoby się ją znaleźć na nagraniach z kamery?

– O jedenastej? Wpół do dwunastej? O północy?

– To już coś. A o której ty zamierzałaś wyjść?

Cassie wzruszyła ramionami.

– O wpół do pierwszej, może o pierwszej? Myślę, że jakąś godzinę później.

– Dobrze.

– Ale o tej porze nikt mnie nie widział, a przynajmniej nie opublikowano żadnych zdjęć pokazujących, jak wychodzę w środku nocy. To by znaczyło, że wyszłam dopiero rano.

– Albo wyszłaś z pokoju, ale nie dotarłaś na dół.

– Rzeczywiście – zgodziła się, a w jej głowie zaczęła kiełkować myśl, z początku błada i nieostra. Próbowwała ją ukierunkować, nadać jej kształt: wyobrazić sobie, dokąd jeszcze mogła wtedy się udać. Skoncentrowała się na korytarzu. Widziała w życiu tyle hoteli, ale niewiele tak eleganckich jak Royal Phoenician. Pamiętała długie, niekończące się korytarze, piękne orientalne dywany i czarno-złote drzwi do windy – pod które nie było tak łatwo trafić. Wzdłuż ścian wisiały kinkiety, jednocześnie futurystyczne i przywodzące na myśl czasy Aladyna, jakby dżin z lampy był w rzeczywistości Marsjaninem, a kunsztowne drzwi do pokoiw zdobiły tradycyjne mauretańskie wzory. W narożnych wnękach, przy oknach i wejściach do windy stały otomany obite dekoracyjną niebiesko-złotą tapicerką. Cassie zatrzymała się obok jednej z nich, kiedy po raz pierwszy wysiadła na piętrze Alexa z kluczem, który dał jej przy kolacji, i przez chwilę podziwiała rozciągający się z okna widok. Nie, to było chyba za jego pokojem. Specjalnie doszła do końca korytarza, żeby stamtąd popatrzeć z okna na miasto.

– Czasami kiedy wychodzę z pokoju hotelowego, skręcam w złą stronę, nawet jak jestem trzeźwa – powiedziała Cassie. – Bywam w tak wielu hotelach. Wszyscy się w ten sposób mylimy, i piloci, i ludzie z obsługi. Na przykład w Berlinie winda znajduje się na lewo i za rogiem, ale w Stambule idzie się w prawo i cały czas przed siebie. To się nam bardzo często zdarza.

– I co z tego wynika?

– Nie wiem. Może ci się to wydać żalodne, ale mam takie mgliste poczucie, że po wyjściu z jego pokoju spanikowałam na korytarzu.

– Bo ktoś cię śledził? – zapytała Ani, wyraźnie nieco zdziwiona.

– Nie. Dlatego, że się zgubiłam. Był środek nocy i nie mogłam znaleźć windy, a potem nie mogłam znaleźć jego pokoju. Nawet nie pamiętałam numeru. Teraz

oczywiście numer pięćset jedenaście wrył mi się już głęboko w pamięć, ale wtedy wyleciał mi z głowy. Pomyśl, ile numerów na drzwiach widzę w ciągu miesiąca. W każdym razie nie wiedziałam, co robić. Wydaje mi się...

– Mów dalej.

– Wydaje mi się, że usiadłam na otomanie w rogu korytarza. Chyba przy oknie z widokiem na miasto.

– Mirandy już wtedy nie było – upewniła się Ani.

– Tak, to było już po jej wyjściu. No więc siedziałam sama na korytarzu. Ale byłam pijana, strasznie pijana. Może się poddałam, bo nie mogłam trafić do wyjścia. Może po prostu tam siedziałam i próbowałam zdecydować, co dalej. A może tam wreszcie straciłam przytomność. Chodzi mi o to, że nie dotarłam do holu. Zgubiłam się na korytarzu i zdrzemnęłam się na kanapie. Nie wiem, ile spałam, pewnie z pół godziny albo godzinę. Może więcej, może mniej. Ale na pewno się ocknęłam, zanim ktokolwiek z ochrony czy obsługi pojawił się na tym korytarzu.

– I wtedy udało ci się trafić z powrotem do jego pokoju?

– Właśnie. Miałam klucz. Może po tej drzemce łatwiej było mi się skupić? Albo wytrzeźwiałam na tyle, że przypominałam sobie numer pokoju?

– To wcale nie musiało trwać długo. Myślę, że nawet dziesięć minut twojej nieobecności wystarczyłoby, żeby ktoś wszedł do środka i go zabił.

– Bardzo możliwe. Na pewno nie było mnie co najmniej dziesięć minut. Te kanapy i otomany wyglądały na naprawdę strasznie wygodne.

– A kiedy wróciłaś, w apartamencie było ciemno?

– Tak, przynajmniej w sypialni – odparła. – Może paliło się światło w salonie. – Cassie musiała wierzyć, że nawet ona nie mogłaby być aż tak pijana, że świadomie położyłaby się w łóżku obok trupa. Cała ta hipoteza zaczynała jednak powoli nabierać w jej głowie sensu.

– Boże, Cassie. A jeśli Alex został zabity o pierwszej albo drugiej w nocy? Po to właśnie miałaś skorzystać z piątej poprawki. – Znowu się odezwała frustracja Ani. Prawniczka przerwała, żeby wziąć ostatni, duży łyk swojego drinka. – Żałuję, że nie wiem więcej o tym, jak precyzyjnie można ustalić czas zgonu podczas sekcji zwłok.

– Nie cieszysz się, że powiedziałam im o Mirandzie? Teraz przynajmniej oprócz mnie mają jeszcze jednego podejrzanego.

Prawniczka popatrzyła na nią, ale się nie odezwała.

– Posłuchaj, przepraszam – powiedziała Cassie. – Naprawdę przepraszam. Jestem... czasami jestem trochę dziwna.

– Bardziej pasowałoby określenie „nieodpowiedzialna”. Albo „niepoczytalna”.

– Będziemy wiedzieć, co dalej, zanim polecę do Rzymu?

Ani położyła obie ręce na jej kolanach.

– Cassie, musisz liczyć się z tym, że kiedy zobaczymy się następnym razem, to będzie po twoim aresztowaniu, powiedzmy na przesłuchaniu w sprawie ustalenia kaucji. I z tym, że zabiorą ci paszport. I że możesz stracić pracę.

Cassie wzięła do ręki pusty kieliszek po margaricie i przejechała językiem po krawędzi, zlizując resztki soli.

– Juro zabieram dzieci siostry do zoo – powiedziała, a jej głos zabrzmiał głucho, jakby miała na uszach słuchawki. Po chwili dodała: – Myślisz, że mnie zwolnią?

– Czy ty w ogóle słuchasz, co do ciebie mówię?

– Tak. – Cassie pokiwała głową.

– Związek stanie w twojej obronie. Mój wujek będzie cię bronił. Zadzwoń do niego dziś wieczorem i powiedz mu, co się teraz dzieje. Ja też z nim porozmawiam. Wątpię, żeby twoja firma mogła cię nagle zwolnić. Obowiązuje domniemanie niewinności i tak dalej. Ale w którymś momencie mogą cię wysłać na urlop. Jest cała osobna gałąź prawa, która się zajmuje ustalaniem, kiedy można zwolnić pracownika za to, co robi poza godzinami pracy, a kiedy nie.

– Rozumiem.

– Nie jestem pewna, czy rozumiesz. Naprawdę.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najdziwniejsze?

– W tej chwili? Po twojej wczorajszej wizycie w Unisphere? I po dzisiejszym występie przed FBI? Cholernie wysoko zawiesiłaś poprzeczkę. Nie wiem, powiedz mi, co jest najdziwniejsze.

– Chodzi mi o to sformułowanie, którego użyłaś. Domniemanie niewinności. Kto wie, do czego jestem zdolna, kiedy zalewam się w trupa, tak że aż zostają mi potem dziury w pamięci. Ale w głębi serca wiem, że nie zabiłam Alexa. Robię po

pijaku różne głupie i nieodpowiedzialne rzeczy. Ale nie... nie coś takiego. Nie podrynam ludziom gardeł. Dlatego jeśli tym razem naprawdę mi się za to dostanie, to będzie w tym jakaś okrutna ironia.

– Cassie?

Czekała. Fala gniewu Ani zdążyła już opaść, a w jej miejscu pozostały tylko smutek i troska.

– Zapewniam cię – powiedziała prawniczka. – Nie zrobiłaś nic na tyle złego, aby zasłużyć sobie na to, co być może teraz cię czeka.

Kassandra, urodzona w Troi córka króla Priama i królowej Hekabe, znała przyszłość, ale najczęściej nikt jej nie wierzył. Apollo ofiarował jej wielki dar widzenia przyszłości, ponieważ był przekonany, że w ten sposób zaciągnie ją do łóżka. Kiedy go jednak odrzuciła, urażony bóg splunął jej w usta, rzucając tym samym klątwę, aby nikt nigdy nie uwierzył w ani jedno jej słowo. Od tej pory Kassandra wiodła życie naznaczone trwogą i frustracją.

Cassandra, urodzona w Kentucky córka ludzi, których żadną miarą nie dałoby się pomylić z rodziną królewską, rozmyślała nad niedowierzaniem, które ona także wzbudzała, oraz nad poczuciem zagrożenia towarzyszącym jej teraz na każdym kroku. Prawda o tym, co zrobiła (i czego nie zrobiła), stała się w jej umyśle niepodważalnym faktem, ale miała poważne wątpliwości, czy agenci FBI uwierzyliby jej, gdyby przedstawiła im autentyczną i chronologiczną relację z tamtych wydarzeń: powiedziała Alexowi Sokolowowi dobranoc i wyszła z przypominającego pałac apartamentu nr 511 gdzieś w okolicach wpół do pierwszej albo pierwszej w nocy, a następnie błąkała się po korytarzach w poszukiwaniu windy. Alex bezsprzecznie jeszcze wtedy żył. W końcu nie udało się jej dotrzeć do windy, bo po prostu jej nie znalazła. Dlatego w którymś momencie zwała się, jak wulgarna, pijana szmaciana lalka, na ozdobną otomanę i zasnęła. Kiedy się zbudziła, również nie trafiła do windy, albo dlatego, że nadal nie mogła jej znaleźć, albo dlatego, że już zdążyła zapomnieć, po co w ogóle wyszła na korytarz. Tak czy inaczej, wróciła do apartamentu Alexa i wgramoliła się do jego łóżka. Kompletnie nieświadoma faktu, że on leży obok martwy. Albo umierający.

Nie, rano widziała jego szyję. Wykrwawił się bardzo szybko. Kiedy wróciła, musiał już nie żyć.

I tak przespała resztę nocy obok jego zwłok. W tej samej pościeli. Położyła głowę na poduszce tuż obok jego poduszki. Jego krew oblepiła jej włosy.

Była to spektakularna, szokująca kompromitacja, nawet jak na jej standardy upodlenia i żenady. Gdyby nie to, że już i tak piła bez opamiętania, przeraźliwa prawda o tamtej nocy chyba wpędziłaby ją w alkoholizm.

A jednak z jakiegoś powodu, pomimo jej popołudniowych zeznań w biurze FBI, tej nocy nikt nie przyszedł, żeby ją aresztować. Złapały z Ani taksówkę, Cassie wysiadła na 27 Ulicy i kwadrans przed osiemnastą była już w swoim mieszkaniu. Zadzwoiła do Dereka Mayesa, wujka Ani ze związku zawodowego, a on wydawał się zadziwiająco mało zszokowany jej historią – która zaczęła się od trupa w łóżku, a skończyła na jej wyznaniach podczas przesłuchania w FBI. Zapewne wynikało to bardziej z jego niskich oczekiwań wobec jej osoby niż bogatego doświadczenia w pracy ze stewardesami. Obiecał, że porozmawia z Ani i wspólnie się o nią zatroszczą. Pocieszał ją, podkreślał, że nie ma dowodów, że kogokolwiek zabiła, chociaż pozwolił sobie też na mały przytyk, który był bardziej złowieszczy niż śmieszny, kiedy dodał: „Przynajmniej tak brzmi twoja wersja w tym tygodniu”.

A potem, pokrzepiona dość optymistycznym nastawieniem Mayesa i winem Washington State Riesling, które naląła sobie do kieliszka i schłodziła lodem, postanowiła odezwać się do Buckleya – nawet nie napisać SMS-a, tylko od razu zadzwonić. Aktor zaproponował wspólne wyjście na drinka tego wieczoru, zaraz po przedstawieniu jego znajomego w teatrze Barrow, a ponieważ Cassie nie miała w zwyczaju w takich chwilach odmawiać, zgodziła się. Tym razem wybrali bar w West Village, niedaleko teatru.

Następnie opadła ciężko na kanapę i przez chwilę wpatrywała się w Empire State Building. Wyjęła z torebki swojego kieszonkowego Tołstoja i popijając wino, zaczęła czytać, w nadziei że zdoła się zatracić w prozie i na chwilę uciec przed rzeczywistością – a jednocześnie odrobinę pogłębić swój wgląd w osobowość Alexa Sokolova. Ale pogodzenie jednego z drugim było praktycznie niemożliwe: jeśli czytała po to, by dowiedzieć się więcej o człowieku, który zmarł w tym samym

łóżku, w którym się z nim kochała, to nie miała co liczyć na to, że lektura pomoże jej oderwać się od zmartwień i przestać myśleć o niepewnej przyszłości. Zanim wróciła do *Szczęścia rodzinnego*, jeszcze raz spojrzała na fragment o Iwanie Iljiczu, który zapadł jej w pamięć: „Miał na prowincji także stosunek z pewną damą, która się narzuciła eleganckiemu juryście”^[1]. Ale ten związek, jak i wiele innych, nic dla niego nie znaczył – wszystko to „podpadało tylko pod rubrykę francuskiego powiedzenia: *il faut que jeunesse se passe*”. Młodość musi się wyszumieć.

Czytając to, Cassie poczuła się staro. Uświadomiła sobie, że ona także postrzegала Alexa w kategoriach nieszkodliwej przygody na jedną noc.

W końcu zadzwoniła też do siostry, która dotarła już do hotelu w Winchester, i ustaliły szczegóły jutrzejszej wizyty w zoo. Umówiły się na dziesiątą trzydzieści przy fontannie nieopodal basenu uchaterek, zaraz za bramą od strony Fordham Road. Cassie ucieszyła się, że nie zostanie sama z dziećmi. Poczowała wręcz ulgę. To byłoby doprawdy straszne, gdyby przebywała sama z siostrzeńcem i siostrzenicą w chwili, gdy przyjdą ją aresztować.

Buckley wziął ją za rękę, kiedy szli z baru do jego mieszkania. Było dopiero kilka minut po północy, więc w West Village nocne życie dalej trwało w najlepsze, ulicami przechadzały się tłumy ludzi, a w restauracyjnych ogródkach nie dałoby się znaleźć żadnego wolnego miejsca.

– Cały czas zerkałaś na telefon – zauważył Buckley.

Cassie nie powiedziała mu ani słowa o całej sprawie. Albo nie widział tych zdjęć w gazetach, albo nie skojarzył faktów, bo po prostu nie zwrócił na nie większej uwagi.

– Od lat nie byłam w rezerwie, ale firma prosiła, żebym była w gotowości – skłamała.

– Przecież mówiłaś, że w niedzielę lecisz do Rzymu.

– Być może będą mnie jutro potrzebowali na innej trasie. – Wieczór zrobił się chłodny i Cassie żałowała, że włożyła tylko bluzkę bez rękawów. Czuła, jak z zimna dostaje gęsiej skórki na przedramionach.

– Ale nadal wybierasz się jutro do zoo? Szkoda by było, gdybyś straciła spotkanie z uchatkami, i ze swoją rodziną.

– Zobaczymy – powiedziała, a w myślach dodała: „Jeśli nie będę w zoo, to będzie znaczyło, że spotkałam się z prawnikiem i pobierają mi próbkę DNA. To w najlepszym wypadku. A w najgorszym? Zostałam aresztowana za morderstwo”. To wszystko zachowała jednak dla siebie. – Opowiedz mi więcej o tym castingu. I o tym pilocie. Mówiłeś, że to poważny dramat.

– W pewnym sensie, ale w scenariuszu jest też sporo czarnego humoru. Historia opowiada o rodzinie ze Staten Island handlującej narkotykami. Z tego, co wiem, ma być dużo scen kręconych na promie i w nocy, no i mnóstwo strzelania. Chyba będzie z tego szalenie brutalny serial. Ja grałbym jednego z braci, który jest trochę jak Edmund w *Królu Learze*. Młodszy brat, bękart, i do tego straszny drań.

– Myślisz, że masz szansę?

– Tak, ale tylko dlatego, że to niewielka rola. Postać pojawia się regularnie, ale nie jest jednym z czwórki głównych bohaterów. – Nagle Buckley zatrzymał się i pokazał jej wiewiórkę, która trzymała się okna na piętrze jakiegoś domu i zaglądała do środka. – Patrz, mały podglądacz.

Na wiewiórkę patrzył także przycupnięty na chodniku duży pomarańczowy kocur, z tak gęstym futrem, że ledwo dało się zauważyć kawałek obróżki. Wachlował ogonem w tę i z powrotem, zamiatając beton. Cassie pomyślała o swoich kotach w schronisku – bo wciąż uważała je za swoje, przynajmniej dopóki nie znajdą nowego domu – i zmartwiła się, co te biedactwa zrobią bez niej. Oczywiście są też inni wolontariusze, ale kto wie, czy równie poważnie jak ona podchodzą do swoich „obowiązków”, takich jak wielogodzinne szczotkowanie i przemywanie do schroniska smakołyków, zabawek i kocimiętki.

– Kiedy będziesz wiedział? – zapytała.

– Czy dostałem rolę? Myślę, że w przyszłym tygodniu. – Po chwili przerwy dodał: – W scenariuszu jest dużo świetnych scen między rodzeństwem. Takie rzeczy naprawdę do mnie przemawiają. Ja sam mam dość skomplikowane relacje z bratem i siostrą.

– Ja też.

– Jesteście ze sobą blisko?

– Nie bardzo.

– Nie lubiłybyście się, gdybyście nie były rodzeństwem?

– Pewnie nie.

– Nawet po tym, co razem przeszłyście w dzieciństwie?

– Nawet.

Zapytał, czym się zajmują siostra Cassie i jej mąż. Praca jej szwagra wydała mu się dużo bardziej interesująca. Jak wszystkim. Kiedy mówisz ludziom, że twoja siostra jest księgową, nikt nie ma więcej pytań. Ale inżynier w bazie wojskowej, gdzie likwiduje się gazy trujące i paraliżujące? Ludzi zawsze to fascynowało, zwłaszcza facetów.

– Założę się, że rzadko mówi o swojej pracy – stwierdził Buckley.

– Bo to tajemnica wojskowa?

– Bo to naprawdę mroczne klimaty. Broń chemiczna? Szaleństwo. Wszyscy widzieliśmy zdjęcia z Syrii.

– Wydaje mi się, że on odpowiada za ich niszczenie. Albo jest jednym z ludzi, którzy za to odpowiadają. Ale tak, to, co robi, jest objęte tajemnicą.

– Nawet gdyby nie było, to i tak nie jest temat do rodzinnej konwersacji przy świątecznym stole.

– To prawda. – Cassie poczuła nagle dziwną potrzebę obrony swojej rodziny. – On naprawdę nie jest jakimś ponurym typem. Jest całkiem sympatyczny i wyluzowany. Lepiej dogaduję się z nim niż z Rosemary.

– Cóż, ty i Rosemary macie za to wspólną przeszłość.

– O tak, która w większości była dość mroczna – odparła. Zapytała go o jego rodzinę, a on w pierwszej chwili się roześmiał, ale potem zaczął opowiadać, żartować na temat Westport i obyczajów zamożnych białych protestantów, i że Święta Dziękczynienia w jego rodzinnym domu pod względem wystroju i dbałości o szczegóły nie powstydziliby się Martha Stewart.

Oparła się o niego, słuchając opowieści o blezerze z herbem szkoły, który nosił jako mały chłopiec, i o perfekcyjnych choinkach dekorowanych przez jego matkę. Była lekko wstawiona, a w tym stanie lubiła siebie najbardziej, wtedy też najprzychylniej oceniała własną urodę. Przeglądała się dostatecznie często i w dostatecznie wielu lustrach – na imprezach, w samolotach, w swoim mieszkaniu – by wiedzieć, że jej oczy wyglądały nieco bardziej kokieteryjnie, a usta nieco bardziej kusząco właśnie w chwilach, gdy powoli opuszczała smutną krainę trzeźwości. W pracy mężczyźni patrzyli na nią inaczej, zachłanniej, jeśli w trakcie lotu udało się jej ukradkiem wychylić jednego czy dwa drinki. Czowała ich pożądliwe

spojrzenia na swoich biodrach, na tyłku, gdy sunęła wąskim przejściem między siedzeniami.

Zatrzymała się, więc Buckley również stanął. Chciała już przestać myśleć o jego dzieciństwie, o kotach ze schroniska, o lataniu, o alkoholu – o tym wszystkim, co mogła niedługo stracić bezpowrotnie.

Czuła, że nikt jej teraz nie śledzi. Nikt.

Buckley długo się jej przypatrywał.

– O co chodzi? – zapytał.

– O ciebie – odparła. – O to miasto, o te gwiazdy na niebie. – Po czym, z przyczyn, które sama nie do końca pojmowała, złapała go za rękę, przyciągnęła jego palce do ust i zaczęła je całować.

A gdy przyszedł ranek, wyglądało na to, że nadal nikt jej nie szuka. W każdym razie nikt po nią nie przyszedł. W telefonie czekał jedynie krótki SMS od Ani, która pytała, czy ktoś się do niej odzywał. Cassie odpisała, że od wczoraj jest cisza, a potem jeszcze przez chwilę patrzyła na śpiącego obok Buckleya. Przeszło jej przez myśl, że być może widzi go po raz ostatni. Nie miała pojęcia, co przyniosą jej najbliższe godziny i najbliższe dni. Oskarżenia. Upokorzenia. Cierpienia, te prywatne i te publiczne.

Nie budząc go, wygrzebała się spod pościeli i usiadła na krawędzi jego łóżka. Roleta była opuszczona, ale widziała, że za oknem świeci słońce. Zapowiadał się rozkoszny dzień w zoo.

Sprawdziła w telefonie prognozę pogody dla Charlottesville w stanie Wirginia. Tam też miało być ciepło i słonecznie. Piękny dzień na pogrzeb.

Dwie uchatki bez wysiłku wyskoczyły z wody na skałę, ochlapując wodą młodą kobietę z wiaderkiem ryb, jakby były rozbrykanymi labradorami, które właśnie wróciły ze spaceru w deszczu. Opiekunka uśmiechnęła się do nich i rzuciła im po kilka sardynek.

Cassie stała przy poręczy obok Rosemary i jej dzieci, Tima i Jessiki. Dennis, jej szwagier, oddalił się od nich o kilkadziesiąt metrów, żeby robić zdjęcia z takiego kąta, by uchwycić w kadrze zarówno zwierzęta, jak i całą rodzinę. Jessica nie zaczęła jeszcze trzeciej klasy, więc wciąż była dość mała, by śmiać się i piszczeć w reakcji na figle uchatek, ale Tim patrzył na nie z udawaną obojętnością doświadczonego gimnazjalisty. W każdym razie Cassie zakładała, że tylko udaje – jak można nie bawić się dobrze, oglądając harce uchatek w sobotni ranek w sierpniu? Chłopiec jednak wydawał się znacznie bardziej zainteresowany należącym do zoo niewielkim dronem, który krążył nad basenem i filmował, transmitując obraz do położonego niedaleko sklepu z pamiątkami. Cassie wiedziała, że Tim ma w domu własnego drona, pewnie nie mniej zaawansowanego. Facetów zawsze kręca drony, pomyślała. Chyba mają to w genach.

Oboje byli ładnymi dziećmi. Tim niedawno zaczął rosnąć w zastraszającym tempie i stał się bardzo smukły. Miał włosy w tym samym odcieniu rudawego blondu co Cassie. Dziś ubrany był w workowate jeansy i koszulkę Royalsów, tak wyblakła, że materiał wyglądał praktycznie jak denim. Ośmioletnia Jessica ubrała się trochę zbyt elegancko jak na wycieczkę do zoo, ale Rosemary mówiła, że to dziecko zawsze jest przesadnie wystrojone – chociaż była sobota w środku lata, miała na sobie fioletowe buty na koturnie, czarną spódniczkę, która stanowiła część jednego z jej kostiumów podczas pokazu tanecznego w czerwcu, i czerwoną aksamitną bluzkę z szerokim dekoltem i bardzo długimi rękawami. Cassie rozpoznała, że bluzka pochodzi ze sklepu American Girl. Poznała też opaskę z cyrkoniami, która przytrzymywała włosy Jessiki. Cassie kupiła jej tę bluzkę, kiedy zabrała ją wiosną na zakupy, a opaskę znalazła na bazarze w Stambule; kosztowała może dolara.

– Ja chcę mieć taką u siebie – powiedziała Rosemary, uśmiechając się do zwierząt. Rok temu dostała pracę w księgowości firmy sprzedającej ubezpieczenia zdrowotne w Lexington i stała się wielką fanką siłowni w siedzibie firmy, zwłaszcza roweru treningowego. Cassie pomyślała, że jej siostra nigdy nie wyglądała równie zdrowo jak teraz. – Uchatka byłaby wspaniałym zwierzęciem domowym.

– Co za bzdura – skrzytykował matkę Tim, przewracając oczami.

– Nieważne – odparła. – I tak chcę ją zabrać do domu.

– Ja chyba też – przyznała Cassie. Spojrzała na zegarek. W Wirginii trwał właśnie pogrzeb Alexa Sokolova. Oczami wyobraźni widziała typowy dla Południa kościół z cegły, z wieżyczką i zadbanym, intensywnie zielonym trawnikiem. Pomyślała o rodzicach Alexa i innych krewnych w pierwszej ławce, wypolerowanej i lśniącej w słońcu wpadającym przez witraże w oknach. Wyobrażała sobie czarne ubrania i białe chusteczki. Widziała młodych i starych żałobników, a w jej głowie rozbrzmiewał okazjonalny stłumiony szloch. Słyszała śmiech, który wypełnił wnętrze kościoła, gdy ktoś opowiedział osobistą anegdotę z Alexem w roli głównej, uroczą albo zabawną historyjkę, albo przypomniał coś, co czyniło go wyjątkowym.

Cokolwiek to było.

Jak to możliwe, że tak mało wiedziała o mężczyźnie, który umarł obok niej w łóżku? Cóż, znała odpowiedź. Oczywiście, że znała. Było nią wino. I wódka. I arak.

Rodzina Sokolova została już zapewne poinformowana, że domniemana zabójczyni – ta rzekoma czarna wdowa – nie była Amerykanką mieszkającą w Emiratach, tylko stewardesą mieszkającą w Stanach. Wyobrażała sobie, jak ojciec Alexa domaga się od FBI bardziej zdecydowanego działania, a ktoś z agencji zapewnia go, że pętla powoli się zaciska. Już wkrótce nastąpi aresztowanie podejrzanej.

Ale czy to prawda? Służby Emiratów nie mogły jej tutaj aresztować. Nie mogły tego też zrobić służby jej ojczyzny, chyba że zabójstwo uznano by za akt terrorystyczny. Ekstradycja mogła potrwać lata. Czy to możliwe, że każdy na świecie, kto śledzi rozwój tej historii, uważa ją za winną, a mimo to nikt nie może z tym absolutnie nic zrobić?

No, nie całkiem. Wciąż wisiał nad nią miecz Damoklesa w postaci groźby postępowania cywilnego. Poza tym interesowało się nią FBI. Takie były fakty. To dlatego Ani tak bardzo się o nią martwiła.

Jeszcze raz spojrzała na swój telefon, w każdej chwili spodziewając się wieści od Ani Mouradian albo Franka Hammonda. Nadal cisza.

– Czekasz na telefon? Od kogo? – zapytała Rosemary. – Cały czas sprawdzasz komórkę, jak jakaś nastolatka.

– Od firmy – odparła Cassie. Uznała, że może równie dobrze wobec rodziny zastosować to samo kłamstwo, co wczoraj wobec Buckleya. – Być może będę musiała dzisiaj wieczorem lecieć do Rzymu.

– Myślałam, że dzisiaj jemy razem kolację – przypomniała jej siostra i wydeła z dezaprobatą usta.

– Tak, tak – potwierdziła Cassie. – Jest bardzo mała szansa, że mnie wezwą. Na pewno wieczór spędzę z wami. – Ale tego nie mogła być pewna. Pomimo milczenia ze strony zarówno prawniczki, jak i FBI cały czas zastanawiała się, czy rzeczywiście uda się jej dzisiaj zjeść kolację z rodziną. Przez ramię miała przewieszoną swoją płócienną torbę, a w niej figurkę Remusa i Romulusa ukradzioną z hotelu w Rzymie oraz własne kolczyki w kształcie małych złotych kotków – kupiła je lata temu w sklepie z antykami we Frankfurcie, ale po powrocie do Ameryki uznała, że nie nadają się dla dorosłej kobiety. Dziś rano zapakowała je do małego pudełeczka ze sklepu z upominkami niedaleko jej mieszkania i wzięła ze sobą jako prezent dla siostrzenicy. Postanowiła, że nie powinna czekać do świąt z podarowaniem Timowi podpórki do książek – dzisiaj mogła być jej ostatnia (jedyna) szansa – a zatem musiała mieć też gotowy prezent dla Jessiki.

Nagle powróciło do niej wspomnienie z czasów dzieciństwa w Kentucky, kiedy matka czytała jej na głos przed spaniem. Cassie miała wtedy może sześć lat, leżała w piżamie na wąskim łóżku, wtulona w matkę, która siedziała na pościeli oparta o wezgiel. Tego wieczoru czytały jedną z książek z serii o Ramonie i Beezus autorstwa Beverly Cleary.

W książce był pierwszy dzień przedszkola i nauczycielka poprosiła Ramonę, żeby posiedziała przez chwilę na swoim miejscu, a dziewczynka ubzdurzyła sobie, że jeśli się stamtąd nie ruszy, dostanie prezent. Cassie pamiętała, jaka czuła się szczęśliwa tamtego wieczoru. Była mniej więcej w wieku Ramony i sama zaczynała szkołę, a jej matka pachniała kwiatowymi perfumami przykrywającymi zapach miedzi, który zazwyczaj się jej trzymał, kiedy wracała z fabryki miedzianych drutów, gdzie była recepcjonistką.

Ludzie wokół nich wybuchnęli śmiechem. Jedna z uchatk uścisnęła pletwą rękę opiekunki, a potem uderzyła o jej otwartą dłoń, jakby przybijając piątkę.

– Mam coś dla ciebie – powiedziała do Jessiki. Dziewczynka popatrzyła na nią, uśmiechnięta od ucha do ucha. Jej siostrzenica wyraźnie była zachwycona wizytą w zoo. Cassie zauważyła, że dziś ma w uszach małe rozgwiazdy, które Rosemary

dała jej po tym, jak przeklęła córce uszy na początku lata. – Uznajmy to za prezent z okazji powrotu do szkoły – dodała, wręczając Jessice pudełeczko.

Tim odwrócił się do siostry i powiedział z uśmiechem:

– Świetnie. Będiesz miała co gubić w tym chlewie w swoim pokoju. – Zdolność Jessiki do generowania wokół siebie bałaganu obrosła już w całej rodzinie legendą; jej pokój najczęściej wyglądał, jakby został splądrowany przez zdesperowanych narkomanów. Podobno codziennie przed szkołą przymierzała co najmniej trzy stroje, a odrzucone opcje zostawiała na dywanie, łóżku albo parapecie.

– Dla ciebie też coś mam – Cassie zwróciła się do chłopca i podała mu zawiniętą w papier figurkę. – Jessico, twój prezent jest z Frankfurtu, a twój, Tim, z Rzymu.

– Dziwnie ciężki – zauważył.

– Boże, twoje życie brzmi jak bajka. Frankfurt, Rzym. Gdyby ludzie znali prawdę... – mruknęła pod nosem Rosemary. Przez lata Cassie zwierzyła się jej z wielu przykrych doświadczeń – od bulwersujących po zaledwie upokarzające – które wiążą się z jej zawodem, więc jej siostra wiedziała, jak to naprawdę wygląda.

– Ta praca ma też swoje plusy – odparła.

Tim rycersko czekał, aż jego młodsza siostra pierwsza otworzy swój prezent. Jessice rozbłyły oczy, gdy zobaczyła kolczyki, i Cassie nisko się pochyliła, żeby siostrzenica mogła ją objąć.

– Cudowne! – krzyknęła, po czym dodała tonem osoby nad wyraz rozwiniętej jak na swój wiek: – Są szalenie eleganckie.

Stojący za nią Tim przewrócił oczami.

– Cieszę się, że ci się podobają – powiedziała Cassie. – Twoja kolej – zwróciła się do siostrzeńca.

Chłopiec ściągnął niebieską wstążkę i rozerwał czerwony papier.

– Rzeźba – powiedział krótko i Cassie od razu przypomniało się to stare powiedzenie: kiedy ktoś, otwierając prezent, mówi na głos, co to jest – sokowirówka, odkurzacz samochodowy, obrączki do serwetek – to znaczy, że mu się nie podoba. I od razu pogorszył się jej humor. Ale trwało to tylko sekundę, ponieważ Tim zaczął mówić dalej: – Znam tę historię. Czytałem w książce z mitami, była na liście lektur na lato. Nikt nie mówi, że bliźniacy pewnie stali się wilkołakami, ale ja myślę, że to jest w tym najfajniejsze.

– Czy to przycisk do papieru? – odezwał się męski głos i wszyscy jednocześnie się odwrócili. Był to ojciec rodziny, który pojawił się niemal znikąd. Aparat miał zawieszony na szyi i przecierał chusteczką okulary. Dennis McCauley był dużym człowiekiem, nie grubym czy umięśnionym, ale wysokim i solidnym, z brzuchem, który dopiero zaczynał się zarysowywać pod koszulą. Miał przystojne rysy twarzy, a włosy już bardziej siwe niż czarne, ale nadal gęste i lśniące. Nosił przedziałek albo zaczesywał je do tyłu, a Rosemary często śmiała się, że ma fryzurę godną gwiazdy filmowej i że w swoich mundurach wygląda jak aktor. Dzisiaj jednak nie ubrał się w mundur, tylko szorty cargo w kolorze khaki, a to zdaniem Cassie z miejsca eliminowało jakąkolwiek szansę, że ktoś weźmie go za aktora. Żona czasami narzekała na jego roztargnienie, ale Cassie podejrzewała, że w pracy zawsze jest w pełni skoncentrowany. Jak przystało na inżyniera, pewnie po prostu umiał dobrze kategoryzować i szufladkować w głowie różne sprawy. Wszyscy wiedzieli, że jest cholernie inteligentny. Mogła to powiedzieć Buckleyowi wczoraj wieczorem. Okazać trochę więcej dumy z tego, czym się zajmuje jej szwagier. Stwierdziła tylko, że Dennis jest sympatyczny; powinna była podkreślić, że jest mądry. W końcu pomagał likwidować broń chemiczną. Cassie przypuszczała, że jego praca jest bardziej niebezpieczna, niż on sam to przyznawał przed własną rodziną.

– Nie, podpórka do książek – odpowiedziała Cassie. – Kupiłam ją w sklepie z antykami w Rzymie, niedaleko Schodów Hiszpańskich.

– Mieli tylko jedną połowę?

Pokiwała głową.

– Dla mnie bomba – powiedział Dennis. – Podpórka do książek z bliźniakami, ale druga połowa zaginęła. To jak definicja ironii. Do czego będziesz tego używał, synu?

– Nie wiem. – Tim wzruszył ramionami. – Ale podoba mi się. Fajna rzecz.

– Zgadza się – potwierdził Dennis. Następnie schylił się, żeby zobaczyć kolczyki, które Cassie dała jego córce, głośno wyrażając swój zachwyt. W końcu wyprostował się i założył z powrotem ciemne okulary. – Naprawdę umiesz wynajdywać oryginalne upominki, Cassie.

– Może.

– Mówię poważnie. Twoje prezenty są zawsze pomysłowe. A ja? Zapytaj tych dwoje: kiedy ja gdzieś jeżdżę, przywożę im dużo mniej ciekawe rzeczy.

– To dlatego, że ty jeździsz tylko do Marylandu albo do Waszyngtonu – przypomniała Rosemary.

– Nie. Cassie ma po prostu lepsze oko – upierał się Dennis. – Naprawdę, świetne prezenty.

– Dziękuję – odparła. Była wzruszona. Zawsze odnosił się do niej znacznie cieplej niż Rosemary, choć przecież tyle samo wiedział o jej mniejszych i większych grzeszkach. Był jednak z natury nastawiony mniej krytycznie do ludzi. Cassie miała poczucie, że kiedy jej nazwisko zacznie pojawiać się w mediach w związku z morderstwem w Dubaju, Dennis będzie tym faktem o wiele bardziej zdziwiony niż jego żona.

Rozdział 17

Zawsze słysząc, że jego naród to ludzie grubiańscy i bez ogłady, ojciec Eleny uśmiechał się i jednym tchem wymieniał Teatr Bolszoi, Czechowa i Czajkowskiego. „Potrafimy być bezlitośni – słyszała, jak tłumaczył kiedyś nad szklaneczką koniaku ararat – ale nie jesteśmy mniej czy bardziej grubiańscy niż ktokolwiek inny”. Powiedział to przy kolacji ze starymi druhami z KGB, z których większość bardziej skupiała się już teraz na swoich luksusowych daczach, młodych, efektownych żonach i bogactwach, które znaleźli w ruinach tego niegdyś ikonicznego, a teraz zburzonego muru. Przypominał im, jak bardzo Lenin uwielbiał czytać powieści i jak ważny element politycznego świata, w którym dorastał przyszły wódz rewolucji, stanowiła literatura. Kiedy Lenin chciał poniżyć swoich rywali, nadawał im przezwiska zapożyczone od szczególnie głupich czy odrażających postaci z dzieł Czernyszewskiego, Puszkina i Gonczarowa. „Czym się różni Obłomow od oligarchy? – brzmiał wstęp do dowcipu, który opowiedział tamtego wieczoru. – Jeśli oligarcha spędza cały dzień w łóżku, to dlatego, że wynajął dziwkę i chce, żeby mu się to opłaciło”. W głębi duszy wiedział, oczywiście, że to nie była wcale największa różnica. Oligarchowie mieli teraz majątki godne Obłomowa, ale nie otrzymali ich w spadku i nie byli leniwi. Większość sama doszła do swojego bogactwa. Rzecz jasna drogą korupcji, i to korupcji na niespotykaną dotąd skalę. Ale pracowali ciężko i nie kłaniali się nikomu z wyjątkiem prezydenta Rosji. Byli samcami alfa, którzy nie brali jeńców.

Viktor stanowił idealny przykład tej delikatnej równowagi pomiędzy barbarzyństwem a wyrafinowaniem: pod swoim eleganckim czarnym garniturem był brutalny i bezwzględny, ale wznosił wokół siebie fasadę, która zmuszała go do jedzenia małymi kęsami. Płynnie mówił w kilku językach i cenił estetyczne walory filmów Tarkowskiego.

Zresztą nie on jeden. Ponoć nawet sam Stalin, typ ze wszech miar nieokrzesany, któremu obce było pojęcie sztuki jako wartości samej w sobie, umierał w 1953 roku

przy akompaniamencie XXIII koncertu fortepianowego Mozarta w wykonaniu radzieckiej pianistki Marii Judinej, odtwarzanego na stojącym obok gramofonie.

Elena otworzyła aplikację na swoim telefonie i obserwowała małą niebieską kropkę budzącą skojarzenia z maleńkim, bijącym serduszkiem. Z sercem żaby. Miarowo pulsowało, emitując fale w postaci cieńszych niebieskich kręgów, które powiększały się i jeden za drugim znikwały. Ta kropka reprezentowała jej ofiarę, a jej ofiara przebywała właśnie w zoo.

Położyła telefon na drewnianej ławce i skrzyżowała ramiona na piersi. Rzuciła okiem na Flatiron Building, wznoszący się o jedną przecznicę na południe od niej, a potem na młodych rodziców bawiących się ze swoimi małymi dziećmi na trawie i na ludzi wyprowadzających psy na alejkach Madison Square Park. Prozaiczna prostota tego obrazka miała w sobie coś ujmującego; Elena poczuła tęskne ukłucie w sercu i musiała aż potrząsnąć głową, żeby nie dać się melancholii. To nie jest jej świat, to nie jest jej życie, i nigdy nie będzie. Ani w Moskwie, ani na Manhattanie.

Ubrała się w nijakie szorty, białą bluzkę bez rękawów i beżowe espadryle. Zabrała ze sobą magazyn i torebkę z bajgłem, ale tylko po to, żeby mieć pretekst do siedzenia na ławce. Dzień był słoneczny i gorący, powietrze nieruchome i wilgotne. Mógłby zawiąć chociaż jakiś wietrzyk, pomyślała.

Nie wiedziała zbyt dużo o tej okolicy. Najlepiej z całego Nowego Jorku знаła tę część śródmieścia na zachód od Piątej Alei, gdzie stały te wszystkie drapacze chmur i gdzie mieściły się również biura Unisphere. Odwiedziła siedzibę firmy może cztery czy pięć razy w życiu, ale to był jej rodzinny majątek, jej rodzinny interes – a w każdym razie jego część. Ta część, która w pełni rozwinęła skrzydła po ostatecznym upadku w 1991 roku. Elena była wtedy małym dzieckiem. Kiedy myślała o tym mieście, w pierwszej kolejności przychodziły jej do głowy obiady w ciemnych, wykładanych boazerią jadalniach (to było w czasie jej studiów, jeszcze zanim ojciec został otruty), w towarzystwie ojca i amerykańskich managerów jego funduszu, pracowników szczebla administracyjnego i kierowniczego, którzy jedli i pili, jakby nadal mentalnie tkwili w innej epoce. (Co starszym nadal zdarzało się mówić do siebie per „towarzyszu”, nawet do Amerykanów, choć teraz kryła się w tym pewna nuta ironii). A także kolacje tylko z ojcem w pobliskich

restauracjach, gdzie zawsze było prawie pusto, ponieważ specjalnie przychodzili o takiej porze, kiedy ludzie wyruszali właśnie do teatrów na wieczorne przedstawienia. Ojciec Eleny lubił przyjeżdżać do Ameryki, a ona uwielbiała przyjeżdżać do niego do Nowego Jorku z Massachusetts, gdzie spędziła pierwsze dwa lata studiów. Miał też dużo sympatii do Amerykanów. Pewnie polubiłby nawet Sokolova – przynajmniej do czasu, gdy ten pokazał swoje prawdziwe oblicze – bo Alex był bardzo przywiązany do swojego rosyjskiego dziedzictwa. Ale jej ojciec był Rosjaninem z krwi i kości, a jego wyprawy do Stanów Zjednoczonych nigdy nie trwały długo. Nawet typowo rosyjski akcent napawał go dumą (ona tymczasem ciężko pracowała nad tym, by pozbyć się wszelkich śladów obcego akcentu w swojej angielszczyźnie).

Z pewnością nigdy nie zaszczyił swoją obecnością Empire State Building, Metropolitan Museum ani słynnego zoo na Bronksie.

Elena przewróciła oczami, jakby jeszcze ktoś inny siedział z nią na ławce. Zoo, pomyślała. Poważnie? Cassandrze Bowden wali się całe życie, a ona idzie sobie do zoo. Sądząc z wszystkiego, czego się dowiedziała, stewardesa najprawdopodobniej wybrała się tam z rodziną siostry. Pewnie spędzi z nimi cały dzień, bo oni przyjechali aż z Kentucky. Jutro wieczorem ma natomiast lecieć do Rzymu.

Problem w tym – jak wyjaśniła Viktorowi po przyjeździe do Nowego Jorku – że Bowden mieszka w budynku z portierami i dozorcami. Pracowało ich tam całe mnóstwo. Dziś rano, w sobotę, Elena naliczyła aż trzy różne osoby siedzące za biurkiem przy głównym wejściu, zamiatające chodnik albo otwierające drzwi lokatorom i machające im uprzejmie na pożegnanie. Do tego były kamery w holu i recepcji, a także w windzie zjeżdżającej do piwnicy i garażu, do których prowadził również podziemny betonowy korytarz. Z doświadczenia wiedziała, że znacznie łatwiej skryć się przed kamerami w hotelu niż w apartamentowcu, gdzie po piętrach kręci się o wiele mniej ludzi, a hol jest bez porównania mniejszy. Dlatego trudno będzie dostać się do mieszkania stewardesy, co jest o tyle niefortunne, że większość samobójstw – 80 procent – popełniana jest we własnym mieszkaniu. (W dziesięciu procentach przypadków jest to miejsce pracy, ale nawet Viktor stwierdził żartem, że nie oczekuje od Eleny tego typu rozwiązań. Oczywiście, czasem zdarza się, że pilot w samobójczym szale rozbija cały samolot, ale nikt nie chciał mieć na sumieniu airbusa pełnego Bogu ducha winnych

pasażerów). A zatem skoro Elena nie mogła niepostrzeżenie dostać się do mieszkania Bowden, stewardesa będzie musiała odebrać sobie życie w jakimś stosunkowo dyskretnym zakątku gdzieś w przestrzeni publicznej.

Drugą palącą kwestią, z czego zarówno sama Elena, jak i wszyscy inni dobitnie zdawali sobie sprawę, był czas. Nie umiała sobie nawet wyobrazić, ile zniszczeń mogłaby dokonać tak nieobliczalna osoba jak Cassandra Bowden, gdyby Alex powiedział jej coś istotnego albo gdyby nagle zaczęła rozpowiadać wszem wobec, że tamtej nocy w pokoju 511 w Dubaju była jeszcze druga kobieta.

No i, rzecz jasna, zegar tykał także dla niej samej. Wielu ludzi w Moskwie bez wątpienia kręciło głową z niesmakiem, że córka Dmitrija, ta, która się tak strasznie zamerykanizowała, pozwoliła stewardesie opuścić Dubaj. W najlepszym razie byli tą sytuacją skonsternowani, a w najgorszym – poważnie zaniepokojeni. Z ich punktu widzenia Bowden mogła nawet być z CIA. Może należała do jakiejś specjalnej wojskowej grupy wywiadowczej. Dlatego byli wściekli, tak samo jak Kozacy. Elena wiedziała, co się przytrafia tym, którzy narażają się tej dbającej o dyskrecję starej gwardii. Jej własny ojciec byłby oburzony tym, co zrobiła – a raczej tym, czego nie zrobiła. Stąpała po kruchym lodzie, Viktor przyznał to otwarcie, nawet nie próbując kamuflować groźby subtelnym niedopowiedzeniem.

Przyszło jej coś do głowy. Media wciąż nie zidentyfikowały kobiety w ciemnych okularach i wzorzystym szalu widocznej na zdjęciach z monitoringu w Royal Phoenician – jej nazwisko nie wyciekło z dubajskiej policji. Elena postanowiła powiedzieć Viktorowi, że zanim podejmie dalsze kroki, tożsamość kobiety powinna wyjść na jaw. Samobójstwo Cassandry Bowden wydawałoby się o wiele bardziej przekonujące, gdyby stewardesa została najpierw publicznie zhańbiona.

Podniosła telefon, żeby spojrzeć na migającą niebieską kropkę. Dobrze byłoby zakończyć sprawę – w ten czy inny sposób – zanim Bowden wyleci w kolejny rejs jutro wieczorem, ale można by też zaczekać, aż zaczną o niej mówić we wszystkich mediach. Jeśli nazwisko Bowden do jutra nie pojawi się w sieci albo w prasie, sama wykona anonimowy telefon do jakiejś gazety czy serwisu informacyjnego.

A do tego czasu? Będzie dalej obserwować Bowden, na wypadek gdyby nadarzyła się jakaś dogodna okazja. Elena zastanawiała się, gdzie stewardesa planuje dziś wieczorem kolację z rodziną. I czy będzie potem musiała wracać do domu metrem.

Rozdział 18

W sobotni wieczór Cassie wybrała się z bliskimi do zatłoczonej kantońskiej restauracji, którą Rosemary wyszukała w Internecie. Lokal znajdował się o przecznicę na południe od Canal Street, jak na gust Cassie – o wiele za blisko budynku FBI na rogu Broadway i Worth. Od miejsca wczorajszej katastrofy dzieliło ją najwyżej pięć minut spacerem.

Wielka, głośna i pełna ludzi restauracja była głównie nastawiona na turystów, którzy chcieli spróbować dim sum. Ku zaskoczeniu Cassie wszystkie te pierożki i makaron z patelni okazały się przepyszne i zrobiło się jej wstyd, że jeszcze zanim weszli do środka, pozwoliła sobie na chwilę kulinarnego snobizmu. Tak, dużo podróżowała i jadła na całym świecie, ale nie należy z góry czegoś skreślać tylko dlatego, że turyści to lubią. Najlepszy dowód? Miętowe makaroniki w cukierni nieopodal wieży Eiffla. Zresztą była przecież tylko stewardesą, więc w Rzymie też wcale nie stołowała się w La Pergoli.

Poza tym doceniała zwyczajność swojej siostry i jej rodziny, ten brak komplikacji i to, że cała czwórka tak dobrze się wzajemnie uzupełniała. Przewidywalność daje poczucie komfortu. Cassie zdawała sobie sprawę, że sama nigdy czegoś takiego nie zazna: miłości zrodzonej z rytuału i zaufania.

– Pamiętasz tę okropną chińską restaurację w Grover's Mill? – zapytała Rosemary.

Cassie pokiwała głową. Siostra rzadko wspominała ich dzieciństwo przy Timie i Jessice. Wiedziała, że ten temat to istne pole minowe i nigdy nie wiadomo, które wspomnienie skończy się eksplozją.

– Jasne, że pamiętam.

– Teraz tam jest absurdalnie drogi butik. Trochę w stylu Antropologie. Mają tam topy za dwieście dolców.

– Muszą gdzieś prac swoje brudne pieniądze z handlu metamfetaminą – odparła Cassie, tylko półzartem. – To na pewno jedno z możliwych wyjaśnień.

– Zgadzą się.

– Nie wiem, co jest dziwniejsze: to, że ten sklep w ogóle istnieje, czy to, że ty o nim wiesz. Naprawdę byłaś ostatnio w Grover's Mill?

– Wszyscy byliśmy – wtrącił się Dennis. – Wtedy gdy zabraliśmy dzieci do tego nowego parku rozrywki, który otworzyli pod koniec czerwca. To całkiem blisko.

– Mają tam najbardziej stromą zjeżdżalnię wodną w całym Kentucky – odezwała się Jessica. Dziewczynka moczyła sajonkę w sosie z orzeszków ziemnych, tak by z każdym kęsem zjeść go jak najwięcej.

– I zrobiliście objazd przez Grover's Mill? – spytała Cassie.

– Tak – odpowiedziała jej siostra. – Uznałam, że najwyższy czas, żeby dzieci zobaczyły, gdzie dorastała ich matka.

– Chyba podano nam ocenzone wersję wydarzeń – stwierdził Tim. Cassie nie mogła uwierzyć, ile pierożków pochłonął ten chłopak, ale teraz wydawał się wreszcie nasycony. Siedział z łokciami na stole, opierając głowę na dłoniach, i patrzył na kelnerów lawirujących wózkami w ciasnych przestrzeniach pomiędzy stolikami.

– Może i tak – przyznała jego matka. – Ale przynajmniej zobaczyliście dom.

– Był malutki – powiedziała Jessica.

To prawda, pomyślała Cassie, naprawdę był niewielki. Mały budynek ze spadzistym dachem, mocno zapuszczony, na niespełna półhektarowej działce. Rodzice trzymali alkohol w szafce w kuchni, na dolnej półce, gdzie mogły się zmieścić też wyższe butelki. Cassie nauczyła się rozcieńczać zawartość butelek, kiedy miała dziewięć lat. Ojciec przyszedł tego czerwcowego dnia do jej podstawówki, żeby obejrzeć zawody na koniec roku: bieg na trzech nogach, wyścigi w workach, bitwa na gąbki. (Nigdy się nie dowiedziała, dlaczego nie był tego dnia w liceum, tak jak powinien, ale musiał mieć jakąś wymówkę. Przecież chyba zostałby zwolniony, gdyby po prostu zniknął albo gdyby w pracy wiedzieli, że wychodzi pijany). Konkursy odbywały się zaraz po lunchu. Ojciec przeszkodził jej w sztafecie z jajkiem na łyżce – podszedł do niej, na środek murawy, i próbował tłumaczyć, jak najlepiej przenieść jajko na łyżkę partnera z drużyny. Przeżyła niemały wstrząs, widząc go na środku boiska zamiast z boku, razem ze wszystkimi rodzicami, nauczycielami i pracownikami szkoły – z innymi dorosłymi. Kiedy upierał się, żeby jej pomóc, łamiąc wszystkie możliwe reguły,

niechcący strącił jej surowe jajko, które rozbiło się na ziemi, eksplodując jak gwiazda, jak supernowa wstydu. Jeszcze nigdy nie była tak zażenowana i modliła się, żeby wszyscy obecni uznali, że jej ojciec jest tylko oszustem i niezdarą – a nie również pijakiem. Płonąc ze wstydu, miała nadzieję, że wezmą go po prostu za idiotę.

Niedługo potem sobie poszedł, bełkocząc coś, że musi wracać do swojego liceum.

Tamtej nocy Cassie po raz pierwszy wymknęła się z łóżka, kiedy wszyscy w domu spali, i otworzyła szafkę, w której rodzice trzymali alkohol. Stała tam oczywiście butelka Jacka Daniel'sa, ale Cassie wiedziała, że jest zarezerwowana na „specjalne” okazje. Jej ojciec najczęściej pił szkocką whisky o nazwie Black Bottle i teraz poziom zawartości sięgał mniej więcej do górnej krawędzi etykiety, więc butelka była w trzech czwartych pełna. Cassie odkręciła ją i wylała jakieś dwa centymetry do zlewu, a następnie uzupełniła wodą z kranu. To samo zrobiła z wódką, burbonem i ginem. Żałowała, że nie jest w stanie rozcieńczyć też piwa stojącego w lodówce, ale puszka to nie butelka z zakrętką.

– Przynajmniej miałam tam własny pokój – odparła Rosemary, a Cassie, słysząc to, odruchowo się wzdrygnęła. Kilka lat później jej siostra została przeniesiona do rodziny zastępczej, gdzie musiała dzielić pokój z dziwną dziewczyną – tak samo jak ona zabraną z domu rodzinnego – gniewną i ze skłonnościami do przemocy, ale przy zastępczych rodzicach umiała się opanowywać na tyle, by nie narobić sobie kłopotów. Aż trudno uwierzyć, że ten nędzny, ciasny domek z rozwodnionym ginem, wiecznie pijanym ojcem, płaczącą matką i cotygodniowymi awanturami o pieniądze i alkohol był dla Rosemary źródłem dostatecznie wielu szczęśliwych wspomnień, że chciała mimo wszystko pokazać go własnym dzieciom. Jak często Cassie spędzała wieczór ze słuchawkami od walkmana na uszach, próbując zagłuszyć krzyki kłócących się na dole rodziców? Jak często biedna Rosemary wdrapywała się w nocy do jej łóżka, zapłakana i wystraszona?

– Jeszcze herbaty, Cassie? – Dennis przysunął imbryk do jej filiżanki.

– Poproszę – odpowiedziała, choć tak naprawdę wolałaby Long Island Iced Tea, czyli tequilę, gin, wódkę, rum i likier pomarańczowy z colą. Cały cholerny barek w jednej wysokiej szklance. Przy stoliku obok nich ktoś miał butelkę piwa Tsingtao i Cassie co jakiś czas zazdrośnie zerkała w tamtą stronę.

– A w ogrodzie mieliśmy bardzo porządną huśtawkę i domek do zabawy – kontynuowała jej siostra. – Drewniany, a nie taki metalowy, który rdzewieje od razu, jak spadnie deszcz. Bawiłam się tam z koleżankami w *Mały domek na prerii*. Ściany były tak grube i solidne, że naprawdę wyglądało to jak chata z bali.

– Brzmi jak najslabsza zabawa na świecie – skomentował Tim.

– O tak – zgodziła się Rosemary. – To było strasznie słabe. Ale byliśmy dziećmi.

Cassie napiła się herbaty i przypomniała sobie ten okres zaraz po studiach, kiedy złamała postanowienie o alkoholowej abstynencji. Miała dwadzieścia trzy lata i była na basenie w hotelu na Florydzie. Na północnym wschodzie szalały burze, więc ich lot powrotny do Nowego Jorku został odwołany, a załogę wysłano na noc do hotelu w Coral Gables pod Miami, który miał basen na dachu. Tego dnia zebrał się tam personel pokładowy od trzech różnych przewoźników, ponieważ latem – czyli poza sezonem – hotel głównie wypełniali pracownicy linii lotniczych. Wszyscy pili, tylko nie ona. Stewardesa wyciągnięta na szezlongu obok niej, doświadczona matrona, która latała od dwudziestu pięciu lat, sączyła piña coladę. Koktajl pachniał bosko. Cassie zastanawiała się, czy nie zamówić sobie wersji bezalkoholowej, ale nigdzie nie widziała kelnera, a zupełnie nie chciało się jej wstać i podejść do baru – o siedemnastej w blisko trzydziestostopniowym upale byłby to niemały wysiłek. No więc łyknęła trochę koktajlu od starszej koleżanki. Był pyszny, lepszy niż bezalkoholowy, miał ostrzejszy smak, bardziej wyrazisty, sięgający głębiej. Wyczuwała oczywiście aromaty kokosa i ananasa, ale było coś jeszcze. Rum. Czy w kuchni jej rodziców w Kentucky kiedykolwiek był rum? Pewnie tak. Ale nie przypominała sobie, żeby kiedyś rozwadniała rum albo żeby jej matka wylewała go do zlewu. Miała wrażenie, że to coś innego, coś nowego i chociaż czuła, że flirtuje z czymś cudownym, ale – szczególnie dla niej – tak niebezpiecznym, że może ją zabić, podniosła się z leżaka, podeszła w swoim bikini do baru i zamówiła sobie piña coladę. Chyba nawet nie traciła czasu na kawałek ananasa, tylko wychyliła szybko całą szklankę, bo koktajl był słodki, wspaniale rozgrzewał ją od środka i sprawiał, że problemy i zmartwienia znikwały. Nagle nie przejmowała się już swoimi biodrami. Były w porządku, tak jak cała reszta. Nagle nie była już tą dziewczynką, która kulila się ze strachu na tylnym siedzeniu samochodu, podczas gdy jej pijany ojciec starał się utrzymać kontrolę nad ich obrzydliwym jaskrawoniebieskim dodge'em coltem na krętej drodze pomiędzy Landaff i Grover's Mill, a matka krzyczała, żeby zatrzymał się na miłość boską

i pozwolił jej prowadzić. Nie była już tą bojaźliwą studentką siedzącą o czwartej rano w uniwersyteckiej centrali telefonicznej i zamartwiającą się, jak jej młodsza siostra poradzi sobie w rodzinie zastępczej. Nie była już tą pilną, poważną, chorobliwie odpowiedzialną dwudziestotrzyletnią stewardesą, która wszystko musiała robić perfekcyjnie, bo inaczej w mgnieniu oka znalazłaby się na równi pochyłej prowadzącej z powrotem do tej małej, smutnej wioski, gdzie jej ojciec pił na umór, a matka ze łzami w oczach wylewała jego whisky do zlewu. Była... wolna. I podobało się jej to. Tak, alkohol smakował znakomicie, ale jeszcze bardziej podobał się jej dźwięk własnego śmiechu, kiedy pierwszy oficer zażartował, że jedna z chmur nad Miami wygląda jak szczeniak z cygarem w pysku (żart był niespecjalnie śmieszny, ale za to jego autor wyglądał naprawdę dobrze). Tego wieczoru pozwoliła mu się uwieść – a może to ona uwiodła jego. Później, nawet z perspektywy następnego ranka, nie umiała już tego stwierdzić. Szybko się przekonała, że muzyka brzmi lepiej, ludzie wydają się miłsi, a ona staje się ładniejsza, kiedy szorstkie krawędzie rzeczywistości wygładzi się odrobiną alkoholu. A jeszcze lepiej dużą ilością alkoholu. I właściwie co w tym złego? Lubiła to, o Boże, naprawdę to lubiła, i w tej chwili musiała uruchomić wszystkie pokłady siły woli, żeby nie złamać Reguł Rosemary i nie poprosić kelnera, żeby przyniósł jej też butelkę tsingtao, albo może od razu gin z tonikiem, najlepiej beefeater, sacred albo sipsmith, jeśli któryś z nich mają w barze.

– Czytam właśnie książkę o pilocie – odezwała się jej siostrzenica, a Cassie odwróciła się do niej i próbowała się skupić.

– Naprawdę? Opowiedz mi o niej – powiedziała.

Jessica rozpoczęła opowieść, a Cassie starała się słuchać uważnie, ale jednocześnie rozpamiętywała czasy, gdy miała dwadzieścia kilka lat i jej piciem sterował klasyczny mechanizm wyparcia, gdy tłumaczyła sobie, że nie jest podobna do swojego ojca i nie powtórzy jego błędów. Nie pozwoli, żeby alkohol ją zniszczył, tak jak zniszczył jego. I przez ponad półtorej dekady – aż do Dubaju – do jakiegoś stopnia nawet w to wierzyła. Ponieważ dopiero w Dubaju naprawdę zrównała się z ojcem, gdy przez nalóg zetknęła się ze śmiercią. A można naprawić wszystko, tylko nie śmierć. Tego jednego się nie cofnie.

Można tylko pochować zmarłych i żyć dalej.

Spalić mikrofilmy.

A mimo to marzyła o tym ginie z tonikiem. Nawet teraz. Nawet gdy czekała na telefon od Ani Mouradian albo Franka Hammonda. Musiała się napić.

– Pożyczysz mi tę książkę, jak skończysz? – zapytała Jessicę.

– Pewnie, ale to książka dla dzieci.

Cassie wzruszyła ramionami.

– Wiele z najlepszych książek na świecie to książki dla dzieci. *Pajęczyna Charlotty. Dawca. Matylda*. Można by długo wymieniać. – Uśmiechnęła się do dziewczynki, po czym przeprosiła i wstała od stołu, żeby pójść do łazienki. Chciała po drodze zatrzymać się na chwilę przy barze, dać barmanowi dychę, zwinąć język w rulon i wychylić jednym łykiem szklaneczkę ginu.

Dennis nie narzekał na ruch uliczny w Nowym Jorku. Nawet lubił jeździć po mieście. Jego sprzeciw budziły tylko ceny za parkowanie. Na szczęście hotel w White Plains, w którym się zatrzymali, nie był jeszcze taki najgorszy. Do zoo na Bronksie również przyjechali samochodem, dzięki czemu potem wszyscy łatwo dostali się do Chinatown. Po kolacji zaś Dennis uparł się, że odwiozą Cassie do domu. Zaprosiła ich na górę, ale mieli za sobą długi dzień, a Dennis nie chciał znowu szukać miejsca do parkowania, więc pożegnała ich w samochodzie i wysiadła na rogu Trzeciej Alei i 27 Ulicy, z daleka machając do Noah, portiera w jej budynku. O dwudziestej była już w swoim mieszkaniu.

Gdyby nie wypła tego ginu w restauracji w Chinatown, to czy zostałaby tego wieczoru w domu? Zapewne nie, bo przecież zadzwoniła Paula, a jej telefon raz jeszcze zadziałał na Cassie jak syreni śpiew, nakłaniający do tego, by zboczyła z kursu i wpłynęła na skały: te czarodziejskie lodowe sześciany, które nadawały świetliste piękno bursztynowej toni drambuie i przekształcały odmęty araku w płynne obłoki. Widząc imię Pauli na ekranie, przez chwilę chciała nie odbierać, ale silna wola nigdy nie należała do jej zalet. Odebrała więc, a zanim wybiła dwudziesta pierwsza, siedziała już przy barze w meksykańskiej restauracji niedaleko Union Square razem ze swoją przyjaciółką oraz Suzanne, koleżanką Pauli z agencji reklamowej. O dziesiątej opowiadała im autorską wersję swojego

dubajskiego koszmaru, w której nie występował Alex Sokolov – zamiast niego poszła do łóżka z fikcyjnym handlowcem Alexem Iljiczem (nazwisko pożyczyła na szybko od Tolstoja). Ale w trakcie opowieści zdecydowanie wyobrażała sobie prawdziwego Alexa, na przykład wyposażając jego wymyślonego odpowiednika w tę samą słabość do Rosji i rosyjskiej literatury. Alex, mówiła, w tym tygodniu miał być ponownie w Stanach, bo zamierzał odwiedzić swoich rodziców w Wirginii. Obiecał, że do niej zadzwoni zaraz po przyjeździe, ale nie zrobił tego. Nawet nie napisał SMS-a.

I dlatego Paula i Suzanne teraz gorąco namawiały ją, żeby sama zadzwoniła do domu jego rodziców w Charlottesville.

– Zrób to! – zawołała Paula, przekrzykując gwar, pobrzękiwanie szkła i basy dudniące z głośników na końcu baru. – Mówię ci, zadzwoń do niego! Nadrzyj się na niego za to, że cię przeleciał i zapomniał!

Cassie patrzyła na przyjaciółkę i jej znajomą. Obie miały już ciężkie powieki od tequili, a na twarzach ten sobotni, imprezowy uśmiezek, typowy dla osób, które są gotowe zakończyć tydzień słuszną porcją adrenaliny, zabawy i chaosu.

– Nie mam jego numeru – odparła.

– No to co? Zadzwoń do Charlottesville! Do jego rodziców! Ilu w takim mieście może być ludzi z rosyjskim nazwiskiem, którego nie da się wymówić?

Chcąc je udobruchać, Cassie udawała, że szuka numeru do Iljiczów w Charlottesville w stanie Wirginia, lecz w rzeczywistości szukała Sokolowów. Znalazła ich od razu. Wybrała numer, odczekała jeden dzwonek i szybko się rozłączyła. Czowała jednocześnie smutek i wstyd. Wiedziała, że nie jest w stanie znieść brzmienia głosu matki czy ojca Alexa na automatycznej sekretarce ani głosu żadnej osoby, która odebrałaby telefon w jego rodzinnym domu zaledwie kilka godzin po pogrzebie.

– Zajęte – powiedziała.

– Akurat! – zawołała Suzanne. Stukała knykciami o drewniany bar, ale nagle jęknęła i wybuchnęła śmiechem, bo uderzyła tak mocno, że aż zabolęło. – Tchórz z ciebie i mięczak, Cassie.

– Nie, naprawdę było zajęte!

– Nie wierzę! – odparła ze śmiechem Paula, po czym z szybkością atakującego węża wyrwała Cassie telefon z ręki i wybrała ponownie ten sam numer. Cassie

próbowała go odzyskać, ale Suzanne przytrzymała najpierw jej lewą, a potem prawą rękę, złapała ją w niedźwiedzi uścisk i zaczęła się śmiać. Cassie nie walczyła z nią, nie dlatego, że nie chciała robić scen – tego się nigdy nie bała – ale dlatego, że sama miała ochotę zobaczyć, jak daleko zajedzie ten pociąg, zanim się rozbije, i jaka będzie skala katastrofy.

– Cześć, mówi Cassie Bowden – powiedziała Paula, kiedy z drugiej strony ktoś odebrał telefon. – Poznałam Alexa w zeszłym tygodniu w Dubaju i chcę z nim natychmiast rozmawiać! Chcę wiedzieć, dlaczego do mnie nie zadzwonił!

Cassie obserwowała zszokowaną reakcję Pauli, której oczy robiły się coraz większe, a szczeka lekko opadła z niedowierzania. Nie powiedziała nic więcej, ani słowa. Po prostu oddała Cassie telefon, a Suzanne wypuściła ją z uścisku.

Rzuciła okiem na ekran, połączenie zostało już zakończone.

– On... ee... – zaczęła jej przyjaciółka, ale umilkła.

Cassie czekała. Suzanne ponagla ją szturchnęła Paulę w ramię.

– Co? – spytała, ciągle uśmiechnięta od ucha do ucha. – No co?

– On nie żyje – wybąkała Paula.

– Że co?! – krzyknęła Suzanne.

– On nie żyje – powtórzyła Paula. – Ktoś, kto odebrał, raczej nie jego matka ani ojciec, naprawdę się wkurzył i odłożył słuchawkę. Więc nic więcej nie wiem.

– To niesamowite. I strasznie smutne – skomentowała Suzanne, którą rewelacje Pauli z miejsca uspokoiły. Ale była oszołomiona tylko przez chwilę. – Sprawdźmy, jak umarł – zaproponowała. – Może w sieci będzie nekrolog.

Cassie wzięła z powrotem swój telefon. Miała wrażenie, że parzy ją w rękę. Czy za chwilę zadzwoni? Czy rodzice Alexa będą chcieli się z nią skontaktować? Raczej nie. Natomiast czeka ją pewnie telefon od Franka Hammonda albo jakiegoś innego oficjela. Powiedzą jej, żeby przestała dręczyć rodzinę zmarłego. W końcu rodzina z pewnością przekaże policji, że do nich zadzwoniła. Potem dowie się o tym FBI.

Aż wreszcie ta informacja dotrze także do Ani.

Ale im bardziej się nad tym zastanawiała, tym bardziej była przekonana, że ten głupi wybryk nie okaże się niczym więcej niż tylko kolejnym punktem w bogatej kartotece jej wybryków.

Westchnęła. Miała tylko nadzieję, że kiedy Ani zadzwoni do niej następnym razem, to nie po to, by zakomunikować, że ma jej dosyć i rezygnuje z dalszego prowadzenia jej sprawy.

– Suzanne, nie musisz szukać – odezwała się. – Mogę ci opowiedzieć dokładnie, jak umarł.

Paula wyprostowała się nieco na swoim stołku.

– Zaraz, zaraz. Wiedziałaś, że nie żyje, i mimo to pozwoliłaś mi zadzwonić do jego rodziców? Zwariowałaś?

– Próbowałam cię powstrzymać.

– To prawda – przyznała Suzanne. – Próbowałam.

– Mogłaś się bardziej postarać!

– Został zabity w Dubaju – wypaliła Cassie – po tym, jak wyszłam z jego pokoju w hotelu. Jeśli chcecie, możecie o tym przeczytać w „New York Post”. Można tam nawet zobaczyć mnie. W pewnym sensie. Naprawdę nazywał się Alex Sokolov. Nie Iljicz, Sokolov.

Już od jakiegoś czasu zamierzała zamówić następną margaritę i spoglądała tęsknym wzrokiem na pękatą butelkę triple sec widoczną za barem. Ale teraz, gdy zobaczyła twarze swoich towarzyszek, które siedziały z telefonami przed nosem i czytały o śmierci amerykańskiego biznesmena w Dubaju oraz o podejrzanej kobiecie na zdjęciach z monitoringu, nagle zmieniła zdanie. W portfelu miała w sumie dwadzieścia dwa dolary – było to trochę za mało, żeby pokryć jej część rachunku, ale mimo to wręczyła banknoty Pauli, przeprosiła – tak naprawdę przepraszała za bardzo wiele rzeczy, z których niezapłacenie za swoje drinki było jedną z najmniej istotnych – powiedziała dobranoc i wyszła.

Nazajutrz, w niedzielę rano, sama nie umiała stwierdzić, co jest bardziej zaskakujące: to, że przespała całą noc, czy to, że ciągle nikt jej nie aresztował. Nadal też nie zadzwoniła jej prawniczka, żeby zerwać współpracę za ten telefon do rodziny Alexa Sokolova w Wirginii.

Oczywiście dzień dopiero się zaczął. Bardzo dużo mogło się jeszcze wydarzyć.

Postanowiła udać się do schroniska dla zwierząt, jakby to była po prostu zwykła sierpniowa niedziela. Spacerem szło się tam piętnaście minut, a kiedy się spieszyła, znacznie krócej. Ale gdy mijała supermarket, znowu powróciło to dziwne wrażenie, że ktoś ją śledzi. Tak jak poprzednim razem, powtarzała sobie, że ma przywidzenia. Wiedziała jednak, że FBI ma dobry powód, żeby mieć ją stale na oku. I z pewnością były też inne osoby, w tym zabójca Alexa, które chętnie dowiedziałyby się czegoś więcej o kobiecie ze zdjęć z Royal Phoenician.

Na myśl, że ten, kto za nią idzie, wie dokładnie, kim ona jest, przebiegł jej po plecach zimny dreszcz, pomimo duszącego, letniego upału. Stanęła i otworzyła puderniczkę, żeby w lusterku spojrzeć za siebie. Miała wręcz nadzieję, że zobaczy tam Franka Hammonda albo kogoś innego, kto na pierwszy rzut oka wygląda jak agent FBI – lepsze to niż człowiek bez twarzy w czarnej czapce i ciemnych okularach.

Chyba że ten facet też był z FBI. To w końcu niewykluczone, zważywszy na to, jak swobodnie ubierają się podniebni szeryfowie podczas jej rejsów.

Nie zauważyła jednak za sobą nikogo szczególnego. Na ulicach nie było o tej porze zbyt dużego ruchu, a nieliczne taksówki, autobusy i pojazdy dostawcze też nie wydawały się w żaden sposób podejrzane. Ale Cassie ufała swoim instyngtom. Kontrolę przejęło ciało migdałowate, ośrodek strachu. Tuż przed nią znajdował się narożny sklep całodobowy z dwoma wejściami. Zatrzasnęła puderniczkę i weszła do środka, ale nie kupiła nawet kawy, tylko przecięła sklep i wyszła drugimi drzwiami. Kilka metrów dalej mieściła się pralnia chemiczna, która była w niedzielę zamknięta. Cassie stanęła w drzwiach, przyciskając się do szerokiej futryny, i czekała, niewidoczna od strony ulicy. Doliczyła w myślach do stu, dodając po każdej liczbie słowo „Missisipi”, tak jak nauczyła się w dzieciństwie. Następnie zamiast wrócić na poprzednią ulicę i dalej kierować się na północ, postanowiła najpierw iść na zachód, dojść do kolejnej przecznicy i skręcić na północ dopiero na tamtym skrzyżowaniu. Nadkładała sporo drogi, ale w ten sposób stłumiła narastającą panikę.

Kiedy tylko znalazła się w schronisku, poczuła się bezpieczniej, chociaż wiedziała, że to z jej strony niezbyt racjonalne. Gdyby zechcieli ją aresztować, to i tak by to zrobili – schronisko dla zwierząt to nie ambasada w jakimś odległym kraju, która mogła zapewnić jej azyl. A jeśli śledził ją ktoś inny, to i tak ją szybko znajdzie. Nie miała wątpliwości, że ktokolwiek ją obserwuje, zna się na rzeczy.

Udała się prosto do pomieszczenia, w którym trzymano starsze koty. Tego ranka naliczyła ich osiem, większość drzemała albo wylegiwała się w budkach, na drapakach albo legowiskach na regale. Hrabina i Dulci nadal tu były, dwa jedenastoletnie zwierzaki, których wiekowy właściciel zmarł, a jego syn w średnim wieku nie chciał wziąć ich do siebie. (Cassie nigdy nie widziała tego człowieka na oczy, ale szczerze go nienawidziła i uważała jego zachowanie za godne potępienia). Koty rozpoznały jej głos i gdy tylko usiadła na podłodze, od razu wdrapały się jej na kolana. Czesłała je i przemawiała do nich czule, a one odpowiadały zadowolonym mrużeniem, przypominającym gruchanie gołębi, ocierały się o nią i wyciągały łapki. Wydawały się nieco chudsze niż ostatnim razem; Cassie miała nadzieję, że nie przestały jeść ze smutku. Sięgnęła do torby na ramię, żeby dać im trochę smakolyków, które dla nich przyniosła, i z ulgą stwierdziła, że z ich apetytem chyba jednak wszystko w porządku.

Westchnęła. Czy gdzieś indziej czuła się bardziej potrzebna niż tu, w schronisku? Czy gdzieś indziej potrafiła być równie szczęśliwa na trzeźwo? Znała odpowiedź na oba pytania: nie, nigdzie.

W drodze do domu po raz kolejny miała nieodparte wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Podejrzewała, że to nie urojenia. Przypomniała sobie historię przyrodniego brata przywódcy Korei Północnej, którego zamordowano w biały dzień – ktoś podał mu środek paraliżująco-drgawkowy w holu terminalu lotniska na Malezji – i na wszelki wypadek zaczęła obchodzić szerokim łukiem wszystkich mijających ją z naprzeciwka.

W końcu udało się jej dotrzeć do domu, a spacer odbył się, obiektywnie patrząc, bez żadnych niespodzianek. I wciąż nie została aresztowana. Usiadła na kanapie i zadzwoniła do Ani.

– Och, chciałabym móc cię zapewnić, że to już koniec i nie musisz się więcej o nic martwić – powiedziała prawniczka. – Może to wszystko po prostu musi tak długo trwać.

– W takim razie mam się stawić w pracy i lecieć do Rzymu? Bo jeśli tak, to za godzinę muszę wyjść z domu.

– Leć.

– Dobra. Właściwie może powinnam tam zostać – stwierdziła ironicznie Cassie.
– I nigdy już nie wracać.

– Może – zgodziła się Ani, ale Cassie wiedziała, że prawniczka nie mówi poważnie.

– Wczoraj wieczorem zrobiłam coś głupiego – przyznała się i opowiedziała Ani, co się wydarzyło w barze. Ale zamiast ją ochrzanić albo powiedzieć, że się wycofuje, Ani sprawiała wrażenie, jakby spodziewała się po swojej klientce tego rodzaju nieodpowiedzialnego zachowania. Gdy się ponownie odezwała, wydawała się odrobinę rozczarowana, ale przede wszystkim zasmucona.

– Przyjdzie taki dzień, że sięgniesz dna – powiedziała. – Dla większości ludzi dnem byłby już Dubaj. Ale najwyraźniej nie dla ciebie. Zobaczymy.

– Będę miała z tego powodu kłopoty, prawda?

– Bo zadzwoniłaś do domu Sokolova w Wirginii? Ach, nie sądzę, żeby to jakoś pogorszyło twoją sytuację. Powinnaś się wstydić, ale nie jestem już pewna, czy ty w ogóle jesteś zdolna do wstydu, Cassie.

– Jestem – odparła. – Naprawdę jestem.

– Po prostu...

– Co?

– Proszę cię, po prostu zachowuj się jak osoba dorosła.

W trakcie pakowania Cassie zadzwoniła do Dereka Mayesa.

– Miałaś jakieś wieści od linii lotniczej, nie wiem, na przykład że chcą mnie wysłać na urlop? – zapytała. – Powinnam się zacząć bać o swoją pracę?

– Jeszcze nie – odrzekł.

– Czy w firmie wiedzą, że to ja jestem tą kobietą na zdjęciach?

– Niewykluczone. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że tak, wiedzą. Na pewno ktoś z FBI już się z nimi skontaktował. Ale do ciebie nikt się na razie nie odzywał?

– Nie.

– Cóż, do mnie też nie.

- Twoja siostrzenica radzi, żebym leciała do Rzymu zgodnie z planem.
- Moja siostrzenica jest bardzo mądra. Słuchaj się jej we wszystkim.
- Tak zrobię – obiecała, choć od razu przypomniała sobie, że nie była zbyt posłuszna podczas spotkania z agentami FBI w piątek po południu.

Pół godziny później pożegnała się z portierem Stanleyem i wyszła z domu. Ani na moment nie odstępowało jej nieznośne wrażenie, że ktoś czai się poza zasięgiem jej wzroku, choć może za ten dyskomfort odpowiadała po prostu nieprzyjemna wilgotność powietrza. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie podjechać metrem do Dickinsona, żeby zabrać się razem z załogą lecącą dziś do Madrytu, ale zwyczajnie nie miała na to siły. Zamachała na taksówkę, która zbliżała się właśnie do jej apartamentowca. W pierwszym odruchu chciała powiedzieć kierowcy, żeby zawiózł ją na dworzec Grand Central, gdzie przesiadłaby się do autobusu na lotnisko, ale z tego pomysłu też szybko zrezygnowała. Nie dzisiaj. I choć wiedziała, że nie stać jej na kurs aż na JFK – który, doliczając napiwek, będzie kosztować siedemdziesiąt pięć dolarów – właśnie o to poprosiła.

Gdy taksówka wolno posuwała się szosą Van Wyck, na której nawet w letnie sobotnie popołudnie panował duży ruch, nagle zadzwonił jej telefon. Nie znała tego numeru. Po drugiej stronie odezwała się jakaś kobieta, która przedstawiła się i powiedziała, że jest dziennikarką. Cassie natychmiast wyleciało z głowy jej nazwisko i chwilę później musiała poprosić, by je powtórzyła, ponieważ jej uwagę w całości skupił nagłówek w gazecie, w której pracowała kobieta. Kiedy się nieco otrząsnęła, oznajmiła, że nie ma nic do powiedzenia, i rozłączyła się. Najpierw szybko zablokowała w telefonie numer dziennikarki, a potem, nie tracąc ani chwili, zadzwoniła do Ani Mouradian.

Rozdział 19

Koniec końców Elena postawiła na „New York Post”, z tej prostej przyczyny, że „New York Times” pisał o sprawie w sposób odpowiedzialny. Dziennikarze „Timesa” rozumieli, że śmierć Alexa Sokolova nie była aktem terroryzmu i wszystko wskazywało na to, że na razie przestali się tym zajmować. Być może przygotowywali dłuższy materiał na temat zamordowanego biznesmena oraz powiązań firmy Unisphere z rosyjskimi elitami politycznymi – na pewno znajdują się tam standardowe domysły dotyczące korupcji i zbrodni, a także aluzje, że Biały Dom ma długi wobec Kremla – ale finansowe machinacje funduszu hedgingowego to temat jednocześnie zbyt skomplikowany i zbyt nudny, żeby wzbudzić duże zainteresowanie czytelników. A jeżeli pracowali nad artykułem o kapryśności losu, który może przynieść każdemu śmierć podczas podróży w interesach z dala od domu? Elena wierzyła, że tego typu reportaż mógłby być wartościowy i fascynujący, ale nigdy nie przebiłby się do masowej świadomości w epoce internetowego trollingu, regularnych strzelanin w miejscach publicznych i zamachowców samobójców wysadzających się w powietrze wśród tłumu.

Po tym, jak zasiała ziarno swoim anonimowym telefonem, zadzwoniła do Viktora. Właśnie kończył posiłek, ale odebrał i wyszedł na ulicę przed restauracją. Elenę zaciekało, z kim się spotkał i dlaczego nie podał nazwiska towarzyszącej mu osoby. Normalnie mówił jej takie rzeczy od razu, bo najczęściej widywał się z ludźmi, których i tak znała. Był to kolejny sygnał, że narobiła sobie wielkich kłopotów. Nie ufał jej. Przynajmniej nie do końca.

– Lecisz razem z tą stewardesą? – zapytał.

– Do Włoch? – W jej głosie zabrzmiało zdziwienie zamiast posłuszeństwa, sama to usłyszała. Zrobiła głęboki wdech, żeby poskromić emocje.

– Tak, jeżeli tam właśnie leci.

– Nie, nie planowałam – przyznała. Elena nie była doświadczonym pilotem czy stewardesą i jej organizm buntował się przeciwko perspektywie kolejnego lotu na

wschód, do Rzymu, po tym, jak dopiero co przeleciała kawał świata w odwrotnym kierunku.

– Być może powinnaś to rozważyć.

„Być może powinnaś”. Czy da się powiedzieć coś bardziej pasywno-agresywnego? W jego słowach kryła się zawołowana groźba, a także wyraźny komunikat: Elena jest odpowiedzialna za Bowden. Ten bałagan to jej dzieło. A ich cierpliwość jest na wyczerpaniu.

– Chcesz, żebym zakończyła sprawę w Rzymie? – zapytała ostrożnie.

Słyszała, jak zapala papierosa i głęboko zaciąga się dymem.

– Cóż, podoba mi się twój pomysł z samobójstwem. Pod pewnymi względami nawet lepiej by to wyglądało w Rzymie niż w Nowym Jorku. Tylko najpierw daj jej czas, żeby mogła naprawdę boleśnie odczuć tę całą medialną presję. Wiesz, musi być przyczyna i skutek. Ale samobójstwo w hotelu w Rzymie, tego samego dnia, kiedy ukazuje się artykuł w „New York Post”? Pasuje idealnie.

– W takim razie polecę.

– Tylko nie tym samym samolotem co ona.

– Viktor?

– Tak?

Miała ochotę mu powiedzieć, że nie urodziła się wczoraj. Chciała bronić słuszności swoich decyzji i przynajmniej zasugerować, że nie uśmiecha się jej kolejny przelot przez Atlantyk. Ale wiedziała, że taka impertynencja byłaby w tym momencie bardzo nie na miejscu. Dlatego powiedziała tylko:

– Masz absolutną rację. Znajdę inne połączenie. – Czuła do siebie odrazę, że musi się ratować taką dyplomatyczną odpowiedzią.

Ponieważ Bowden latała z JFK, Elena postanowiła kupić bilet na rejs z Newark. Nie chciała ryzykować, że stewardesa zobaczy ją gdzieś w terminalu na Long Island.

Przeszła przez punkt kontrolny ze standardowym przeszukaniem i skanowaniem wykrywaczem metalu. Funkcjonariusz ochrony otworzył jej skórzaną torbę i zapytał o perukę i słomkowy kapelusz z przymocowanymi sztucznymi kosmykami włosów. Wyjaśniła, że wiezie to dla siostry w Orvieto,

która wkrótce rozpoczyna chemioterapię. Po drugiej stronie bramek ludzie stali na jednej nodze jak bociany, zakładając z powrotem zdjęte przed sekundą obuwie.

Chwilę później, kiedy porządnie układała w torbie perukę i kapelusz – tak jak lubiła, a nie tak jak wcisnął je z powrotem człowiek z ochrony – zastanawiała się, czy jeśli założy je jutro albo pojutrze w Rzymie, to ktoś przypomni sobie, że jakaś kobieta na lotnisku w Newark miała coś podobnego w swoim bagażu. Wydawało się to mało prawdopodobne. Wszyscy byli zbyt skupieni na szukaniu bomb w butach.

W klasie turystycznej jej wieczornego samolotu było nawet trochę pustych miejsc, w tym środkowe siedzenie obok niej. Odkąd Elena natknęła się na Bowden w pokoju hotelowym Alexa, z dużo większym zainteresowaniem niż dawniej zaczęła się przyglądać pracy personelu pokładowego. Z zaciekawieniem obserwowała teraz szczupłą stewardesę z siwymi włosami i silnymi łydkami, która jeździła z wózkiem między siedzeniami, pytała pasażerów, czego chcą się napić, a czasem sama musiała odpowiadać na ich pytania, na przykład kiedy światła w kabinie zostaną przyciemnione i czy mogą dostać dodatkowy koc albo poduszkę.

Kiedy wózek z napojami dotarł do jej rzędu i stewardesa stanęła nad nią, Elena – która założyła do samolotu szylkretowe okulary zerówki zakupione kilka miesięcy temu w sklepie z kostiumami – uprzejmie podniosła wzrok znad egzemplarza „Vanity Fair” (niegrzeczne zachowanie bardziej zapadało w pamięć). Poprosiła o dietetyczną colę bez lodu. Kątem oka patrzyła, jak kobieta przelewa napój z puszki do plastikowego kubeczka, i zwróciła uwagę, że ma paznokcie pomalowane na prawie ten sam odcień czerwieni co ona.

Wsunęła magazyn do kieszeni fotela przed sobą i rozłożyła stolik, żeby postawić na nim swoją colę. Następnie zalogowała się do dostępnej na pokładzie sieci wi-fi i weszła na stronę „New York Post”. Tak, artykuł został już opublikowany. Przez dłuższą chwilę wpatrywała się w nazwisko Cassandry Bowden, jakby te dwa słowa kryły w sobie jakieś symboliczne znaczenie, jakby w tych pięciu sylabach zawierała się magiczna inkantacja. Zatraciła się w nich tak dalece, że minęło kilka ładnych sekund, zanim odzyskała koncentrację.

Bowden odmówiła komentarza, podobnie jak przedstawiciele FBI, ale anonimowy informator w szeregach policji Dubaju przyznał, że Cassandra Bowden z Nowego Jorku była co najmniej osobą budzącą zainteresowanie służb w kontekście tej sprawy. Inna stewardesa, którą zacytowano w tekście, nie mogła wprowadzić niczego potwierdzić ani zdementować, ale stwierdziła, że Bowden jest „imprezową i trochę szaloną kobietą”. Dodała też coś, co na pierwszy rzut oka mogło się z tym wydawać sprzeczne, ale Elena doskonale rozumiała sens jej wypowiedzi, jak również fakt, że autorka tych słów bez wątpienia została wcześniej przeszkolona: „Cassie to miła, serdeczna osoba, trochę samotniczka. Kiedy jest w domu, często chodzi do schroniska dla zwierząt, bo bardzo lubi zajmować się bezpiecznymi kotami. Czasami myślę, że ma taką samą depresję jak one. A kiedy pracujemy, nie zawsze wychodzi na miasto, żeby hulać do pierwszej w nocy. Czasem po prostu zamyka się w swoim pokoju i idzie spać. Ta praca jest naprawdę wymagająca, a ona taką po prostu ma naturę”. Elena umiała rozpoznać charakterystyczne przyływy i odpływy energii u osoby w okowach nałogu. Rozumiała ludzi, którzy czasami chcą się po prostu zakopać w białej pościeli w pokoju w Hiltonie albo wtulić w sierść równie jak oni bezbronnego, skrzywdzonego kota. Nie wierzyła jednak, że Bowden ma autentyczną depresję – to pachniało koloryzowaniem na potrzeby chwili.

W artykule cytowano także jej prawniczkę, niejaką Ani Mouradian, która zapewniała, że Bowden w pełni współpracuje z organami prowadzącymi dochodzenie i nie miała absolutnie nic wspólnego ze śmiercią Alexa Sokolova. Na koniec wypowiadał się przedstawiciel linii lotniczej: zatrudniona przez nich stewardesa nie została oskarżona o popełnienie żadnego przestępstwa ani w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, ani w Stanach Zjednoczonych i nie złamała żadnego punktu regulaminu firmy, dlatego nie miał nic do powiedzenia w tej sprawie.

Niemniej „Post” nadał Bowden nowy przydomek. Teraz, gdy przestała być tajemniczą kobietą ze zdjęcia, nie wystarczała już banalna „czarna wdowa”. Wszyscy wiedzieli, że jest stewardesą, więc okrzyknięto ją „Latającą Modliszką”.

Niezbyt błyskotliwe, pomyślała Elena, ale mogło być gorzej. Określenie było sugestywne, miało dobry rytm i, co najważniejsze, kojarzyło się jednocześnie z zabijaniem i z seksem.

Zamknęła przeglądarkę w telefonie i usiadła wygodniej w fotelu. Wróciła myślami do krótkiego spotkania z Bowden w Dubaju. Stewardesa była wtedy oczywiście kompletnie pijana, tak samo jak Alex. Ale wydawała się też całkiem miła i zabawna. I w tym właśnie momencie Elena przypomniała sobie, jak Alex uważnie nadstawił uszu, kiedy Bowden wspomniała coś o swoim szwagrze i jego pracy. Padła nazwa bazy wojskowej, ale Bowden tłumaczyła, że jest on bardziej inżynierem niż żołnierzem.

Skrzywiła się, zła na siebie za to, że przeoczyła coś tak oczywistego. Sokolov już wtedy to wiedział. Wiedział wszystko o szwagrze Bowden. Musieli o tym rozmawiać w samolocie, a on natychmiast dodał dwa do dwóch. To dlatego zabrał ją do swojego apartamentu. Skończyło się wprawdzie na dzikiej, pijackiej rozpuście, ale zaczęło się od czegoś innego. To nie ona go uwiodła, tylko on ją. Było to śmiałe posunięcie, które ilustrowało zarówno wielką inteligencję, jak i naiwność Sokolova. Kurier – kimkolwiek był, bo Viktor nie mógłby przecież złamać swoich żelaznych reguł i choć raz po prostu jej w coś wtajemniczyć – przeczuwał, że FBI jest coraz bliżej, i zaczął się niepokoić. Dlatego Viktor zlecił przeprowadzenie akcji Sokolovowi, a ten przyjął to zadanie z wdzięcznością, ponieważ sam narobił sobie masę kłopotów i poważnie naraził się swoim rosyjskim klientom. I wtedy w jego życiu pojawiła się stewardesa mająca bezpośredni kontakt z kimś z Blue Grass, która zapewne potrzebowała pieniędzy. Sokolov z miejsca postanowił ją zwerbować – byłaby idealnym prezentem dla krwiożerczego Kozaka, który pracował nad produkcją dronów przenoszących broń chemiczną.

Ojciec Eleny miał jedną zasadę, która dobrze służyła mu i przed upadkiem ZSRR, i po upadku: ufaj swoim instynktom. Mówił, że w czasach służby KGB wiele razy uratowała mu życie, a później niejednokrotnie ocaliła też jego majątek.

Wózek z napojami już dawno ją minął, ale nagle wyłonił się przed nią przystojny steward i spytał, czy dolać jej coli. Miał na głowie efektowne, czarne jak smoła dready związane w nienaganny kucyk.

– Nie, dziękuję – odparła.

– Nie ma sprawy – uśmiechnął się. – Proszę mi dać znać, gdyby pani czegoś potrzebowała.

Skinęła mu serdecznie głową, ale myślami była już gdzie indziej. Wszystko było jak trzeba, tłumaczyła sama sobie, i właściwie nic się nie zmieniło. Ale w jej głowie,

gdzieś bardzo głęboko, zapaliła się czerwona lampka.

Rozdział 20

W erze cyfrowej wieści rozprzestrzeniały się z szybkością wirusa i chociaż Cassie nie знаła nikogo z załogi nocnego rejsu do Rzymu, oni znali ją. Wszyscy przeczytali artykuł na swoich telefonach w drodze na lotnisko albo czekając na kontrolę bezpieczeństwa czy na wejście do samolotu. Dowiadywali się o nim od rodziny, przyjaciół i znajomych z pracy, którzy zobaczyli nagłówek na Facebooku czy Twitterze. W końcu chodziło o osobę zatrudnioną w ich liniach lotniczych.

I chociaż nie miała przyszytej do stroju szkarłatnej litery A – firmowe przepisy dotyczące ubioru nie zezwoliłyby na tego rodzaju dodatki, pomyślała ponuro – czując na sobie te wszystkie nieufne spojrzenia, czuła się jak Hester Prynne. Nie, to szaleństwo miało wydźwięk jednoznacznie rosyjski, więc raczej jak Anna Karenina. Ale oczywiście Anna nikogo nie zabiła. Odebrała życie jedynie samej sobie. Kierownik obsługi, smukły czterdziestokilkuletni mężczyzna imieniem Brandon, który gdy nie latał, prowadził w Buffalo zajęcia na siłowni, zapytał ją, czy jest w stanie pracować. Powiedziała, że tak, oczywiście. Spodziewała się tego od jakiegoś czasu. Dodała – w ciągu tych trzydziestu minut, zanim weszli na pokład, żeby przygotować samolot do startu, powtórzyła to tyle razy, że sama zaczęła w to wierzyć – że Alex Sokolov żył, kiedy opuściła jego pokój. Nie miała pojęcia, kto go zamordował, co także stwierdzała z pełnym przekonaniem – chociaż tak naprawdę była prawie pewna, że zna odpowiedź: zrobiła to albo Miranda, albo ktoś, kogo znała Miranda. Tak czy inaczej ta kobieta musiała być w to jakoś zamieszana.

Może nawet to ona nasłała tego gościa w czarnej czapce z daszkiem.

Niestety wciąż jeszcze zdarzały się jej chwile, gdy zaczynała się zastanawiać, czy niesłusznie obwinia Mirandę – ponieważ sama zabiła Alexa Sokolova. Najczęściej była w stanie to sobie wyperswadować, ale niewątpliwie często zdarzało się jej, że

rano przeżywała szok na wieść, co wyprawiała wieczorem po tym, jak urwał się jej film.

„Cassie, naprawdę nie pamiętasz, jak kopałaś tę szafę grającą? Wkurzyłaś się, bo nie mieli nic Taylor Swift. Jak wyglądała rano twoja noga?”

„Wrzeszczałaś jak gwiazda porno, dziewczyno. Ludzie w sąsiednim mieszkaniu walili w ścianę”.

„Chciałaś dać jakiemuś bezdomnemu swoje wszystkie karty kredytowe, Cassie. Zaczęłaś opróżniać portfel. To w sumie urocze, ale kompletnie ci odbiło”.

„Houdini Bikini. Tak nazwałaś swój numer. Zdjęłaś stanik i próbowałaś ściągnąć majtki”.

Kiedyś, w chwili refleksji na trzeźwo, Paula stwierdziła, że którejś z nich pisana jest „śmierć w wyniku nieszczęśliwego wypadku”. Podobno taką formułkę wypisywało się na akcie zgonu, kiedy zmarły zrobił coś nieprawdopodobnie głupiego, zazwyczaj po pijaku. Ludzie się topili, spadali z dachów albo ze stromych schodów. Paula śmiała się, że można sobie wyobrazić gorszą śmierć.

Rozmowy wśród załogi szybko stały się dość niezręczne. W normalnych warunkach swobodnie by ze sobą gawędzili, żeby lepiej się poznać, ale jak tu prowadzić pogaduszki z osobą podejrzaną o morderstwo w Dubaju? Cassie dobrze to rozumiała. Nie traktowali jej jak pariasa, ale nikt za bardzo nie wiedział, jak przeskoczyć od tematu zabójstwa jakiegoś biznesmena do standardowych pytań o to, kto ma jakie hobby.

„Moim hobby jest alkohol” – odpowiedziałaby Cassie, gdyby ktoś ją zapytał. – „Chcesz wiedzieć, jak zrobić dobre brudne martini? Wrzucić do kieliszka kostkę lodu, dolać odrobinę wody i wstawić na kilka minut do zamrażalnika. Potem dodać gin, wermut i zalewę z oliwek”.

A jednak, mimo tych wszystkich przeciwności losu, już od trzech godzin jakby nigdy nic wykonywała po prostu swoją pracę. Obsługiwała klasę biznesową razem z miłą kobietą w tym samym wieku, Makaylą, która na szczęście okazała się heroicznie wręcz kompetentna. Zawsze była o krok przed Cassie, nieważne, czy chodziło o mokre ręczniki, czy ciepłe orzeszki, otwierała butelki wina i łagodnie – bardzo łagodnie – pomagała jej skoncentrować się na pracy, gdy podgrzewały steki, łososia albo risotto. Przedstawiając się pasażerom, Cassie używała środkowego imienia, Elizabeth, i prosiła, żeby mówili do niej Ellie. (Wcześniej

zdjęła z uniformu plaketkę z imieniem, co stanowiło zapewne naruszenie regulaminu, ale dziś zwyczajnie miała to gdzieś). Brzuchaty facet w paskudnej zakardowej koszuli z krótkimi rękawami chyba ją rozpoznał, ale podróżował sam i widocznie nie miał potrzeby dzielenia się swoją wiedzą z innymi pasażerami. Czasem rzucał jej tylko porozumiewawcze spojrzenia.

Teraz, kiedy lecieli w ciemności nad Atlantykiem i większość pasażerów zasypiała, miała wreszcie chwilę, żeby usiąść i skorzystać z telefonu, jeszcze raz przeczytać ten artykuł. I jeszcze raz. Spojrzeć na swoje „bez komentarza”, co w kontekście tego koszmaru wyglądało jak przyznanie się do winy, ale także na to, jak sprawnie Ani Mouradian broniła jej przed oskarżeniami. Nie mogła się powstrzymać i rzuciła okiem na komentarze czytelników pod artykułem: większość była bezmyślna, inne otwarcie wrogie, ale wszystkie bolesne i okrutne. Sprawdziła, w jaki sposób na ten temat dyskutuje się w mediach społecznościowych. I w końcu zajrzała na swoją skrzynkę pocztową, do e-maili od Ani, Megan i Rosemary. Siostra miała do niej wielki żal. Pisała, że nie może pojąć, dlaczego Cassie nic jej nie powiedziała, ani kiedy rozmawiały przez telefon zaraz po jej powrocie z Emiratów, ani w sobotę. „Przecież spędziłyśmy ze sobą cały dzień” – przypominała. Była zła, zawiedziona i bardzo się o nią martwiła. Cassie nie otrzymała chyba jeszcze od niej tak gorzkiego listu, ale wiedziała, że zasłużyła sobie na każde słowo.

W skrzynce czekał też e-mail od jej przyjaciółki Gillian: podyktowany dobrymi intencjami, ale mimo to obrzydliwy żart o tym, że ten facet musiał być naprawdę beznadziejny w łóżku, skoro Cassie poderżnęła mu gardło.

Brandon, Makayla i reszta załogi zostawili ją w spokoju, bez wątpienia domyślając się, co teraz przeżywa.

Cassie naprawdę nie wiedziała, co jest gorsze: głupie żarty czy nienawistne komentarze. W Internecie nie brakowało jednego i drugiego, a wszystko podszyte seksizmem i czystą złośliwością. W artykule nie było wzmianki o jej piątkowej wizycie w biurze FBI, kiedy przyznała się (wprawdzie nie do końca szczerze), że istotnie spędziła noc z Alexem; widocznie ta informacja nie wyciekła z FBI do prasy. Ale autor tekstu i tak wyraźnie to sugerował, na podstawie nagrań z monitoringu oraz rozmowy z pracownikiem hotelu, który powiedział, że widział stewardesę z zamordowanym biznesmenem. Cassie popijała colę, żeby uspokoić

żołądek, chociaż tak naprawdę wolałaby drinka. Ale nie próbowała się ukradkiem napić w kuchni pokładowej. Nie teraz.

Najdziwniejszym fragmentem artykułu wydała się jej wypowiedź ojca Alexa. Najpierw wyraził swoje prostoduszne przekonanie, że FBI i dubajska policja znajdą zabójcę jego syna. Potem rozczulająco mówił o niewinnych zainteresowaniach Alexa, który przekuł „dziecięcą” fascynację liczbami w karierę finansisty. Po tym wszystkim jednak Gregory Sokolov wyznał, że spekulacje, jakoby jego syn był szpiegiem, są dla niego zdumiewające i całkowicie nieuzasadnione. Cassie też wielokrotnie przyszło to do głowy, zwłaszcza po tym, jak Derek Mayes przy tamtym śniadaniu podsunął jej taką myśl. Ale można było wręcz odnieść wrażenie, że ojciec Alexa zarzeka się nieco zbyt gorliwie. Ponadto Cassie nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo rozpowszechnione były już te teorie. Faktycznie, wystarczyło wpisać w Google nazwisko Sokolova, by od razu trafić na rozmaite pogłoski i aluzje, które mnożyły się jak grzyby po deszczu. Wielu ludzi spekulowało, że pracował dla CIA, Mosadu, MI6 albo FSB. Było kilku zwolenników teorii spiskowych głoszących, że był członkiem jakiegoś tajnego szwadronu śmierci, znacznie bardziej złowieszczego od CIA czy FSB, i odpowiadał bezpośrednio przed amerykańskim lub rosyjskim prezydentem. Wymieniano grupy o takich nazwach jak Double O (brytyjska), Kozacy (rosyjska), Phoenix (amerykańska) i Kidon (izraelska). Żadna z nich nie pasowała jej do młodego dżentelmena z Wirginii, z którym jadła kolację w Dubaju. On lubił pieniądze i matematykę, na miłość boską. Czytał dziewiętnastowieczne powieści. Cassie była przekonana, że sama wiedziała więcej o broni palnej niż on.

Ale miał rosyjskie nazwisko. I rosyjskie zainteresowania. Rosyjską wodę kolońską, książki i alkohol.

Jedna z pasażerek, szczupła młoda kobieta w rajstopach w panterkę, które nieodparcie kojarzyły się jej z luksusowymi szlafrokami w Royal Phoenician, stanęła nad nią i uśmiechnęła się. Cassie założyła, że kobieta zamierza wejść do znajdującej się obok toalety. Miała długie ciemne włosy z przedziałkiem pośrodku i nieco senne oczy. Ale nie weszła do łazienki. Oparła się tylko o uchwyt przy drzwiach – ten, który był przymocowany do kadłuba i którego Cassie miała się trzymać w przypadku ewakuacji, żeby napierający tłum nie wypchnął jej z samolotu.

– Łazienka jest wolna – powiedziała Cassie.

Kobieta kiwnęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Ja tylko chciałam rozprostować nogi – odparła. – Co się dzieje na świecie?

– W tej chwili nic, dzięki Bogu. Głównie mówi się o wyborach do Kongresu.

– Lubię takie dni, kiedy nie ma żadnych ważnych wiadomości. To znaczy, że w żadnym zakątku świata nic nie wybuchło. Nie spadły bomby na żaden szpital na Bliskim Wschodzie. Żaden wariat nie zaczął strzelać do dzieci w szkole w Kentucky.

– Wychowałam się w Kentucky – powiedziała Cassie.

– Nigdy tam nie byłam. Podobno jest tam ładnie.

– To prawda.

– Jestem Missy.

– Miło mi. Ellie.

– Mogę cię o coś zapytać – kobieta zrobiła pauzę, zanim wypowiedziała jej imię – Ellie?

Cassie czekała. Zazwyczaj kiedy pasażer chciał z nią rozmawiać w połowie równie spokojnego lotu, chodziło o jakieś niewinne pytanie dotyczące jej pracy. Po prostu ktoś nie mógł zasnąć i miał ochotę pogadać. Czasami dopiero w takich chwilach cud, jakim jest latanie nad ziemią, stawał się dla nich realny.

– Oczywiście.

– Kiedy nalewałaś mi wina podczas kolacji...

– Tak?

– Trzęśły ci się ręce. A teraz, cóż, wyglądasz trochę, jakbyś się miała rozplakać.

– Więc jak brzmi twoje pytanie?

– Po co się zadręczasz czytaniem tego wszystkiego? Prowadzę bloga o stylu dla „Enticement”. To niezupełnie poważne wiadomości, ale i tak spotykam się z wystarczającą ilością plugastwa w sieci. Może nawet z większą niż inni. Wyzywanie się od grubych, od dziwek, krytykowanie wyglądu. Wiem, kim jesteś, i wiem, co o tobie piszą. Zapewne właśnie czytałaś ten sam artykuł i komentarze co ja przed chwilą. To wszystko jest absolutnie toksyczne. Więc może lepiej, nie wiem, ściągnij sobie jakąś powieść do czytania?

– Mam nawet książkę ze sobą – odpowiedziała odruchowo Cassie.

– Świetnie. Myślę, że powinnaś oddać sama sobie przysługę i przez jakiś czas nie zaglądać do Internetu.

Cassie nie była pewna, czy to zwykła życzliwość, czy też wścibstwo maskowane serdecznością. Ale oczy Missy potwierdzały dobre intencje.

– Moi rodzice są oboje psychiatrami – kontynuowała – dlatego wiem, że takie rozmowy, nawet prowadzone w dobrej wierze, potrafią wyrządzić wiele szkód. Przepraszam, jeżeli to, co mówię, w ogóle ci nie pomaga. Ale wydawałaś się taka... przygnębiona, że po prostu musiałam się do ciebie odezwać.

– W porządku. – Cassie czuła, jak do oczu napływają jej łzy. – Wszystko dobrze.

– Wiesz, że ludzie płaczą w samolotach częściej niż gdziekolwiek indziej?

– Nie wiedziałam, że to potwierdzony fakt – odparła. – Ale chyba to podejrzewałam po tych wszystkich latach spędzonych w powietrzu.

– Tak, na pewno wiesz to lepiej ode mnie. W samolocie człowiek często jest sam. Albo jest zestresowany. Albo właśnie przeżył coś głębokiego i ważnego. Dlatego filmy i książki wyjątkowo na nas działają na wysokości dziesięciu tysięcy metrów.

– Masz rację. – Cassie psiknęła sobie purell na palce, po czym otarła łzy z policzków.

– Zamknęłaś już swojego Tindera?

– Jeszcze nie.

– Zrób to. Po prostu go wyłącz. Tindera, Facebooka, Instagrama, Twittera. Boże, przede wszystkim Twittera. I cokolwiek tam jeszcze masz. Po prostu to wszystko zatrzymaj.

Cassie pociągnęła nosem.

– To dobra rada. Tak zrobię. Dziękuję.

Missy się uśmiechnęła. Miała piękny uśmiech. Cassie wstała i objęła ją, zastanawiając się, dlaczego nie ma więcej takich znajomych jak ta młoda kobieta – znajomych, z którymi interakcja nie ograniczałaby się tylko do picia albo zmagania się z konsekwencjami picia – i żałowała, że nie może zostać w jej ramionach do końca lotu.

Kiedy Missy wróciła na swoje miejsce, Cassie posłuchała jej rady i postanowiła zrobić sobie przerwę. Nie tylko dezaktywowała swoje konta na większości portali społecznościowych, ale nawet całkiem usunęła ich aplikacje z telefonu.

Następnie dokończyła opowiadanie Tolstoja, które zaczęła kilka dni temu, ale potem odłożyła na później. Ku jej sporemu zaskoczeniu *Szczęście rodzinne* wcale nie było ironicznym tytułem. Zakończenie wzruszyło ją do łez. Masza, pomyślała. Co za piękne imię.

Wiele samolotów ze Stanów Zjednoczonych lądowało na Fiumicino w tym samym przedziale czasowym: późnym rankiem. Tłum zgromadzony przy kontroli paszportowej nie składał się w całości ani nawet w połowie z samych Amerykanów, ale można było odnieść takie wrażenie. Cassie słyszała wokół siebie akcenty z Południa, z Nowej Anglii i Nowego Jorku.

Ale wszystkie załogi miały swoją własną kolejkę, dzięki czemu przechodziły przez kontrolę szybciej niż pasażerowie.

Cassie szła teraz u boku Makayli. Minęły bramki i zbliżały się do przejścia prowadzącego do hali odbioru bagażu (dokąd nie musiały iść), a dalej było już wyjście z terminalu, gdzie miał czekać bus, który zabierze ich wszystkich do Rzymu. Makayla opowiadała jej o swojej ulubionej wegetariańskiej restauracji na via Margutta i zaproponowała, żeby zjadły tam razem kolację. Cassie zauważyła, że szwankuje jedno kółko przy jej walizce, bo coś lekko się haczy. Próbowwała słuchać koleżanki, ale myślami wciąż wracała do tego, co może się w tej chwili dziać w Nowym Jorku i w Dubaju. Tak, większość Nowego Jorku jeszcze spała, ale zapewne nie FBI. Wyobrażała sobie, jak agenci FBI i policjanci z Dubaju piszą do siebie e-maile i SMS-y, przesyłają sobie zaszyfrowane pliki. Jej zdjęcia i nagrania wideo. Być może jej e-maile ściągnięte prosto z serwera. Protokoły przesłuchań pracowników hotelu.

Wyobraziła sobie, że ktoś jakimś sposobem przeszukuje główne wysypisko śmieci gdzieś na obrzeżach Dubaju, poszukując rzeczy, które wtedy wyrzuciła. Zastanawiała się, czy powiększą obraz z kamery, żeby lepiej zobaczyć jej torebkę i móc poszukać dokładnie takiej samej wśród gór śmieci na środku pustyni. A może będą raczej szukać zaginionych hotelowych ręczników. Albo noża. Czy

koroner byłby w stanie odgadnąć na podstawie samej rany, czy gardło Alexa przecięto nożem czy rozbitą butelką? Pewnie tak. Powtarzała sobie, że nie ma szans, by znaleźć coś tak małego jak torebka na ramię albo bardzo konkretny odłamek szkła w tak ogromnym mieście jak Dubaj. Dlatego choć myśl o podobnych poszukiwaniach budziła niepokój, zdołała w dużej mierze stłumić w sobie te obawy.

I nagle stanęła jak wryta. Złapała Makayłę za ramię, żeby też ją zatrzymać. W kolejce do kontroli paszportowej, wśród długich rzędów pasażerów, którzy przylecieli spoza Unii Europejskiej – czyli w większości Amerykanów, głównie biznesmenów przybywających w poniedziałek rano, choć oczywiście było też trochę turystów oraz osób z paszportami innych nieeuropejskich krajów – stała kobieta z kasztanowymi włosami zaczesanymi we francuski kok. Chowała właśnie szylkretowe okulary do torebki, a przez ramię miała przewieszoną piękną torbę podróżną z cielej skóry. Kiedy podniosła głowę, Cassie od razu ją rozpoznała, bez cienia wątpliwości. Odruchowo wyszeptała tylko jedno krótkie przekleństwo oraz imię tej kobiety.

– Cholera. Miranda.

Część czwarta

NIE JESTEŚ
NICZYIM POPYCHADŁEM

Rozdział 21

Elena zdawała sobie sprawę, że Zachód postrzega prezydenta Federacji Rosyjskiej w kategoriach czarnego charakteru z filmu o Jamesie Bondzie. Ten człowiek likwidował swoich politycznych przeciwników za pomocą radioaktywnej herbaty, na miłość boską. Kazał hakerom ze służb wywiadowczych włamać się do skrzynek pocztowych amerykańskich polityków i opublikować ich korespondencję, żeby wpłynąć na wynik wyborów prezydenckich w Stanach. Wydawał się ludziom jednocześnie straszny i śmieszny. Wszyscy traktowali go poważnie – bardzo poważnie – ale natrzęsalili się za jego plecami.

Wiedziała też, że podczas gdy Kanadyjczycy przyjmowali do swojego kraju wielu muzułmańskich uchodźców w szczytowym momencie kryzysu migracyjnego kilka lat temu, większość zwykłych Amerykanów uważała słowa islam i ISIS za synonimy. Byli przekonani, że każdy meczet, od Faludży po Florydę, stanowi wylęgarnię zamachowców samobójców, dlatego musieli zaopatrzyć się w półautomatyczną broń. Wmawiali sobie, że mury i karabiny zapewnią im bezpieczeństwo.

Niestety świat nie był taki prosty. Elena przypomniała sobie coś, co powiedział jej kiedyś w Soczi jeden z towarzyszy jej ojca z FSB, kiedy próbował wy badać, czy da się ją może zwerbować: „Smutne to czasy, gdy idioci rządzą ślepcami. Parafrazuję Szekspira, być może niezbyt udanie, ale na pewno rozumiesz, do czego zmierzam. Świat to dom wariatów, Eleno. Zawsze tak było i zawsze tak będzie. Do tego skomplikowany dom wariatów. Nasz kraj ma teraz szansę coś osiągnąć, tak uważam. Wiesz, po tym wszystkim, co przeszliśmy. Czego doświadczył nasz naród. Nie mamy wielkich wymagań”.

Ale dziś nie było już zimnej wojny. W każdym razie nie w tym znaczeniu, do którego przywykli jej ojciec i dziadkowie. Z pewnością nie było wojny światowej, przynajmniej jeszcze nie. Zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Rosji nastroje nacjonalistyczne były silniejsze niż kiedykolwiek i w rezultacie oba kraje

odnosiły się do siebie dość chłodno. Nie zawsze tak było. Przez jakiś czas Amerykanie wylewali krokodyle łzy nad losem ludzi z Aleppo, ale rozumieli, że Syria – tak jak Ukraina, tak jak Krym – to nie ich podwórko, tylko Rosji. Tak więc z wyjątkiem garstki publicystów przez długi czas nikt w Ameryce nie przejmował się zbytnio tym, że Federacja Rosyjska umieściła pociski nuklearne Iskander w Kaliningradzie (który przez wieki nazywał się Königsberg).

Dobry Boże, połowa Amerykanów była przekonana, że ich własny prezydent jest rosyjską marionetką.

Po prawdzie bardzo niewielu mężczyzn czy kobiet mieszkających w Indianapolis czy Kansas City zmartwiło się, gdy Rosjanie infiltrowali system komputerowy amerykańskiej Agencji Bezpieczeństwa Narodowego. Mało komu spędzało sen z powiek, że zwerbowali – nawrócili – kolejnego prywatnego kontrahenta państwowych służb, który przechowywał w szopie na narzędzia kartony pełne poufnych akt, tak samo jak niektórzy gromadzą stare wydania magazynu „Life”, plastikowe figurki postaci z *Gwiezdnych wojen* czy porcelanowe koty syjamskie.

Teraz to się zmieniło.

Jeżeli jakikolwiek zakątek świata był w stanie wywołać kolejną globalną wojnę, to była nim Syria. Jasne, Korea Północna miała bomby atomowe i międzykontynentalne pociski balistyczne, a możliwości bojowe syryjskiej armii często – bardzo często – ograniczały się do wypychania prymitywnych bomb beczkowych z helikopterów. Ale niebo nad Syrią było bardzo zatłoczone, a kryzys uchodźczy wystawił świat zachodni na ciężką próbę. Wielkie i małe państwa śmiertelnie bały się sfanatyzowanych samobójców – czy to importowanych, czy to wywodzących się z ich własnego ogródka – z bombami przymocowanymi do piersi albo z bronią automatyczną w ręku, a czasem po prostu za kierownicą dużej ciężarówki, którą wjeżdżali prosto w tłum ludzi na ulicy, jakby to były skunksy przechodzące przez wiejską drogę w środku nocy. Pojawiali się znikąd, niczym ludzkie miny lądowe, by wymordować kobiety i mężczyzn, którzy mieli tego pecha, że znaleźli się obok nich w nocnym klubie, kinie czy na lotnisku. Mordowali dziesiątki, setki ludzi za jednym razem, całkowicie losowo. A potem sami się zabijali. Owca

Czy ci psychopaci byli gorsi od syryjskich żołnierzy wyrzucających z helikoptera improwizowane bomby? Może, ale tylko dlatego, że sami też chcieli zginąć.

Syryjczycy zrzucali na przykład bombę na dzielnicę kontrolowaną przez rebeliantów, odczekiwali dwadzieścia minut, aż ci, którzy przeżyli, zaczęli wyciągać swoich sąsiadów spod gruzów, i wtedy zrzucali drugą. Bomby beczkowe zabijały kilkadziesiąt tysięcy więcej cywilów niż broń chemiczna.

Ale to przez broń chemiczną wyborcy w takich miejscach jak Monachium, Manchester czy Minneapolis zaczęli interesować się tym, co się dzieje na drugim końcu świata. Sprawiały to nagrania duszących się dzieci, wymiotujących i toczących pianę z ust dorosłych. Jeśli chcesz, żeby Biały Dom zwrócił na ciebie uwagę, musisz zabić jakieś dzieci sarinem. Gaz możesz przenieść pociskiem ziemia-ziemia albo zrzucić z pokładu miga.

Rosyjskie drony latały po tym samym niebie co amerykańskie. Piloci znajdujący się na ziemi kierowali je nad określone cele, a maszyny przesyłały z powrotem nagrania wideo i koordynaty. Tak to działało na Ukrainie i tak samo działało w Syrii. Rosyjskie drony z pewnością nie były prymitywne, ale w przeciwieństwie do modeli amerykańskich czy chińskich wciąż były zdolne jedynie do działań rozpoznawczych.

Trudno to sobie wyobrazić: wydawać tyle pieniędzy po to, żeby pilot nie musiał kierować samolotem z wnętrza kokpitu, tylko z bezpiecznej odległości. A w tym samym czasie nadal masakruje się cywilów brutalnymi, barbarzyńskimi metodami w rodzaju bomb beczkowych i gazów bojowych.

Czasami Elena patrzyła na Viktora albo na zdjęcia prezydentów w Waszyngtonie, Moskwie czy Damaszku i myślała ponuro: to już koniec. Zbliżamy się do końca drogi.

Ale niestety nie było odwrotu.

Dlatego robiła, co mogła, choć tak naprawdę nie mogła zbyt wiele i nie było to warte ceny, którą musiała zapłacić – własnego zdrowia psychicznego.

Jednak w przeciwieństwie do terrorystów, anarchistów czy dżihadystów wciąż mogła na palcach jednej ręki policzyć osoby, które osobiście zabiła (choćby musiałaby wykorzystać wszystkie palce, łącznie z kciukiem). Większość jej zadań miała charakter raczej biurokratyczny i to samo miała nadzieję robić w Dubaju po śmierci Sokolova. Nigdy nie mogłaby tego powiedzieć Viktorowi ani nikomu innemu, ale żyła z pewną dozą nienawiści do samej siebie, nawet jeżeli wszyscy,

których miała na sumieniu, naprawdę zasługiwali na śmierć. Nawet Sokolov. Obie strony by się z tym zgodziły.

Ale właśnie Sokolov budził w niej największe wątpliwości. Obiektywnie patrząc, nie był złym człowiekiem. Tylko kompletnie niegodnym zaufania. Viktora po prostu się nie okrada. Mimo to Alex nie należał do tej samej kategorii drani, co ta gnida w Latakii albo ten kretyn, którego sprzątnęła w Doniecku. On jedynie wypłynął na zbyt burzliwe wody, myśląc, że będzie w stanie po nich żeglować. Właściwie trochę przypominał ją samą: był tylko pionkiem. Stał na szachownicy na polu D2 albo E2. Pionki wychodzą z szeregu po to, by otworzyć linię ataku dla gońca. W grze przeciwko większości przeciwników nie utrzymują się na szachownicy zbyt długo. Sokolov wykonał swoje zadanie i dostarczył przesyłkę. A ona musiała go zabić z jednego jedyne powodu: ponieważ tak kazał Viktor.

Wysłuchała się w kojący szum silników i zamknęła oczy. Chciałaby cofnąć się w czasie. Wrócić do tamtej nocy w Royal Phoenician.

Nie, gdyby mogła, cofnęłaby się do tej chwili, kiedy rozmawiała z nim przez telefon, jeszcze przed wyjściem do jego hotelu.

„Alex, cześć! Jak miło, że jutro się spotykamy! Jesteś teraz sam?”

W rzeczywistości nie zadała tego ostatniego pytania. Nie przyszło jej to do głowy. A powinno. Ponieważ on wtedy mógłby odpowiedzieć: „Właściwie nie. Mam gościa. Ale i tak wpadnij, zapraszam”.

Ona jednak tym razem by go nie odwiedziła. Zaczekałaby dłużej. Może udałaby się do Royal Phoenician znacznie później, w środku nocy. A może zajęłaby się Sokolovem następnego dnia. Albo dwa dni później.

Niestety nie mogła cofnąć czasu. Mogła tylko iść naprzód. Zrobić, co do niej należy. Naprawić to, co sama zepsuła, a potem poważnie zastanowić się, co dalej.

TEMAT: ALEX SOKOLOV

DATA: 6 sierpnia 2018

Policja w Dubaju powiadomiła naszego przedstawiciela w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, że dziś rano o godz. 9.15 czasu lokalnego pokojówka zatrudniona w hotelu Royal Phoenician znalazła potencjalny dowód w sprawie morderstwa Alexa Sokolova.

ILMA BAQRI, należąca do personelu hotelowego, odkurzała północno-wschodni korytarz na piątym piętrze. Kiedy przesunęła stojącą tam okrągłą kanapę, zobaczyła na podłodze szminkę oraz balsam do ust z logo linii lotniczych CASSANDRY BOWDEN. Wyglądało to na kosmetyki, które zazwyczaj stanowią część zestawów dla pasażerów pierwszej klasy.

Bez próbki DNA albo odcisków palców nie jesteśmy w stanie stwierdzić, czy któryś z przedmiotów należał do CASSANDRY BOWDEN. Oba znajdują się teraz w posiadaniu dubajskiej policji.

Rozdział 22

Cassie nigdy nie stroniła od chaosu, kiedy była pijana; wiedziała, że nawet na trzeźwo jest jak najbardziej zdolna do podejmowania wybitnie złych decyzji. Przykład pierwszy z brzegu: piątkowe spotkanie z agentami FBI w Federal Plaza. Zdawała sobie jednak sprawę, że nie dostanie się do Mirandy, póki tamta stoi w kolejce do kontroli paszportowej. Nie mogła po prostu wrócić przez bramki – nie tylko musiałyby iść pod prąd, ale prosto w ścianę ze stali i szkła, przez wąskie przejścia pełne uzbrojonych funkcjonariuszy, których zadaniem jest wypatrywanie i neutralizowanie potencjalnych terrorystów. Chociaż najchętniej rzuciłaby się prosto w tłum i desperacko walczyła, by przedrzeć się aż do Mirandy, nie odważyła się tego zrobić. Zostałaby zatrzymana, może nawet aresztowana na długo, zanim w ogóle zbliżyłaby się do tej kobiety. Ze zdenerwowania cała niemal się trzęsła. Nie odrywając oczu od Mirandy, powiedziała do Makayli:

– Możesz poprosić załogę, żeby chwilę na mnie zaczekali? I popilnowałabyś mojej walizki?

– Co się dzieje?

– Znam kogoś przy odprawie paszportowej. Przy szóstej bramce. Muszę z nią porozmawiać.

Zastanowiły ją okulary, które Miranda schowała do torebki, bo kiedy się ostatnio widziały w pokoju Sokolova w Dubaju, żadnych nie miała. Ale może po prostu nie nosiła szkieł kontaktowych podczas nocnych lotów, żeby móc spać w samolocie. Albo to tylko okulary do czytania. Nieważne. Poza tym pewnie na zdjęciu w paszporcie jest bez okularów, więc zdjęła je teraz do kontroli, żeby ułatwić pracę funkcjonariuszowi, gdy weźmie do ręki jej granatową książeczkę.

O ile to była granatowa książeczka. Równie dobrze mogła być czerwona, czarna albo zielona. Cassie do tej pory wychodziła z założenia, że Miranda jest zwyczajną Amerykanką ze zwyczajnym paszportem. Ale może wcale nie była Amerykanką. Albo, kto wie, może miała status przedstawiciela dyplomatycznego.

– Kto to?

Wyjaśnienie Makayli całej sytuacji potrwałoby za długo, więc Cassie odpowiedziała tylko:

– Ktoś z Dubaju. Ktoś, kto jest częścią tego całego syfu, który się na mnie zwał.

Wiedziała, że wystarczy wypowiedzieć słowo „Dubaj”, a wszyscy z załogi będą już mieli dość dobre pojęcie, o co może chodzić. „Syf” dorzuciła bez większego zastanowienia; takie uzalanie się nad sobą nie leżało w jej naturze. Ale było to potrzebne. Wszyscy oni mieli swoje teorie na temat tego, co wydarzyło się w Dubaju – co Cassie zrobiła, a czego nie zrobiła – więc mogła być pewna, że teraz na pewno na nią poczekają – zostaną chociażby z niezdrowej ciekawości.

Patrzyła, jak Miranda staje przed funkcjonariuszem sprawdzającym paszporty, który przybił w nim pieczętkę (kolor okładki pozostał dla Cassie tajemnicą), a następnie puściła się biegiem do pomieszczenia, gdzie pasażerowie szli odebrać bagaż, żałując, że musi na chwilę stracić kobietę z oczu. Ale nie miała wyboru. Nie mogła pozwolić, by znikła jej w tłumie podróżnych, których nie spowalniało stanie w kolejce ani oczekiwanie na bagaż. Całe zmęczenie po wielogodzinnym locie w jednej chwili ją opuściło, była skupiona i nie martwiła się o to, co jej powie i o co zapyta. Bo wiedziała. Doskonale wiedziała.

Czekając, wysłała SMS do Ani, która z pewnością jeszcze smacznie spała w Nowym Jorku. Napisała, że za chwilę skonfrontuje się z Mirandą na Fiumicino. Zamierza ją zapytać, kim naprawdę był Alex Sokolov i kim ona naprawdę jest, ponieważ na bank nie pracuje dla jego funduszu hedgingowego. Na jakimś poziomie zdawała sobie sprawę, że igra z ogniem: jeśli Miranda zabiła Alexa, to kto wie, do czego jest zdolna, jeśli przyprze się ją do muru. Ale Cassie była gotowa. Ta kobieta najprawdopodobniej jest nieuzbrojona, bo przecież dopiero co wysiadła z samolotu; a nawet jeśli jakimś cudem przemyciła broń na pokład, to jak mogłaby ją zaatakować tu, przy karuzelach z bagażami, na zatłoczonym lotnisku międzynarodowym?

Ale mijały kolejne sekundy, a Miranda nie nadchodziła. Wszędzie wokół płynęła niekończąca się rzeka ludzi, ale nie było ani śladu tej kobiety. Cassie zastanawiała się, czy mogła ją przeoczyć, kiedy pisała SMS, ale wydawało się to mało prawdopodobne. Zerknęła na telefon tylko na ułamek sekundy, cały czas bacznie się rozglądając. Wykręciła szyję, żeby rzucić raz jeszcze okiem na stanowisko kontroli paszportowej, ale stamtąd już dawno zniknęła. Rozejrzała się za damską toaletą,

w której mogła się skryć Miranda, ale pomiędzy bramkami a odbiorem bagażu nie było toalety; była tylko jedna, za jej plecami.

Nagle jednak ujrzała torbę – tę piękną torbę z cieleją skóry. Miała ją na ramieniu kobieta, która właśnie przeszła obok niej, blondynka w okularach słonecznych i słomkowym kapeluszu z szerokim rondem. Minęła już pierwsze taśmociągi. Cassie jeszcze raz spojrzała w stronę kontroli paszportowej i nie widząc na horyzoncie Mirandy, podjęła decyzję. Odwróciła się i pobiegła za kobietą w kapeluszu, w pełni świadoma, że musi wyglądać jak wariatka, ale tym już dawno przestała się przejmować.

Dogoniła ją jeszcze przed wyjściem z terminalu. Złapała ją za ramię i obróciła ją w miejscu, twarzą do siebie. Nie widziała oczu kobiety skrytych za okularami, a włosy wystające spod kapelusza były o wiele jaśniejsze niż włosy Mirandy. Nie umiała stwierdzić, czy to rzeczywiście ona. Próbowwała sobie przypomnieć, czy to ta sama bluzka – biała i dość luźna – którą przed chwilą miała na sobie Miranda, kiedy stała w kolejce, ale wyglądała tak nijako, że nawet tego Cassie nie mogła być pewna.

Kobieta miała taki wyraz twarzy, jakby patrzyła przez nią na wylot. Nic nie wskazywało na to, że ją rozpoznaje.

– To ty, prawda? – spytała Cassie błagalnym tonem i chociaż nie krzyczała, miała poczucie, że wydaje się być na granicy hysterii.

– Słucham? My się znamy? – odparła lekkim, niespeszonym tonem kobieta. Czy Cassie słyszała już wcześniej jej głos? Może tak, może nie.

– Jesteś Miranda, tak? Musisz iść ze mną na policję.

– Przepraszam, ale nie nazywam się Miranda. Mogę pani w czymś pomóc?

– Dubaj! Royal Phoenician, pokój pięćset jedenaście! – Cassie nie ustępowała, jej głos przerodził się niemal w szloch.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi – odpowiedziała kobieta. – Nigdy nie byłam w Dubaju.

I wtedy Cassie zaczęła nią trząść, nie dlatego, że to według niej była Miranda. Dlatego że to nie była ona. Teraz już to wiedziała. Albo tylko się jej wydawało, że widziała na lotnisku Mirandę, albo pozwoliła się jej wymknąć, ale Cassie w głębi duszy obawiała się, że prawidłowa była pierwsza odpowiedź. Wcale nie zamierzała tak mocno szarpać tej kobiety, ale z rozpaczy przestała się kontrolować. Chciała

już nawet w ostatnim akcie desperacji złapać za rondo kapelusza i zerwać go jej z głowy, kiedy nagle zobaczyła kątem oka coś innego, inną pasażerkę, która trzymała wyciągnięte w jej stronę coś, co wyglądało jak czerwona szminka. I zanim Cassie zdążyła zareagować, wiedziała, co się za chwilę stanie. A to się stało błyskawicznie. Poczowała spray na twarzy, piekło bardziej niż poparzenie słoneczne, i chociaż zamknęła oczy i zakryła je dłońmi, natychmiast zalała się łzami, z nosa zaczęło jej cieknąć jak z kranu, a każdy oddech zmieniał się w zachryplę, astmatyczne charczenie. Padła na kolana i zaczęła ocierać sobie twarz apaszką, którą miała wokół szyi. Próbowwała krzyknąć, coś powiedzieć, przeprosić. Uświadomiła sobie, że ktoś nad nią stoi, jakby była pokonanym zapaśnikiem w ringu, i domyśliła się, że to Dobra Samarytanka, która potraktowała ją gazem pieprzowym. Pasażerka wzywała pomocy, Cassie słyszała biegnących ludzi – wyłożona płytkami podłoga wibrowała pod jej nogami – a po chwili kobieta ze sprayem została od niej odciągnięta.

– Ona zaatakowała tę panią, widziałam – tłumaczyła po angielsku, z akcentem przypominającym trochę bostoński. Słysząc też było język włoski, bo zjawili się lokalni policjanci. Cassie poczuła na ramionach i plecach czyjeś ręce, a gdzieś z bardzo daleka dobiegały głosy Makayli i Brandona, ich kierownika obsługi, którzy mówili coś o tym, że trzeba natychmiast zabrać ją do łazienki i przemyć oczy, a potem znaleźć punkt pomocy medycznej na lotnisku. Ale policjanci – nie, to byli żołnierze – nie chcieli się na to zgodzić. Mieli wobec niej inne plany.

– Proszę, powiedzcie jej, że przepraszam – błagała Cassie. – Proszę.

Ale było już za późno. Kiedy pomimo bólu otworzyła oczy, po kobiecie w okularach i słomkowym kapeluszu nie został nawet ślad. Zniknęła. A Cassie z przerażeniem uświadomiła sobie, że jeśli incydent został uchwycony przez monitoring, będzie to wyglądało, jakby szalona stewardesa – ta sama, która być może poderżnęła gardło młodemu Amerykaninowi w Dubaju – zaatakowała jakąś turystkę w okularach słonecznych i eleganckim kapeluszu, kiedy ta przeszła przez kontrolę paszportową, a ktoś uzbrojony w gaz pieprzowy ukryty w oprawce szminki przyszedł biedaczce z odsieczą.

Makayla została z Cassie, podczas gdy reszta załogi pojechała busem do Rzymu. W którymś momencie, kiedy sytuacja nieco się już uspokoiła, a Cassie wciąż klęczała na ziemi w sekcji odbioru bagażu i rozglądała się wokół mokrymi, piekącymi oczami, zobaczyła trzech wysokich, szczupłych mężczyzn w wojskowych mundurach i kamizelkach kuloodpornych, z karabinami – włoskich żołnierzy – którzy stali wokół niej jak wartownicy, i przypomniała się jej rzeźba przed budynkiem FBI na Manhattanie. Wartownik. Potem zamknęła oczy, a Makayla objęła ją i zapytała, czy może iść. Powiedziała, że tak. Koleżanka wolno pomogła jej wstać, podtrzymując ją delikatnie w talii.

Kobieta z Bostonu została już zaprowadzona w jakieś inne miejsce. Podziękowali jej za interwencję i powiedzieli, że teraz musi złożyć zeznanie. Cassie wiedziała, że ta kobieta będzie do końca życia opowiadała o swoim niebywałym akcie heroizmu w pierwszy dzień pobytu we Włoszech. Nienawidziła jej.

Makayla i jeden z żołnierzy zaprowadzili Cassie do punktu medycznego, gdzie pielęgniarz z szorstkim zarostem na twarzy i o intensywnie miętowym oddechu najpierw znieczulił jej oczy kroplami anestetycznymi, a potem przepłukał je wodą, aż uznał, że udało się pozbyć większości drażniącego środka. Przemył jej twarz roztworem, który, jak sam wyjaśnił, przypominał rozcieńczony płyn do mycia naczyń. Na koniec dał jej krem, którym miała posmarować twarz wieczorem. Żołnierz przez cały czas był obok i co jakiś czas mówił coś po włosku do radia. Wziął też od niej na chwilę paszport, żeby zrobić ksero. Kiedy pielęgniarz skończył, żołnierz zabrał ją i Makaylę do sali konferencyjnej bez okien, gdzie czekało dwóch mężczyzn w sztywnych garniturach i śnieżnobiałych koszulach. Byli z ochrony lotniska i zaoferowali jej szklankę wody (którą przyjęła) i kawę (której odmówiła). Gdyby tak jej nie bolało gardło, może poprosiłaby o mocnego drinka. Następnie posadzili ją pośrodku długiego stołu, a Makayli powiedzieli, żeby zaczekała na zewnątrz. Obaj usiedli naprzeciwko, jeden miał przed sobą otwartego laptopa. Nie zapamiętała ich nazwisk, ale pamiętała, że ten wyższy z gładko ogoloną i opaloną głową – ten, który wyglądał, jakby tu dowodził – ma na imię Marco. Drugi, ten od laptopa, nazywał się chyba Tommaso.

– Proszę nam opowiedzieć dokładnie, co się wydarzyło – zaczął Marco. Znakomicie mówił po angielsku, chociaż z wyraźnym akcentem. – Niektórzy obecni przy tym pasażerowie obawiali się, że ma miejsce jakiś atak, atak

terrorystyczny. Jedna osoba powiedziała, że spodziewała się eksplozji i strzałów. Że zaraz będzie tu kolejny Amsterdam albo Stambuł.

Cassie już w punkcie medycznym czuła, jak schodzi z niej cała adrenalina, i teraz niczego tak nie pragnęła, jak tylko pojechać do hotelu i położyć się spać. Była na nogach mniej więcej od dwudziestu czterech godzin i chociaż często zdarzało się jej wywoływać wokół siebie chaos, to zwykle po pijaku, a nie na trzeźwo. Chciała też jak najszybciej porozmawiać z Ani i powiedzieć jej, co się wydarzyło. Przede wszystkim przekazać jej trzy najważniejsze rzeczy: widziała kobietę uderzająco podobną do Mirandy, która zniknęła gdzieś między kontrolą paszportową a odbiorem bagażu. Potem zobaczyła przy bagażach inną kobietę z taką samą torbą, która też wyglądała trochę jak Miranda, tylko miała włosy innego koloru. Przez pomyłkę zaczepiła tę drugą kobietę – i w rezultacie dostała gazem pieprzowym po oczach od jeszcze innej.

Nie była na razie gotowa przyznać, że to nie Mirandę widziała na lotnisku. Teraz wydawało się to coraz mniej prawdopodobne, ale jakaś jej mała część nadal wierzyła (albo próbowała wierzyć), że naprawdę ją zobaczyła, a ona zdołała jakimś cudem zniknąć. To ta sama część, która w ostatnich dniach mówiła jej, że ktoś ją cały czas śledzi. Dlatego chciała się dowiedzieć, czy Ani może w jakikolwiek sposób sprawdzić listę pasażerów samolotów, które wylądowały dziś rano na Fiumicino, i poszukać na nich tego imienia. I zapytać o jeszcze jedno: jeśli to była Miranda, to co robiła w Rzymie? To nie mógł być przypadek. Musiało to oznaczać, że ta kobieta przyjechała tu w ślad za nią.

Próbowała sobie przypomnieć szczegóły twarzy Mirandy z tamtej wizyty w apartamencie Alexa – jej oczy, usta, sposób, w jaki układała włosy – żeby zestawić to z osobą, którą zauważyła dziś na lotnisku. Jednak prawdę mówiąc, kiedy poznała Mirandę w Dubaju, była już mocno wstawiona. Jak bardzo mogła więc ufać własnej pamięci? A teraz zaczepiła jakąś biedną, niewinną kobietę dlatego, że pod pewnymi względami wydawała się podobna do osoby, którą widziała raz w życiu, i to (jak często jej się to zdarzało) w okolicznościach zamglonych alkoholem. Tymczasem prawdziwa Miranda mogła się jej wymknąć.

– Pod koniec zeszłego miesiąca – odezwała się – spędziłam w Dubaju noc z mężczyzną, którego poznałam tego samego dnia w samolocie. Poszłam z nim do jego hotelu. Po tym jak wyszłam rano, żeby zdążyć na swój lot do Paryża, ktoś go zamordował. A ta kobieta, z którą próbowałam porozmawiać przy odbiorze

bagażu... Przypominała mi kogoś, kto przyszedł do jego pokoju tamtego wieczora, zanim mój znajomy zginął.

Marco uniósł brew.

– Ona też została na noc? Było was troje?

– Nie, skądże. Ona tylko wpadła na drinka. Potem poszła.

– Jak się nazywa? – zapytał.

– Nie znam jej nazwiska, ale w Dubaju mówiła, że ma na imię Miranda.

– I zaatakowała pani dzisiaj tę pasażerkę, bo myślała pani, że to ona?

– Nikogo nie zaatakowałam. Ta kobieta z gazem pieprzowym przesadziła z reakcją, to ona mnie zaatakowała.

Marco i Tommaso spojrzeli po sobie, a Cassie czuła się jak na cenzurowanym. Tommaso spojrział na coś na ekranie laptopa.

– Zapytam inaczej – powiedział Marco. – Podeszła pani dzisiaj do tej pasażerki, ponieważ myślała pani, że to ona?

– Tak.

– Dlaczego?

– Próbowałam ją zatrzymać.

– Zatrzymać? – powtórzył Marco.

– Żeby nie uciekła. Ona...

Marco uniósł rękę, żeby jej przerwać.

– Proszę – powiedział stanowczo. Nachylił się w jej stronę, kładąc złączone dłonie na blacie stołu. – Proszę, niech pani zacznie od początku. Jeśli nie ma pani nic przeciwko, zacznijmy od początku. Od Dubaju.

– Powinnam zadzwonić do amerykańskiej ambasady? Potrzebuję prawnika?

– Po co? Nie jest pani aresztowana. Ta kobieta, którą pani... do której pani podeszła... Już jej tu nie ma. Zapewne opuściła lotnisko. Zaczęła swoje wakacje we Włoszech.

– Zniknęła?

– Tak.

Cassie znów poczuła, jak wzbiera w niej złość. Fakt, że ta kobieta uciekła, musiał coś znaczyć. Przecież normalna osoba by została.

– Możecie ją znaleźć?

– Wątpię.

– Spróbujecie? Macie nagrania z kamer i relacje świadków. Skorzystajcie z nich.

– Stała plecami do kamery zainstalowanej w tej części terminalu. I jest tam za mało światła. Poza tym miała na sobie piękny kapelusz i okulary. Nie da się nawet stwierdzić koloru jej włosów.

– Blond.

– W porządku. Według pani miała blond włosy.

– A wy macie świadków. Boże, macie przecież tę wariatkę z gazem pieprzowym! – powiedziała łamiącym się głosem. Wiedziała, że ogarnia ją toksyczna mieszanka zmęczenia i frustracji. Chciała dodać „nielegalnym gazem pieprzowym”, ponieważ takich rzeczy (zwłaszcza udających szminkę) nie wolno przewozić w bagażu podręcznym.

– Owszem – odparł. – I wszyscy oni, łącznie z Amerykanką z gazem, doskonale umieją opisać panią. A także to, jak rzuciła się pani na tamtą drugą kobietę.

– Wcale się na nią nie rzuciłam.

Dwaj mężczyźni znów popatrzyli na siebie. Zrozumiała, że choć nie zamierzają jej aresztować, żaden z nich jej nie pomoże.

– Możemy wrócić do Dubaju? – spytał Marco. – Niech nam pani opowie o tamtej nocy.

– Chyba powinnam już iść.

– Chcemy zrozumieć, co się stało.

– To zadzwońcie do amerykańskiej ambasady albo pozwólcie mi do niej zadzwonić. Jestem zbyt zmęczona, żeby teraz z wami rozmawiać bez obecności kogoś z ambasady.

– Zanim ktoś tu przyjedzie, minie co najmniej godzina, jeśli nie więcej. Zakładając, że ktoś jest akurat dostępny. Na pewno nie chce pani czekać tak długo.

– W takim razie już pójdę, dziękuję bardzo. Mówił pan, że mnie nie aresztujecie.

– Nie. – Tu nastąpiła długa pauza, a następnie Marco podniósł ze stołu kopię jej paszportu i machnął nią niemal lekceważąco. – Ale wiemy dokładnie, kim pani jest, pani Bowden. Interpol wie dokładnie, kim pani jest.

– To po co pan marnuje mój czas, wypytując mnie o Dubaj? – warknęła. – Jestem wykończona i właśnie zostałam zaatakowana!

– Zmęczona osoba jest często najbardziej skłonna do współpracy. Najbardziej rozmowna.

– I co dalej? Podtapianie?

– Tak się robi w pani kraju, nie w moim – odparł, wzruszając ramionami.

– Wychodzę.

– Jak pani sobie życzy – powiedział. Zapytał o nazwę hotelu, w którym będzie spała, i numer jej komórki, który dopisał na kopiach paszportu. Tommaso wpisał go też do komputera.

– Jak długo będzie pani w Rzymie?

– Do jutra. Wylatuję późnym rankiem.

– Lot dwieście dziesięć do Nowego Jorku, zgadza się?

– Tak.

Marco pokiwał głową, wyraźnie zadowolony z siebie.

– Dobrze znam rozkład pani linii lotniczych. Zresztą tak jak większości linii lotniczych. – Następnie obaj wstali, więc Cassie również się podniosła z krzesła.

– Zadzwonimy dzisiaj, jeżeli będziemy chcieli znowu z panią porozmawiać. I jeszcze jedno, pani Bowden.

– Tak?

– Proszę, dla własnego dobra, niech pani więcej nie atakuje, pardon, nie podchodzi do żadnych obcych kobiet podczas swojego pobytu w Rzymie. – Powiedział to z uśmiechem, ale w jego głosie pobrzmiwała jakaś złowieszcza nuta. Cassie czuła, że to bardziej groźba niż dobra rada.

Rozdział 23

Elenę fascynowały lotniska i to, jak ludzie się na nich zachowują. Wszyscy są pobudzeni, podenerwowani. Niektórzy wydają się spięci, martwią się – i można tu zaobserwować całe spektrum – czy ich samolot odleci zgodnie z rozkładem, czy po prostu boją się latać, czy cały czas czujnie wypatrują oznak zamachu terrorystycznego: błysku, ogłuszającego huku, fali gorąca. Są ci bardziej doświadczeni, którzy myślą o różnych bonusach oferowanych przez przewoźnika, i drażni ich wymóg używania przezroczystych, plastikowych torebek, obowiązek przechodzenia przez wykrywacze metalu oraz zdejmowania obuwia podczas kontroli. (Elenę zawsze irytowali idioci, którzy wstawiają swoje brudne buty do kuwety razem z kurtkami i torbami. Krzywiła się, ilekroć musiała położyć kaszmirowy sweter na plastikowej tacy, gdzie jeszcze przed chwilą leżały paskudne tenisówki kogoś, kto regularnie stawał w nich przed pisuarem w publicznym szalecie).

Wsunęła swój słomkowy kapelusz z powrotem do torby, jeszcze zanim wyszła z hali odbioru bagażu. Zastanawiała się, czy skryć się w damskiej toalecie, żeby założyć inną perukę, ale wiedziała, że Bowden jeszcze długo nie opuści lotniska. Nie miała się więc czym przejmować.

Sam fakt, że stewardesa zauważyła ją w kolejce do kontroli paszportowej na lotnisku w Rzymie, wydał się jej cokolwiek ironiczny. Viktor na pewno będzie miał na ten temat coś do powiedzenia. Może zrobi coś więcej, niż tylko to skomentuje. Znacznie więcej. Ale w końcu to właśnie ze względu na ryzyko przypadkowego spotkania z Bowden poleciała do Rzymu z Newark zamiast z JFK.

Z drugiej strony swoim nagłym atakiem Bowden zrobiła jej niespodziewany prezent. Do tego doszła jeszcze interwencja jakiejś samozwańczej obrończyni uciśnionych z Massachusetts. Elena miała już w gotowości własny gaz pieprzowy, ale ostatecznie nie musiała go użyć. Dyskretnie schowała swój gaz ukryty

w atropie eleganckiego wiecznego pióra z powrotem to torebki, gdy tylko Bowden padła na kolana, przyciskając ręce do twarzy.

Stojąc w kolejce do taksówki, poczuła nagle woń paliwa odrzutowego. Nie cierpiała tego zapachu. Przyprawiał ją o mdłości. Szybko się jednak otrząsnęła, ponieważ na niebie świeciło piękne słońce, a incydent przy odbiorze bagażu był jej tak naprawdę na rękę. Nawet bardzo. Zdecydowanie opowie o wszystkim Viktorowi. Jeśli zaś chodzi o resztę świata, stanowiło to kolejny dowód, że stewardesa jest osobą niezrównoważoną. Ciąg przyczynowo-skutkowy wydawał się oczywisty: Bowden morduje Sokolova w Dubaju. Zostaje zdemaskowana przez „New York Post”. Rzuca się na obcą kobietę na lotnisku w Rzymie. Jutro rano, kiedy znajdą jej ciało, nikt nie będzie się dziwił, że ta dziwna stewardesa postanowiła się zabić – wszyscy uznają, że było to wręcz do przewidzenia.

Zakładając rzecz jasna, że Elena przeprowadzi do końca swój plan. Najpierw jednak chciała ustalić, czym dokładnie zajmował się szwagier Bowden w bazie wojskowej Blue Grass i jak wiele Sokolov mógł się dowiedzieć na ten temat z sieci. Wiedziała, że dla niej nie stanowiłoby to żadnego problemu – wystarczyłby jeden czy dwa telefony – ale on był w całkiem innej sytuacji. Elena planowała zapuścić się do darkwebu, tej ukrytej części Internetu, i skorzystać ze swoich tajnych kontaktów, żeby sprawdzić, czy jej przeczucia dotyczące Bowden, jej szwagra Dennisa McCauleya oraz ich kuriera są słuszne. Następnie musiała się skonsultować ze swoim zwierzchnikiem. Nie miała już zbyt dużo czasu. Zastanawiała się, co przyniesie następnych dwanaście godzin, co przyniesie następna doba. Albo ona zostanie pojmana, albo Bowden umrze. Wszystko zależało od tego, jak bardzo pewnych ludzi zainteresuje temat Viktora Olenina i jego marzeń o dronach z trującym gazem.

Rozdział 24

W trakcie podróży małą taksówką do centrum Rzymu Makayla powiedziała Cassie, że ma trzydzieści sześć lat, że razem z mężem, pracownikiem agencji reklamowej, mają pięcioletnią córkę, która niedługo idzie do przedszkola. Mieszkali w Douglaston w Queens, niedaleko od teściów, co stanowiło prawdziwe błogosławieństwo w kwestii opieki nad dzieckiem. Mówiła przez cały czas, niemal nie zadając żadnych pytań, co było idealne, bo w tej ciasnej taksówce, w duszącym sierpniowym upale, Cassie chciała jedynie słuchać. Może nawet by zasnęła po drodze, gdyby nie to, że minąwszy linię obwodnicy, kierowca zaczął hamować i przyspieszać w sposób chaotyczny i niesłychanie gwałtowny. Ale głos Makayli pozostawał nadal niski i łagodny, a Cassie wyobrażała sobie, jak jej koleżanka czyta córce na dobranoc w te wieczory, kiedy nie leci akurat do Frankfurtu czy Rzymu.

Boże, pomyślała Cassie, ciekawe, jak to jest mieć córkę? Mieć dzieci? Na tablicy przed sklepem odzieżowym w West Village widziała kiedyś taki napis, wykonany niebieską i żółtą kredą: „Pamiętasz tę osobę, którą chciałeś być? Jeszcze nie jest za późno”. Chciała w to wierzyć. Rozpaczliwie chciała w to wierzyć. Pragnęła być inna, być kimkolwiek innym, tylko nie tym, kim była teraz. Ale z każdym kolejnym dniem szanse malały. Życie, uświadomiła sobie na tylnym siedzeniu tej taksówki, to nieustannie kurcząca się pula możliwości. To zwężający się nieubłagane tunel.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmiła Makayla i zanim Cassie zdążyła wyciągnąć z torebki portfel, jej koleżanka sama zapłaciła za kurs.

– Czekaj, oddam ci połowę – zaprotestowała. Wiedziała, że linie lotnicze zabukowały dla nich ten sam hotel co w zeszłym tygodniu, ale i tak wydała z siebie ciężkie westchnienie, gdy spojrzała na główne wejście. Od razu pomyślała o tym, że będzie musiała unikać Enrica. Barman na pewno zobaczy innych członków załogi w charakterystycznych czarno-czerwonych strojach i będzie się zastanawiał, czy ona także pojawiła się znowu w jego hotelu.

– Nie przejmuj się tym – odparła Makayla. – Możesz mi dzisiaj postawić drinka. Co ty na to?

Cassie uśmiechnęła się. Dla koleżanki, podobnie jak dla większości ludzi na świecie, alkohol stanowił jedynie element życia towarzyskiego.

– Jasne – odpowiedziała, mając nadzieję, że jeśli rzeczywiście pójdą na tego drinka, to bogowie okażą się dla niej łaskawi i Enrico akurat będzie miał dzisiaj wolne. Tymczasem kierowca wyciągnął ich walizki z bagażnika i postawił na chodniku. – Dziękuję – powiedziała jeszcze do Makayli. – Naprawdę. Dziękuję za wszystko.

– Nie ma za co. Chociaż tak naprawdę nic nie zrobiłam. Chodź, powinnaś się chyba przespać. Ja zresztą też się chętnie zdrzemnę.

Cassie pokiwała głową i patrzyła, jak bagażowy wnosi jej walizkę po kilku marmurowych stopniach, żeby zostawić ją w recepcji. Była naprawdę śpiąca. Ale najpierw musiała zadzwonić do swojej prawniczki w Nowym Jorku. Na Wschodnim Wybrzeżu dochodziła siódma rano, więc Ani zapewne już wstała.

– Widziałaś ją? – Cassie nawet przez telefon słyszała w głosie Ani szok i niedowierzanie.

– Chyba tak – odparła. – Nie jestem pewna. Wydaje mi się, że tak. W tamtej chwili byłam pewna. Ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej mam poczucie, że się pomyliłam. Może to tylko kolejny dowód na to, że powoli tracę rozum. Coraz trudniej mi wziąć się w garść. I to mnie w tej chwili przeraża najbardziej ze wszystkiego. – Przycupnęła na krześle przy biurku w swoim pokoju hotelowym. Bała się, że jeśli usiądzie na łóżku, położy się i zaśnie w środku rozmowy. Może już nigdy by nie wstała. Była na innym piętrze niż w zeszłym tygodniu, ale po tej samej stronie budynku, i ponownie widziała z okna wieżę kościoła Trinità dei Monti.

– Powiedz mi dokładnie, co się wydarzyło – domagała się Ani, więc Cassie zdała jej pełną relację, łącznie z przesłuchaniem przez ochronę lotniska Fiumicino.

– Czy ty ziewasz? – zapytała Ani, kiedy Cassie skończyła opowieść.

– Jestem wykończona.

– Rozumiem. Ale musisz zdawać sobie sprawę, że ściganie po terminalu jakiejś obcej kobiety to właśnie coś, za co linie lotnicze mogą cię wysłać na przymusowy urlop. Dzisiejszy „New York Post”? Gdzie tam. Nie uziemią Latającej Modliszki na podstawie pomówień ani insynuacji. Ale uziemią nie zrównoważoną stewardesę, która w oczywisty sposób traci panowanie nad sobą na dużym lotnisku międzynarodowym.

Waga tego stwierdzenia sprawiła, że Cassie aż pokiwała głową, chociaż była w pokoju sama.

– Przeszło mi to przez myśl – przyznała.

– No i oczywiście dałaś prokuraturze, kiedy już się za ciebie wezmą, kolejny argument do ręki. To tysiąc razy gorsze niż wydzwanianie do domu rodzinnego Sokolova w sobotę wieczorem.

– Wiem.

– A mimo to zaczepiłaś tę kobietę na lotnisku tylko dlatego, że miała taką samą torbę jak ktoś, kogo widziałaś w kolejce? Myślałaś, że jest zakamuflowana czy co?

– Tak. Może. Nie wiem. Byłam sfrustrowana, bo ta kobieta, którą wzięłam za Mirandę, nagle zniknęła.

– Boże, naprawdę się o ciebie martwię. Zaczynasz tracić kontrolę.

– Wiem, Ani. I sama się już trochę boję. Boję się, że przestaję trzeźwo myśleć, nawet kiedy jestem trzeźwa. Wiesz, w Nowym Jorku ciągle wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi.

– Co?

– Dwa razy widziałam za sobą faceta w czarnej czapce z daszkiem. Miał ciemne okulary. Innym razem też byłam pewna, że gdzieś tam jest.

– Ale go nie widziałaś?

– Za trzecim razem nie. O tym właśnie mówię. Chyba zaczynam świrować.

– Może. A może wcale nie. Nie zdziwiłabym się, gdyby FBI miało cię pod obserwacją.

– Więc nie jestem wariatką?

– Och, Cassie, jesteś wariatką. Masz problem z głową. Ale to nie znaczy, że cię nie śledzą. Proszę cię, potraktuj ten incydent z gazem pieprzowym jak poważne ostrzeżenie. Przykro mi, że to się wydarzyło, naprawdę, bo chcę wyłącznie twojego

dobra. Ale jestem też odrobinę wdzięczna za to, że ktoś cię przystopował, zanim zrobiłaś coś kompletnie szalonego.

– Nie zrobiłabym jej żadnej krzywdy. Nie jestem tego typu osobą. – Przynajmniej jeszcze nie, dodała w duchu. – Po prostu ją złapałam, to był odruch.

– Jak się czujesz? Nadal cię boli?

Cassie specjalnie starała się nie spoglądać w stronę dużego lustra w pokoju. Nie chciała widzieć swojej bez wątpienia mocno zaczerwienionej twarzy. Bała się, że ma oczy jak wampir. Pielęgniarz powiedział, że do wieczora będzie już wyglądała dużo lepiej. Miała taką nadzieję.

– Właściwie nie. Ale chciałam zapytać, czy ty i twój prywatny detektyw moglibyście coś dla mnie zrobić.

– Słucham.

– Dałoby się sprawdzić listy pasażerów w samolotach, które przyleciały dziś rano do Rzymu? Zobaczyć, czy w którymś z nich była jakaś Miranda?

– Mówiłaś, że chyba ci się tylko wydawało, że ją widziałas.

– Mówiłam, że nie jestem pewna. Co chwilę zmieniam zdanie.

– Cóż, ja nie mogę tego sprawdzić – stwierdziła Ani. – Ale zapytam mojego detektywa, chociaż też wątpię, żeby był w stanie to zrobić. Brzmi to raczej jak zadanie dla FBI.

– W porządku – odparła Cassie, choć odpowiedź prawniczki nieco ją przeraziła.

– Znalazł coś więcej na temat przeszłości Alexa?

– Jeszcze nie wiem. Odezwę się do niego, jak tylko skończymy rozmawiać.

– Dziękuję. Ach, i przepraszam, że nie powiedziałam tego od razu: dziękuję za to, jak poradziłaś sobie z tym dziennikarzem z „New York Post”. Naprawdę to doceniam.

– Wiem. Tak samo mój szef, możesz mi wierzyć – odparła sarkastycznie Ani. – Co będziesz robić dzisiaj po południu? I wieczorem?

– Boisz się, że spróbuję na własną rękę poszukać Mirandy?

– Nie.

– Ale wierzysz mi, że ona istnieje, prawda? To znaczy, może wcale nie ma jej w Rzymie. Może wcale jej nie widziałam. Ale ona gdzieś tam jest.

Nawet przez telefon łączący je ponad Atlantykiem usłyszała w głosie prawniczki wahanie.

– Przez większość czasu ci wierzę, naprawdę. Ale kiedy terroryzujesz obce kobiety na lotnisku, trudno mi zachować wiarę w twoje zdrowie psychiczne.

– Wiem, przepraszam.

– Może powinnaś się po postu zrelaksować. Co ty na to? Nie idź nigdzie na kolację. Nie zwiedzaj miasta. I na miłość boską, nie pij. Udawaj, że masz areszt domowy.

Być może była to automatyczna reakcja na słowo „areszt”, ale Cassie pomyślała nagle o dwóch agentach FBI w Federal Plaza. Czy nigdy nie będzie końca kłopotów, których narobiła sobie i innym?

– Cassie... jeszcze jedno.

Czekała.

– Tak na wszelki wypadek: nie zapomnij na noc zamknąć drzwi na klucz.

Spała dużo krócej, niż się spodziewała. Jej wewnętrzny zegar był zbyt dobrze wytrenowany, zbyt przewidywalny, przez co obudziła się z drzemki około piętnastej. Wstała naga z łóżka, rozsunęła zasłony, żeby wpuścić do pokoju słońce, i wskoczyła z powrotem pod kołdrę po chłodnej stronie łóżka. Przez chwilę patrzyła na błękitne niebo, a potem na ściany swojego pokoju. Na oprawioną w ramki dużą czarno-białą fotografię Piety w bazylice św. Piotra. Na telewizor. Na wielką szafę. Zwróciła uwagę na stojący na biurku przybornik na ołówki, w którym tkwił samotny długopis. Długopis był tandetny, ale kubeczek całkiem się jej podobał. Miał przypominać ruiny starej budowli, w stylu granitowych kolumn, które podtrzymywały portyk Panteonu. (Z którejś z poprzednich wizyt w Rzymie przypomniła sobie, że kolumny te stanowią przykład stylu korynckiego). Pomyślała, że mogłaby go ukraść, pewnie na upominek dla siostrzenicy, a może lepiej dla szwagra. Taki kubeczek na pewno wyglądałby ładnie na jego biurku.

Nie, nie zabierze go. Wykaże odrobinę samokontroli. Dopiero co była w tym hotelu w zeszłym tygodniu i zwędziła podpórkę do książek. Może pokojówka zauważyła, że figurka zniknęła zaraz po tym, jak Cassie się wymeldowała, i jej nazwisko figuruje teraz na jakiejś hotelowej czarnej liście. Byłaby to niezła ironia

losu, gdyby po tych wszystkich latach pijaństwa została w końcu wyrzucona z pracy za podkradanie bibelotów z włoskiego hotelu.

Picie to oczywiście jedyna niezmienna rzecz w jej całym życiu. Alkohol stanowił dla niej źródło przyjemności, odwagi i komfortu. Niezupełnie poprawiał jej samoocenę (na pewno nie następnego ranka), ale dodawał wiary, że to, kim jest, w zupełności wystarczy, że nie musi być nikim więcej. Nie była już córką pijanego instruktora jazdy w Kentucky. Nie była już dziewczyną siedzącą w środku nocy samotnie w uniwersyteckiej centrali telefonicznej. Tak, czasem zdarzało się jej nie pić przez kilka dni, ale były to zaledwie przerwy pomiędzy kolejnymi aktami. Pomiędzy jednym napadem szaleństwa a drugim. Pomiędzy tymi chwilami, kiedy mogła być naprawdę sobą.

I wiedziała, że te dni stają się coraz rzadsze.

Sprawdziła telefon. Nic od Ani. Nic od Franka Hammonda. Nic od linii lotniczej. Nic od nikogo. Co zapewne należało uznać za dobre wieści.

W końcu podniosła się, postawiła stopy na podłodze i przeczesowała włosy rękami. Może Ani miała rację, że powinna zaryglować drzwi i zachowywać się, jakby miała areszt domowy. Ale wiedziała, kim jest. Wiedziała doskonale, że ludzie się nie zmieniają. Wystarczy spojrzeć na jej ojca. Pokusa limoncello – i negroni, i bellini, i rossini, i cardinale – była nie do odparcia. Dlatego weźmie prysznic. Włoży radosną, letnią sukienkę w kwiaty, którą spakowała na tę podróż. Potem zrobi sobie makijaż, nałoży też krem od pielęgniarza z lotniska i wyjdzie na spacer. Znaleźć bar, gdzie (odwrotnie niż śpiewali w czołówce tego starego serialu z innej epoki) nikt jej nie zna i nie wie, jak ona się nazywa.

Zobaczyła liścik pod drzwiami, kiedy wyszła z łazienki. Właśnie wytarła się do sucha i miała się ubierać. Wiadomość była od Enrica, młodego barmana, który najwyraźniej lepiej mówił, niż pisał po angielsku i musiał skorzystać z pomocy Google Translate. Enrico istotnie widział w hotelu innych członków jej załogi i zapytał znajomego z obsługi gości, czy Cassie przyjechała razem z nimi, potem zaś wyciągnął od niego numer jej pokoju. Miał nadzieję, że Cassie doceni jego „inicjatywę”, a nie uzna, że ją „prześladuje”. Znalazł kogoś, kto może go zastąpić

podczas dzisiejszej zmiany, i wyrażał chęć zabrania jej na spacer i kolację. Cały ten liścik był przeuroczy.

Cassie pomyślała jednak o Buckleyu w Nowym Jorku. W ciągu ostatniego tygodnia jej relacja z aktorem wyraźnie się pogłębiła. Znów się ze sobą przespali, i tym razem bardziej przypominało to już randkę niż przypadkowe spotkanie w barze. Wkroczyli – jak by to ujęła jej przyjaciółka od drambuie, Paula – na poziom Tinder Plus; do tej szarej strefy, w której łączy ich coś więcej niż schadzki z Tindera, ale jeszcze nie są parą. Wprawdzie na razie nie mieli siebie na wyłączność, ale to, co było między nimi, wykraczało poza libido, alkohol i aplikację służącą do umawiania się na seks z nieznanymi.

Co więcej, czy istniał chociaż cień szansy na przyszłość u boku Enrica, zważywszy na dzielącą ich różnicę wieku? Oczywiście, że nie. Ale z drugiej strony – czy mogła liczyć na przyszłość z kimkolwiek? Oczywiście, że nie. Jej przyszłość to więzienie. Jeszcze raz spojrzała na zapisaną ręcznie kartkę wziętą z hotelowej papeterii. Atrament był niebieski, a Enrico pisał uważnymi, spokojnymi pociągnięciami pióra. Obiecywał, że będzie na nią czekał w barze na dole, i mogą wyjść, o której ona zechce, i pójść, gdziekolwiek ona sobie zażyczy.

Cassie pomyślała, że nie ma pojęcia, gdzie będzie za rok od teraz – ani nawet za tydzień czy za miesiąc.

Kto wie, może nie miała żadnych wiadomości od Buckleya, ponieważ przeczytał artykuł w „New York Post” i był zbulwersowany, co byłoby całkiem zrozumiałe. Nie chciał więcej mieć z nią do czynienia. I słusznie. Najczęściej ona sama też nie chciała mieć ze sobą do czynienia. To też jeden z powodów, dla których szukała ukojenia w pićiu na umór. O wiele łatwiej było jej spojrzeć na siebie w lustrze, kiedy ustawienie ostrości zajmowało jej oczom o tę jedną kluczową sekundę więcej, a także rano, kiedy nie pamiętała, jak źle wyglądała i jak głupio się zachowywała.

Zapinając stanik, rzuciła okiem na okno i przez chwilę podziwiała piękno dzwonnicy nad Trinità dei Monti. Była w Rzymie – to tutaj Neron ponoć grał na skrzypcach, patrząc, jak wokół niego płonie miasto. Cassie nie miała pojęcia, czy ta opowieść to prawda. Nie wiedziała nawet, czy w pierwszym wieku naszej ery istniały skrzypce. Zresztą nieważne. Już wiedziała, co robi. Kiedy wejdiesz między wrony...

Postanowiła zejść na dół i zagrać na skrzypcach.

Zgodnie z obietnicą Enrico czekał za barem. Ale nie pracował. Siedział na stolku przed pięknie wypolerowanym mahoniowym blatem, z dala od ukrytego zlewu i imponującego zestawu shakerów, miarek, mieszadeł i szpikulców. Rozmawiał z drobną młodą kobietą z niesamowitą grzywą ciemnych włosów, ubraną w obowiązkową białą koszulę i niebieską kamizelkę. To ona pełniła dzisiaj dyżur w barze. Wyglądała na niewiele ponad dwadzieścia lat. Nagle cały świat wydawał się Cassie taki młody. Tym razem w lokalu nie było pusto, bo zaczynał się już wieczór. Ale goście – naliczyła kilkanaście osób – siedzieli przy stolikach, a nie przy tym długim, miłym kontuarze.

Enrico zauważył ją od razu, jakby przez cały czas jednym okiem kontrolował wejście, i wstał, żeby ją przywitać. On też miał na sobie białą koszulę, ale eleganckie czarne spodnie, w których widziała go w zeszłym tygodniu, zamienił na ciasne jeansy. Wyglądał fantastycznie. Cassie podejrzewała, że jak tylko wypije drinka – albo dwa, albo trzy, albo cztery – zabierze go na górę do swojego pokoju.

– Bałem się, że cię nie zobaczę – powiedział, obejmując ją w talii i przyciągając do siebie. Pocałował ją w oba policzki, a następnie odchylił się lekko i obejrzał ją od stóp do głów. Czowała ciepło jego palców przez cienki materiał sukienki. – Przez ten tydzień zrobiłaś się jeszcze piękniejsza.

– Nieprawda. Jedynie o tydzień starsza.

– Byłaś na słońcu bez kremu z filtrem. Wstyd!

Cassie pokiwała potulnie głową. Tak było łatwiej, niż tłumaczyć, że rano na lotnisku ktoś prysnął jej gazem pieprzowym po oczach.

– Ale w tej sukience wyglądasz idealnie – kontynuował.

– Chyba jestem na nią za stara.

Puścił ją i uśmiechnął się. Wskazał na kobietę za barem, która przygotowywała bellini dla siedzących w rogu sali Anglików i właśnie kończyła ścierać świeże brzoskwinie. Prosecco wyglądało wspaniale.

– To jest Sofia. Ona też robi rewelacyjne negroni. Sam ją nauczyłem. Ale pozwól, że ja ci przygotuję drinka.

Cassie patrzyła, jak Sofia stawia wysokie kieliszki na tacy i niesie je do stolika. Ponieważ milczała, Enrico zapytał:

– Może dzisiaj wolałabyś bellini? Czy zostajesz przy negroni?

Spojrzała mu w oczy. Tak, miała ochotę na bellini. Miała ochotę na niego. Chciała dać się ponieść alkoholowi, a potem owinać nogi wokół jego nagich pośladków, ścisnąć go udami i poczuć go w sobie. Chciała zapomnieć o Alexie Sokolowie, Franku Hammondzie i kobiecie, którą wzięła za Mirandę. Było to dla niej nowe uczucie, bo na ogół nie piła po to, żeby zapomnieć, tylko żeby się zatracić – a to zdecydowanie nie to samo.

Jej telefon zadzwieczał na znak, że przyszedł nowy SMS.

– Przepraszam – powiedziała – powinnam sprawdzić, o co chodzi. – Wyciągnęła komórkę z torebki. Wiadomość była od Ani, która prosiła, żeby Cassie jak najszybciej do niej oddzwoniła. Zrobiła długi, głęboki wdech, żeby się uspokoić. Słyszała lekkie brzęczenie w uszach, a serce zaczynało jej mocniej bić. – Muszę zadzwonić do siostry – wyjaśniła.

– Wyglądasz na zmartwioną. Wszystko w porządku?

Cassie spojrzała na Anglików, którzy wznosili toast i stukali się delikatnie kieliszkami. Moje życie, pomyślała, to jeden wielki głód. Niezaspokojone pragnienie.

– Zaraz się przekonamy – odparła i wyszła z aparatem w ręku do zapewniającego większą dyskrecję hotelowego holu.

Rozdział 25

Elena wybrała się do salonu piękności naprzeciwko sklepów Bulgari i Gucci, żeby zafundować sobie opalanie natryskowe. Poinstruowała kosmetyczkę, że efekt ma być jak z Saint-Tropez, jakby wyszła prosto ze starej reklamy kremów Bain de Soleil. Następnie udała się do apteki – znalazła jedną na via Sistina, dość daleko od jej hotelu i hotelu Bowden – gdzie kupiła plastikowe rękawiczki i farbę do włosów w odcieniu „naturalna granatowa czerń”.

Po powrocie do pokoju skrupulatnie nałożyła farbę na włosy i ustawiła licznik czasu w telefonie na 45 minut. Nie miała jeszcze na głowie ani jednego siwego włosa, ale chciała mieć pewność, że kolor będzie jednolity. Spodobał się jej pomysł, że przez resztę lata i na początku jesieni będzie mieć włosy barwy skrzydeł kruka.

Czekając, usiadła na łóżku, otworzyła laptopa i korzystając z zaszyfrowanej sieci, zaczęła szukać informacji na temat Dennisa McCauleya. Chciała zobaczyć, czy pojawiło się coś nowego, coś, czego jej nie zdążyli powiedzieć. Zeszła do podziemia, włamując się do jego życia za pośrednictwem trojanów i rootkitów (te ostatnie preferowali Kozacy), które pozwalały jej niczym Alicji przejść na drugą stronę lustra. Przejrzała kalendarz jego najbliższych spotkań: w tym tygodniu zebranie w bazie wojskowej w Kentucky, w przyszłym wizyta w Ośrodku Chemicznym i Biologicznym w Edgewood w stanie Maryland. Sprawdziła, jakie najbardziej lubi porno – miał o wiele bardziej tradycyjne gusta niż większość facetów z armii i z prywatnych firm wojskowych, z którymi się zetknęła. Zobaczyła, że jego drużyna w bejsbolowej fantazy lidze miała wyjątkowo dobry tydzień. Przejrzała rachunki bankowe i inwestycyjne całej jego rodziny.

Ale nic nie wskazywało na to, że w rzeczywistości pracuje dla Kozaków albo że bogaci się, sprzedając im swoją wiedzę.

Raz jeszcze pomyślała o tym, na co wpadła wczorajszej nocy w samolocie: że od początku na opak interpretowała to, co wydarzyło się w Dubaju. Cały czas

zakładała, że Cassandra Bowden poderwała Sokolova podczas lotu do Emiratów, podczas gdy prawdopodobnie było dokładnie odwrotnie.

Boże, ten amator nawet nie wiedział, że ma do czynienia z ludźmi wychowanymi w kulturze, w której paranoja stanowiła narzędzie niezbędne do przetrwania.

Kiedy go zabiła, podmieniła pendrive'y, a Viktorowi przekazała tego z drastycznie okrojoną zawartością. Znajdowały się na nim dane techniczne drona z systemem maskującym, ale nie było nic, czego Rosjanie albo już nie mieli, albo nie byli w stanie uzyskać poprzez firmę NovaSkies w ciągu kilku miesięcy. Jej zwierzchnicy mieli nadzieję, że to wystarczy, by na razie zadowolić Viktora. Ale przeliczyli się. Następnie Elena zostawiła na laptopie Sokolova dowody na to, że okradał swój fundusz. Nie dało się ich przeoczyć. Ludzie z CIA wiedzieliby, dlaczego zginął, a Wywiad Narodowy prędzej czy później podzieliliby się tym, co wie, z FBI. Z kolei policja w Dubaju uznałaby to wszystko za wewnętrzne porachunki Rosjan, którzy jak zwykle załatwiali swoje sprawy z zimną krwią i bez litości. Standardowe zabójstwo w takich przypadkach kosztowało grosze. Ojciec Eleny zapłacił kiedyś podwładnemu marne piętnaście kawałków za wykonanie egzekucji na handlarzu, który próbował (bez powodzenia) wyłudzić od niego stal zakupioną w hucie w Lipiecku. Innym razem za jeszcze mniejsze pieniądze – pięć tysięcy dolarów – zlecił zabójstwo jakiegoś brytyjskiego kierownika do spraw kontraktów w Doniecku, ponieważ jego szefowie w Londynie odmówili renegotjacji umowy. (Potem szybko zmienili zdanie. Bardzo szybko). Amerykańskie agencje nie cieszyły się zbytnio ze śmierci Sokolova, ale niewątpliwie był on raczej czarną owcą i nikomu nie zależało na tym, żeby stanął przed sądem. Za dużo wiedział. Przede wszystkim odetchnęli z ulgą, że nikt nie został zdemaskowany. Jego śmierć miała w sobie coś z uprzejmej przysługi. W ten sposób dało się też uniknąć niepotrzebnej eskalacji całej sprawy, co nie byłoby nikomu na rękę.

Wylogowała się i próbowała dopasować ostatnie elementy układanki, ale zostało ich jeszcze zbyt wiele, a ona była teraz za bardzo zmęczona. Zmusiła się więc do odrobiny relaksu. Przekartkowała włoskie i brytyjskie magazyny o modzie, które kupiła w kiosku na ulicy, przejrzała najnowsze wiadomości na tablecie. Nieustannie jednak wracała myślami do stewardesy i swoich zamiarów wobec niej. Jest tak wiele sposobów na odebranie sobie życia. Można połknąć pigułki albo

wykrwawić się w wannie. Można spaść z dużej wysokości albo rzucić się do oceanu czy rzeki lub też runąć w głęboką przepaść. Można wskoczyć pod tramwaj, pod pociąg, pod autobus. Można się powiesić. Wreszcie można użyć któregoś z niezliczonych rodzajów broni palnej i strzelić sobie w głowę.

Elena brała pod uwagę, że taka chodząca katastrofa jak Cassandra Bowden może sprawić jej jeszcze ostatnią niespodziankę. Gdyby miała zgadywać, postawiłaby na tego barmana; w końcu łączył w sobie dwa główne zainteresowania Bowden w jednym zgrabnym opakowaniu. Rzecz jasna, byłoby to straszne nieszczęście. Elena bardzo nie chciała jego również mieć na sumieniu. Niestety, morderstwo plus samobójstwo z Cassandrą Bowden i jakimś poderwanym na jedną noc Włochem w rolach głównych wyglądałyby równie dobrze jak zwykłe samobójstwo, więc niewykluczone, że jej przełożeni właśnie o to ją poproszą.

Obiecała sobie kilka samotnych dni w Soczi, kiedy będzie już po wszystkim, choć oczywiście nie byłaby całkiem sama. W domu na pewno zjawiliby się starzy znajomi jej ojca. Trafiliby się ktoś, kto dawno temu wypadł z obiegu i nie słyszał o jej wpadce ze stewardesą. Może ten ktoś wiedziałby jedynie o śmierci Sokolova i chciałby jej za to podziękować. A to naprawdę nie było nic trudnego – po prostu trzeba od razu celować w żyłę szyjną. Nie ma nad czym deliberować.

Przynajmniej miałyby dużo czasu, żeby obserwować z werandy niedźwiedzie i słuchać nawoływania sów, drzemiać pod pergolą. Spróbowałyby odzyskać równowagę psychiczną po tym, co musiała zrobić w Diyarbakirze, w Dubaju i teraz w Rzymie.

Oparła głowę o wezglowie łóżka i zamknęła oczy, wsłuchując się w szum klimatyzacji. Wciąż była jednak podenerwowana z powodu tych wszystkich rzeczy, których nie wiedziała – które być może z premedytacją przed nią zatajono.

Rozdział 26

Cassie wyszła do holu i przysiadła na ciemnoczerwonym szezlongu, po stronie pozbawionej oparcia. Po drodze uśmiechnęła się do konsjerża, a także do przystojniaka w ciemnym garniturze i ze słuchawką w uchu, należącego do hotelowej ochrony.

– I co, siedzisz w pokoju? – zapytała Ani.

– Tak – skłamała.

– Dobrze. Jestem pewna, że dziennikarze próbują wyciągnąć od linii lotniczych, gdzie jesteś. Prędzej czy później ktoś znajdzie twój hotel. To kolejny dobry powód, żeby teraz nie wyściubiać stamtąd nosa.

– Serio? Zbrodnia miała miejsce w Dubaju, a nie w Perugii ani w Rzymie. Co to obchodzi włoskich dziennikarzy?

– Wszystkich dziennikarzy obchodzi to samo. A tu mamy seks i morderstwo.

– No tak. Oczywiście.

– Rozmawiałam z detektywem.

– Ma listy pasażerów?

– Nie. Wątpi, żeby to się udało. Ale poszperał trochę w innych miejscach.

Cassie starała się skoncentrować i słuchać uważnie.

– No i?

– Dowiedział się paru rzeczy. Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tym, jakiego rodzaju ludzie inwestują w ten fundusz?

– Tak. Mówiłaś, że większość to Rosjanie.

– Zgadza się. Kilka nazwisk widnieje też na liście OFAC Departamentu Skarbu. Najwyraźniej niektórzy z nich to oligarchowie, niewyobrażalnie bogaci. Niektórzy mogli być kiedyś w KGB. To ludzie, którzy zbili gigantyczne fortuny w pierwszych

latach po upadku Związku Radzieckiego. Możliwe, że FBI prowadzi śledztwo w sprawie Unisphere i tego konkretnego funduszu.

– Z powodu śmierci Sokolova?

– Nie. W tym wypadku FBI już wcześniej interesowało się tą firmą z uwagi na jej inwestorów. Na ich przeszłość.

– Rozumiem.

– Ale mogli też obserwować samego Sokolova. Może niewłaściwie zarządzał funduszem, część pieniędzy chował do kieszeni. A może, tak jak mówiłam wcześniej, był to rodzaj piramidy finansowej. Może zapewniał tym ludziom obiecane zyski tylko poprzez nieustanne wprowadzanie do funduszu nowych inwestorów, aż w końcu się przeliczył.

– Dlaczego FBI miałyby to obchodzić, skoro okradał tylko Rosjan, a pieniądze trzymał na Karaibach?

– Unisphere to amerykańska firma, a Sokolov mógł dopuszczać się defraudacji. Równie dobrze niektórzy z jego rosyjskich inwestorów mogą mieszkać w Ameryce i być całkowicie czyści.

– Więc twój detektyw uważa, że Alexa zabił jakiś rosyjski zbir?

– To możliwe – odparła Ani. – Pamiętaj: jeśli próbujesz oszukać albo okraść tych ludzi, to już jesteś trupem.

– Internetowe trolle od kilku dni mówią, że Alex był szpiegiem. Czy to możliwe?

– Jak najbardziej. Jeżeli Sokolov nie był oszustem albo po prostu kimś, kto nieodpowiedzialnie obchodził się z cudzymi pieniędzmi, to mógł być agentem działającym pod przykrywką.

– Pracującym dla nas?

– Albo dla nich. Jeśli dla nas, to Unisphere była jego przykrywką, ponieważ wiemy, kim są niektórzy z inwestorów, i znamy ich powiązania z prezydentem Rosji. Jeśli dla nich, to Unisphere była przykrywką, ponieważ mógł mieszkać i pracować w Stanach, a potem spotykać się z tymi ludźmi, nie wzbudzając podejrzeń. Mógł też być ich posłańcem, albo kurierem, bo chyba częściej używają takiego określenia. Tak więc twój przyjaciel z miejsca 2C mógł równie dobrze być jednym z nas albo jednym z nich. A może w ogóle grał na dwa fronty. Mój detektyw mówi, że takiej możliwości też nie da się wykluczyć. Może właśnie to

doprowadziło do jego śmierci. Nic w życiu nie jest czarno-białe, prawda? Może po prostu miał sporo na sumieniu.

Cassie myślała przez chwilę o mężczyźnie, z którym spała w Dubaju.

– Ale on nie wyglądał na oszusta ani na jakiegoś zimnego drania. Spotkałam w życiu niejednego, z przeproszeniem, fiuta, i on naprawdę się taki nie wydawał.

– Cóż, jeśli jesteś złodziejem, to się z tym raczej nie afiszujesz, prawda? To samo się tyczy szpiegów. Tacy ludzie nie rozdają wizytówek, na których jest wypisane, czym się naprawdę zajmują.

– Raczej nie – zgodziła się Cassie.

– Sokolov nie zostawił jednak żadnych śladów wskazujących na to, że mógł być szpiegiem. Żadnych kontaktów z Langley czy z Departamentem Stanu, żadnych znajomych w ambasadach.

– Ale jego rodzina pochodziła ze Związku Radzieckiego.

– Tak.

– Więc może bardziej prawdopodobne, że był rosyjskim szpiegiem – mruknęła Cassie.

– Może. Teraz następna sprawa... – Ani zrobiła pauzę i odchrząknęła. – Mamy pełen raport koronera z Dubaju.

Cassie zauważyła, że prawniczka przerwała w środku zdania, jakby niemal odruchowo próbowała grać na zwłokę.

– Złe wieści?

– Nie, właściwie całkiem dobre. Naprawdę. Ale jest kilka szczegółów, które wydają się nieco zastanawiające.

Cassie oparła głowę na rękę i zamknęła oczy. Czekala.

– Ciało znaleziono o siedemnastej. Krew do tego momentu całkiem zaschła. Podobno czas opróżniania żołądka wynosi jakieś cztery godziny, może pięć, jeśli wziąć poprawkę na alkohol. A jego żołądek był całkiem pusty. Zatem na pewno został zabity przed trzynastą, prawdopodobnie przed południem. W pokoju było osiemnaście stopni. Ciało nie napełniło się jeszcze gazem, nie było wzdęte i dopiero zaczynało się rozkładać.

Wzdrygnęła się, czy to z ogólnego poczucia obrzydzenia, czy też dlatego, że ten barwny opis dotyczył konkretnie Sokolova.

– Wszystko to brzmi obiecująco – powiedziała. – Ale wybacz, że nie umiem się za bardzo podekscytować wizją jego ciała rozkładającego się w tym samym łóżku, w którym z nim spałam.

– To jest obiecujące. Skup się. Jeśli Dubaj postawi ci zarzuty albo rodzina Sokolova wytoczy ci cywilny proces, będziesz miała argumenty za tym, że ciągle żył, kiedy wyszłaś z apartamentu. Nie da się udowodnić, że było inaczej.

– To dobrze – powiedziała Cassie, ale знаła prawdę. Jeśli będzie potrzebowała obrony, to ona, tak samo jak większość rzeczy w jej życiu, będzie się opierała na kłamstwie. Zastanawiała się, czy jej głos brzmiał równie głucho w rzeczywistości, co w jej głowie. Doskonale rozumiała, dlaczego te wieści wcale jej nie uszczęśliwiły.

– Ale teraz najważniejsze – ciągnęła Ani. – Według raportu była to, jak sami to określają, profesjonalna robota. Ten, kto zabił Alexa, przeciął mu tętnicę szyjną. Czyli wiedział dokładnie, jak ją znaleźć. Rozciął tchawicę. Śmierć nastąpiła w ciągu trzydziestu sekund. Cassie, na pewno byłabyś w stanie zabić śpiącego człowieka nożem albo rozbitą butelką, czy nawet nożykiem do otwierania listów, ale nie zrobiłabyś tego tak, no wiesz, sprawnie i fachowo. Z taką chirurgiczną precyzją. Nie załatwiłabyś tego tak szybko. Wiesz w ogóle, gdzie jest tętnica szyjna?

Cassie spojrzała na zawijasy na orientalnym dywanie pod jej stopami. Na swoje sandały i palce u nóg. Na różowy lakier na paznokciach.

– Nie, właściwie nie wiem.

– Chodzi mi o to, że nawet gdyby to był najgorszy przykład urwanego filmu, jaki w życiu przeżyłaś, i gdybyś faktycznie go zabiła, to zostawiłabyś po sobie dużo większy bałagan.

– Był całkiem spory bałagan.

– Ujmę to inaczej. Byłyby nakłucia, rozcięcia i inne ślady walki na dłoniach i rękach, ponieważ on by się obudził i zacząłby się bronić. A nic takiego nie ma. Wbijałabyś mu tę rozbitą butelkę w klatkę piersiową, w twarz. A to nie miało miejsca.

– Czyli mogę być absolutnie pewna, że go nie zabiłam?

– Tak. Absolutnie. Na sto procent – potwierdziła Ani.

– No proszę.

– Nie brzmi to, jakbyś poczuła wielką ulgę. Od samego początku powtarzałaś, że tego nie zrobiłaś, że jesteś o tym przekonana. Myślałam, że te informacje bardziej cię ucieszą. Co się dzieje?

– Ja tylko...

– Tylko co?

– To po prostu wydaje się takie nierealne. A ten biedak tak czy owak nie żyje, a ja tak czy owak zostawiłam go w tym łóżku. – Cassie stwierdziła ze smutkiem, że oczyszczenie z zarzutów nie przynosi wcale aż takiej satysfakcji, kiedy wszystko inne, co robi, jest żałosne. Miała tak mało wiary w siebie, że wolała uciekać i kłamać, i nie zrobiła prawie nic, żeby pomóc w znalezieniu prawdziwego zabójcy tego fascynującego mężczyzny, który umył jej włosy pod prysznicem i był wcieleniem ciepła i łagodności, przynajmniej przy niej.

– Tak więc o ile FBI albo dubajska policja nie uznają cię na serio za szpiega czy zawodową morderczynię, nie jesteś już tak naprawdę w gronie podejrzanych. Sokolova zabił ktoś dobrze wyszkolony. Fachowiec. Płatny zabójca. Widziałaś kogoś takiego, kiedy poszliście na kolację do restauracji? Albo w holu hotelowym?

– Nie mam pojęcia, jak wygląda płatny zabójca.

– Mówiłaś, że po kolacji gdzieś się jeszcze udał, zanim wrócił do apartamentu. Nie wiesz dokąd?

– Nie.

– Jedyna osoba, z jaką miał przy tobie kontakt, to Miranda?

– Zgadza się.

– A nie ma dowodów na to, że Miranda istnieje – dodała prawniczka. – Na nagraniach z kamer w holu widać ludzi wchodzących i wychodzących z windy w środku nocy. Ale wszystkich dopasowano do gości hotelu i wszyscy mają powód, żeby być na nogach o tej porze: bardzo wczesny lot albo przyjęcie, które późno się skończyło. I nie ma wśród nich ani jednej kobiety pasującej do twojego opisu Mirandy.

– Co to znaczy?

– Nie wiem. Może wyszła z pokoju Alexa, ale została na jego piętrze. Czy to możliwe?

– Chyba tak. To wielki hotel, ma co najmniej trzy skrzydła.

– I więcej niż jedną windę.

– Tak myślę – odparła Cassie. – Dzwonili do ciebie dzisiaj z FBI?

– Nie.

– Może to dobrze. Może przestałam ich obchodzić. Może podobnie jak ty uznali, że nie zabiłam Alexa. Albo po prostu pozwolą Dubajowi zająć się tą sprawą, co jak zauważyłaś, może się ciągnąć latami. Może twój detektyw ma rację, że chodzi tu przede wszystkim o defraudację i wściekłych Rosjan, a ja nie miałam z tym nic wspólnego. Pójdą dalej tropem pieniędzy.

– Brzmi sensownie. Ale proszę, nie rób sobie nadziei.

– Dlaczego?

W holu pojawił się Enrico, stanął oparty o kolumnę z założonymi rękami i patrzył na nią. Wyglądał na zaniepokojonego.

– Po pierwsze, w Nowym Jorku jest ciągle rano, więc równie dobrze mogą się do mnie odezwać za dziesięć minut. Albo za dwie godziny. Albo jutro. Chodzi mi o to, że jeszcze jest wcześnie. Poza tym to ja w ten sposób zinterpretowałam raport koronera. Oni mogą to wszystko widzieć inaczej.

– A po drugie?

– Po drugie, im dłużej myślę o tym raporcie, tym bardziej wydaje mi się, że to nie FBI jest naszym największym zmartwieniem. Ten, kto zabił Sokolova, wie teraz, że wróciłaś do jego pokoju, kiedy już nie żył. Byłaś tam. Widziałaś zwłoki, no i widziałaś tę kobietę, która być może nazywa się Miranda. Nawet jeśli uda ci się wywinąć FBI, Cassie, to nadal musisz na siebie bardzo uważać.

Enrico wziął ją za rękę i ruszyli w stronę Villa Borghese, a potem weszli do parku starą bramą przy piazzale Brasile. Cassie oglądała się za siebie, wypatrując czarnych czapek z daszkiem i słomkowych kapeluszy. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej była przekonana, że oni gdzieś tu są. Ktoś ją obserwował. Czuła to.

Było już na tyle późno, że nie musieli się kryć w cieniu drzew, ale na tyle wcześnie, że uliczni sprzedawcy jeszcze się nie zwijali, a z gorącego sierpniowego popołudnia korzystało mnóstwo turystów i miejscowych. Enrico powiedział, że

mieszka z dwoma innymi chłopakami, w tym z bratem, w mieszkaniu po drugiej stronie parku.

– To jest moja droga do pracy. – Wskazał na aleję porośniętą sosnami. Cassie te drzewa przypominały bardziej lizaki i otwarte parasole niż sosny, które pamiętała z dzieciństwa w Kentucky. – Ładna trasa, nie?

– O tak – zgodziła się.

– Obok willi rośnie pełno pięknych drzew cytrynowych. To nie całkiem po drodze, ale czasami i tak chodzę tamtędy. Specjalnie idę naokoło.

Powiedział, że jego mieszkanie jest dość małe. On i jego współlokatorzy używali salonu jako trzeciej sypialni, nie było w nim też jadalni jako takiej. Ale mieściło się na pierwszym piętrze trzypiętrowego budynku ze wspólnym tarasem na dachu, skąd był przepiękny widok na okolicę, zwłaszcza o zachodzie słońca. Zapewnił, że pozostali lokatorzy, z zawodu kelnerzy, są dzisiaj w pracy, co widocznie oznaczało, że zamierza ją zabrać do swojego mieszkania na drinka na dachu, po czym wrócić na dół, do jego łóżka. Ale Cassie nie do końca miała ochotę oddalać się teraz od hotelu.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście.

– Masz broń?

Stanął jak wryty i puścił jej rękę. Dotknął jej policzka i delikatnie odwrócił jej twarz z swoim kierunku.

– Broń? Jesteśmy we Włoszech, a nie w Ameryce.

– To chyba znaczy, że nie masz.

– Mój amerykański dziadek mieszka na Florydzie, a ja staram się śledzić wiadomości. Dlaczego pytasz?

– Nieważne.

– Nie, powiedz, proszę. Mój wujek poluje. Na dziki, jelenie. Nie jakoś bardzo poważnie, ale jeździ w sezonie do Montisi. Ma tam *podere*, mały domek. Ale przez większość roku mieszka tu, w Rzymie, dwie przecznice ode mnie. Ma dużo ładniejsze mieszkanie niż ja.

Cassie znowu ruszyła parkową aleją, ponieważ nie chciała utrzymywać z nim kontaktu wzrokowego. Enrico szedł obok niej z rękami za plecami.

– Myślałam raczej o pistolecie – powiedziała.
– Wiesz, że u nas nie wolno nosić przy sobie broni w miejscach publicznych. To wbrew prawu.

– Nie wiedziałam.

– Masz pozwolenie na broń? W Ameryce?

– Nie.

– W ogóle kiedykolwiek strzelałaś?

– Tak.

– Serio? – wydawał się naprawdę zdziwiony.

– Lata temu, ale tak. Nie z pistoletu, ze strzelby. Z półautomatycznego remingtona. Należał do mojego ojca. Dorastałam na wsi, pamiętasz? Kilka razy byłam z nim na polowaniu i odbyłam kurs myśliwski dla dzieci.

– Dla dzieci?

– Tak, dla dzieci. Myślisz, że twój wujek może mieć pistolet? Czy tylko myśliwską strzelbę?

– Ma pistolet.

Do Cassie podbiegł dziesięcio- czy jedenastoletni chłopiec z szeroko otwartymi oczami i jeszcze szczerym uśmiechem, żeby wręczyć jej piękną śnieżnobiałą różę; trzymał ich całe naręcze. Uśmiechnęła się do niego. Kwiat wciąż pachniał świeżo. Enrico dał mu kilka euro i chłopiec pobiegł dalej. W oddali Cassie dostrzegła kobietę w słomkowym kapeluszu, ale to nie był ani ten sam kapelusz, ani ta sama kobieta z lotniska.

– Trafiłaś w coś kiedyś? – zapytał Enrico.

– Raz zraniłam jelenia. To był kiepski strzał. Umierał dużo dłużej, niż powinien.

– Dlaczego o to pytasz? Po co ci broń?

Wzruszyła ramionami.

– Może będę jej potrzebować. Może wcale nie. Naprawdę sama nie wiem.

– Czy to ma coś wspólnego z tym telefonem do twojej siostry w hotelu?

– Tak.

– Powiedz mi więcej.

– Wiesz, Enrico, mogłabym cię okłamać. Jestem bardzo, bardzo dobra w kłamaniu. Kłamię cały czas. Okłamuję innych i samą siebie też.

– Ale mnie teraz nie będziesz okłamywać.

– Nie, nie będę – odparła z uśmiechem. – Ale też nie powiem ci zbyt dużo. Większość można i tak znaleźć w Internecie. Wystarczy wpisać moje nazwisko. Chociaż mam poczucie, że lepiej, żebyś tego wszystkiego nie wiedział.

– Jestem barmanem. Robię ludziom drinki. Kocham się z pięknymi stewardesami...

– To znaczy, że nie jestem pierwsza? – przerwała mu, żeby trochę się podroczyć.

– Jesteś. Pierwsza i jedyna.

– Ty też nieźle kłamiesz.

– Chodzi mi tylko o to, że nie mam żadnych wrogów – wyjaśnił.

– Ale ja mam. Albo może mam.

– Tu w Rzymie?

– Najwyraźniej. Może.

– Więc potrzebujesz ochrony, o to chodzi?

– Tak.

Objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

– Zatem ja cię ochronię.

– Nie wiem, czy dasz radę.

– Ale spróbuję.

– Nie. – Cassie pokręciła głową. – Najlepsze, co możesz zrobić, to zaprowadzić mnie do swojego wujka.

– Jeśli jest w domu. Ale może mi wcale nie pożyczyć broni. Swojej beretty.

– Tylko na jedną noc.

– Będzie się bał, że mogę sobie narobić kłopotów.

– A jeśli nie ma go w domu?

– Mam po prostu zabrać jego pistolet?

– Pożyczyć.

– Mam lepszy pomysł – powiedział figlarnym tonem Enrico.

Cassie czekała bez słowa.

– Powinnaś spędzić noc w moim mieszkaniu. Ze mną. Nikt nie będzie miał pojęcia, że tam jesteś. A gdyby ktoś się dowiedział? Będiesz miała do ochrony dwóch młodych silnych kelnerów i jednego młodego silnego barmana.

Myślała o tym, gdy szli, co jakiś czas zerkając na sprzedawców gelato, pary na wypożyczonych rowerach i turystów fotografujących rzymską świątynię nad niewielkim stawem. Zobaczyła dwóch amerykańskich chłopców w bejsbolowych koszulkach, prawie nastolatków, którzy biegli kawałek przed swoimi rodzicami. Popatrzyła na młodego mężczyznę w ciemnych okularach stojącego obok srebrnego, matowego roweru, a on spojrzał na nią, kiedy go mijała.

Wciągnęła w nozdrza powietrze pachnące zmierzchem i nagle przypomniała sobie zimne ciało Alexa Sokolova leżące w łóżku obok niej i jego krew na swoich włosach. Przypomniała sobie jego szyję i białą poduszkę nasiąkniętą krwią jak gąbka. Wyobrażała sobie rozkład ciała, o którym Ani mówiła przez telefon. Po rozmowie z prawniczką wiedziała, że nie może w ten sposób narażać Enrica. Ponadto uświadomiła sobie, w jakiejś pierwotnej części swego mózgu, tej, która kontrolowała najbardziej podstawowe funkcje ciała, że w jej wnętrzu coś stwardniało, jak glina, która zastyga na słońcu. To dlatego chciała mieć ten pistolet.

– Zastanowię się nad tym – powiedziała. – Ale najpierw się napijmy.

Rozdział 27

Elena stała przed lustrem w pokoju hotelowym, podziwiając swoje nowe, czarne włosy. Efekt naprawdę się jej podobał. Potem spojrzała na telefon na komodzie i na niebieską kropkę, która oznaczała Cassandrę Bowden. Stewardesa właśnie mijiała świątynię Asklepiosa w ogrodach Villa Borghese. A zatem albo nie uważała, że jest w niebezpieczeństwie, albo miała to gdzieś. Po Bowden można się było wszystkiego spodziewać. Elena podejrzewała też, że kobieta nie jest sama.

Poliała zamówiony do pokoju ser pecorino odrobiną miodu i zjadła, delektując się słodko-słonym połączeniem, a na koniec przetrzała usta serwetką. Znała już numer pokoju stewardesy w jej hotelu. Będzie na górze na długo, zanim powróci jej ofiara, dokładnie tak samo jak w Dubaju. Tym razem jednak będzie czekała na Bowden – i na jej barmana, czy z kim tam teraz była – w jej własnym pokoju. A jeśli okaże się, że Bowden postanowiła spędzić tę noc gdzie indziej? Cóż, Elena po prostu uda się w jej ślady.

Chyba że otrzyma komunikat od swojego agenta prowadzącego i nastąpi zmiana planów.

Włożyła czarną sukienkę, umyła zęby i przygotowała torbę. Do hotelu przysłali jej paczkę, w której było wszystko, o co prosiła: dwa tuziny tabletek pentobarbitalu, butelka wódki stolicznej, beretta z tłumikiem i dodatkowym magazynkiem, suchościeralny marker z ukrytą w środku płytką drukowaną Arduino, żeby otworzyć zamek w hotelowych drzwiach; skórzane kajdanki wyściełane sztucznym futerkiem (erotyczny gadżet, który w przeciwieństwie do zwykłych kajdanek czy nawet taśmy izolacyjnej nie zostawi śladów na skórze ofiary), paralizator wbudowany w latarkę i na wszelki wypadek nóż z dziesięciocentymetrowym tytanowym ostrzem, składający się jak harcerski scyzoryk – bardzo podobny do tego, którym zabiła Alexa Sokolova. Miała nadzieję, że tym razem nie będzie musiała go użyć.

Wszystko to ładnie zmieściło się do torby na ramię, razem z portfelem, puderniczką, szminką, okularami słonecznymi i telefonem.

Elena rzuciła okiem na aplikację. Niebieska kropka zatrzymała się w budynku przy bocznej uliczce nieopodal British School. Sprawdziła adres i okazało się – co nie stanowiło dla niej żadnego zaskoczenia – że w tym budynku mieści się bar.

Rozdział 28

S pacer przez park sprawił, że Cassie zrobiło się gorąco i nabrała wielkiej ochoty na bellini, zwłaszcza że wcześniej w barze u Enrica widziała ich całą tacę. Ale nie zamówiła koktajlu. Zrobiła głęboki wdech i poprosiła o wodę gazowaną, a potem – w końcu była w Rzymie – zamówiła jeszcze cappuccino. Spodziewała się objawów syndromu odstawienia – nie fizycznych, tylko emocjonalnych – ale wiedziała, że dzisiaj, jak chyba jeszcze nigdy dotąd, musi zachować trzeźwość umysłu. Enrico jednak, jakby został stworzony wyłącznie po to, żeby ją kusić, musiał zamówić akurat bellini. Usiedli przy stoliku na zewnątrz, który jeszcze godzinę wcześniej znajdowałby się w pełnym słońcu, ale teraz krył się w cieniu i temperatura powietrza była idealna, w każdym razie jak na sierpień w Rzymie.

Kiedy przyniesiono ich napoje, Enrico skosztował swojego.

– I jak? – zapytała.

Wyglądał, jakby zastanawiał się nad tym znacznie poważniej, niż przypuszczała.

– Ja robię lepsze, chociaż trudno zepsuć prosecco i sok z brzoskwini. Ale powinni rozgnieść świeże owoce, a nie po prostu dolać soku z butelki. Różnica jest ogromna. – Następnie nachylił się nad małym okrągłym stolikiem, opierając łokcie o żelazny blat. – Jakie masz kłopoty, *mio amore*? Jeśli mi powiesz, może będzie mi łatwiej zdobyć dla ciebie ten pistolet.

Cassie sięgnęła do torebki po telefon, żeby pokazać mu artykuł z „New York Post”. Nie była jeszcze pewna, jak dużo poza tym mu powie. Ale zanim zrobiła cokolwiek, zobaczyła SMS od Buckleya. Pytał, czym się różni latająca modliszka od latającej wiewiórki. Żartobliwa wiadomość wywołała uśmiech na jej twarzy, a sam fakt, że się odezwał, przyniósł jej pewne ukojenie. Nie spodziewała się, jak bardzo może ją ucieszyć krótki, niepoważny SMS.

– Dobre wieści? – spytał Enrico.

– Tak. Właściwie tak.

– Więc nie potrzebujesz już broni?

Cassie wbiła wzrok w jego bellini. Koktajl wyglądał tak ślicznie. Alkohol był czymś pięknym. Te wszystkie kolory, butelki, etykiety, kieliszki. Cały rytuał. W tym barze serwowali bellini w wysokiej szklance z czerwono-zieloną mgiełką u samego szczytu. Szkło Enrica wciąż było prawie pełne. Wyobraziła sobie Buckleya czytającego gazetę – autentyczny papier pokryty tuszem, ten prehistoryczny relikw z czasów, zanim cyfrowa asteroida zmiotła z powierzchni ziemi tak wielu jego genetycznych kuzynów – w jakiejś kawiarni w West Village.

Zdała sobie sprawę, że zaledwie półtorej godziny temu, w barze w jej hotelu, nie mogła się doczekać, żeby zabrać siedzącego naprzeciwko młodego barmana do swojego pokoju.

Otworzyła na telefonie przeglądarkę internetową i znalazła na stronie gazety artykuł o sobie. Następnie wręczyła mu urządzenie, mówiąc:

– Miłej lektury.

Kiedy skończył, położył telefon na stole i odchylił się na krześle, krzyżując ręce na piersi.

– Więc oni myślą, że zabiłaś tego człowieka? – zapytał niemal oskarżycielskim tonem.

– Tak – odpowiedziała, chociaż nie była całkiem pewna, kogo Enrico ma na myśli, mówiąc „oni”. Media? FBI? Policję w Dubaju? W zasadzie mogło się to odnosić do każdego z osobna albo wszystkich równocześnie.

– Ale tego nie zrobiłaś.

Chciała powiedzieć mu prawdę: na początku miała poważne wątpliwości, ale teraz wiedziała już na pewno, że tego nie zrobiła. Musiała jednak konsekwentnie trzymać się jednej wersji wydarzeń. Dlatego odpowiedziała:

– Kiedy wychodziłam z jego pokoju, on jeszcze żył. Miał się zaraz ubrać i przygotować na swoje spotkania w Dubaju.

– Czyli ktoś go zabił po twoim wyjściu.

– Zgadza się.

– A teraz prosisz mnie o pistolet.

– Tak.

Enrico uniósł brew.

– Nie wydaje mi się, żebyś zamierzała mnie zabić.

– Nie. Absolutnie.

Zrobił głęboki wdech i spojrzał jej prosto w oczy.

– Zdobędę dla ciebie ten pistolet.

– Dziękuję – powiedziała.

– Wiesz, możliwe, że włoscy dziennikarze będą chcieli z tobą rozmawiać. Wiedzą, w którym jesteś hotelu?

– Zdaniem mojej prawniczki na pewno się tego dowiedzą. Ale w holu nikt mnie nie zaczepiał. I nikt nie czekał przed głównym wejściem, przynajmniej dziś po południu.

– Jeszcze jeden powód, dla którego bardzo się cieszę, że idziemy do mnie.

Cassie miała wyrzuty sumienia, ale wiedziała, że musi go rozczarować. Opuściła wzrok na swoje ręce, próbując zebrać się w sobie. To wszystko byłoby o wiele prostsze, gdyby mogła się napić. Wypić chociaż jednego drinka. Ale gdyby skusiła się na jednego, to zaraz potem zamówiłaby drugiego i w końcu znowu wylądowałaby w jego ramionach i w jego łóżku.

– Nie idziemy do twojego mieszkania – powiedziała. – Nie możemy. Ja nie mogę.

Wyglądał na mocno zawiedzionego.

– Dlaczego?

– Nie chcę narażać twojego brata i twojego przyjaciela. Nie chcę narażać ciebie.

– Więc wrócimy do twojego pokoju? – Widziała, że nie do końca zrozumiał, co miała na myśli, i łapał się wszystkiego, co dawało mu jakieś resztki nadziei. Nawet jej to pochlebiało.

– Nie – odparła stanowczo. Wzięła do ręki filiżankę z cappuccino i przez chwilę wpatrywała się w fantazyjny wzór z mleka. W końcu otrząsnęła się i upiła łyk. – Nie wrócimy. Ja wrócę. Sama. Pożyczymy ten pistolet, a potem odprowadzisz mnie do hotelu i pożegnamy się w holu. Proszę. A jutro rano zostawię ci broń w pudełku albo w jakiejś paczce, kiedy będę się wymeldowywać. Zostawię ci ją w recepcji.

– Potrzebujesz mnie.

– Och, potrzebuję wielu rzeczy, Enrico, naprawdę. Możesz mi wierzyć: lista jest bardzo, bardzo długa. Ale nie mogę się zgodzić, żebyś podejmował takie ryzyko. Po prostu nie mogę. Poza tym...

– Tak?

– Od zeszłego tygodnia dużo się zmieniło.

– Z powodu tego artykułu? – zapytał.

– Ponieważ jest ktoś inny.

– W zeszłym tygodniu go nie było?

– Był, ale teraz jest inaczej.

Enrico pokiwał głową. Choć nie krył rozczarowania, miała przekonanie, że nie czuje się przez nią zraniony. Różnica jest duża.

– I tak mógłbym z tobą zostać – nie ustępował.

– Nie, nie pozwolę na to. Nie zostanę też na noc z nikim innym z załogi. Z tego samego powodu. To by nie było fair.

– Jest szansa, że niepotrzebnie się tak martwisz?

– Tak – odparła, ale wcale w to nie wierzyła. Myślała o tym, co powiedziała jej wcześniej przez telefon Ani. Pamiętała, co podpowiadał jej instynkt tamtego dnia na stacji metra na Manhattanie. Ktoś ją śledził. Ktoś na nią czyhał. Ale przez wzgląd na Enrica dodała: – Oczywiście biorę to pod uwagę. Miejmy nadzieję, że tak właśnie jest.

Napił się swojego koktajlu i wydawał się z niego jeszcze mniej zadowolony niż przedtem. Cassie podejrzewała, że w ogóle go nie skończy.

– Chcę cię jeszcze o coś zapytać – powiedział. Miał bardzo poważną minę.

– Możesz mnie pytać, o co chcesz.

– Przyszło ci kiedyś do głowy, że za dużo pijesz?

Jej telefon zadzwonił niemal w tej samej chwili, kiedy wyszli z baru i ruszyli w kierunku mieszkania wujka Enrica. Na ekranie wyświetliło się imię jej siostry, więc postanowiła odebrać, dając mu znak, że musi się na chwilę zatrzymać

i skupić na rozmowie. Przypomniała sobie e-mail od Rosemary, który przeczytała wczoraj w nocy, kiedy leciała nad Atlantykiem, i uświadomiła sobie, że na niego nie odpisała. Gdy tylko powiedziała „Halo?“, Rosemary zaczęła mówić.

– W moim domu właśnie byli dwaj agenci FBI – zaczęła, wyraźnie rozwścieczona. – Do biura Dennisa w bazie też przyszli agenci, razem z dwoma żandarmami. Do jego bazy wojskowej. Coś ty, do cholery, narobiła, Cassie?

– Przepraszam, kochanie. Powinnam była odpisać ci na maila. Tylko że...

– Tylko że co?

Wyleciało mi to z głowy po tym, jak prawie zwałam z nóg jakąś kobietę na lotnisku w Rzymie, bo wydawało mi się, że widziałam ją wcześniej w Dubaju. Dostałam gazem po oczach. Straciłam poczucie czasu, kiedy przestuchiwała mnie ochrona lotniska Fiumicino. Zasnęłam i spałam jak zabita. Odbywałam rozmowę z prawniczką. Właśnie przekonałam włoskiego barmana, żeby załatwił mi broń.

Ale Cassie nie wygłosiła żadnego z tych zdań. Odeszła tylko o kilka kroków od Enrica i powiedziała:

– Po prostu zapomniałam.

– FBI, Cassie. FBI.

– O co cię pytali? O co pytali Dennisa? – Widziała, że Enrico ją obserwuje. Wyglądał na przejętego.

– Chcieli wiedzieć, jakie relacje łączą cię z moim mężem. Czy kiedykolwiek mówiłaś mi, że masz problemy finansowe. Czy rozmawiałaś o tym ze mną, z nami. Pytali, czy ostatnio dziwnie się zachowywałaś. Albo kiedykolwiek wcześniej. Pytali, jak dużo pijesz. Mogę mówić dalej.

– Mów.

– Chcieli wiedzieć, czy kiedykolwiek widzieliśmy cię z jakimiś dziwnymi ludźmi albo z tym całym Alexem Sokolovem, tym, którego zabili. On zdaje się mieszkał w Nowym Jorku, tak jak ty. Pytali, czy opowiadałaś coś o swoim pobycie w Dubaju. Albo w Europie. Czy słyszeliśmy jakieś opowieści z twoich podróży.

– I co im powiedziałaś?

– Powiedziałam, że nie masz żadnych relacji z Dennisem poza tym, że jest twoim szwagrem. Z początku myślałam, że sugerują, że macie jakiś romans, i może faktycznie tak myśleli, ale nie o to chodziło. A przynajmniej nie to było dla nich najważniejsze.

– Nie mamy żadnego romansu! On cię kocha. Ja cię kocham.

– Węszyli za czymś innym. Chyba myśleli, że on ci opowiada jakieś rzeczy o swojej pracy, których nikomu nie powinien mówić!

– Przyrzekam, i tak bym nie zrozumiała ani słowa.

– Chyba nie to mieli na myśli, Cassie. Wiesz, że jego praca jest tajna. Pracuje w Korpusie Chemicznym, na miłość boską!

– Co jeszcze im powiedziałaś?

Rosemary wydmuchała nos. Cassie zdała sobie sprawę, że jej siostra jest nie tylko wściekła, ale i przerażona; najprawdopodobniej płakała, zanim do niej zadzwoniła. W jej głosie słychać już było więcej trwogi niż bojowości.

– Powiedziałam im, że za dużo pijesz, ale nie jesteś, przynajmniej z tego, co wiem, równie nieodpowiedzialna jak nasz ojciec. Powiedziałam, że nic nie wiem o żadnych dziwnych ludziach w twoim życiu, bo nie znam żadnych twoich znajomych. Ani twoich facetów. Myślę, że dla nich brzmiało to podejrzenie, ale mnie głównie zrobiło się smutno. Zdałam sobie sprawę, że nie wiem nic o twoim świecie oprócz tego, że podróżujesz w różne fajne miejsca i przywozisz moim dzieciom bajeranckie prezenty.

Cassie chciała się bronić, zaznaczyć, że to przecież Rosemary trzyma ją na dystans. Ale jej siostra była już wystarczająco wytrącona z równowagi, a w końcu została wciągnięta w ten koszmar wyłącznie z jej winy, dlatego Cassie w porę ugryzła się w język i zapytała tylko:

– Dennisa też pytali o to samo?

– Nie wiem. Był w bazie i nie mógł ze mną rozmawiać. Ale podejrzewam, że tak. Zabrali go do jakiejś sali konferencyjnej i zaczęli go maglować.

– Cóż, chyba nie ma nic do ukrycia.

– Nic do ukrycia? Dennis zajmuje się w pracy bronią chemiczną. Tobie się wydaje, że jest jakimś śmiesznym jajogłowym, ale ten jajogłowy spędza całe dnie, likwidując sarin, VX i inne najgorsze świństwa w naszym arsenale.

– Wiem.

– Ma dostęp do ściśle tajnych informacji!

– Rozumiem – powiedziała łagodnie Cassie.

– A teraz przesłuchuje go FBI!

– Ale on nie zrobił nic złego.

– Tak, ja to wiem i ty to wiesz. Ale...

– Ale co?

– Źle to wygląda. Fatalnie to wygląda.

– Przepraszam – mruknęła Cassie. – Naprawdę.

Rosemary zignorowała jej przeprosiny.

– Chcieli wiedzieć, co mi opowiadałaś o tym człowieku, który został zabity. Powiedziałam prawdę: nigdy o nim nie wspomniałaś, bo nigdy nie wspominasz o tych tabunach facetów, z którymi sypiasz.

– To nie są tabuny, Rosemary. Daj spokój.

– Co ja mam powiedzieć Jessice i Timowi?

– Obawiasz się, że nie będą zbyt dumni ze swojej ciotki?

– Cassie, kocham cię, naprawdę. Ale co ty, do cholery, narobiłaś? To jest coś innego niż dotąd. Boję się o swojego męża i o swoje dzieci. Powiedz mi, jakie masz kłopoty.

– Nic nie zrobiłam – odparła, a w duchu powtarzała sobie, że to nie kłamstwo, tylko konsekwencja. – W Dubaju spędziłam noc z interesującym człowiekiem. Kiedy się z nim rozstawałam, nadal żył. A co się stało potem? Nie mam pojęcia.

– Niestety wiemy, co się stało – przypomniała jej siostra. – Ktoś praktycznie uciął mu głowę. Ty mówisz, że był interesujący. A ja mam poczucie, że FBI użyłoby całkiem innego określenia.

Drzwi frontowe nie były zamknięte na klucz, więc Enrico wszedł do środka bez pukania. Minęli ciemny, idealnie wysprzątny salon i kuchnię i wyszli na patio. Jego wujek siedział pod niewielką pergolą, czytając gazetę i popijając cointreau. Miał na sobie białą koszulę, bez krawata, i błękitne spodnie od garnituru. Marynarka wisiała na oparciu krzesła. Pośrodku patia stała mierząca nieco ponad metr fontanna w kształcie bogini trzymającej dzban. Na dwóch podniesionych grządkach rosły pomidory, nie brakowało też drzewek cytrynowych. Była to piękna, prywatna oaza w środku miasta.

Cassie szacowała, że Piero Bianchi ma czterdzieści kilka lat, a kiedy wstał, żeby ją przywitać, wyczuła delikatny zapach werbeny. Był młodszym bratem matki Enrica i pracował w banku. Miał równie szczupłą sylwetkę jak siostrzeniec, ale to, co zostało z przerzedzonych włosów, było mocno przyprószone siwizną. Cassie uświadomiła sobie, że wiekiem znacznie bliżej jej do wujka niż do siostrzeńca, co wydało się jej nieco deprymujące. Enrico po drodze napisał do niego SMS-a, żeby się upewnić, że jest w domu, ale nie wyjaśnił powodu ich wizyty. Ostrzegł Cassie, żeby nie wspominała ani słowem o broni – sam miał się tym zająć.

– Więc jesteś stewardesą – zaczął Piero, kiedy usiedli wszyscy naokoło stołu. Mówił po angielsku niemal bez cienia akcentu. – Mam przyjaciół, którzy latają dla Alitalii i American Airlines.

– Pilotów czy członków obsługi?

– Jednych i drugich. Ale więcej tych drugich.

– Lubię ten styl życia.

– Oni również. Na pewno nie chcecie się niczego napić?

– Nie, dziękuję – powiedziała. Spojrzała na Enrica, który także pokręcił głową.

– Skąd latasz?

– Z JFK.

– Wyjątkowo nie lubię tego lotniska. Jest prehistoryczne.

– To prawda.

Enrico nagle wstał i oznajmił, że idzie do łazienki.

– No to powiedz: skąd znasz mojego siostrzeńca?

– Nasze linie lotnicze wynajęły pokoje w jego hotelu. A on robi znakomite negroni.

– Wcale mnie to nie dziwi. Myślę, że całkiem niedługo pomogę mu otworzyć własny bar. Bar i restaurację. Ale najpierw musi znaleźć partnera, który umie gotować. Umiesz gotować?

– W mojej lodówce są tylko resztki indyjskich dań na wynos i przeterminowany jogurt.

– To chyba znaczy, że nie.

– Dobrze zgadłeś.

Piero dopił resztkę cointreau. Kiedy odstawił pustą szklanę, Cassie wbiła w nią wzrok. Miała wrażenie, że jej łaknienie jest niemal namacalne.

– Enrico to dobry chłopiec – powiedział Piero, kładąc wyraźny nacisk na słowo „chłopiec”. Cassie nie była pewna, czy ją krytykuje, czy się z nią po przyjacielsku droczy, czy po prostu każdy wujek mówiłby tak o swoim siostrzeńcu, nawet kiedy ten chłopiec jest już dorosłym mężczyzną.

– Tak – odparła lakonicznie.

– Kiedy powiedział, że chce mi kogoś przedstawić, spodziewałem się czegoś innego.

– Kogoś... młodszego?

Piero wybuchnął śmiechem.

– Nie. Kogoś bardziej włoskiego.

– Naprawdę?

– Oczywiście, że nie. Żartuję sobie. Nie wiem czemu, ale kiedy zadzwonił, miał taki głos, jakby zamierzał mi oznajmić coś bardzo ważnego. Pomyślałem: oho, za chwilę poznam osobę, która potrafi robić jakieś cuda z dziczyzną, albo z przegrzebkami, albo z cukinią, i Enrico jest gotowy założyć z tym kimś swoją restaurację.

– Przykro mi.

– Wielkie nieba, a dlaczego miałoby ci być przykro?

– Nie jestem tą osobą. Wydajesz się zawiedziony.

– Ani trochę. Ale nadal próbuję zrozumieć, dlaczego chciał mi cię przedstawić. Jesteście parą?

– Nie, tylko przyjaciółmi.

– Widzisz, i to jest dla mnie zaskakujące. Nawet jeśli nie jesteście parą, zakładałem, że łączy was coś więcej niż przyjaźń. Dobrze wiem, jakie mój siostrzeniec ma zainteresowania.

– Może w następnym życiu.

– Może.

Chwilę później wrócił Enrico, a Cassie zauważyła, że wyciągnął koszulę ze spodni. Posłał jej uśmiech, pochylił się i udawał, że drapie się w plecy na wysokości nerek. Zobaczyła, że kciukiem i palcem wskazującym napiął koszulę na tyle, że pod

materiałem zarysował się kształt rękojeści pistoletu, który wcisnął sobie z tyłu za pas spodni.

Rozdział 29

Elena patrzyła, jak Cassie i Enrico wychodzą z mieszkania. Wujek Bianchi jeszcze przez dłuższą chwilę stał w drzwiach pod zewnętrzną lampą z bursztynowego szkła i odprowadzał ich wzrokiem. Nie machał na pożegnanie, bo byli odwrócenii do niego plecami. Stał z przygarbionymi ramionami i wyglądał trochę smutno. Elena zastanawiała się nad przyczyną. Próbowwała odgadnąć, dlaczego Enrico przyprowadził tu stewardesę. Gdyby chciał ją przedstawić swojej rodzinie, to chyba najpierw zabrałby ją do rodziców, a nie do wujka.

Nie potrzebowała żadnych tajnych narzędzi, żeby w czasie gdy czekała na ich wyjście, sprawdzić, kim jest Piero Bianchi. Wystarczyły podstawowe informacje. Dowiedziała się, że jest bankierem, chociaż miał raczej niewiele wspólnego z obcymi walutami, funduszami hedgingowymi i bankowością międzynarodową. Głównie zajmował się finansowaniem lokalnych projektów deweloperskich – nowych osiedli powstających w obrębie Rzymu. Elena uznała te informacje za pocieszające, ale nie rozstrzygające. W końcu fundusz kierowany przez Sokolova również działał intensywnie na rynku nieruchomości. Niewykluczone, że Sokolov powiedział Bowden coś o swojej pracy, ona przekazała to barmanowi, a teraz oboje udali się do wujka Piera po fachową konsultację. Każdy bankier o jego doświadczeniu umiałby odpowiedzieć na podstawowe pytania z zakresu inwestycji i w najprostszycy słowach wyjaśnić, czym zajmował się Sokolov w Unisphere.

Ale gdyby Bowden to rzeczywiście interesowało, to miała przecież mnóstwo czasu, żeby porozmawiać z bankierami, kiedy była w domu, na Manhattanie. Ta jej prawniczka w każdej chwili mogła jej kogoś znaleźć. Bowden mogła się z kimś spotkać w Ameryce, zamiast chodzić do schroniska dla zwierząt, do zoo albo na randki z tym aktorem.

Nie, ci dwoje musieli odwiedzić wujka Piera z jakiegoś powodu, który nie miał absolutnie nic wspólnego z funduszem hedgingowym.

Przypomniała sobie coś, co powiedział jej ojciec: mądra dziewczyna nie jest niczym popychadłem ani niczym wrogiem. Mądra dziewczyna umie władać zarówno mieczem, jak i uśmiechem. (Miała ochotę odpowiedzieć wtedy, że jego była żona zadowala się wymachiwaniem mieczem, radzi sobie całkiem nieźle, ale rozumiała, o co mu chodzi).

Jej agent prowadzący w Abu Zabi wysunął własną teorię, mogącą tłumaczyć związek pomiędzy Sokolovem i Bowden:

– A jeśli ta stewardesa jest tak naprawdę sprytniejsza od przeciętnego misia? – zapytał. – Może od początku zaplanowała ten przekręt razem z Sokolovem, a ich noc pijaństwa to była jedna wielka mistyfikacja?

– Zamieniam się w słuch – odparła.

– Dobra, posłuchaj. Kiedy zadzwoniłaś do pokoju pięćset jedenaście, Bowden nawet jeszcze tam nie było. Przyszła chwilę wcześniej niż ty i wspólnie odegrali przed tobą małe przedstawienie pod tytułem: pijana schadzka.

– Nie, oni naprawdę byli nawaleni – zapewniła go. – To nie było udawane.

Elena zrewanżowała mu się swoją własną teorią: w samolocie Bowden wspomniała mimochodem o tym, gdzie pracuje jej szwagier, i Sokolov dostrzegł okazję. Oto stewardesę, która regularnie lata do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, a jej szwagier jest majorem w bazie wojskowej wypełnionej po brzegi bronią chemiczną. Osobiście nadzoruje jej likwidację. Sokolov pomyślał, że przy pomocy stewardesy albo go zwerbuj, albo zaszantażuje. Ale Viktor miał już własnego kreta w amerykańskim programie broni chemicznej, a FSB miało swojego kuriera zatrudnionego w tej samej linii lotniczej. Bowden do niczego nie była im potrzebna.

Oczywiście, jak na ironię, teraz FBI faktycznie musiało prześwietlić majora McCauleya. Sprawdzić, czy nie naruszył tajemnicy wojskowej, mówiąc szwagierce coś, co ona potem mogła przekazać Sokolowowi. Dlatego został przesłuchany przez agentów. A także jego rodzina.

Tymczasem Viktor zapewne podejrzewał – nie, zakładał – że stewardesa sama jest z FBI i dlatego interesowała się Sokolovem, albo jest z CIA i chciała go wykorzystać, żeby uzyskać dostęp do Kozaków. A nawet jeśli to nieprawda? Cóż, tak czy inaczej, była w tym apartamencie. Może jest tylko rozwiązłą stewardesą,

która znalazła się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze, ale nie sposób wykluczyć, że jest kimś znacznie bardziej niebezpiecznym.

I dlatego Viktor słusznie uważał, że jego niezawodna protegowana powinna była zabić tę kobietę, gdy natknęła się na nią w pokoju Sokolova.

Ale Elena tego nie zrobiła.

Od czasu Dubaju Viktor powtarzał jej, że Sokolov mógł po pijaku wypaplać coś potencjalnie szkodliwego i stewardesa mogłaby to teraz ujawnić. Podkreślał, że ją widziała, a zatem mogłaby ją z łatwością zdemaskować. I faktycznie, ta wariatka rozpoznała ją na Fiumicino, więc Elena niewątpliwie podzielała te obawy. Ale zaczęła sobie uświadamiać coś jeszcze. Nie tylko zawiodła Viktora tym, że ani nie zabiła Bowden, ani nawet mu o niej od razu nie powiedziała. Przede wszystkim jego wiara w nią została nieodwołalnie podkopana. Ich wiara. Ich zaufanie. Wyglądało bowiem na to, że Elena darowała życie agentce FBI, albo przynajmniej osobie współpracującej z FBI. I nigdy jej nie uwierzą, nieważne, jak elokwentnie będzie tłumaczyła, co się naprawdę wydarzyło, i jak wiele znajdzie angielskich czy rosyjskich synonimów słowa „pijany”.

Domyślili się już, że Elena pracuje dla CIA. Że dała się przeciągnąć na stronę wroga.

Szpiedzy (Elena zawsze uważała, że to słowo ma w sobie coś szalenie narcystycznego, ale wołała to od innych potencjalnych określeń, które akcentowały bardziej śmiercionośne aspekty jej pracy) zmieniali stronę z wielu powodów. Najczęściej dlatego, że nie mieli wyboru: zostali zdemaskowani albo zaszantażowani i przejście do przeciwnej drużyny było jedynym sposobem uniknięcia więzienia. Albo ujścia z życiem. W jej wypadku przyczyny były zarówno głębokie, jak i całkiem prozaiczne. Tak, kiedy zadomowiła się już w Bostonie, zaczęła bardziej obiektywnie dostrzegać plagę korupcji, która opanowywała nową Rosję, i postanowiła nie poddać się tej tak typowej dla rodaków mieszance cynizmu i fatalizmu. Chciała, aby nowa Rosja była lepsza od starej, a to oznaczało konieczność osłabienia starej gwardii. Samo to jednak nie wystarczyłoby, żeby przekonać ją do zmiany frontu. Oprócz tego poznała mężczyznę, doktoranta, pięć lat starszego od niej. Amerykanina. Ona była wtedy młodą, dwudziestoczteroletnią agentką FSB. Nigdy się nie dowiedziała, czy cały ten flirt od początku miał na celu zwerbowanie jej osoby, ponieważ nigdy nie przerodziło się to w wielki romans; on jasno zaznaczył, że nie mogą być widywani razem, na

wypadek gdyby któreś z nich zostało kiedykolwiek zdemaskowane. Ale to od niego dowiedziała się, że jej ojciec wcale nie zmarł na udar – otruto go jodkiem metylu, ponieważ dzięki użyciu tej substancji przyczyna śmierci przypominała udar mózgu. Zrobili to Kozacy. I Viktor Olenin. Jej ojciec na starość zaczął nazbyt otwarcie i krytycznie wypowiadać się o prezydencie Federacji Rosyjskiej. Stał się nieprzewidywalny i przez to groźny. Za dużo wiedział, żeby mogli pozwolić mu żyć.

Ale przeżył, pomimo trucizny. Ledwo.

Ten młody Amerykanin wykładał teraz politologię w Berlinie. Elena przestała odwiedzać jego profile w portalach społecznościowych, kiedy okazało się, że jego niemiecka dziewczyna została jego niemiecką żoną.

Westchnęła. Zastanawiała się, czy Viktor zaczął tracić do niej zaufanie, jeszcze zanim postanowiła nie zabijać stewardesy. Jeśli tak, to ciekawe, co sprawiło, że po raz pierwszy zwątpił w jej oddanie. W jej lojalność. Ale to właściwie nie miało znaczenia. Teraz liczyło się co innego: Viktor i inni są przekonani, że oszczędziła Bowden z przyczyn znacznie gorszych niż zwykła litość. Niewykluczone, że zamierzają się jej pozbyć, nawet jeśli sprzątnie stewardesę – gdy tylko sprzątnie stewardesę.

Mimo to kiedy analizowała sytuację na szachownicy, zlikwidowanie tej kobiety w dalszym ciągu wydawało się rozsądnym posunięciem. Elena podzieliła się swymi obawami z agentem prowadzącym, a w Waszyngtonie zastanawiali się, czy już czas interweniować. Ale to ona była bezsprzecznie ich najgłębiej zakonspirowaną wtyczką w szeregach Kozaków, jedyną osobą, która mogła ich informować o poczynaniach Olenina. A to miało spore znaczenie.

Poza tym czuła w sercu ukłucie tęsknoty za Soczi. Miała to miejsce we krwi, w DNA. Nie była gotowa z tego zrezygnować. Jeszcze nie.

Jej ojciec, z tego co wiedziała, nigdy nie miał tajnej kryjówki: mieszkania w Amsterdamie czy domku pod Johannesburgiem, gdzie mogłaby się teraz zaszyć. Tam, ukryta przed światem, mając zapas jedzenia i pieniędzy oraz jeszcze jeden paszport, mogłaby się zamknąć jak w kokonie, z którego wyłoniłaby się z nowymi skrzydłami i nową tożsamością. Ale fakt, że nie wiedziała o żadnym takim miejscu, nie oznaczał wcale, że ono nie istniało. Takich tajemnic nie zdradza się rodzinie – w ten sposób się ją chroni. Ona sama nigdy nie zorganizowała sobie takiego azylu i miała nadzieję, że ta młodzieńcza zuchwałość

– nigdy nie będę potrzebowała kryjówki, jestem na to zbyt inteligentna i mam zbyt dużo przyjaciół na wysokich stanowiskach – teraz się na niej nie zemści.

Szła za stewardesą i barmanem, zachowując bezpieczną odległość. Zapadał zmrok, a o tej porze znacznie łatwiej się kogoś śledzi. Poza tym ulice były pełne turystów i osób, które wyszły na kolację, więc w każdej chwili mogła się wmieszać w tłum, gdyby Bowden nagle spojrzęła za siebie. Ale i tak mało prawdopodobne, że rozpoznałaby ją w nowym kolorze włosów. Elena ufarbowała je właśnie po to, żeby nie powtórzyła się sytuacja z lotniska.

Zauważyła, że Bowden i ten barman idą, nie dotykając się. Może jednak wracali do jej hotelu, choć zamiast ponownie przeciąć ogrody Villa Borghese, szli dalej wzdłuż via di Villa Ruffo, jakby zamierzali zatrzymać się po drodze w jakiejś restauracji.

Ponieważ tamci się wlekli, ona też się wlokła, przez co musiała co jakiś czas znosić gwizdy i zaczepki ze strony młodych mężczyzn, którzy mijali ją na chodniku albo przejeżdżali obok ulicą – bardzo wolno – na swoich kolorowych vespach. Tym mniej wulgarnym odpowiadała uśmiechem, a pozostałych ignorowała, bo przede wszystkim nie chciała robić wokół siebie zamieszania.

Dopiero na piazza del Popolo, gdy barman i stewardesa minęli misternie zdobiony czarny płot z kutego żelaza i zbliżyli się do wielkiego obelisku w samym środku parku, Elena domyśliła się, po co Enrico zabrał Bowden do swojego wujka. Piero Bianchi miał mały domek na wsi. W Toskanii. Na pewno miał też licencję myśliwską, może nawet pozwolenie na noszenie broni przy sobie. Jego siostrzeniec przyprowadził do niego stewardesę, żeby zdobyć dla niej broń.

Rozdział 30

Naprawdę się nie zgodzisz, żebym przygotował ci moje genialne negroni? – zapytał Enrico, gdy weszli do jej hotelu. Cassie instynktownie rozejrzała się za innymi członkami załogi, ale na szczęście nikogo nie widziała. W porównaniu z Royal Phoenician tutejszy hol był mały, niski i skromnie urządzone; bardziej kojarzył się z salonem niż salą balową. Cassie zwróciła uwagę na pseudorenesansowe arrasy na ścianach i szeslong, na którym siedziała dzisiaj po południu.

– Naprawdę – odpowiedziała, chociaż idąc do windy, rzuciła tęskne spojrzenie w stronę baru, nasłuchując brzęku szkła, śmiechu oraz muzyki, która czasem przebijała się ponad odgłosami zabawy.

Zjedli kolację w romantycznej trattorii z ceglanymi ścianami i świecami w żyrandolach z kutego żelaza, gdzie Enrico znał zastępcę szefa kuchni, dzięki czemu za grosze – a tyle mniej więcej wynosił ich wspólny budżet – dostali iście królewski posiłek. Cassie nigdy jeszcze nie jadła tak dobrej panzanelli, w której każdy pomidor miał inny odcień czerwieni lub pomarańcza. Enrico zachwalał jej również dostępne w lokalu wina, ale Cassie konsekwentnie odmawiała alkoholu, więc on także nie pił. Siedziała plecami do ściany, popijając gazowaną wodę, i wpatrywała się w drzwi restauracji. Nie była pewna, na co lub na kogo czeka. Tak naprawdę nie wierzyła, że do środka nagle wejdzie Miranda – czy ktokolwiek inny – ale po tym, co zaszło na Fiumicino, nie zamierzała siedzieć tyłem do wejścia.

Wieczór był przeuroczy, chociaż jak na nią wręcz ascetyczny: zero alkoholu i zero seksu (i tak miało pozostać). Teraz prowadziła go na górę po to, żeby jej przekazał pistolet. Faktem jest, że wiedziała o broni palnej więcej niż on. Enrico nie śmiał jednak wyciągnąć beretty w restauracji, dlatego zgodzili się, że w tym celu pójdą do jej pokoju. Cassie jasno zapowiedziała, że nie będą uprawiać seksu, ale on mimo wszystko nie tracił nadziei. Był naprawdę czarujący, bardziej, niż wskazywałby na to jego wiek, i równie nieprzystawny do takich sytuacji co

ona: nieczęsto zdarzało mu się słyszeć odmowę, a ona nieczęsto komuś odmawiała.

Gdy tylko weszli do jej pokoju, zobaczyła, że na telefonie stacjonarnym miga kwadratowe czerwone światełko. Od razu poczuła się nieswojo. Podniosła słuchawkę i okazało się, że ma dwie wiadomości. Podczas gdy ona je odsłuchiwała, Enrico stał pod oknem, tyłem do niej, i cierpliwie czekał.

„Cześć, tu Makayla. Nie wiem, jak mogłam nie pomyśleć o tym, żeby wziąć numer twojej komórki. Chciałam tylko się upewnić, że u ciebie wszystko dobrze. Nadal masz ochotę iść na tego drinka? Wybieramy się w kilka osób na kolację, może chciałabyś pójść z nami? Jestem w pokoju siedemset trzynaście. W tej chwili dochodzi siedemnasta”.

Cassie zapamiętała numer pokoju koleżanki, a potem przesłuchała drugą wiadomość:

„Hej, Cassie, to znowu ja, Makayla. Spotykamy się na dole o dziewiętnastej trzydzieści. Przyłącz się do nas, jeśli masz ochotę. Oczywiście nie naciskam. Może napisz do mnie, jak się obudzisz albo wrócisz do hotelu”. Tym razem Makayla podała na końcu numer swojej komórki. Cassie zapisała go i zaraz napisała SMS z przeprosinami, że nie odebrała wcześniej wiadomości. Wyjaśniła, że była na długim spacerze, ale już wróciła do hotelu i wszystko jest w porządku. Podziękowała i zapewniła, że już nigdzie się nie wybiera.

– Wszystko dobrze? – zapytał Enrico.

– Tak. To tylko jedna osoba z załogi chciała się upewnić, że bezpiecznie wróciłam do swojego pokoju.

– OK.

Wziął do ręki jej Tołstoja, który leżał na nocnym stoliku obok cyfrowego budzika.

– Czytałaś coś Carla Leviego?

– Nie.

– Powinnaś. Skoro lubisz Tołstoja. Pięknie pisał o włoskiej wsi. O moich przodkach. Miał podobną wrażliwość jak Tołstoj. *Przyszłość ma stare serce*. Chyba

dobrze pamiętam.

– Dziękuję. Chociaż raczej go nie znajdę wśród kieszonkowych wydań na lotnisku.

– Poszukaj, jak wrócisz do domu – powiedział, a w jego tonie było coś, co sprawiło, że idea domu wydała się jej nieosiągalnym marzeniem, jak port, którego już nigdy więcej nie zobaczy. Enrico jednak uśmiechnął się, usiadł na brzegu łóżka i poklepał zapraszająco materac obok siebie. Łóżko było całe rozgrzebane, dokładnie tak, jak je zostawiła po swojej popołudniowej drzemce. Usiadła, a on wyciągnął z za pasa pistolet. Podał go jej, po czym zaczął wygrzebywać naboje z przedniej kieszeni.

Beretta okazała się zaskakująco ciężka, ale Cassie podobała się ta prostota i masywność. Wydawała się nawet solidniejsza od strzelby. No i ten zapach – metaliczny, mechaniczny – który w jednej chwili przeniósł ją z powrotem do tamtych dni, kiedy wczesną jesienią chodziła na odbywający się w jej liceum kurs bezpieczeństwa dla myśliwych i uczyła się od emerytowanego policjanta stanowego o różnych typach magazynków (rurowy, pudełkowy, bębnowy, dyskowy) i gdzie w pocisku znajduje się proch strzelniczy. A potem znów była w lesie, wdychając zapach chłodnego, jesiennego powietrza. Pamiętała mokre, zabłocone liście, gnijące drzewa, wilgotne ubrania.

Przypomniała sobie piwny oddech ojca, kiedy pokazywał jej tropy odcisnięte w miękkiej ziemi albo odchody jeleni w kępie liści tuż obok wąskiej ścieżki.

Skoncentrowała się ponownie na broni trzymanej w ręku. Była to kompaktowa wersja beretty model 92, cała czarna. Cassie wysunęła magazynek, by upewnić się, że jest pusty. Sprawdziła też, czy nie ma pocisku w komorze.

– Te naboje są takie malutkie – powiedział Enrico. Wsypał jej cztery do ręki, a piąty obracał przez chwilę między kciukiem a palcem wskazującym, dopóki mu go nie zabrała. – Wszystkie wejdą do środka?

– Tak – odparła. – W magazynku mieści się pewnie trzy razy więcej kul.

Pokręcił głową.

– Powinienem był ukraść więcej amunicji.

– Boże, nie.

Ładowanie magazynka skojarzyło się jej z napełnianiem dozownika pez cukiereczkami – jedna słodka cegiełka za drugą. Kiedy wszystkie naboje były już

na miejscu, wcisnęła magazynek z powrotem do rękojeści. Miała nadzieję, że wszystko zrobiła jak trzeba. Następnie położyła broń na stoliku nocnym obok telefonu. Nie chciała się z nią oswajać w obecności Enrica. Zamierzała to zrobić, kiedy zostanie sama.

– I co teraz? – zapytał.

W drodze powrotnej kupili dużą blaszaną puszkę czekoladek z Perugii. Plan był taki, że rano, kiedy Cassie będzie się wymeldowywać razem z resztą załogi, zostawi dla niego tę puszkę u jego przyjaciela, który akurat ma wtedy dyżur w recepcji. Pistolet będzie ukryty na samym dnie, pod czekoladkami.

– Teraz ci podziękuję i odprowadzę cię do drzwi.

– I zjesz czekoladki?

Uśmiechnęła się do niego. Był naprawdę słodki. Jak przytulanka.

– Może coś uszczknę. W końcu trzeba zrobić miejsce na pistolet, prawda?

– I spróbujesz się przespać? – zapytał.

– Chyba tak. Gdyby ktoś chciał mnie zabić, to miał już dzisiaj mnóstwo okazji przez całe popołudnie i wieczór.

Wziął ją za rękę i spojrzał jej głęboko w oczy. W świetle hotelowej lampy wydawał się trochę zmęczony.

– Ale boisz się. Dlatego chciałaś mieć pistolet.

– Teraz już się zdecydowanie mniej boję.

– A jutro? Pojutrze? I następnego dnia? Jaki masz plan?

Przysunęła jego dłonie do ust i pocałowała jego palce, raz, potem drugi.

– Nie mam planu – odparła. – Chciałabym mieć, ale nie mam.

Prawdę mówiąc, żyła niemal z godziny na godzinę od chwili, gdy obudziła się w Dubaju obok martwego Alexa Sokolova. Najpierw chciała tylko uciec od jego trupa i od wizji więzienia i jak najszybciej znaleźć się na lotnisku Charles'a de Gaulle'a. Potem myślała tylko o tym, żeby wylądować wreszcie w Ameryce. Potem chciała tylko znaleźć prawnika. Potem tylko przetrwać przesłuchanie w FBI. I tak dalej, i tak dalej.

Ale nie mogła mu tego wszystkiego powiedzieć, bo Enrico wierzył – a przynajmniej tak udawał – że Alex Sokolov zginął dopiero po tym, jak opuściła jego pokój.

– Cóż, za to ja mam plan – powiedział, unosząc brwi i przybierając figlarny wyraz twarzy, a ponieważ Cassie pokręciła głową, dodał szybko: – To nie to, co myślisz.

– Uznałeś, że skoro jesteś taki przystojny, to na pewno będę tobą zauroczona. Cóż, jesteś naprawdę przystojny i jestem tobą zauroczona. Ale staram się zmienić, na lepsze. Dlatego proszę, nie kuś mnie więcej, bo naprawdę nie słynę z wielkiej siły woli.

– Ależ nie. Myślałem, że powinniśmy włączyć telewizor i pograć w jakieś gry albo coś obejrzeć. Zaraz zadzwonię na dół i zamówię dzbanek kawy. Dla mnie.

– Nie mogę się na to zgodzić, już ci mówiłam. Nie chcę, żebyś podejmował takie ryzyko.

– Mogę ci coś powiedzieć?

– Oczywiście.

– Rozmawiałem już z ochroną. Powiedziałem im, że w hotelu zatrzymała się latająca Modliszka, więc różni dziennikarze mogą próbować się przemknąć na górę. Obiecali, że będą szczególnie czujnie obserwować, kto się kręci w holu.

Cassie odsunęła się i zmierzyła go wzrokiem.

– Dobry jesteś.

– Zrobiłem na tobie wrażenie?

– Tak.

Enrico wziął do ręki pistolet.

– No i mamy to. Jeśli zostanę z tobą i będziemy razem oglądać telewizję, to nie ma szans, żeby ktoś mógł zrobić nam jakąś krzywdę.

Cassie odebrała mu broń. Bała się, że może niechcący wystrzelić.

– Chciałabym, żeby to była prawda. Ale niestety jest inaczej. – Po tych słowach wstała i pociągnęła go wolną ręką, żeby też się podniósł. Zaprowadziła go do drzwi.

– Puszka czekoladek będzie czekała rano na dole, a w niej beretta twojego wujka.

– Napisz do mnie – poprosił.

– Dobrze.

– Spotkamy się znowu w przyszłym tygodniu?

– Tak, oczywiście – odparła, chociaż sama w to nie wierzyła. Miała poczucie, że już nigdy więcej go nie zobaczy. Pocałowała go grzecznie w policzek, jeszcze raz podziękowała i powiedziała dobranoc. Kiedy wyszedł, przypomniała sobie przestrogi swojej prawniczki i zamknęła drzwi na klucz.

Gdy została sama, usiadła na krześle, przodem do drzwi, i zaczęła ćwiczyć trzymanie beretty obiema rękami. Zamknęła oko i patrzyła przez celownik, mierząc na zmianę w wizjer i w klamkę. Kilkakrotnie odbezpieczyła i zabezpieczyła broń.

W Rzymie zrobiło się już późno, ale na Manhattanie zbliżała się pora obiadowa. Napisała do Ani z pytaniem, czy są jakieś nowe wieści, a prawniczka odpisała, że nic się nie zmieniło. Następnie Cassie wysłała SMS-a do swojej siostry. Przepraszała za wszystkie zmartwienia, których jej przysporzyła – nie tylko teraz, ale przez całe życie – i zapewniła, że ją kocha. Potem napisała do swojej przyjaciółki Gillian, żeby podziękować za te wszystkie sytuacje, kiedy dostarczyła ją bezpiecznie do domu i przytrzymała jej włosy, kiedy wymiotowała do toalety. Do tych wszystkich toalet: w barach, w klubach, w domach u innych ludzi. Napisała też do Pauli, przypominając jej, żeby pilnowała koszuli – kiedy razem ostro piły, często żartowały, że któregoś wieczoru jedna albo druga skończy bez koszuli. Cassie też zdarzyło się trzymać włosy Pauli, dokładnie tak samo jak Gillian trzymała jej włosy. Napisała do Megan z prośbą, żeby pomachała w jej imieniu Bramie Brandenburskiej. Wyznała, że zawsze bardzo lubiła z nią latać. A na końcu SMS-a dodała dla żartu dopisek *#filetmignon*, co stanowiło odniesienie do pewnego wyjątkowo nieprzyjemnego gburą, którego Megan obsługiwała kiedyś w pierwszej klasie. Zrzucił swoje danie główne, stek z polędwicy, na podłogę kabiny i zaczął się pieklić, jakby to była wina Megan. Ona powiedziała mu wtedy z serdecznym uśmiechem: „Dobrze, że mamy zapasowe porcje”, po czym podniosła mięso z podłogi, poszła do toalety, opłukała je niezdatną do picia wodą, odgrzała i zaniósła mu z powrotem na talerzu.

Na koniec Cassie wysłała Buckleyowi odpowiedź na jego niedawne pytanie:

Czym się różni Latająca Modliszka od Latającej Wiewiórki? Obie zgrabnie się poruszają i dobrze sobie radzą w powietrzu, ale ta pierwsza jest dużo, dużo groźniejsza.

Miała nadzieję, że jej mały dowcip wywoła uśmiech na jego twarzy, ale niestety zawierała się w nim spora doza niewygodnej prawdy. Nie chodziło tylko o jej picie, lecz o to, że jest osobą na wskroś toksyczną. Zawsze szkodziła ludziom, których kochała lub mogłaby pokochać.

Zbyt często zmuszała ich, by podejmowali te same złe decyzje co ona, albo wypychała ich ze swojego życia. W najlepszym wypadku sprawiała, że zaczynało im na niej zależeć. Nie dalej jak dzisiaj, chociaż była całkiem trzeźwa, namówiła młodego chłopaka, żeby ukradł swojemu wujkowi pistolet, dla niej. Makayla musiała ją przywieźć do hotelu, bo dostała gazem pieprzowym po oczach. A wcześniej zaatakowała obcą kobietę na międzynarodowym lotnisku.

Postanowiła napisać do Buckleya jeszcze jedną wiadomość:

Ten poprzedni SMS to miał być żart. Ale musisz wiedzieć, Buckley, że napisałam samą prawdę. To najszczerza rzecz, jaką w życiu powiedziałam. Jestem groźna, dla Ciebie, dla wszystkich. Nie tylko przez kłamstwa i to, ile piję. Przez to, kim jestem. I czym jestem. Więc... nie czekaj na mnie. Niczego się po mnie nie spodziewaj. Tylko Cię zawiodę, a wiem, że zasługujesz na coś lepszego. I to też jest sama prawda.

Czy Buckley zrozumie, że ta wiadomość jest pożegnaniem? Może nie.

Ale dotrze to do niego, kiedy jego następny SMS pozostanie bez odpowiedzi, a potem następny. I albo będzie to znaczyło, że wreszcie zaczęła postępować właściwie, albo że nie żyje.

Po wszystkim włączyła telewizor i znalazła amerykańskie kanały. Usiadła na łóżku, oparta o wezglowie, z pistoletem u boku, i gapiła się na stary sitcom o młodych, genialnych i społecznie nieprzystosowanych naukowcach. Była gotowa oglądać wszystko, byle nie wiadomości.

Zaczynała powoli zasypiać, kiedy nagle rozbudziło ją ogłuszające, przenikliwe wycie alarmu pożarowego.

Rozdział 31

Kto naprawdę spalił do szczytu Moskwę w 1812 roku? Według Tołstoja był to wypadek, a winę ponosili okupujący miasto francuscy żołnierze, którzy podłożyli ogień w zbyt wielu miejscach. Niezliczona ilość małych pożarów przerodziła się w jeden gigantyczny, który wykurzył Napoleona z Kremla – choć tylko na chwilę. Potem powrócił i rezydował tam jeszcze przez miesiąc, zanim rozpoczął się długi odwrót Francuzów. Ale Elena wiedziała, że jej ojciec i jego przyjaciele mieli inne zdanie na ten temat: to sami Rosjanie, ci nieliczni, którzy pozostali w mieście, podpalili drewniane budynki. Czyż rosyjski dowódca osobiście nie zdemobilizował oddziałów strażackich? Czy nie rozkazał zniszczyć wozów strażackich? Nigdy nie udało się ustalić, ile było w tym z samobójstwa, a ile z sabotażu, ale Elena z czasem również nabrała pewności, że to sami mieszkańcy Moskwy – zarówno żołnierze, jak i cywilna ludność – zniszczyli swoje wspaniałe miasto.

Co oczywiście idealnie wpisywało się w jej wyobrażenia o rosyjskiej duszy. W blasku tych trawiących Moskwę płomieni widziała samą siebie. Znała swoich rodaków i wiedziała, że Zachód zawsze patrzył na nich z góry – tak było w 1812 roku, i tak samo było teraz. Mogła się o tym przekonać, kiedy studiowała w Szwajcarii i Massachusetts i na zajęciach z politologii słyszała te wszystkie złośliwe komentarze o gułagach, chłopach pańszczyźnianych i oligarchach. Cóż, Amerykanie też mieli grzechy na sumieniu: ludobójstwo i niewolnictwo. I wśród nich także nie brakowało oligarchów. Faktów się nie zmieni. Ona i jej przodkowie żyli z poczuciem krzywdy, któremu zawdzięczali swoją jednocześnie przekorną i fatalistyczną naturę – dzięki temu też nie dało się ich nigdy pokonać, chyba że sami się o to postarali. W ostatecznym rozrachunku Rosjan byli w stanie zwyciężyć, zniszczyć i złamać tylko inni Rosjanie. I tak było od zawsze.

Dlatego też Elena o wiele bardziej bała się Viktora niż jakiegokolwiek osoby, którą poznała za Zachodzie.

Jak często jej się to ostatnio zdarzało, myślami wróciła do Soczi i daczy ojca. Do swojego domu. Posiadłość ojca w dużej mierze ominęło szaleństwo przygotowań olimpijskich, ale widok na góry na południowym zachodzie bardzo się zmienił – pojawiły się drogi poprowadzone przez środek lasów, a zimą dało się zauważyć szlaki narciarskie, stworzone, kiedy leżał tu śnieg. Gdyby jej ojciec tego dożył, patrzyłby na to z oburzeniem. Ale od wschodu widok się nie zmienił, okolica nadal była tak samo rustykalna, jak w czasach, gdy przyjeżdżał tam na lato sam Stalin. Elena miała poczucie, że pomimo pierwszego rozczarowania jej ojciec jakoś by się przystosował do nowych warunków – może przyzwyczaiłby się do siedzenia na ganku po wschodniej stronie domu zamiast po zachodniej i zacząłby tak planować swoje dni, żeby móc przesiadywać w blasku wstającego, a nie chowającego się słońca. W Związku Radzieckim mógł przetrwać tylko ten, kto umiał się dostosowywać do nieustannych zmian. Także w postsowieckim świecie najbardziej opłacało się być kameleonem. Jej ojciec z pewnością nim był. Ale był także realistą i umiał narzucać samemu sobie dyscyplinę. To jeden z wielu powodów, dla których nie tylko go kochała, ale i szanowała.

Nade wszystko był prawdziwym Rosjaninem – nie do pokonania dla sił pochodzących z zewnątrz. Jediną osobą, która kiedykolwiek go zwyciężyła, była jego nie mniej rosyjska żona.

Dla pewności przeczytała wiadomość z Waszyngtonu drugi raz. Potem trzeci.

Nie było żadnych niejasności. To koniec. Była skończona. Waszyngton zgadzał się z jej oceną: Kozacy wiedzieli, że przeszła na drugą stronę.

Kotłowała się w niej mieszanka przeróżnych emocji. Z jednej strony (choć przyznawała to z bólem, bo lubiła myśleć, że jest ponad takimi przyziemnymi emocjami jak strach) czuła ulgę, ponieważ sama stanowiła żywy dowód na to, jak brutalnie Viktor rozprawia się ze swoimi wrogami. Dobrze wiedziała, co jej grozi. Z drugiej strony przepełniał ją wstyd, albowiem czuła się, jakby poniosła klęskę. Zawiodła rzecz jasna agencję, ale, co ważniejsze, zawiodła swojego ojca – wszystkie jej dotychczasowe działania miały jeden cel: załatwić Viktora. Teraz jednak jej

życie spowiała nagle mgła niepewnej przyszłości, w której pobrzmiwały dysharmonijne nuty zaskoczenia nieoczekiwanym obrotem spraw.

Jej rozkazy były jasne: miała zabrać stewardesę i uciekać. Miała przewieźć ją w bezpieczne miejsce.

Elena postanowiła zgodnie z planem uruchomić w hotelu alarm pożarowy, ponieważ podejrzewała, że Bowden ma teraz broń, a naprawdę nie chciała dostać kulki w chwili, gdy przekroczy próg jej pokoju. Ale reszta wieczoru zapowiadała się zupełnie inaczej niż jeszcze przed chwilą.

Niech tak będzie.

Zabawne, że dopiero co rozmyślała o swoim ukochanym Soczi. Poczowała bolesne ukłucie w sercu, bo doskonale zdawała sobie sprawę, że już nigdy więcej nie zobaczy Rosji.

Niebieska kropka w telefonie wskazała jej adres hotelu stewardesy, ale niestety nie pozwalała stwierdzić, czy kobieta opuściła swój pokój. Choć serce żaby biło niezmordowanie, Bowden równie dobrze mogła siedzieć na górze albo stać na chodniku przed wejściem.

Elena odpała zatem alarm pożarowy na piętrze stewardesy, ale na innym korytarzu. Potem szybko przeniosła się bliżej jej pokoju i obserwowała, co jakiś czas przesuając się kawałek razem z ewakuującymi się gośćmi, udając, że jest równie zdenerwowana i zaspana jak oni. Na sobie miała najzwyczajniejszą czarną bluzę z kapturem i spodnie od dresu, dzięki którym wtapiała się w tłum.

Większość gości zakładała chyba, że to albo ćwiczenia, albo fałszywy alarm, ale posłusznie – choć niechętnie – omijali windę i ruszali na schody, żeby opuścić budynek. Wielu zdążyło się ubrać, ale na pewno nie wyglądali równie szykownie jak jeszcze kilka godzin wcześniej. Widziała kobiety i mężczyzn w niebieskich jeansach i dresowych spodniach, z wyciągniętymi koszulami i ledwo zawiązanymi sznurowadłami. Widziała klapki, kobiety bez makijażu i mężczyzn ze zmierzwionymi dziko włosami. Niektóre pary ewidentnie były w trakcie seksu, kiedy rozbrzmiał alarm, a teraz patrzyły po sobie ze zmieszaniem lub irytacją i kurczowo, nawet nieco chciwie, trzymały się razem. Widziała trzy dziewczynki,

prawdopodobnie siostry; najmłodszą, która miała zaledwie trzy czy cztery lata, niósł na rękach ojciec, a ona przecierała piąstkami zaspane oczy.

I w końcu zobaczyła też Bowden. Była sama. Wciąż ubrana w tę samą letnią sukienkę, którą miała na sobie podczas kolacji z barmanem, ale jego przy niej nie było. Elena nie wiedziała do końca, co to znaczy, ale na pewno ten fakt nieco ułatwiał jej zadanie.

Stewardesa miała na nogach sandały, a na ramieniu niosła swoją torbę, w której zapewne kryła się broń.

Tym razem jej nie zauważyła. Nie mogło być mowy o powtórce z tej absurdalnej sceny dziś rano na Fiumicino.

W tym momencie poczuła wibracje swojego telefonu. Dzwonił Viktor. Elena nie śmiała zignorować telefonu od Viktora, nawet teraz. Wycofała się więc na klatkę schodową, wiedząc, że Bowden zniknęła już z pola widzenia.

– Tak?

– Gdzie jesteś?

Wyjaśniła mu, a on odwdzieczył się szczegółowym opisem wszystkiego, co zjadł dziś na kolację.

– Muszę już iść – powiedziała, gdy skończył.

– OK – zgodził się.

Kiedy wróciła na korytarz, wkoło nie było już nikogo, a strażacy jeszcze nie dotarli, żeby sprawdzić to piętro. Wyciągnęła z torebki spreparowany marker i wsunęła koniuszek do małego otworu u dołu elektronicznego zamka w drzwiach pokoju stewardesy. Usłyszała wyraźny trzask i drzwi się otworzyły.

Elena wśliznęła się do środka. Bowden zostawiła zapalone światło i włączony telewizor. Szczęśliwym trafem okna były już zasłonięte. W razie potrzeby zamierzała sama zaciągnąć zasłony, ale wtedy istniałoby ryzyko, że stewardesa zauważy zmianę, gdy tylko wróci do pokoju, i albo ucieknie, albo zacznie strzelać. Zatem o jedno zmartwienie mniej.

Uważnie rozejrzała się po pokoju. Obejrzała otwartą walizkę z ubraniami skrupulatnie złożonymi na płasko albo zwiniętymi w rulony. Ta kobieta pod wieloma względami była w rozsypce, ale umiała się fachowo pakować. Na stoliku nocnym leżał tablet z ładowarką, na komodzie stała blaszana puszka czekoladek z Perugii, a na biurku efektowny przybornik na ołówki w kształcie podstawy

antycznej kolumny. Jak w większości pokoi hotelowych najwięcej miejsca zajmowało duże łóżko z wezglowiem przykręconym do ściany. Elena zwróciła też uwagę na dwa lustra.

Gdy chciała zająć pozycję tuż za drzwiami, żeby tam poczekać na powrót stewardesy, nagle wyczuła za swoimi plecami jakiś ruch. Próbowwała się odwrócić, ale było za późno. Wiedziała to od razu i chyba bardziej była zdumiona swoją własną głupotą niż przerażona świadomością, że za chwilę umrze. Ktoś musiał wejść do pokoju, kiedy ona skryła się na klatce schodowej – kiedy wywabił ją tam telefon od Viktora. Czyjeś silne ramię okręciło się wokół jej szyi, trzymało ją jak w imadle, niebezpiecznie naciskając na krtań. Została wciągnięta do łazienki. Poczula, jak napastnik wbija jej nóż w dół pleców, usłyszała swoje własne, dziwnie głośne stęknienie. Pomimo oślepiającego bólu wiedziała dokładnie, co będzie dalej, i w ciągu kilku sekund wszystko wydarzyło się zgodnie z jej przewidywaniem: wyciągnął nóż i przeciągnął nim przez całą szerokość jej szyi. Odruchowo próbowała krzyczeć, ale krztusiła się już własną krwią – przekroił mięśnie i tkankę kostną, tak samo jak ona, gdy zabijała Alexa Sokolova – i jedynym dźwiękiem, jaki z siebie wydobyła, było ciche, gardłowe bulgotanie. Oczywiście nie do końca tak samo wyglądała egzekucja Sokolova. On wtedy spał. Zginął pogrążony w głębokim śnie. W ostatnich sekundach życia, pośród całego tego bólu i szoku, Elena najbardziej ze wszystkiego żałowała, że umiera, będąc tego w pełni świadoma.

Rozdział 32

Cassie stała w tłumie, który wylał się na chodnik i ulicę przed hotelem, patrząc, jak pod budynek podjeżdżają wozy strażackie, a strażacy wbiegają do środka. Na szczęście kiedy w jej pokoju zaczął wyc alarm i zapaliła się czerwona lampka, ciągle była w ubraniu – zaczęła właśnie odpływać i przestała zwracać uwagę na to, co się dzieje w serialu. Dlatego musiała tylko założyć sandały i wrzucić pistolet do torby, razem z portfelem, paszportem i kluczem do pokoju, co zajęło jej kilka sekund. Dobrze, że w sierpniu w Rzymie nawet w środku nocy na dworze jest całkiem przyjemnie. Pod hotelem stało teraz jakieś dwieście osób, większość w piżamach albo dresach, ale nikt nie wydawał się ani trochę przejęty. Ona była jedną z niewielu kobiet ubranych w sukienkę albo spódnicę. Przez chwilę obserwowała parę bardzo atrakcyjnych młodych ludzi, którzy czule tulili się do siebie, i jednocześnie cieszyła się ich szczęściem i nieco im zazdrościła. On mimo hiszpańskiej bródki nie wyglądał jak Szatan, a ona była ewidentnie naga (albo prawie naga) pod jasnopomarańczowym szalem, którym cała się owinęła. Zauważyli, że na nich patrzy, a on się do niej uśmiechnął, więc Cassie szybko spuściła wzrok i zaczęła się wpatrywać w swój telefon. Przewijała właśnie spam zalegający w jej skrzynce pocztowej, kiedy usłyszała swoje imię i podniosła głowę. Zobaczyła Makayłę, ubraną w czarne legginsy i biały T-shirt. Cassie zauważyła, że jej koleżanka spała z zaplecionymi warkoczami.

- Niezła zabawa – powiedziała Makayła, stając obok niej pod uliczną latarnią.
- Spałaś? – zapytała Cassie.
- Tak, jak zabita. Zakładam, że to fałszywy alarm.
- Ja też. Nie widać nic, co by wskazywało na pożar. Żadnego dymu. Nic.
- Chyba że chodzi o jakiś głupi, drobny wypadek w kuchni.
- Może tak.

Makayła oparła się o latarnię.

– W takich chwilach żałuję, że już nie palę.

– Paliłaś kiedyś? – spytała Cassie, nie kryjąc zaskoczenia.

Makayla pokiwała głową.

– Przestałam, kiedy postanowiliśmy z mężem założyć rodzinę.

– Trudno było rzucić?

– W ogóle. Myślałam, że będzie ciężko, ale wcale nie. Któregoś dnia po prostu przestałam palić. Stwierdziliśmy, że czas na dzieci, i następnego dnia, kiedy wyszłam z banku, po drodze na lotnisko z pełną świadomością wypaliłam swojego ostatniego papierosa w życiu. W paczce zostało dziewięć czy dziesięć i po prostu je wyrzuciłam. Zapalniczkę też. Faktem jest, że zawsze paliłam raczej rekreacyjnie. Zaczęłam przez szkolne przedstawienie w liceum.

– Żartujesz.

– Nie. – Makayla przewróciła oczami. – Wystawialiśmy *Rodzynek w słońcu*, a ja grałam Ruth. Reżyser kazał mi palić takie specjalne papierosy sceniczne. Jest w nich kreda czy coś w tym stylu, co wygląda jak dym. Ale nie miałam pojęcia, jak się trzyma papierosa. Więc któregoś dnia po próbie kupiłam paczkę prawdziwych papierosów, żeby poćwiczyć. Wiesz, bo czułam się jak gwiazda.

– Kiedy paliłaś?

– Później, po latach?

– Mhm.

– Zwykle w takich sytuacjach jak teraz.

Cassie uniosła brew.

– W trakcie alarmów pożarowych?

– Kiedy się nudziłam. Albo na spacerze. Albo po seksie.

– Alex Sokolov też tak miał. – Cassie właściwie nie zamierzała powiedzieć tego na głos. Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła.

– To ten, którego zabili w Dubaju?

– Tak. Palił tylko, kiedy był za granicą. W Europie, w Rosji albo na Bliskim Wschodzie. Tak mi przynajmniej powiedział.

Makayla chwilę się zastanawiała nad jej słowami.

– Jak dobrze go znałaś? Myślałam, że poznałaś go dopiero w samolocie z Paryża.

– Zgadza się. Nie jestem zbyt dumna z tego, że od razu spędziłam z nim noc. Ale tak, wtedy się poznaliśmy.

– Był dobrym człowiekiem?

Cassie zobaczyła kolejnego członka ich załogi, mężczyznę nieco starszego od niej, który miał na imię Justin. Przed wyjściem z hotelu zarzucił na siebie niebieskie jeansy i białą koszulę. W każdym razie Cassie zakładała, że musiał się ponownie ubrać. Ciekawe, czy często spał nago, kiedy podróżował, podobnie jak niektórzy jej znajomi z branży, którzy dzięki temu nie musieli pakować piżamy. A może w nocy robiło mu się gorąco (tak samo jak jej) i po prostu lubił dotyk chłodnej pościeli na skórze. Może (tak samo jak jej) sprawiało mu to nawet pewną erotyczną przyjemność.

– Dobry wieczór, drogie panie – odezwał się. – Nie ma to jak dwie godziny zdrowego snu, a potem gwałtowna pobudka przez alarm pożarowy.

– Sama prawda – zgodziła się Cassie. A potem, być może dlatego, że na tym etapie miała już gdzieś, co myślą o niej inni ludzie, odpowiedziała na pytanie Makayli:

– Tak, Alex Sokolov był dobrym człowiekiem. W każdym razie był dobry dla mnie. Może coś kombinował. Może prowadził jakieś podejrzone interesy. Nie znałam go dobrze i pewnie za dużo piję, żeby móc rzetelnie oceniać czyjkolwiek charakter. Ale mnie wydawał się miły. – Odwróciła się do Justina i wprowadziła go w temat najbardziej beznamietnym tonem, na jaki ją było stać, tonem kobiety, która wie, że wszystko, o czym kiedyś marzyła w życiu, jest już poza jej zasięgiem. – Mówimy o człowieku, z którym spałam w Dubaju, tym, który został zabity w naszym pokoju hotelowym. Przepraszam, w jego pokoju hotelowym.

Justin przez moment nie wiedział, jak zareagować. A potem podniósł obie ręce w uniwersalnym geście kapitulacji.

– Jeśli chcecie porozmawiać na osobności, mogę stanąć dalej – powiedział swobodnie. – Nie chciałem wam przeszkadzać.

– Ależ nie – odparła Cassie. – Ja już nie mam żadnych sekretów. – Jednak gdy tylko wypowiedziała te słowa, zdała sobie sprawę, że to nieprawda. W pewnym sensie stanowiło to najgorszy rodzaj kłamstwa, ponieważ sugerowało, że zostawiła za sobą wszelkie tajemnice i niedopowiedzenia. Tymczasem w rzeczywistości jej życie opierało się teraz po prostu na innym zestawie sekretów i kłamstw.

– Myślałaś, że po powrocie do Ameryki może z tego wyniknąć coś więcej? – zapytała Makayla.

– Z mojej znajomości z Alexem? Raczej nie. Ale tamtej nocy dobrze się razem bawiliśmy. Może jeszcze byśmy się ze sobą spotkali, a może nie. – Cassie schowała telefon do torby, wsuwając go tuż obok pistoletu. – Zważywszy na moją dotychczasową historię, wydaje się to mało prawdopodobne.

Justin, wyraźnie czując się niekomfortowo, wbił wzrok w swoje buty. Wszyscy zauważyli, że przed wyjściem nie zawiązał sznurowadeł, więc teraz uklęknął, żeby temu zaradzić. Zapewne był wdzięczny, że może się zająć czymś innym oprócz słuchania o smutnym końcu jej dubajskiego romansu.

– Moją słabością zawsze było picie – powiedziała Cassie do Makayli. – Nigdy nie paliłam. Nie jestem pewna, czy umiałabym przestać pić, tak jak ty z dnia na dzień przestałaś palić. Cholera, wiem, że bym nie umiała.

– Piłaś teraz, kiedy włączył się alarm?

– Sama w pokoju hotelowym z butelką tequili? To rzeczywiście do mnie podobne. Ale nie, nie tym razem. Nie piłam nic przez cały dzień, i całą noc.

– No widzisz. Dobrze sobie radzisz.

– Nie, Makaylo – westchnęła Cassie. – W ogóle sobie nie radzę. Widziałaś mnie rano na lotnisku.

– To, co się stało na Fiumicino, nie miało nic wspólnego z piciem – wtrącił się Justin. – Byłaś wtedy trzeźwa, Cassie. – Przez chwilę stali w milczeniu, a Cassie miała wrażenie, że Justin chce ją objąć, po przyjacielsku, żeby okazać wsparcie, ale zapewne obawiał się, że mogłoby to zostać odczytane jako coś zgoła mniej rycerskiego. – To znaczy, byłaś trzeźwa, prawda?

– Tak – odparła. – Byłam.

– No widzisz.

Z hotelu wyszło dwóch strażaków, a za nimi mężczyzna w czarnym garniturze i jasnoczerwonym krawacie takiej samej barwy, jaką przyjmują we wrześniu klonowe liście w Nowej Anglii. Najpierw po włosku, a potem po angielsku poprosił wszystkich o uwagę. Przedstawił się jako kierownik nocnej zmiany i wylewnie przeprosił za wszelkie niedogodności spowodowane przez – na szczęście – fałszywy alarm. Oznajmił, że wszyscy mogą bezpiecznie wrócić do swoich pokoi, lub, jeśli wolą, do hotelowego baru, który na jedną godzinę zostanie

ponownie otwarty z myślą o każdym, kto ma ochotę na kieliszek przed snem – rzecz jasna na koszt firmy. Darmowy drink, kontynuował, to symboliczny gest, jakim hotel pragnie przeprosić za wyciągnięcie wszystkich z łóżek w środku nocy.

– Ja jestem za – stwierdził Justin. – Co wy na to?

Ale Makayla zgromiła go wzrokiem, czego Cassie nie mogła nie zauważyć.

– Chyba wszyscy powinniśmy położyć się spać – odparła.

– Nie, w porządku – powiedziała Cassie. – Naprawdę. Ja nie będę wam towarzyszyć, ale jeśli wy macie ochotę, proszę, nie chcę psuć nikomu zabawy.

Justin jednak pokręcił głową z zakłopotaniem.

– Masz rację, Makaylo. Do startu zostało mniej czasu, niż nam się wydaje.

– Otóż to.

Po tych słowach wszyscy troje wrócili do hotelu i wsiedli razem do windy. Każde miało pokój na innym piętrze, a Cassie, która mieszkała na szóstym, wysiadła jako ostatnia. Nikt z nią nie jechał. Pewnie wszyscy inni udali się do baru.

Kiedy wyszła z windy, przez długą chwilę stała i rozglądała się po korytarzu. Nie był ani tak długi, ani bogato urządzonej jak korytarze w Royal Phoenician. Ale i tak było tu całkiem elegancko – w sam raz jak na uroczy, butikowy hotel we Włoszech. Dywan miał wprawdzie trochę wystrzępione krawędzie, ale jego piękny wzór przypominał renesansowy arras. Cassie pomyślała o tym, jak wyglądają chmury i morze na obrazach Botticellego, i zaczęła sobie wyobrażać, ile pracy trzeba było włożyć pięćset lat temu w stworzenie odpowiednich barwników, a potem przekształcenie ich w farbę akrylową, którą dało się przenieść na płótno.

W końcu ruszyła z miejsca. Czowała się trochę nieswojo, ale żyła w nieustającym stanie niepokoju od chwili, gdy obudziła się u boku trupa, więc po prostu zignorowała to uczucie. Szła cichym korytarzem, sama i samotna, z kluczem do pokoju w ręku, patrząc prosto przed siebie. Powtarzała sobie, że powietrze wcale nie jest naelektryzowane i nie ma się czego bać ani czym zamartwiać. Po prostu wracała w nocy do swojego pokoju w hotelu, tak jak robiła to setki razy w przeszłości, i nie było żadnego powodu do obaw.

W końcu tym razem była całkiem trzeźwa.

Uśmiechnęła się do siebie na tę myśl.

Ale uśmiech szybko zszedł jej z twarzy, bo za rogiem ujrzała jakiegoś człowieka i aż podskoczyła. Przez ułamek sekundy bała się, że jej obawy nie były

bezpodstawne; ogarnął ją ten uniwersalny strach, który zna każda kobieta, gdy będąc sama, widzi na swojej drodze mężczyznę. Od jej pokoju dzieliło go około dwudziestu metrów, a Cassie w pierwszej chwili chciała się odwrócić i uciec. Wtedy jednak zdała sobie sprawę, że to tylko Enrico, i natychmiast się rozluźniła. Siedział na małym krześle pod ścianą, a jego twarz skrywał cień. Obok niego stał stolik z hotelowym telefonem. Na jej widok wstał i podszedł, żeby ją objąć, ale Cassie go odepchnęła.

– Na śmierć mnie wystraszyłeś – burknęła.

– Myślałem, że to będzie miła niespodzianka – powiedział skruszonym tonem. – Wybacz, nie chciałem cię przestraszyć.

– Boże. Muszę być teraz sama, Enrico, tłumaczyłam ci już.

– A ja zamierzałem dać ci spokój. Byłem na dole, kiedy rozległ się alarm. Pomagałem zamknąć bar. I pomyślałem: moja piękna stewardesa na pewno jest przerażona.

– Bo włączył się alarm pożarowy? Daj spokój.

Pokręcił głową.

– Bo musiałaś wyjść na zewnątrz po ciemku, zamiast siedzieć bezpiecznie w swoim pokoju.

– Już wróciłam. Nic mi nie jest.

– W takim razie odprowadzę cię do pokoju i tam cię pożegnam. – Wyciągnął ramię, a ona je przyjęła. Razem przeszli korytarzem, po czym Cassie wsunęła klucz do zamka i otworzyła drzwi.

Rozdział 33

Mężczyzna zaciągnął właśnie ciało Eleny do łazienki i wrzucił je do wanny, kiedy usłyszał na korytarzu głos Enrica. Nie miał już czasu, żeby jeszcze raz przemyśleć swój plan. Ale przynajmniej był gotowy.

W chwili gdy stewardesa i barman znaleźli się w pokoju i drzwi się za nimi zamknęły, wyskoczył z ciemnej łazienki. Rękojeścią pistoletu uderzył Enrica w tył głowy, a drugą ręką przez cienki materiał sukienki przycisnął paralizator Eleny Orłowej do uda Cassie. Nieprzytomny barman runął na podłogę, gdzie jego koszula zaczęła wchłaniać mokre resztki krwi Eleny. Stewardesa głośno jęknęła, zadygotała i zrobiła się bezwładna jak szmaciana lalka. Osunęła się prosto w jego ramiona. Patrzyła mu w oczy, gdy kładł ją na dywanie obok barmana i widział przerażenie malujące się na jej twarzy. Wiedział, że niedługo znów będzie mogła mówić, a bardzo chciał z nią porozmawiać. Najpierw jednak musiał zrewidować swój plan.

Opróżnił torebkę kobiety i zobaczył, że załatwiła sobie pistolet. Doskonale. Nie obchodziło go, skąd wzięła tę berettę, ważne, że broń mogła się teraz przydać. Elena całkiem nieźle przygotowała grunt, kiedy zadzwoniła do gazety. Stewardesa w takim razie nie przedawkuje barbituranów, które dla niej przywiózł. Musi teraz zaaranżować scenkę rodzajową, która nie pozostawi żadnych wątpliwości, co się stało: Cassandra Bowden zabiła swojego włoskiego kochanka oraz swoją nową, bogatą przyjaciółkę, Rosjankę z Soczi, a następnie sama strzeliła sobie w głowę z pistoletu, który z wielkim trudem udało się jej zdobyć.

Najpierw jednak musiał zdjąć ze swojej broni tłumik i przełożyć go do jej beretty.

Rozdział 34

Paralizator sprawił jej nieopisany ból, Cassie chciała wrzasnąć – w wyobraźni słyszała imponującą wiązaną wulgaryzmów, godną kobiety przeżywającej najgorsze bóle porodowe – ale mogła tylko jęczeć, nisko i przeciągle. A potem leżała na brzuchu na podłodze pod drzwiami do łazienki, a nad nią pochylał się Buckley.

Tak, jej aktor. Oczywiście, że to musiał być on.

Na głowie miał nawet tę samą czarną czapkę. Przez cały ten czas, kiedy Cassie miała obsesję na punkcie Mirandy, tak naprawdę powinna się bać kogoś innego – człowieka, który wydawał się miły, dobrotliwy i całkowicie niegroźny. To najlepszy dowód na to, jak bardzo nie umiała trafnie oceniać ludzi i dobierać sobie odpowiednich znajomych, i byłoby w tym wręcz coś komicznego, gdyby nie fakt, że właśnie zamierzał ją zabić, tak samo jak zapewne zabił Alexa (lub zrobił to ktoś z jego współników). Za chwilę chwyci ją za włosy, odchyli głowę, żeby odsłonić szyję, i poderżnie jej gardło – biednemu Enricowi pewnie też – po czym zostawi ją tak, leżącą twarzą w dół, żeby wykrwawiła się na hotelowym dywanie.

Cassie miała nadzieję, że nie będzie bolało, ale wiedziała, że na to nie ma co liczyć. Uświadomiła sobie, że właśnie bólu boi się najbardziej, tego palącego, przeszywającego całe ciało uządlenia, gdy ostrze jak brzytwa zagłębi się w jej w skórę. Może to tłumaczyło, dlaczego tyle piła. Ból przybiera przeróżne formy, w większości znacznie gorsze niż ukłucia, rany i inne dolegliwości ciała. Był też ból, który wyszarpywał wielkie dziury w samej duszy, odbierając poczucie własnej wartości i szacunek do samego siebie. Tego rodzaju cierpienie powoduje, że człowiek spogląda w lustro i zaczyna się zastanawiać, dlaczego na Boga znalazł się w takim miejscu. Cassie zdawała sobie sprawę, że jej życie to jedno wielkie studium umiejętności chwilowego uśmierzenia bólu. A dokładniej ich braku.

Mimo że jej język zrobił się ciężki i napuchnięty, gdy patrzyła, jak zawartość jej torebki wysypuje się przed nią na podłogę, starała się zmienić gardłowe jęki

w słowa. Miała właściwie do powiedzenia tylko jedno zdanie: „Przepraszam”. Przepraszam, że nie zrobiłam więcej. Przepraszam, że nie umiałam kochać i nie pozwoliłam nikomu się pokochać. Przepraszam, że nie miałam dzieci. Ani nawet własnych kotów. Przepraszam cię, Rosemary. Przepraszam cię, Jessico. Przepraszam cię, Dennis. Przepraszam cię, Tim.

Przepraszam cię, Alex.

Przepraszam cię, Enrico.

O Boże, Enrico. Który za moment umrze wyłącznie dlatego, że próbował się zachowywać po rycersku. Bo jak przystało na młodego romantyka, odprowadził ją do pokoju. Nie powinna była mu na to pozwolić. Jeszcze jeden z wielu jej błędów, które odbiły się na kimś innym.

Czy ktokolwiek z tych ludzi będzie za nią tęsknił? Albo Megan? Gillian? Paula? Czy komuś tak naprawdę będzie jej brakowało? Podobno wszystko, co robimy z pobudek egoistycznych, zabieramy ze sobą do grobu, ale zostaje po nas to, co robimy dla innych. Nie przychodziła jej do głowy ani jedna taka rzecz, ani jeden akt altruizmu, który dawałby choćby cień szansy na nieśmiertelność. Jej dziedzictwo? Ona nie miała żadnego dziedzictwa.

Czuła, że ma policzki mokre od łez. Nie spodziewała się po sobie płaczu. Na przestrzeni lat wielu pilotów opowiadało jej, zazwyczaj po kilku drinkach, że większość kapitanów w ostatnich sekundach życia, na chwilę przed tym, jak ich samolot wbił się w zbocze góry albo zламаł w pół nad oceanem, wzywało swoją matkę. Mama. Mamusia. Ta cudowna kobieta, która kiedyś czytała jej na głos Beverly Cleary, byłaby zdruzgotana, widząc, jak skwapliwie jej starsza córka podążyła w ślady jej męża, ścieżką prowadzącą wprost do autodestrukcji. Każda matka zareagowałaby tak samo.

W końcu udało się jej odzyskać na tyle dużo władzy nad funkcjami motorycznymi, że zdołała wypowiedzieć całe zdanie. Ale nie były to ani wzbierające w niej przeprosiny, ani błagania o to, by oszczędzono jej i Enricowi dalszego cierpienia. Te słowa zawierały w sobie najczystsza prawdę na temat jej natury, ponieważ dawały świadectwo o całym jej życiu. Dobitnie i jednoznacznie pokazywały, że nie potrafimy uciec przed tym, kim jesteśmy, i najczęściej umieramy tak samo, jak żyliśmy.

Odwróciła głowę na tyle, na ile mogła, żeby spojrzeć Buckleyowi w oczy, i zapytała, głosem wciąż drżącym od doznanego przed chwilą wstrząsu:

– Proszę, mogę się napić?

Buckley się zawahał. Patrzył na nią z niejakim niedowierzaniem, sprawiając wrażenie, jakby naprawdę rozważał jej prośbę, i przez chwilę Cassie wierzyła, że kupiła sobie jeszcze kilka minut życia. Ostatni łyk tej esencji, amryty, boskiego nektaru, który wypełniając jej żyły i wszystkie zakamarki duszy, pozwalał zapomnieć o bólu. Ale chwilę potem on pokręcił lekko głową, niemal ze smutkiem, i przymocował długą okrągłą rurkę – zapewne tłumik – do lufy beretty należącej do wujka Enrica.

FEDERALNE BIURO ŚLEDTCZE

Formularz FD-302 (ocenzurowany): MAJOR DENNIS McCAULEY, WOJSKOWY KORPUS CHEMICZNY

DATA: 6 sierpnia 2018

DENNIS McCAULEY, data ur. --/--/----, nr ubezpieczeniowy -----, nr tel. (--) -----, został przesłuchany przez regularnie wylegitymowanych agentów specjalnych RICHARDA MARINIEGO i CATHY MANNING w prywatnej sali konferencyjnej na terenie BAZY WOJSKOWEJ BLUE GRASS w Richmond w stanie Kentucky.

MANNING prowadziła przesłuchanie; MARINI sporządził niniejsze notatki.

Otrzymałszy pouczenie dotyczące charakteru przesłuchania, McCAULEY przekazał następujące informacje.

McCAULEY przyznał, że widział się ze swoją szwagierką CASSANDRĄ BOWDEN w sobotę 4 sierpnia w Nowym Jorku, i podkreślał, że zachowywała się „w dużej mierze” normalnie. Poszła razem z jego rodziną do zoo na Bronksie, a potem do restauracji na dolnym Manhattanie. Zauważył, że BOWDEN przez cały dzień sprawdzała telefon, częściej niż przeciętny dorosły, również podczas kolacji, i „zdecydowanie wydawała się trochę podenerwowana”.

McCAULEY zeznał, że nie pamięta, by kiedykolwiek spotkał się ze szwagierką bez swojej żony ROSEMARY BOWDEN-McCAULEY. Nigdy nie pisali do siebie e-maili ani nie rozmawiali przez telefon.

Stanowczo stwierdził, że nigdy nie przekazał BOWDEN żadnych poufnych informacji, a ona nigdy go o to nie prosiła. Chociaż rozmawiali czasem bardzo ogólnie o życiu w wojsku oraz o jego doświadczeniu w pracy inżyniera, zawsze więcej było rozmów o jej pracy niż jego. Zaprzeczył, jakoby kiedykolwiek przekazywał jej dokumenty, wykresy, pendrive'y czy e-maile mające jakiś związek z likwidacją broni chemicznej lub obecnym stanem arsenału armii Stanów Zjednoczonych. Podkreślał, że nigdy nie dzielił się z nią żadną wiedzą na temat sarinu, gazu VX czy jakiegokolwiek innej broni chemicznej będącej częścią zasobów amerykańskiej armii.

McCAULEY utrzymywał, że nigdy nie zabierał pracy do domu ani o niczym nie opowiadał żonie, więc jest niemożliwe, aby jego żona ROSEMARY podzieliła się jakimiś informacjami ze swoją siostrą CASSANDRĄ lub przekazała jej poufne dane wywiadowcze.

Jak zeznał, wiadomość o tym, że jego szwagierka mogła zabić ALEXA SOKOLOVA, była dla niego szokująca, choć przyznał, że ma ona problem z alkoholem. Zapewnił, że nie wierzy, by BOWDEN mogła być rosyjskim szpiegiem.

Rozdział 35

Ale Buckley nie strzelił.

Cassie miała wrażenie, że obserwuje to wszystko z zewnątrz, niemal jakby przeżywała doświadczenie pozacielesne. Widziała, jak ciągnie ją za ręce w głąb pokoju, z dala od drzwi. Ponieważ sukienka podwinęła się jej na biodra, czuła pieczenie w miejscach, gdzie dywan ocierał się o uda. Ten dyskomfort miał jednak w sobie coś pozytywnego: to znak, że wracały jej czucie i zdolność poruszania się. Kiedy dotarli do łóżka, puścił ją bezceremonialnie na podłogę, jakby była kajakiem przytarganym z plaży. Następnie usiadł na krawędzi materaca i wycelował berettę w jej klatkę piersiową.

– Jeśli zaczniesz wzywać pomocy, zabiję cię – powiedział.

Cassie spróbowała się poruszyć i okazało się, że może kręcić głową.

– Nie zacznę – wymamrotała ochryplym głosem. Starła się skupić wzrok na czymkolwiek innym niż koniec długiego tłumika.

– Mów wszystko o Elenie.

– O Elenie?

Buckley przełożył pistolet do drugiej ręki, chwytając go za lufę, i rąbnął ją ręką w nogę pod kolanem. Odruchowo krzyknęła z bólu i zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, znów mierzył do niej z broni. Opanowała się i jęknęła cicho:

– Nie wiem, kto to jest.

– Kobieta, która przysłała do pokoju Sokolova w Dubaju.

– Miranda?

Przewrócił oczami.

– Niech będzie Miranda.

– Napiliśmy się razem. Ona przyniosła wódkę. Potem wyszła.

Uderzył ją pistoletem w drugą nogę, ale tym razem, może dlatego, że już wiedziała, czego się spodziewać, tylko stęknęła przez łzy.

– Co tam razem robiłyście?

– Już mówiłam. Piłyśmy wódkę. Nic więcej!

– Chciała cię zwerbować?

– Zwerbować?

– Cassie, chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała. Podasz mi imiona i nazwiska, ponieważ to twoja jedyna szansa, żeby opuścić ten pokój o własnych siłach. Znasz Elenę, to jasne. Kto jeszcze jest kretem?

– Kretem? Nie wiem, o czym mówisz. Nic z tego nie rozumiem. – Cassie zaczęła płakać, ale nie przejmowała się tym. – Krety? Werbowanie? Nie jestem szpiegiem! Jestem nikim. Znasz mnie. Wiesz, kim jestem. Zwykłą...

– Dlaczego cię nie zabiła?

– Nie wiem! – skomlała Cassie. – Naprawdę, ja nic nie wiem.

Buckley wpatrywał się w nią badawczo.

– Prawie ci wierzę. Prawie.

– Bo mówię prawdę.

– Opowiedz mi o swoim szwagrze.

– Służy w armii – występowała. – Jest majorem. Stacjonuje w bazie Blue Grass.

– Co jeszcze?

– Nie wiem nic więcej.

Stanął nad nią w rozkroku, celując w nią z beretty.

– Kończy ci się czas, Cassie. Dlaczego byłaś z Sokolovem w Dubaju?

– Poznaliśmy się w samolocie, to wszystko. Proszę, nie zabijaj mnie – kwiliła żałośnie.

– Dlaczego się tobą zainteresował?

Chciała w odpowiedzi zapytać: a dlaczego mężczyźni się nią interesują? Bo dużo pije i jest łatwa. I chociaż niewątpliwie doceniała wartość sarkazmu i samokrytyki w dokonywaniu rewizji własnego życia, nie wydawało się to na miejscu w chwili, gdy ktoś mierzył do niej z pistoletu. Dlatego powiedziała tylko:

– Chciał się tylko trochę zabawić. Ja też.

Kątem oka widziała, że Enrico poruszył głową. Nie śmiała na niego spojrzeć, bo nie chciała, żeby Buckley zwrócił uwagę na młodego barmana, ale zauważyła, że otworzył jedno oko.

– Był po prostu facetem, którego poznałam w samolocie – kontynuowała, starając się skupić na sobie uwagę Buckleya. – Z którym mogłam się napić w Dubaju. Zakładałam, że już więcej go nie zobaczę. – Nie wiedziała, czy istnieje jakakolwiek szansa, by Enrico zaszedł go niezauważenie, ale sama myśl o tym dodawała jej otuchy.

– Mówił, z kim jeszcze miał się spotkać w Dubaju?

– Nie. To znaczy, wiem, że miał zaplanowane spotkanie, ale uznałam, że to ma coś wspólnego z jego funduszem.

– Wspominał o kimś innym, kto pracował dla linii lotniczej?

– Nie. – Starła się obserwować Enrica oczami, które nie skupiały się na niczym, ale wychwytywały wszystko. Jej przyjaciółka Paula opowiadała, że w dzieciństwie tak właśnie uczono ją jeździć konno: widzieć całe otoczenie bez obracania głowy, ponieważ wszelkie zmiany ustawienia ciała mogły dezorientować wierzchowca. Enrico zdołał spod drzwi łazienki przysunąć się nieco bliżej łóżka. W każdej chwili mógł skoczyć na Buckleya, a kiedy to zrobi, ona – choć nie była pewna, czy jest w stanie poruszać się dość szybko – postara się mu pomóc. Również zaatakuje. Lata temu przeszła kurs samoobrony, który zaoferowała pracownikom linia lotnicza. Nigdy nie musiała skorzystać z tego, czego się nauczyła (albo była niestety zbyt pijana, żeby zdać sobie sprawę, że powinna się bronić), ale teraz próbowała sobie przypomnieć, co mówił instruktor podczas zajęć. Była mowa o przyciąganiu napastnika do siebie, kiedy cię trzyma. O uderzeniu łokciem w głowę. O ciosie pięścią w brzuch. Mogłaby coś takiego zrobić. Zrobiłaby wszystko, żeby osłabić szansę stojącego nad nią człowieka i zmusić go do walki na dwa fronty.

– Teraz przeszukam twoją walizkę i twoją torbę. Wywalę wszystko na ziemię. Pewnie powoli wraca ci już czucie. Nie wstawaj z podłogi i nie próbuj mnie powstrzymywać. Zrozumiałaś?

Pokiwała głową.

I w tym momencie Buckley machnął ręką, jakby chciał trzepnąć kogoś grzbietem dłoni – kątem oka Cassie dostrzegła Enrica – i spokojnie pociągnął za

spust beretty.

Rozdział 36

Pistolet eksplodował. Tłumik tylko trochę złagodził huk, a Cassie wiedziała, że w chwili gdy Buckley chciał strzelić, zacisnęła oczy i krzyknęła. Ale Enrico nadal żył. Rzucił się na Buckleya i przycisnął go do materaca. Buckley miał rozcięty policzek, z którego sączyła się krew, a lewą ręką ścisnął prawą dłoń. Rana na ręce wyglądała znacznie gorzej niż ta na twarzy – Cassie widziała krew ściekającą mu po przedramieniu i czarne poparzenia na palcach i kciuku. Palec wskazujący wydawał się dziwnie wygięty: był albo zwichnięty, albo złamany.

Ich spojrzenia się skrzyżowały, a Buckley warknął:

– Nie umiesz nawet, kurwa, dobrze naładować broni!

Cassie zauważyła berettę leżącą obok niej na podłodze. Od strony rękojeści sterczały na boki poskręcane strzepy metalu, jak macki. Tłumik zwisał luźno, ledwo trzymając się lufy wciąż dymiącej broni. Jeszcze raz popatrzyła na Buckleya i zrozumiała, że Enrico przeżył, ponieważ ona źle załadowała naboje do pistoletu.

– Wezwij pomoc! – krzyknął do niej Enrico. – Dzwon na dół! – Owinął ręce wokół Buckleya i wyglądali niemal jak kochankowie; Cassie mimowolnie przypomniała sobie, jak sama była w podobny sposób owinięta wokół młodego barmana. Z trudem podniosła się z ziemi. Nogi miała jak z waty, ale złapała się biurka i sięgnęła ostrożnie po telefon.

– Nie – wydusił z siebie Buckley i wypluł ząb, który wylądował na dywanie. Cassie zawahała się na tyle długo, by mógł kontynuować: – Zapewniam cię, nie ukryjesz się przed nami wszystkimi. Jutro dopadnie cię ktoś inny.

Z korytarza dochodziły głosy gości. Jedni wracali z ulicy, gdzie ewakuowali się po alarmie pożarowym, innych przyciągnął huk wybuchającej broni. Było jednak jasne, że nikt nie wie, co to za hałas i skąd pochodził. Ktoś tłumaczył, że to na pewno tylko telewizor, ktoś inny przekonywał, że to za głośno na telewizor i raczej coś się stało z klimatyzacją. Albo może miało to jakiś związek z tym alarmem

pożarowym, przez który musieli w nocy uciekać z hotelu. Żaden z gości nie wydawał się zanadto zaniepokojony.

Cassie nadal wpatrywała się w Buckleya. Jego prawy policzek robił się coraz ciemniejszy, a prawe oko zaczęła przysłaniać opuchlizna.

– Kim ty jesteś? – zapytała. – Powiedz mi: kim ty naprawdę jesteś?

Cały czas trzymała palec na przycisku łączącym z recepcją.

„Powiedz to z większym przekonaniem”.

Cassie zastanawiała się, kiedy wypowiedziała te słowa. W końcu sobie przypomniała. Chciała, żeby matka zapewniła ją, że wszystko będzie dobrze, kiedy tatuś był tak pijany, że nie mógł wejść po schodach i co chwilę się przewracał, jakby cierpiał na dystrofię mięśni. Najwyraźniej zapewnienia matki nie zabrzmiały zbyt przekonująco za pierwszym razem.

Przez sekundę wydawało się jej, że musiała też wypowiedzieć to zdanie do jakiegoś byłego chłopaka. Może wyznał jej miłość w nie dość poważny sposób, a ona chciała czegoś więcej. Może czuła się zraniona przesadną lekkością jego tonu. Może wtedy też czuła się zdradzona.

Nie, to nie to.

Bo coś takiego nigdy się nie zdarzyło.

Nigdy nie miała chłopaka, który wyznał jej miłość.

Nigdy.

Cassie spojrzała na krew krzepnącą na palcach Buckleya. To niewątpliwie była zdrada całkiem nowego rodzaju, jednocześnie większa i mniejsza od wszystkich, których dotąd doświadczyła. Większa, ponieważ większa była stawka w tej grze; mniejsza, ponieważ tak naprawdę go nie znała.

Tylko parę razy się z nim upiła. Tylko parę razy uprawiała z nim seks.

Tylko tyle.

Smutna prawda była taka, że w ogóle nie znała tego człowieka.

Zobaczyła, że Buckley ponownie próbuje uwolnić ręce i wyrwać się z uścisku Enrica, więc szybko podeszła do łóżka, żeby pomóc go przytrzymać. Widziała jednak, że Buckley jest poważnie ranny, a Enrico nadspodziewanie silny. Nie było mowy o ucieczce. Buckley dotykał językiem miejsca, w którym jeszcze przed chwilą znajdował się górny siekacz.

– To nie ma znaczenia. Moje imię nie ma znaczenia – powiedział, kiedy krótka szarpanina dobiegła końca. Jak na ironię, jego głos brzmiał, jakby był pijany.

– Dla mnie ma.

– Jewgienij.

– Nie Buckley?

– Nie.

– Nie jesteś aktorem, prawda? Nie jesteś z Westport? To wszystko były kłamstwa?

Przewrócił oczami, a potem pokiwał głową.

– I to ty śledziłeś mnie w Nowym Jorku. – Tym razem to było stwierdzenie, nie pytanie.

– Tak.

– Pracujesz z Mirandą?

– Kiedyś tak myślałem. Ale okazało się, że tak nie jest. Naprawdę nazywała się Elena. Elena Orłowa.

– Nazywała?

– Tak.

– Nie żyje? – Cassie z jednej strony poczuła ulgę, a z drugiej dziwny, niespodziewany smutek. – Boże, jak to? Dlaczego? – Gdy to mówiła, zauważyła krew na dywanie pod drzwiami do pokoju, po czym przypomniała sobie krew Alexa na pościeli w tym ogromnym łóżku w Dubaju. Coś jej podpowiadało, że tym razem ta czerwona plama to krew Eleny.

– Bo cię nie zabiła. To była pierwsza wskazówka. Najpewniej została zwerbowana, kiedy chodziła do szkoły w Bostonie. Teraz pracowała dla was.

– Dla Ameryki?

– Zgadza się.

– Więc ty jesteś z rosyjskiego wywiadu?

– Ja jestem nikim.

Enrico wbił mu mocno łokieć w plecy. Buckley skrzywił się z bólu.

– Tak, jestem z FSB. Należę do Kozaków. Sprawdź to sobie w sieci. – Następnie zwrócił się do Enrica: – Nie musisz mi miażdżyć nerki i nie musisz mnie dusić. Chyba wszyscy już wiemy, że nigdzie nie ucieknę. Więc trochę złuzuj, stary, dobrze?

– Dzwon, Cassandro, dzwon – odezwał się Enrico. – Nie rozmawiaj z tym świrem.

– Nie, Cassie, nie dzwon, odłóż telefon – powiedział Buckley. – W łazience znajdziesz ciało Eleny i jej torebkę. W torebce jest pistolet. Jeszcze jeden. To beretta, już naładowana, więc na szczęście nie będziesz musiała tego robić. Nie musisz nic robić. Znajdziesz tam także nóż. Nawet jeśli naprawdę nie jesteś z CIA, to na pewno masz już teraz nowych znajomych z oddziału FBI w Nowym Jorku. Zadzwoń do nich. Powiedz, żeby skontaktowali się ze swoim przedstawicielem w Rzymie. Powiedz im, że Elena Orłowa jest tu, w tym hotelu, w pokoju sześćset dwadzieścia jeden. I że nie żyje. Powiedz, że Jewgienij Stiepanow jest w pokoju czterysta sześć. Dwa piętra niżej. Będę tam czekał na przedstawiciela FBI. A potem, kiedy stąd wyjdę, policz do trzydziestu, wystrzel jeden raz z tej beretty i zacznij wzywać pomocy.

Enrico pokręcił głową.

– Nie rób tego, Cassandro. On ucieknie.

– Nie, stary, nie ucieknę. Nie mam już dokąd uciekać.

– Chcę wiedzieć jedno – powiedziała Cassie. – Czy mój szwagier jest czysty?

– Z tego, co wiem, tak.

– Więc macie wtyczkę gdzie indziej?

– Na to wygląda.

Cassie odłożyła słuchawkę telefonu. Nie wcisnęła przycisku łączącego z recepcją. Weszła do łazienki po torebkę Eleny Orłowej. Z początku starała się nie patrzeć na trupa w wannie, ale nie zdołała się powstrzymać. I zobaczyła ją. Mirandę. Elenę. Leżała na boku, ale i tak było widać, jak głęboko Buckley wbił nóż w jej szyję. Na dnie wanny zebrała się kałuża krwi. Cassie podniosła torebkę z podłogi, żeby ją przeszukać. Połowa zawartości wydawała się co najmniej

zastanawiająca – pigułki, kajdanki – ale znalazła też nóż i berettę. Odbezpieczyła broń.

– Pamiętaj: ten pistolet jest nabity tak jak trzeba – ostrzegł Jewgienij, kiedy wróciła.

– Mów dalej.

– Wyceluj we mnie. Mówię poważnie. Będziesz się czuła bezpieczniej. Wtedy twój przyjaciel może mnie puścić i stanąć obok ciebie. Podasz mi nóż. Albo jeśli wolisz zachować dystans, możesz go rzucić na łóżko. Myślę, że zostawiłem już dostatecznie dużo krwi na narzucie i dywanie, ale odrobina więcej nie zaszkodzi. A na podłodze leży mój ząb. Kryminaliści będą mieli czym się zająć. Potem wrócę do swojego pokoju, a ty zadzwonisz do swoich znajomych agentów FBI i powiesz im, gdzie jestem.

– A co z ochroną?

– Nie, do nich nie dzwoń. Wmiesza się w to włoska policja i zacznie się prawdziwe śledztwo. Chcę, żeby cały świat, przynajmniej mój świat, wierzył, że mnie zastrzeliłaś. Że ty mnie zabiłaś.

Enrico kręcił energicznie głową, wzrokiem błagał ją, żeby tego nie robiła. Cassie zastanawiała się, czy w ogóle puści Jewgienija, kiedy go o to poprosi. Może wcale nie. Pomyślała o wszystkich błędach, które popełniła w życiu – o tym całym cierpieniu, które sama spowodowała, o rzeczach, których nigdy nie zrobi i których nigdy nie będzie miała – ale coś jej mówiło, że posłuchanie rady Jewgienija nie okaże się jednym z nich.

– Co będzie ze mną? – zapytała. – Powiedziałeś, że nawet jeżeli cię zabiję albo wezwę policję, to i tak znajdzie mnie ktoś inny.

– Dostaniesz nową tożsamość. Twoi ludzie się tym zajmą.

– Rozumiem, że mówiąc o „moich ludziach”, nie masz na myśli linii lotniczych.

– Cassie, zastanów się. Naprawdę chcesz przez resztę życia być Latającą Modliszką? Wątpię. W tej chwili oboje mamy ze sobą coś wspólnego, chociaż nigdy bym się tego nie spodziewał tamtego dnia, kiedy wszedłem za tobą do baru w East Village. Oboje musimy zacząć wszystko od nowa.

FEDERALNE BIURO ŚLEDcze

Formularz FD-302: MEGAN BRISCOE, STEWARDESA

DATA: 7 sierpnia 2018

MEGAN BRISCOE została przesłuchana przez regulaminowo wylegitymowanych agentów specjalnych NANCY SAUNDERS i EMORY'EGO LEARY'EGO w biurze FBI w Waszyngtonie.

SAUNDERS prowadziła przesłuchanie; LEARY sporządzał niniejsze notatki.

Zapytana wprost, czy kiedykolwiek działała jako kurier albo dostarczała służbom innych krajów poufne informacje bądź dokumenty, BRISCOE poddała się i przyznała do winy. Zeznała, że ona i jej mąż byli opłacani przez rząd Federacji Rosyjskiej. Jej mąż wykorzystywał swój dostęp do tajnych informacji, żeby przynosić jej różne materiały, ostatnio dotyczące amerykańskiego programu broni chemicznej i prac prowadzonych w Ośrodku Chemicznym i Biologicznym w Edgewood w stanie Maryland, a ona następnie przekazywała je swoim kontaktom za granicą.

Zażądała prawnika, a przesłuchanie zakończyło się aresztowaniem jej oraz jej męża.

=====

W następstwie przesłuchania zostały przeszukane dom i garaż BRISCOE w Centreville w stanie Wirginia. W głównej sypialni, w kryjówce wewnątrz gniazdka elektrycznego, znaleziono dwa pendrive'y zawierające tajne dane dotyczące broni chemicznej.

Epilog

PAMIĘTASZ TĘ OSOBE, KTÓRĄ CHCIAŁAŚ BYĆ? JESZCZE NIE JEST ZA PÓŹNO

Podczas nocnego lotu do Moskwy Cassie przyniosła pasażerowi na miejscu 4C wódkę z tonikiem i stała nad nim jeszcze przez kilka sekund, niczym wałęsający się po nocy kot, który przycupnął na oparciu fotela. Gdyby nie wiedziała, kim jest naprawdę – w każdym razie zgodnie z tym, co powiedziała jej agencja – wzięłaby go za emerytowaną gwiazdę hokeja. Pasował idealnie do typu rudowłosego adonisa, który jako bardzo młody zawodnik poprowadził reprezentację swojego kraju do olimpijskiego złota, a potem zrobił zawrotną karierę w NHL. Ewidentnie miał przynajmniej raz złamany nos. Wciąż był szeroki w barach, ale włosy mu rzędły, a skóra wydawała się twarda i wysuszona. Do czytania używał okularów. Cassie z przerażeniem uświadomiła sobie, że mężczyzna ma zapewne tyle samo lat co ona.

Oczywiście mężczyzna nie był hokeistą, tylko agentem rosyjskiego wywiadu. Może Kozakiem, prawdopodobnie funkcjonariuszem 18. Centrum FSB, zajmującego się cyberszpiegostwem. Kiedy wyczytała, co się dało z jego tabletu – dwa adresy e-mailowe i kilka nazwisk, których pisownię ledwo była w stanie zapamiętać – wróciła do kuchni w kabinie pierwszej klasy i szybko wszystko spisała. Podejrzewała, że dla agencji nie będą to żadne nowe informacje, ale nigdy

nie wiadomo. Lubiła taką pracę z doskoku, a nic więcej nie mogli jej na tym etapie zaoferować. Co prawda od dwóch lat była trzeźwa, ale miała za sobą długą historię nałogowego picia, więc ta specjalna grupa obserwacyjna to maksimum tego, na co mogła liczyć. Miała teraz nowy kolor włosów i nowe nazwisko. Latała z innego lotniska. A kiedy tylko potrzebowali stewardesy, zgłaszali się do niej. Najwyraźniej do odgrywania tego typu drobnych ról mieli całą stajnię dostępnych aktorów. Ale Cassie okazała się w tym naprawdę dobra: najwyraźniej codzienne kłamstwa alkoholiczki, która jest w stanie normalnie funkcjonować w społeczeństwie, nie różnią się aż tak bardzo od pracy zawodowego szpiega.

Ironia związana z jej obecnym zadaniem polegała oczywiście na tym, że większość informacji, które agencja posiadała na temat dżentelmena z 4C, pochodziła od Jewgienija – albo Buckleya, bo wciąż zdarzało jej się go tak nazywać w myślach. Pasażer był przyjacielem Viktora. Wiedza Jewgienija obejmowała różne rzeczy, od lokalizacji skrzynek kontaktowych po numery kont bankowych. Wiedział, co kto lubi pić i jakie najbardziej podobają mu się kobiety albo mężczyźni. On też miał teraz nową tożsamość, ale w dalszym ciągu trzymali go w bezpiecznej kryjówce pod Waszyngtonem. Zważywszy na jego przeszłość, będzie pewnie przesłuchiwany do końca życia.

Od czasu Rzymu Cassie widziała go tylko raz. Cztery miesiące temu, kiedy Masza miała niecały rok, agent prowadzący zorganizował ich spotkanie w mieszkaniu przy Dupont Circle. Mieściło się przecnicę od Carnegie Endowment, a opiekun podkreślał, że to nie tu mieszka na co dzień Jewgienij. Spotkanie odbyło się po to, żeby Rosjanin mógł bezpośrednio przekazać wszystko, co wie na temat kobiety, którą Cassie miała obserwować podczas rejsu do Bejrutu. Nikt nie podał jej nowego nazwiska Jewgienija, on sam też tego nie zrobił. Miał teraz krótkie włosy, bardzo jasne, wręcz kremowe. Cassie zastanawiała się, czy je utlenił, czy to raczej tamten miodowy odcień, który pamiętała z czasów, gdy się poznali, był efektem farbowania. Pewnie właśnie wtedy miał naturalny kolor włosów – tamtego lata, kiedy tańczyli razem w rockowym barze na południe od jej mieszkania i spacerowali po West Village pod idealnie jasnym półksiężycem.

I tamtej nocy, kiedy zabił kobietę imieniem Elena i próbował zabić mężczyznę imieniem Enrico. Kiedy był gotowy zabić też ją.

Podczas spotkania w Waszyngtonie Cassie stwierdziła, że Jewgienij nie wydawał się ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy. Ale chyba nie było mu źle w nowej

roli, do której podchodził bardzo rzeczowo i z pełnym profesjonalizmem.

Jego uśmiech wciąż jednak miał w sobie tę zawadiackość, którą Cassie tak dobrze zapamiętała. Przekonała się o tym, gdy rzuciła jakiś żarcik na temat swojego chłopaka, scenarzysty telewizyjnego z Los Angeles, a Jewgienij przyznał, że oglądał kilka odcinków jego serialu. Przez chwilę była zaskoczona, że tak dużo o niej wie, nawet teraz, ale tylko pokiwała głową. Oczywiście, że to wiedział. Powiedział wówczas: „Moim zdaniem powinni się trzymać dramatów rodzinnych. Typowych historii o zamożnych białych protestantach. A jeśli potrzebują kogoś, żeby zagrał zbuntowanego syna, który zostaje aktorem, to ja jestem dostępny w każdej chwili”. Gdy to mówił, oczy nieco mu się rozszerzyły i Cassie szczerze nie była pewna, czy żartuje sobie z niej czy nie.

Zanim się rozstali, Cassie zapytała go, czy jest ktoś, za kim tęskni w Rosji albo w Ameryce. Nie wiedziała, dlaczego to zrobiła. Chyba po prostu przyszło jej do głowy, że wszyscy musieli uznać go za zmarłego. Jewgienij zaśmiał się pod nosem i odparł:

– Wierz mi, wolałabyś nie poznać moich przyjaciół. Naprawdę. Przy nich wyglądam bardzo... amerykańsko.

– Co to znaczy?

– Przy nich wyglądam na mięczaka. – Znowu odniosła wrażenie, że się z nią droczy. Ale potem pochylił się, składając ręce. – Jak wielkiego mięczaka, zapytasz?

Czekała, zastanawiając się, czy zaraz usłyszy jakiś dowcip na temat Stanów Zjednoczonych. On jednak powiedział:

– Tak wielkiego, że jestem bardzo, bardzo wdzięczny, że pomyliłaś się, kiedy ładowałaś tamten pistolet. Naprawdę nie chciałbym cię mieć na sumieniu.

– Dlaczego?

– Bo jest z tobą mnóstwo zabawy. Jesteś trochę stuknięta, albo, nie wiem, może wtedy byłaś, ale cholernie dobrze się czułem w twoim towarzystwie. – Nagle rozłączył ręce, imitując pękający balon, i dodał: – I coś mi mówi, że nie jesteś nawet w połowie tak beznadziejną matką, jak pewnie sama myślałaś.

Przewróciła oczami.

– Na pewno jest łatwiej, kiedy się nie pije.

– Dałaś córce na imię Masza, prawda?

Pokiwała głową.

– To nie może być tradycyjne imię w twojej rodzinie.

– Wzięłam je z Tolstoja. Nazwałam ją na cześć bohaterki *Szczęścia rodzinnego*. Bo ona jest moim szczęściem.

– Boże, pamiętam, jak to czytałaś – powiedział, a to wspomnienie chyba autentycznie go ucieszyło. – Dalej tańczysz boso?

– Teraz mam inne zainteresowania. Książeczki. Kubeczki niekapki. Ząbkowanie.

Jewgienij pokręcił głową z udawaną dezaprobatą. Potem się pożegnali.

Teraz, gdy stała w przyćmionym świetle kabiny i spoglądała na notatki, które sporządziła na temat pasażera z 4C, pomyślała – jak często jej się to zdarzało – o Maszy. Córeczka Cassie przywierała do jej piersi z podobnym zapachem, z jakim ona sama niegdyś piła tequilę. Spojrzenie tych małych oczek robiło się najpierw intensywne, a potem z powrotem łagodne, i w tych chwilach Cassie widziała w nich ojca Maszy, tego tajemniczego mężczyznę, który kochał Tolstoja i czule umył jej włosy pewnej nocy w luksusowym apartamencie w Dubaju.

Przypomniała sobie cytat, który widziała kiedyś na tablicy przed sklepem w West Village: „Pamiętasz tę osobę, którą chciałeś być? Jeszcze nie jest za późno”. Nie miała pewności, czy właśnie to chciała w życiu robić, ale przekonała się, że ta praca zapewniała jej ten sam zastrzyk adrenaliny co alkohol, tyle że bez towarzyszącego mu kaca i poczucia wstydu. Nadawała jej życiu kierunek i cel. Jednak bez wątpienia osobą, która tak naprawdę ocaliła jej życie, była Masza, ponieważ to dla Maszy przestała pić, to Masza obdarowywała ją swoim ciepłem w te poranki, kiedy Cassie była w domu i budziła się obok niej, to Masza wydawała z siebie euforyczny pisk, kiedy wracała do niej po każdym rejsie. Masza, której pierwszym słowem było „niebo”, która autorytatywnie wystawiała w górę swój małeńki paluszek i przeciągała te dwie śliczne sylaby, tworząc z nich niemal muzykę. Masza dała jej coś, co kochała nad życie – coś, czego nie nalewało się do szklanki, dokładając kostki lodu, papierową parasolkę albo słomkę.

Cassie otworzyła barek pierwszej klasy, obrzuciła wzrokiem kolekcję butelek z alkoholem, które dla niej były równie piękne jak jaja Fabergé, i sięgnęła po puszkę dietetycznej coli.

Podziękowania

Jak uczył nas John Gardner w książce *The Art of Fiction*, „Nic bardziej nie ogranicza wyobraźni, nic nie uruchamia szybciej wewnętrznych mechanizmów cenzorskich i filtrujących niż próby pisania w szczerzy i interesujący sposób o własnym mieście rodzinnym”.

Zgadzam się z tym. Rzadko piszę o tym, co znam z autopsji. Ale zawsze odrabiam pracę domową i z czasem pokochałem sam proces zbierania materiałów do moich powieści – po części dlatego, że ciągle się czegoś uczę, ale również dlatego, że zdobywam przy tym nowych przyjaciół. W tym wypadku jestem winny najszczerze podziękowania co najmniej kilkunastu osobom.

Jerrold H. Bamel i Tristram Coffin udzielali mi wskazówek na temat roli, jaką w tej historii powinno odegrać FBI. Moim zdaniem obaj mogliby kiedyś napisać trzymający w napięciu thriller szpiegowski. Tris to były prokurator okręgowy z Vermont. Jerrold jest emerytowanym agentem FBI, który obecnie tropi oszustwa korporacyjne. Robi także przepyszny dżem z mango, ananasów i limonek.

Carla Malstrom i Daphne Walker opowiedziały mi o tym, jak wygląda życie stewardesy zarówno na wysokości dziesięciu tysięcy kilometrów, jak i na ziemi. Porozmawiajcie z którąś z nich przez godzinę, a gwarantuję, że następnym razem, gdy będziecie wsiadać do samolotu, podziękujecie całemu personelowi za wszystko, co dla nas robią (i co muszą znosić).

Adam Turteltaub (bliski przyjaciel ze studiów), Khatchig Mouradian (mój ormiański ojciec chrzestny) i Matthew Gilbert nauczyli mnie dużo o Dubaju. Adam i Khatchig czytali także pierwsze wersje tekstu i służyli cennymi radami. W przeszłości dedykowałem im obu swoje książki i wiem, że zrobię to ponownie.

J.J. Gertler (z którym się przyjaźnię, odkąd miałem osiemnaście lat) był moim ekspertem w dziedzinie dronów, broni chemicznej i wywiadu. Jest profesjonalnym pasjonatem wszystkiego, co związane z bezpieczeństwem

narodowym. To prawdziwa przyjemność móc ponownie ująć jego nazwisko w sekcji podziękowań.

Po raz kolejny wspierał mnie także Steven Shapiro, główny lekarz sądowy stanu Vermont, który pomagał mi przy opisach sekcji zwłok. Ani Tchaghlasian przeprowadzała mnie przez przypominający labirynt świat rajów podatkowych, przepisów OFAC i funduszy hedgingowych, takich, jakim kieruje jedna z moich postaci.

Moi rowerowi kumple z Vermont, Andrew Furtsch i Stephen Kiernan – im także dedykowałem poprzednie książki – pozwolili mi testować na sobie moje fabularne pomysły podczas setek kilometrów wspólnych przejazdów. Stephen Gragg służył swoją wiedzą w temacie kontroli bezpieczeństwa na lotniskach. Natomiast Fred Hayrapet, który podróżował ze mną po Górskim Karabachu, raczył mnie w barze w Stepanakercie opowieściami o tym, jak wyglądają różnego rodzaju porachunki w takich miejscach jak Donieck albo Dubaj.

Na specjalną wzmiankę zasługuje też Sarah Hepola. Zakochałem się w jej przejmująco pięknych wspomnieniach pt. *Blackout: Remembering the Things I Drank to Forget* niedługo po ukończeniu pierwszej wersji tej powieści. W telefonie trzymam zrzut 214. strony jej książki, żeby mieć ją stale pod ręką.

Wśród pozycji, które z wielką przyjemnością przeczytałem podczas pracy nad powieścią, znalazły się: wspomnienia stewardesy Heather Poole *Cruising Altitude*; książka Patricka Smitha o lataniu *Ask the Pilot* oraz *Predator*, historia dronów autorstwa Richarda Whittle'a.

Pragnę wyrazić najszczerze podziękowania mojej znakomitej redaktorce, Jennifer Jackson (to nasza szósta wspólna książka i tak, jej również zadedykowałem jedną z poprzednich powieści), oraz całemu zespołowi Doubleday, Vintage i Penguin Random House Audio: Marii Carelli, Toddowi Doughty'emu, Johnowi Fontanie, Kelly Gildei, Zakii Harris, Suzanne Herz, Judy Jacoby, Jennifer Marshall, Anne Messitte, Charlotte O'Donnell, Johnowi Pittsowi, Norze Reichard, Williamowi Thomasowi i Margaux Weisman.

Jestem niezmiernie wdzięczny moim agentom: Penelope Burns, Miriam Feuerle, Jane Gelfman, Cathy Gleason, Brianowi Lipsonowi, Abigail Parker, Deborah Schneider, Hannah Scott i Andrew Wetzelowi.

I w końcu – jak zwykle – dziękuję za wsparcie mojej cudownej żonie, Victorii Blewer, i naszej córce, niezmiennie zadziwiającej Grace Experience.

Dziękuję wam wszystkim.

Przypisy

[1] Ten cytat i następny w przekładzie Jarosława Iwaszkiewicza.

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

CZĘŚĆ PIERWSZA. PRZYGOTOWAĆ SIĘ NA UDERZENIE

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

CZĘŚĆ DRUGA. SPALIĆ MIKROFILMY

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

CZĘŚĆ TRZECIA. ZACHOWUJ SIĘ JAK OSOBA DOROSŁA

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

CZĘŚĆ CZWARTA. NIE JESTEŚ NICZYIM POPYCHADŁEM

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Epilog. Pamiętaj tę osobę, którą chciałeś być? jeszcze nie jest za późno

Podziękowania

Przypisy